

Danielle Thomas

Pieśń bębnów

Tytuł oryginału: Drumbeat

Przekład: Izabela Bukojemska

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nadchodził świt. Niebo nad Afryką było jeszcze bezbarwne i przezroczyste jak szkło, ale na wschodzie powoli nabierało już koloru bladej, cytrynowej żółci, przywodzącej na myśl delikatne płatki ipomoei rosnących dziko w zimbabwejskim buszu. To wrażenie przejrzystości maścił jedynie klucz kaczek. Lecąc za kaczo-rem, na tle delikatnej poświaty tworzyły falującą linię czarnych plamek.

Był kwiecień, więc wczesne poranki i wieczory były chłodne i rześkie, ale wstające słońce rozzłoci wkrótce niebo, a potem, wspinając się coraz wyżej, spłynę na ziemię gorącymi promieniami. Wtedy drzewa i krzaki w dolinach rozmigoczą się w rozedrganym powietrzu, prażone przez bezlitosny upał.

Pat Gifford wyszedł bosy na betonową podłogę werandy otaczającej wkoło jego dom. Uniósł głowę i odetchnął głęboko ostrym powietrzem.

Dobiegał sześćdziesiątki i choć z wiekiem szczupłemu niegdyś ciału przybyło parę kilogramów, to nadal był potężnym, imponującym mężczyzną. Nawet nieznajomi nie pozwalali sobie na lekceważenie go, świadomi jego siły i władzy.

Nagle coś mocno uderzyło go pod kolanami, prawie zwalając z nóg. Odwrócił się szybko, zawsze czujny z powodu węży, które często splezały z grubych, purpurowych pnączy bugenwilli, ocieniających werandę.

– Sheeba! – krzyknął. Ruda suka rasy rodezyjski ridgeback wyszczerzyła zęby w uśmiechu na dzień dobry. Każdy mięsień jej smukłego ciała drżał, gdy przy powitaniu ocierała się o nogi swojego pana. – Już dobrze, mała, już dobrze. Spokój! Leżeć! – Potarosił jedwabiste uszy. – Tak, cieszysz się na mój widok. I wiesz, że ja też cię kocham. No, skończ z tymi głupotami!

Sheeba polizała mu palce u nóg, a potem położyła się na jego stopach, szczęśliwa, że jest z panem.

Pat dotknął swojej kwadratowej brody, a potem pogładził się po czubku głowy, teraz łysym i świecącym, choć otoczonym wianuszkiem gęstych włosów. Wiedział, że ten gest przerodził się już niemal w tik, ale działał na niego uspokajająco.

Jak co dzień rano popatrzył na północ, tam, gdzie unosiła się wielka chmura białych oparów; był to Mosi–a–Tunya, Dym, Który Grzmi.

Czasami wydawało mu się, że ze swojej werandy słyszy przytłumiony ryk szerokiej, mocarnej Zambezi, przedzierającej się przez wąwozy i progi, by w końcu spaść sto osiem metrów niżej. O tej porze roku, gdy woda osiągała najwyższy poziom, wściekła, potężna rzeka wyrzucała w górę fontanny wodnego pyłu, widoczne z odległości nawet siedemdziesięciu kilometrów.

Pat był właścicielem dwóch posiadłości, Karne i Ganyani; obie znajdowały się o godzinę jazdy od wodospadu. Przekształcił je w rancza myśliwskie i żył z organizowania dla bogatych turystów polowań na bawoły, antylopy, w tym też

wspaniałe antylopy szablorgie i końskie. Czasami trafiał się nawet słoń. Dzierżawił również prawa łowieckie na obszarze położonym między ranczami, co powiększało teren safari, jaki oferował swoim klientom. Razem z synem Erinem mieszkał w Karne, ranczu nazwanym tak na cześć słynnych ruin Wielkiego Zimbabwe, figurujących na liście Światowych Zabytków Historii.

Karne było piękną posiadłością, z wyniosłymi grupami granitowych skał, stekowcami i zagajnikami drzew mopane. Ich liście, podobne do motyli skrzydeł, a także terpentynowy zapach, który rozciągały na wiosnę, przyciągały słonie. Wokół skał rosły gigantyczne baobaby o powykęcanych pniach, a wzdłuż rzeki rozsiały się kępy dzikich palm daktylowych.

Inaczej było w Ganyani, co w języku tubylców oznaczało Dziki Pies; sucha okolica robiła wrażenie opuszczonej, jednak i tam jałowe przestrzenie sąsiadowały z trawiastymi równinami, urozmaiconymi tekowcami i wspaniałymi drzewami mukwa. Nie płynęły tam stałe strumienie, lecz teren obfitował w sadzawki i oczka wodne.

Na swoich ranczach Pat mógł obserwować ponad czterysta gatunków ptaków, a Erina uszczęśliwiała zwiększająca się z sezonu na sezon liczebność stad antylop, bawołów i zebr. Zamieszkujące tu lwy i lamparty zbyt ich nie przerzedzały.

Zarówno ojciec, jak i syn wierzyli, że ich obowiązkiem jest strzeżenie fauny i jej środowiska w rejonie, nad którym mają władzę. Wiedzieli, że lawinowy przyrost naturalny na kontynencie afrykańskim zagraża dzikim zwierzętom i buszowi, czyli temu, co czyniło Afrykę tak odmienną od reszty świata. Wiedzieli też, że właśnie tu wziął swój początek rodzaj ludzki i że tylko dzięki niej bije teraz serce ludzkości. Zniszczenie Afryki byłoby zbrodnią.

Pat miał nadzieję, że Erin, gdy się ożeni, zamieszka w Ganyani. Będzie tam miał swobodę kierowania własnym ranczem, a jednocześnie pozostanie blisko ojca.

Obaj kochali swój kraj z namiętnością, jaką mężczyźni zazwyczaj rezerwują dla kobiet. Rodzina Pata odpowiedziała na zew wojennych werbli pod koniec dziewiętnastego wieku, włączyła się do powstania Matabele, a potem brała udział w zakończonej niedawno piętnastoletniej wojnie domowej.

Krwawe zamieszki, które podzieliły ten mały naród, zabrały Patowi obu starszych synów, bliźniaków. Pozostał mu tylko najmłodszy, Erin. Teraz, mając dwadzieścia pięć lat, Erin był wysokim, silnym, spalonym przez słońce mężczyzną, pod pewnymi względami zbyt dojrzałym na swój wiek. Ciągle jeszcze nie potrafił pogodzić się z upiornymi przeżyciami, których doświadczył i wciąż nosił w sercu żalobę po starszych braciach i matce.

Ostatnio, co prawda sprawy w kraju zaczęły się układać. Niedawni wrogowie stali się przyjaciółmi, a pamięć o okropnościach wojny z wolna się zacierała. Tylko matki i braci nic mu nie mogło wrócić.

Od czasu do czasu w Zimbabwe, gdzie rządząca partia wprowadziła ideologię

marksistowską, głośno mówiono o nacjonalizacji przemysłu i prywatnych posiadłości ziemskich. Myśląc o tych zagrożeniach, Pat Gifford bladł z wściekłości i żalu. Siadywał na werandzie ze szklaneczką whisky i przeklinał wszystkich, którzy zamierzali zniszczyć ten piękny kraj. Gdy ogarniał go taki nastrój, szedł do łóżka dopiero wtedy, gdy księżyc kończył już swoją nocną wędrówkę po niebie, kładł się, potrząsając głową i mrużąc coś o głupcach chciwych bogactw i władzy. Giffordowie głęboko zapuścili korzenie w bogatą, czerwoną ziemię swoich rancz. Obecnie, Erin pracował jako przewodnik myśliwych. Był odważny, doskonale strzelał i znał każdą piędź gruntu. Obaj, ojciec i syn, nieraz pili wodę z Zambezi. A jak mówiła legenda plemienia Szona, człowiek, który napił się wody z Zambezi, już nigdy nie potrafi rozstać się z tym krajem.

Widząc na wschodzie czarną plamkę, Pat osłonił ręką oczy. Przyglądał się jej przez krótką chwilę, ale zaraz odwrócił się i wziął kubek kawy od syna, który dołączył do niego na werandzie.

Rozsiedli się w starych trzcinowych fotelach, które zatrzeszczały pod ich ciężarem. – Jeszcze jeden dzień patrolu wzdłuż ogrodzenia z moim szwajcarskim „Człowiekiem-Słoniem” – jęknął Erin dmuchając na kawę, by ją ostudzić. Skrzywił się, gdy kilka kropli przelało się przez brzeg kubka i spadło mu na gołą nogę.

Mówił o szwajcarskim myśliwym, który przyjeżdżał tu co roku. Gdy krytykowano go za zabijanie słońi, ripostował, że przecież nie grozi to wytrzebieniem tych zwierząt, których ogólna liczba sięgała na tym terenie ponad pół miliona sztuk. Oczywiście słońie nie żyją w jednym ogromnym stadzie, ale przemierzają cały kontynent wielkimi, rozgałęzionymi rodzinami. Przy okazji, z logiką właściwą bankierom, wskazywał, że w krajach, w których troszczono się o dzikie zwierzęta, populacja słońi niepomniernie rosła. Natomiast tam, skąd wygnano myśliwych, otwarto tym samym drzwi kłusownikom, a oni wkrótce nie pozostawią przy życiu ani jednego zwierzęcia.

Szwajcar płacił dziewięćset pięćdziesiąt funtów dziennie, przebywał tu dwa tygodnie i wracał do domu szczęśliwy, z kłami jako trofeum. Przez ostatnie dziesięć lat, co roku polował w Karne, a przydomek „Człowieka-Słonia” zawdzięczał swoim łowieckim sukcesom.

Pat osiągnął już taki wiek, że przestał lubić strzelanie do słońi. Czuł, że tak samo jak on, słońie zasługują na przeżycie swoich dni w spokoju. Ale dochód z polowań był mu potrzebny na pensje tropicieli, specjalistów od zdejmowania i konserwacji skóry upolowanych zwierząt, personelu obozu, a także na utrzymanie cesseny, którą latał po klientów na lotnisko w Bulawayo albo przy Wodospadzie, skąd zabierał ich prosto na ranczo. Wiedział, że aby zachować w nienaruszonym stanie środowisko naturalne słońi, w samym Zimbabwe należy odstrzelić ich około

sześciu tysięcy sztuk rocznie. Był to nieodłączny element nowego sposobu zarządzania tutejszą fauną. Pieniądze uzyskane ze sprzedaży mięsa, kłów i skór przekazywano do Departamentu Dzikiej Zwierzyny, który zawsze rozpaczliwie potrzebował funduszy na szkolenie strażników i zakup samochodów do walki z kłusownikami, przybywającymi nie tylko po słoniowe kły, lecz także po rogi nosorożca. Jednak słowo słoń budziło powszechne emocje i Pat sam nie wiedział, jak rozwiązać ten problem.

Patrzył, jak syn ściera krople gorącej kawy z rozjaśnionych słońcem włosków na nodze. Erin był blondynem, podczas gdy jego bracia mieli czarne włosy. Wdał się w matkę, uważaną niegdyś za najpiękniejszą kobietę w tych stronach. Umarła, gdy chłopiec miał kilkanaście lat. Lekarz mówił o malarii, ale Pat wiedział, że straciła wolę życia po śmierci dwóch starszych synów i masakrze jej własnej rodziny w odległych górach Vumba. Tak, wojna domowa zebrała żniwo nie tylko wśród mężczyzn, którzy walczyli za swoje ideały i przekonania, ale i wśród ich kobiet.

Pat ogromnie kochał swojego jedyne, pozostałego przy życiu syna, ale pilnował, by pracował tak samo ciężko, jak reszta personelu. Wiedział, że jeśli nie potrafi wychować syna na człowieka twardego, choć jednocześnie sprawiedliwego, jego ostatnie dziecko nie zdoła przeżyć w nowych warunkach. Ponieważ musiał pełnić wobec Erina zarówno rolę ojca, jak i matki, nie mógł pozwolić, by uczucia zaćmiewały mu rozum. Patrząc teraz na syna, czuł słuszną dumę.

– Wiem, że patrole przy ogrodzeniach są nudne. Wprawdzie nam chodzi o jakiegoś byka bawołu, który może zniszczyć płot i wejść na naszą ziemię, ale ty raczej rób klientowi nadzieję, że natkniecie się na ślady lwa. Jacob mówił mi, że słyszał ryk na południowym wschodzie, koło Sina Pan – powiedział. – Spróbuj dziś w Karne, daj sobie dziś spokój z Ganyani.

Erin skinął głową i uśmiechnął się. Odkąd pamiętał, przyjaźnił się z Jacobem, który tropił dla Pata jeszcze zanim Erin się urodził.

– Dałbym słowo, że Jacob każdej nocy słyszy lwy we śnie. Jest szczęśliwy tylko wtedy, gdy idzie tropem lwa albo bawołu. Powiada, że strzelanie do słoni jest jak strzelanie do łysych Skał Matobo. Przypominają mu starszyznę plemienną.

– Nie wspominaj łysych czaszek, smarkaczu – burknął Pat. – Idź po tropiciela i przyprowadź tu swojego klienta. Na ile go znam, już wstał i czeka na ciebie.

Erin spojrział na niebo, wypił resztę kawy i zeskoczył z werandy, wołając Jacoba i jego pomocnika Jonasa.

– Tato, słyszałeś w nocy bębny? – spytał wsiadając do odkrytej toyoty. – Ciekawe, o co chodziło. Biły do samego świtu.

– Dowiemy się tego aż za szybko – mruknął Pat, kuląc gołe stopy na zimnym betonie.

Wkładał buty tylko wtedy, gdy jechał w interesach do Harare. Na ogół odwiedzał wówczas któreś ministerstwo.

Erin spróbował kiedyś polować na bosaka, jak ojciec, ale po godzinie wyciągania kolców i kaleczenia palców o kamienie przeprosił się z veldskoenami, butami z wygarbowanej skóry kudu, o giętkich podeszwach. Dokuczał ojcu, że nie ma wielkiej różnicy między opaską z twardej skóry z nogi słonia, którą Pat nosił na przedramieniu, a jego własnymi podeszwami.

Gdy Erin uruchamiał toyotę, jego ojciec jeszcze zawołał:

– Mogę dziś wrócić późno. Wiesz, ile jest gadaniny na tych spotkaniach z urzędnikami, zwłaszcza w Harare.

Pat kochał ludzi z plemienia Matabele, zwanego N'debele, które było odłamek plemienia Zulusów. Natomiast nadal nie ufał ludziom z plemienia Szona, mającym teraz większość w rządzie.

Erin wyłączył nagle silnik i zapadła cisza.

– Bądź ostrożny, tato. Nie opowiadaj im, co myślisz o ustroju. Dziś w nocy bębny raczej nie śpiewały. Niepokoję się...

– Nie marudź. Jedź już, skoro ciągle jeszcze masz klienta – upomniał go szorstko ojciec.

Patrzył za synem, dopóki chmura kurzu nie przesłoniła samochodu. Potem wyprostował się i wyrzucił ramiona w powietrze, jakby chciał nimi objąć razem i Karne, i Ganyani.

Prędzej umrę, niż oddam moją ziemię, obiecał sobie w duchu.

Zanim wszedł do domu, by ubrać się na spotkanie, jeszcze raz popatrzył na wschód i zmarszczył brwi. Klucz kaczek ciągle jeszcze plamił niebo, ale w ich szyku coś mu się nie podobało. Pokręcił głową, bo nie miał teraz czasu na zajmowanie się zwyczajami dzikich ptaków. Już był spóźniony.

– Rudo, sprawdź, czy telefon działa – krzyknął do kobiety N'debele, która prowadziła mu dom. – Powiedz panu Hanleyowi, że wpadnę po niego za kwadrans. Nie, za dziesięć minut.

Pobiegł do swojego pokoju, włożył świeżo uprasowane spodnie khaki i kurtkę safari, które były jego wyjściowym strojem. Potem wsunął stopy w veldskoeny z miękkiej, beżowej skórki i mruknął coś ze złością.

– Wypastowałam te – powiedziała Rudo, podając mu parę skórzanych mokasynów.

– Daj spokój. Już to, co mam na nogach, jest wystarczająco złe – burknął, sznurując buty jak najluźniej.

– Gdzie jest pana krawat? – Rudo otworzyła drzwi starej, tekowej szafy i wyciągnęła granatowy krawat w czerwone paski.

– Rudo, nie jestem dziś umówiony z premierem. Jadę na spotkanie z dwoma urzędnikami Departamentu Parków Narodowych. To tylko Matamba i Tigera. Nie są na tyle ważni, żeby wkładać dla nich krawat.

Nie są ważni, zakpił w duchu. Jedynie przewodniczą komitetowi, który przyznaje

koncesje łowieckie i wyznacza tereny podlegające ochronie. Ci ludzie będą decydować o mojej przyszłości. Jeżeli chcę zachować prawo łowieckie na ziemi, którą dzierżawię między Karne a Ganyani, muszę ich polubić i współpracować z nimi.

Kumgirai Matamba. Dobre imię, oznaczające błaganie o coś. I właśnie to będę dziś robił. Będę błagał o ziemię. O ziemię, którą od pokoleń kochaliśmy i o którą dbaliśmy z dziada pradziada. O ziemię, która daje utrzymanie wszystkim moim ludziom. Bez nas ci ludzie stanowiąliby ciężar dla i tak już zbyt obciążonego rządu. Ale jak zdjąć tym urzędnikom klapki z oczu i uprzytomnić im, że stanowimy niezbędny element krajowej gospodarki?

– Matamba i Tigera to ważni ludzie – powiedziała Rudo. – Tak mówią bębny. One... – Zamilkła, bo nie chciała powtarzać wiadomości przyniesionej przez łagodny, nocny wiatr.

– Co takiego mówiły? – Pat poczuł dreszcz na plecach. W tym kraju ciągle jeszcze było tyle ciemnych i niebezpiecznych spraw. Nie zwierzył się z tego Erinowi, ale przez większą część nocy leżał z otwartymi oczami, bezskutecznie próbując zrozumieć przesłanie, monotonicznie wybijane przez bębny.

Patrząc na nieprzenikniony wyraz twarzy Rudo i jej spuszczone powieki, zrozumiał, że prośenie, by zdradziła wiadomość podaną przez bębny, byłoby stratą czasu.

– Ugotuj swój znakomity gulasz z kudu – zmienił temat, uśmiechając się niepewnie. – Erin przywiezie na kolację swojego myśliwego. To ostatni dzień polowania, a wciąż nie mają nzou. Powiedziałem im, żeby nie polowali w Ganyani, lecz spróbowali w Karne. Może będą mieli szczęście.

Wydawało mu się, że zobaczył cień ulgi na twarzy kobiety, ale uznał, że to tylko promień światła, który prześliznął się przez drewniane okiennice.

– Wytropią dziś coś wspaniałego – zapewniła Rudo, wkładając jedyny krawat swojego pana z powrotem do szafy.

Pat odłożył szczotkę do włosów w oprawie z kości słoniowej, którą przyczesywał włosy.

– Czyżby twój Jacob był również czarownikiem? Potrafi rozmawiać z duchami i odgadnąć, gdzie wielkie byki jedzą i śpią? Może Salugazana przyszła do niego we śnie albo przemawiała w nocy za pośrednictwem bębnow...

Rudo wygładziła fartuch na szerokich biodrach i zacisnęła usta. Był to znak, że jest wytrącona z równowagi.

– Panie Pat, nie trzeba tak mówić. Salugazana była jedną z naszych największych nganga. Pan wie, że nawet Lobengula chodził do niej słuchać słów mądrości.

Tak, pomyślał Pat, i popatrz, co się stało z waszym matabelskim królem. Podpisał Traktat Moffata, w którym zgodził się nie przyznawać żadnych koncesji bez zgody

Brytyjczyków. Przyznał natomiast koncesję, Charlesowi Ruddowi, jednemu z agentów Cecila Rhodesa, dającą mu wyłączne prawo do wydobywania bogactw naturalnych w królestwie. Rhodes skorzystał z tego i na mocy Królewskiej Karty utworzył Brytyjską Kompanię Afryki Południowej. Przywiózł tu twardych pionierów i w końcu cały kraj Lobenguli stał się jego własnością.

Za poradą wielkiej Salugazany Lobengula postanowił walczyć z Brytyjczykami, którzy osiedlali się w Rodezji i rządili jego własnym krajem. Przegrał i umarł w kryjówce gdzieś na północy.

–Jeżeli nasz szwajcarski myśliwy miałby polegać na wiadomościach, które Jacob dostaje od nganga, po raz pierwszy wróciliby do Zurychu bez kłów do swojej sali trofeów – powiedział Pat. – A to by oznaczało, że w przyszłym roku nic na nim nie zarobimy. Stałby się nieszczęśliwym człowiekiem, Rudo, i nieszczęśliwym myśliwym.

Rudo westchnęła. Mężczyźni mają dziwny sposób myślenia. Podała Patowi teczkę. Była stara i zniszczona, ale wypolerowana do połysku jej kochającymi rękami.

– Masz rację, co do nganga, Rudo – ustąpił Pat. Było mu przykro, bo zdenerwował kobietę, która tyle zrobiła, by ukoić ból Erina po śmierci matki. – Salugazana była wielką wieszczką i trzeba słuchać nganga.

Rudo uśmiechnęła się. Jej zęby za jaśniały bielą na tle czekoladowej skóry.

– Czy Jacob dobrze cię traktuje? – Spytał jeszcze. Martwił się, że jego główny tropiciel być może niedługo weźmie sobie drugą żonę.

– O, tak, panie Pat. To dobry człowiek.

Pat był ciekaw, ile kobiet w Bulawayo mówiło to samo o jego przystojnym matabelskim pomocniku. Z Rudo Jacob miał trzech synów. Patrząc na jej miłą twarz, postanowił trzymać Jacoba z daleka od Harare. Królowe nocy były tam bardziej światowe niż te, które zamieszkiwały spokojny kraj Matabele, a on nie chciał stracić doskonałego tropiciela. Jacob stał z nim ramię w ramię podczas niezliczonych polowań na lwy i bawoły. Był to człowiek nie znający strachu i Pat wiedział, że przy nim Erin jest bezpieczny.

Spojrzał na duży, emaliowany zegar stojący na toaletce. Za pięć minut musi być u swojego przyjaciela, Freda Hanleya.

– Spokojnego lotu, panie Pat – szepnęła Rudo, patrząc za nim. Pat otworzył drzwi żółtej cessny i czekał, aż Sheeba wskoczy na tylne siedzenie.

– Siad, Sheeba – rozkazał i otrząsnął się, gdy suka z radości polizała go po twarzy. Jej uszy opadły. Pokręciła się na fotelu, aż znalazła wygodną pozycję. Zwinęła się z westchnieniem i przygotowała na przeżycie lotu.

Do samolotu wchodziła wyłącznie z miłości do swojego pana. Nigdy go nie odstępowała. Czarni pracownicy zawsze wiedzieli, że Pat jest w pobliżu, bo „diabelski czerwony pies z żółtymi oczami lamparta" zapowiadał jego przyjście. Byli zachwyceni, że pan Pat ani razu nie zdołał ich zaskoczyć.

Traktowali Sheebę z wielkim szacunkiem. Ci, którzy zbyt blisko zbliżyli się do Pana i poczuli na sobie jej zęby, zachowywali teraz rozsądny dystans. Sheeba była odważna, pochodziła z jednego z tych nielicznych miotów, które nie uciekały przed zapachem lwa. Pat wiedział, że jego pies zabije każdego, kto by mu zagroził, nawet gdyby sam miał przy tym stracić życie.

– Dobra suczka – powiedział, kołując na twardej ścieżce, która służyła mu za pas startowy. Zajęty przedstartową kontrolą, nie zauważył, że ze wschodu nadlatuje luźna formacja kaczek w kształcie litery V i że w locie zmienia szyk.

Potoczył samolot, ustawił klapy, sprawdził, czy przepustnica gaźnika jest ustawiona odpowiednio dla zimnego silnika, wcisnął hamulce i przesunął manetkę gazu na maksimum. Cessna zadrżała, jakby już miała się zerwać do lotu, ale Pat jeszcze nie zwolnił hamulców. Do startu potrzebował pełnej mocy, aby przeskoczyć nad drzewami mopane rosnącymi na końcu pasa. Wszystkich zawsze przerażał tak krótki rozbieg, ale jego żona kochała te drzewa, więc nawet po jej śmierci nie zdobył się na to, by je ściąć.

Sheeba cicho zajęczała, bo nienawidziła łoskotu i drżenia samolotu.

– W porządku, malutka, już lecimy – powiedział, puszczając w końcu hamulce. Samolot wzniósł się jak wystrzelony z katapulty i Pat uśmiechnął się, widząc pod sobą wierzchołki drzew kołyszące się w podmuchu. Miał nadzieję, że zobaczy jeszcze samochód Erina, więc poleciał nisko na południe, ale nie spostrzegł kłębów kurzu, które świadczyłyby o obecności toyoty.

Może Jacob miał jednak wiadomość od nganga, pomyślał, i teraz razem ze swoim klientem idą po wielkich jak płaskie talerze śladach stóp słoni. W wyobraźni widział pobrużdżone odciski ich podszew i ogarnęło go takie podniecenie, jakby sam je znalazł. Bezwiednie skrzyżował palce.

Po chwili skręcił na południowy zachód, w kierunku Parku Narodowego Hwange, rozciągającego się na powierzchni piętnastu tysięcy kilometrów kwadratowych palących piasków Kalahari, trawiastych równin i rozległych lasów. Był to cudowny świat, zamieszkały przez więcej dzikich zwierząt niż jakikolwiek inny park narodowy na całym świecie. Pat nigdy nie potrafił odmówić sobie przelotu nad Hwange i wypatrzenia bawołu czy słonia.

Ranczo Freda Hanleya położone było na południowo-zachodnim krańcu Hwange. Fred, tak jak Pat, pochodził z rodziny pionierów. Kochał Zimbabwe i nie wyobrażał sobie, by mógł mieszkać gdzie indziej.

Negocjacje Lancaster House, którym patronowała Margaret Thatcher, a przewodniczył lord Carrington, z początkiem roku 1980 doprowadziły do tego, że ustały kłótnie o władzę po wojnie domowej. Ugoda zawierała klauzulę gwarantującą białym obywatelom dwadzieścia miejsc w Izbie Zgromadzenia i dziesięć w Senacie. Frank Hanley został jednym z senatorów.

Mimo że klauzula miała obowiązywać dziesięć lat, prezydent zdecydowanie dążył

do ustanowienia jednopartyjnego systemu politycznego. Po siedmiu latach uchylono decyzję o gwarantowanych miejscach dla białych w Izbie Zgromadzenia, a dwa lata później to samo stało się w Senacie.

Rozczarowane dzieci Hanleya wyjechały z Zimbabwe i osiedliły się w Nowej Zelandii, zabierając jego ukochane wnuki. Dzieci straciły zaufanie do nowej władzy, ale Fred Hanley postanowił, że jego nową dewizą będzie „dostosować się lub umrzeć”.

On i jego żona Blanche bardzo tęsknili za dziećmi i wnukami, ale skoro ich tu nie było, całą swoją miłość przelali na Briar, mieszkającą z nimi najstarszą, niezamężną córkę.

Fred siedział w swoim landroverze na skraju pasa startowego i wpatrywał się w niebo. Briar zajmowała miejsce kierowcy. Ubrana była w szorty khaki, koszulę z długimi rękawami i płócienne pantofle. Miękki kapelusz ściągnęła na czoło, by osłonić przed słońcem niebieskie oczy, ufne jak oczy ojca, chronione dodatkowo od jaskrawego blasku ciemnymi okularami.

Nagle Fred pochylił się ponad oparciem fotela i chwycił pięknie wykonaną teczkę ze słoniowej skóry, którą kupił w jednym ze sklepów z pamiątkami w Harare.

– Już jest. – W oślepiającym słońcu jego jasnoniebieskie oczy ścieśniły się do rozmiaru szparek. Uparcie odmawiał noszenia ciemnych okularów, twierdząc, że niszczą wzrok. – Nie mógł powstrzymać się od przelotu nad Hwange – dodał i spojrzał na zegarek.

– Pat nigdy się nie nauczy, że ludzie, a już zwłaszcza członkowie rządu, są ważniejsi niż zwierzęta – roześmiała się Briar.

– Niestety, potrzebujemy od nich ostemplowanych dokumentów, żeby zachować tereny łowieckie – mruknął Fred.

Wyszedł z samochodu, oszczędzając słabszą nogę, pamiątkę po wojnie domowej. Wojnę powinno się pozostawić młodszemu, jak to nieraz wypominały mu Blanche i Briar. Wiatr uniósł jego gęstą, siwą czuprynę i rozpląszczył na czole. Szybko przyglądał włosy palcami, by przyjaciel znów go nie wykpił, że przybiera pozy gwiazdy filmowej. Pat w głębi duszy zazdrościł Fredowi gęstych włosów, natomiast Fred czuł się z ich powodu nieswojo, gdyż uważał, że takie włosy powinny należeć raczej do kobiety.

Sheeba stanęła na tylnym siedzeniu i sapała z podniecenia, gdy cessna uderzyła o ziemię wzbijając tumany kurzu. Briar i Fred odwrócili się tyłem i czekali, aż samolot się zatrzyma i Pat otworzy drzwi:

Sheeba wyskoczyła pierwsza. Szybko załatwiła się na piasku, ale zanim zdążyła powąchać swój mocz, kałuża zniknęła w suchej ziemi. Przez chwilę przyglądała się temu ze zdziwieniem, a potem pobiegła przywitać się z Briar, która zwykle miała dla niej kawałki suchej kiełbasy. Tym razem też się nie rozczarowała. Połknęła ostatni kasek mało się nie dławiąc, bo usłyszała gwizd Pata. Popędziła do

samolotu, przeprasząc go liznęła rękę pana i wskoczyła na tylne siedzenie.

Fred na powitanie poklepał Pata po ramieniu, a Pat schylił się i pocałował Briar. Był taki czas, kiedy obaj mężczyźni mieli nadzieję, że Briar wyjdzie za Scotta, starszego bliźniaka Pata, który urodził się kilka minut przed swoim bratem. Fred pokiwał głową. Teraz już się tak nie stanie, a na dodatek Briar chyba przestała interesować się mężczyznami.

– Pat, jak to uprzejmie z twojej strony, że ubrałeś się odpowiednio na oficjalne spotkanie – zakpił łagodnie Fred, patrząc na spodnie khaki i wdzianko safari.

– Włożył nawet buty – krzyknęła Briar z samochodu.

– Twój garnitur i krawat będą musiały wystarczyć dla nas dwóch. Chodź, miejmy to już za sobą. Po tej indaba zapraszam cię na kieliszek do hotelu Merikles – odparł Pat z uśmiechem.

Fred skinął głową. Żałował, że jednak nie będzie to indaba, zgromadzenie, podczas którego siedzieliby w cieniu drzew i rozmawiali ze starszymi plemienia. Taką Afrykę kochał i rozumiał. Nie znosił nowych obyczajów i tego, że większość ludzi na stanowiskach dbała tylko o własne korzyści. Na ich listach priorytetów dobrobyt ludności, podobnie jak troska o dzikie zwierzęta i kraj, znajdowały się bardzo nisko.

Nie bądź małostkowy, zgał sam siebie. W rządzie jest parę osób, które chcą dobrze. Pamiętaj, jakim przeciwnościom muszą stawić czoło.

– Fred, znów marzysz – skarcił go Pat, pochylając skrzydła cennie na pożegnanie Briar. A Briar siedziała nieruchomo w landroverze, z rękami na kierownicy, czekając, aż samolot zniknie na niebie.

Za każdym razem, gdy spotykała Pata Gifforda, w jej umyśle odżywał obraz Scotta, przypominając jej, jakie mogłoby być jej obecne życie. Nie powiedzieli o tym rodzicom, ale postanowili pobrać się zaraz po wojnie. Ich miłość była niewinna jak sama młodość. Briar czuła, że z tego powodu jeszcze trudniej jest jej pogodzić się ze śmiercią Scotta. Dlaczego nie współżyli, gdy mieli po temu możliwość?

Przestań, Briar, złała się. Masz już ponad trzydzieści lat i nie możesz ciągle myśleć o randkach nad oczkiem wodnym, gdzie w świetle księżyca obserwowaliście zwierzęta przychodzące do wodopoju.

Ale nawet, kiedy tak sama siebie strofowała, znów przed oczami stanął jej stawek skąpany w srebrzystej poświacie i kropelki jaśniejące jak fajerwerki, gdy ogromne słonie wyrzucały wodę wysoko w powietrze, by opadła na ich pokryte kurzem grzbiety.

Zamknęła oczy i poczuła na wargach usta Scotta, jego silne ciało blisko swojego, gdy trzymał ją w ramionach. Słyszała, jak prosi: „Briar, mogę nie wrócić. Pozwól, by pozostały mi wspomnienia”.

Z całej siły uderzyła rękami w kierownicę. Ból sprawił jej ulgę.

– Idiotka – powiedziała na głos. – Głupia idiotka. Twoje cenne dziewictwo było dla ciebie takie ważne, że teraz tylko ono ci zostało.

Ze złością przekręciła kluczyk w stacyjce i słuchała, jak silnik kaszlał i krztusił się, zanim zaskoczył. To był nowy landrover, ale zachowywał się tak, jakby pochodził z magazynu ze złomowanymi samochodami. Hanleyowie dysponowali sporymi funduszami, otrzymanymi w spadku przez Freda i korzystnie zainwestowanymi.

Ze względu na to, że Inyati od zachodu graniczyło z Parkiem Narodowym Hwange, jej ojcu często oferowano dobrą cenę za posiadłość. Ale myśl o opuszczeniu rancza była mu nieznośna. Od roku 1859, kiedy to Mizilikazi, ojciec Lobenguli, zezwolił na utworzenie pierwszej misji i zagwarantował rodzinie własność tej ziemi, tu był ich dom.

Fred miał skrytą nadzieję, że pewnego dnia jego synowie i córki z dziećmi wrócą i wykują sobie przyszłość w nowej rzeczywistości Zimbabwe. Marzył, że ranczo Inyati pozostanie w rękach rodziny jeszcze przez wiele pokoleń.

Briar zawróciła samochód na drogę prowadzącą do krytego strzechą domu. Matka pewnie już czeka na jej pomoc. Robiła dziś dżem melonowo–imbirowy, by spożytkować tych kilka melonów, których nie ukradły pawiany.

Dojeżdżała prawie do domu, który rozsiadł się pośród czerwonych i białych bugenwilli i drzew poinsecji, ale pod wpływem jakiegoś impulsu ostro skręciła i pomknęła z powrotem.

Blanche spostrzegła chmurę kurzu wznoszącą się w nieruchomym powietrzu. Wytarła ręce w fartuch. Wiedziała, że Briar nie wróci przez długie godziny.

Gdybyż ta sadzawka wreszcie wyschła, pomyślała. Briar zrobiła sobie z niej świątynię wspomnień. To gorsze, niż gdyby miała grób, na który mogłaby chodzić. Przy tej sadzawce Scott ciągle jeszcze jest żywy.

W pobliżu oczka wodnego Briar zjechała z traktu i zaparkowała pod drzewem mopane.

Wyciągnęła ze stojaka ciężką strzelbę. Gdy przebywała sama nad sadzawką, nie rozstawała się z bronią. Często leżały tu nieruchomo lwy, czekające na płową zwierzynę przychodzącą do wodopoju, albo rodziny słoni baraszkowały w chłodnej wodzie, wypływającej z podziemnego źródła.

Zdawała sobie sprawę, że jej matka uważa te przyjazdy nad sadzawkę za chorobliwy zwyczaj, ale siłę i spokój czerpała właśnie stąd, bo tu niegdyś poznała miłość.

Nie zobaczyła żadnego zwierzęcia. Usiadła, oparła się plecami o gruby pień drzewa tekowego. Wiedziała, że jeśli pozostanie w bezruchu, zwierzęta wrócą do wodopoju. Zamknęła oczy i pozwoliła, by przenikały ją ukochane wonie i odgłosy buszu.

Nie umknęło jej uwagi, że ojca ostrzeżono przed nadciągającymi kłopotami i że on się martwi. Próbował to ukryć, ale ostatnio wyczuwała fałszywą nutę w jego

śmiechu i zbytnej pewności siebie, gdy opowiadał, w jaki sposób zamierza zachować prawo do Inyati.

Proszę, niech tacie dziś dobrze pójdzie na spotkaniu, modliła się. Boże, pozwól nam zachować Inyati.

ROZDZIAŁ DRUGI

–Jonas, podskakujesz jak iskająca się mała – powiedział tropiciel Jacob do swojego pomocnika. – A twoje oczy przepatrują niebo niczym mbila. I patrzysz prosto w słońce, jak skalny królik.

Jonas nie słuchał połajanek Jacoba i nadal wpatrywał się w niebo.

–Słonie i lwy nie chodzą po niebie. Ich tropy znajdują się na ziemi – kontynuował Jacob swoje napomnienia. Mówił cicho, żeby Erin i szwajcarski myśliwy go nie usłyszeli.

– Zanim Wielki wyjechał dziś z Karne – Jonas Wielkim nazywał Pata Gifforda – właśnie wtedy, gdy słońce zaczęło się wspinać na niebo, zobaczyłem wiele czarnych kaczek, tyle, że nie leciały jak kaczki.

Jacob skinął głową. On też widział falującą kreskę na tle wschodzącego słońca, ale nie poświęcił temu uwagi. W tym czasie sprawdzał wyposażenie samochodu. Przed wyjazdem musiał się upewnić, że znajduje się tam jego skrzynka z narzędziami, łopaty na wypadek, gdyby ugrzęźli w piachu lub błocie, manierki ze świeżą wodą, żywność przygotowana przez Rudo, apteczka i dodatkowa amunicja. Wiedział, że Erin, tak samo jak jego ojciec, przed każdym polowaniem spodziewa się znaleźć w toyocie wszystko w najlepszym porządku. Mimo młodego wieku Erin był doskonałym szefem. I właśnie dlatego stał się równie doskonałym myśliwym.

– Jonas, o co ci chodzi z tymi kaczkami? – spytał Jacob w sindebele, języku ludzi N'debele, żeby szwajcarski myśliwy nie mógł go zrozumieć.

– Leciały prosto na Karne i nagle skręciły ku linii ogrodzenia. Były daleko, ale rozpoznałem je. Ty też je znasz, Jacob. Obaj widzieliśmy ich wiele podczas wojny.

– Helikoptery Alouette – wydyszał Jacob. – Ale po co przylatują tutaj?

– Myślę, że to właśnie one są tymi ptakami śmierci, o których dziś w nocy mówiły bębny – szepnął Jonas. Rzucił okiem na Erina wiedząc, że zna on doskonale zarówno język sindebele, jak i szona. Ale Erin zabawiał swojego klienta rozmową.

Na szczęście szwajcarski bankier uwielbiał wypatrywać ptaki, więc Erin pokazywał mu sokoły z gatunku akrobatów, czerwonogłowe tkacze i inne ptaszki żyjące w tym środowisku, a jednocześnie badał wzrokiem miękki piasek, by znaleźć ślady słońca.

Jacob i Jonas brali udział w wojnie, chociaż po różnych stronach, i dobrze wiedzieli, czym grożą helikoptery. Jonas był w oddziałach ZIPRA, które stanowiły zbrojne ramię ZANU, podczas gdy Jacob walczył razem z obydwoma braćmi Erina, gdyż wierzył, że ludność wiejska miała się lepiej, gdy krajem rządzili doświadczeni Biali.

– Tak, bębny – powiedział sucho Jacob. Był lojalny wobec Giffordów, ale w Afryce pewne rzeczy stanowiły tajemnicę i mogli o nich wiedzieć tylko Czarni, a oni nie dopuszczali nikogo do sekretnej wiedzy o mowie bębnow.

Bębny należały tylko do nich. Wycięte z pnia, pokryte od góry zwierzęcą skórą, stanowiły część Afryki. I wyłącznie mężczyźni mieli prawo na nich grać.

Erin usłyszał słowo „bęben” i nadstawił ucha na rozmowę Jacoba z Jonasem. Jeśli zauważą, że słucha, zamilkną, więc wychylił się na zewnątrz samochodu i udawał, że bada grunt.

Nauczył się już, że w Afryce milczenie przynosi więcej odpowiedzi niż stawianie pytań. Miał nadzieję, że jego szwajcarski klient będzie spokojnie wypatrywał ptaków, umożliwiając mu koncentrację na wymianie zdań prowadzonej szeptem na ławce tropicieli.

Ciągle jeszcze nagły odgłos bębnow, rozdzierający aksamitną ciszę nocy, przyprawiał go o dreszcze. Odczuwał nabożny zachwyt dla rytmu i siły, z jaką bity. Nadal, jak w dzieciństwie, wydawało mu się, że ich bicie wprawia ziemię w ruch, a gwiazdy w drzenie.

– Może bębny nie mówiły o śmierci na naszych ranczach – szepnął Jacob.

– Więc dlaczego ptaki śmierci poleciały dziś do Ganyani? Bo właśnie w tym kierunku leciały – upierał się Jonas. Był z siebie dumny; przynajmniej raz wiedział o czymś, czego Jacob nie spostrzegł. – Może Wielki także odczytał wiadomość i dlatego kazał nam polować dziś w Karne – kontynuował troszkę głośniej, ponieważ usłyszał sobie okropność takiego przypuszczenia.

– Cicho – rozkazał Jacob patrząc na Erina. – Wiesz, że Wielki powitałby ich ogniem, gdyby myślał, że lecą do Ganyani. Nigdy by nie pozwolił, żeby ptaki śmierci wylądowały na jego ziemi.

– Ale czego szukają w Ganyani? – spytał Jonas, drapiąc się w zadumie po karku. – Nie ma tam nic wartościowego.

Jacob pokiwał głową; jego bystre oczy uważnie wpatrywały się w drogę. W drgającym od gorąca powietrzu zobaczył zgnieciony kawałek ogrodzenia. Pochylił się i dotknął ramienia Erina.

– Nzou – ostrzegł.

Szwajcarski bankier wyprostował się tak gwałtownie, jakby go ktoś oblał zimną wodą. Nzou było jedynym słowem, jakie znał w sindebele.

Ale Erinowi znalezienie tropów słonia nie sprawiło dziś radości. W myślach powtarzał rozmowę, którą podsłuchał i która go przestraszyła. Wiedział, że prywatni właściciele w każdej chwili mogą utracić swoje posiadłości, gdyż rząd rozpaczliwie próbował udobruchać bezrolnych i spełnić swoje wyborcze obietnice. Mimo wszystko nie mógł uwierzyć, że władze wysłałyby oddział wojska, by przejąć siłą ich ranczo.

Nigdy by tego nie zrobili, pocieszał się, podczas gdy toyota zmierzała do miejsca w ogrodzeniu, które wyglądało tak, jakby przejechał przez nie walec drogowy.

Dziwne, że tyle drutu leży na ziemi, pomyślał. Widocznie krowa zdeptała go, żeby zrobić przejście dla cielęcia. Potem jego myśli wróciły do podsłuchanej rozmowy.

Tato jest w Harare na rozmowach z Matambą. Tigera niedawno przyjechał do nas na kolację. Nie mogą zabrać nam ziemi, uspokajał sam siebie. W końcu zmusił się do poświęcenia uwagi polowaniu, ale wspomnienie błysku chciwości w czarnych oczach Tigery na widok stad antylop w Ganyani nie opuściło go już ani na chwilę, nawet gdy odwrócił się, by pożartować z tropicielami.

– Twoje oczy są nadal bystre, mimo że jesteś starym człowiekiem, obarczonym żoną i trzema synami – dokuczał Jacobowi. Jonas aż zapał z radości. Służył Jacobowi z oddaniem, ale zawsze się cieszył, gdy jego szefa wprawiano w zakłopotanie.

– I powiedz, mój stary Jacobie – ciągnął Erin – jak mogłeś nie zauważyć, że te kaczki to helikoptery, nasi znajomi z czasów wojny?

Śmiech Jonasa zamarł i młodszy tropiciel spojrzał z osłupieniem na Jacoba.

– Patrzyłem na ziemię, Erinie. Jestem tropicielem, i nie wypatruję ptaków, jak Jonas – odpowiedział spokojnie Jacob.

– Nie jesteś po prostu tropicielem – uśmiechnął się Erin. Jesteś najlepszym tropicielem, jaki w ogóle istnieje. Ale powiedz, dokąd one lecą i po co.

– Lew jest lwem, po prostu lwem – odpowiedział, Jacob.

– To prawda. Nie można przewidzieć ani wyjaśnić, dlaczego lwy postępują tak, jak postępują.

Szwajcarski bankier spokojnie czekał, aż ta rozmowa się skończy. Był pewny, że mówią o słońcach. Ale w końcu zniecierpliwił się, bo chciał już zacząć polowanie.

– Czy mamy ślady, którymi moglibyśmy pójść? – spytał.

– O, tak – odparł Jacob i lekko zeskoczył na ziemię z podwyższonego tylnego siedzenia samochodu.

– I są to dobre ślady – zapewnił go Erin, widząc rozmiar stóp głęboko odcisniętych w miękkim piasku. Na kilka minut zapomniał o helikopterach. Sprawdził broń i amunicję. Przypilnował, by do plecaka Jonasa włożono manierki z wodą i apteczkę, a ze schowka w samochodzie wyciągnął opaskę uciskową i wsadził ją do tylnej kieszeni szortów.

Jacob tylko się uśmiechnął. Czy opaska uciskowa wyleczy ugryzienie węża? Jeżeli ugryzie cię afrykańska żmija, to albo umrzesz od bólu i jadu, albo stracisz spory kawałek ciała, który czernieje, zgnije i odpadnie. Nawet dzieci o tym wiedzą.

Erin zaparkował toyotę w cieniu drzewa mopane i jeszcze raz sprawdził, czy nie zostawił na wierzchu nic, co pawiany lub inne małyby mogłyby ukraść. Potem zajął swoje miejsce w szyku, tuż za Jacobem. Jacob niósł broń klienta. Była to ostrożność, którą zawsze podejmował, gdyż podniecony i niedoświadczony

myśliwi mógł niechętnie strzelić mu w plecy albo nogi. Szwajcarski bankier szedł za Erinem, a Jonas zamykał szyk.

Myśliwi, tak jak tropiona przez nich zwierzyna, przesuwali się bez szmeru przez zarośla. Było coraz goręcej i pot przyklejał im koszule do ciała. Przytłaczała ich niezwykła cisza, której można doświadczyć tylko w głębokim, afrykańskim buszu. Oddychali szybko i płytko.

Ciszę przerwał nagły, przeraźliwy odgłos karabinów maszynowych. Dochodził z daleka, ale ci, którzy walczyli podczas wojny, wiedzieli, co słyszą.

Ktoś strzelał z dwulufowego MAG-a. Karabiny kalibru 7,62 były standardowym wyposażeniem wszystkich wojskowych helikopterów.

Są nad Ganyani, pomyślał Erin. Ale natychmiast odrzucił tę myśl. Była zbyt okropna.

– Bębny – szepnął ostro do Jonasa. – Co mówiły bębny dziś w nocy? Jonas odwrócił się do Jacoba czekając na jakąś wskazówkę, ale Jacob pilnie badał grunt, rysując czubkiem buta kółka na piasku. Zdając sobie sprawę, że wpadł w pułapkę i przerażony na myśl, że helikoptery mogą w drodze powrotnej zaatakować Karne, odszepnął:

– Opowiadały tylko o ptakach śmierci, które będą dziś latały. Nie było mowy o tym, że je znamy, a tylko o tym, że niedługo sfruną na ziemię. – Przełknął ślinę i znów spojrzął na Jacoba, ale Jacob nadal badał tropy. Był afrykańskim mężczyzną. Nic nie powiedział i niczego nie słyszał.

Erin ścisnął ramię Jonasa i powiedział głośno:

– Rozumiem, Jonas. Bębny rozmawiają o tajemnicach mężczyzn i nie mam prawa cię o to pytać.

Jonas uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Kto tam strzelał? – spytał Szwajcar, gdy się zatrzymali.

– Jacyś inni myśliwi na sąsiednim ranczu – odpowiedział Erin, siląc się na obojętność, choć w gardle dławił go strach.

– Brzmi to tak, jakby toczyła się tam regularna wojna, a nie polowanie – zauważył bankowiec.

Łoskot wirników i wizg automatycznej broni uparcie podążał za nimi. Późnym popołudniem nawet Szwajcar był już trochę przestraszony.

– Jesteś pewien, że nie toczy się tam jakaś walka? – spytał Erina. Polowanie na słonie, choć niebezpieczne, sprawiało mu ogromną radość. Jednak nie płacił dziewięciuset pięćdziesięciu funtów dziennie za to, by wylądować w samym środku wojny.

– Nie. Zapewniam cię, że nie masz się czym martwić. Od czasu do czasu Asiedzi wypożyczają helikopter, żeby przeliczyć i przetrzebić stada. Chyba właśnie teraz to zrobili. Jedyne niebezpieczeństwo, na jakie jesteśmy w tej chwili narażeni, polega na tym, że możemy wyjść na wielkiego samca, a nie będziesz na

to przygotowany, jeżeli myślisz o polowaniu innych ludzi. Bierzmy się do roboty. Uspokojony bankier skupił całą uwagę na tropach.

Ogromne, afrykańskie słońce skłaniało się ku zachodowi, prześwietlając mocnym, czerwonym blaskiem grube chmury piachu wzniecane przez konwój ciężarówek przetaczających się po jałowej ziemi Ganyani.

– Ach – westchnął szwajcarski myśliwy, przyglądając się drzewom tekowym i mopane, które na tle zachodzącego słońca wyglądały jak posępne czarne słupy. – Afryka jest taka piękna. Piękna i spokojna.

Był naprawdę szczęśliwy. Późnym popołudniem ustał ogień broni maszynowej. Z tyłu landrovera leżały dwa słoniowe kły. Jeden ważył sześćdziesiąt, drugi pięćdziesiąt funtów. Całkiem niezłe. Dni, kiedy myśliwi regularnie zdobywali stufuntowe kły, bezpowrotnie minęły.

Wytropili słonia tak zręcznie, że ich nie zauważył i dalej spokojnie szedł swoim tempem czterech mil na godzinę zamiast wpaść w popłoch i pędzić z prędkością jakichś dziesięciu mil. Było to dobre i łatwe polowanie.

Toyota podskakiwała i zataczała się na wybojach traktu. Jacob i Jonas przytrzymały się poprzecznego prętu przed swoją wysoką ławką. Erin rozpaczliwie pragnął być już w domu i porozmawiać z ojcem. Miał nadzieję, że dowie się od niego, co się dziś wydarzyło w Ganyani.

ROZDZIAŁ TRZECI

W sali konferencyjnej było duszno. Fred ukradkiem rozluźnił węzeł krawata, a potem duszkiem wypił wodę ze szklanki stojącej na politurowanym stole. Znów podziwiał meble wykonane z twardego drewna mukwa. Teraz nazywano to drewno kiaat, przypomniał sobie. Stawało się coraz rzadsze, bo ludzie wypalali z niego węgiel drzewny na sprzedaż.

Zobaczył, że Pat spogląda na zegarek. Siedzieli tu od dwunastej, a teraz było już późne popołudnie. Ale czas mijał im szybko. Gdy urzędnicy usłyszeli, że w budynku jest Fred Hanley, natychmiast tu przyszli, bo wiedzieli, że jeszcze niedawno był członkiem Senatu.

On i Pat skorzystali z okazji, by wypytać rozmówców o ich stosunek do nowego rządu. Większość, w trosce o zachowanie stanowisk, mówiła niewiele. Ale kilku urzędnikom języki się rozwiązały i narzekali, że epoka Jednostronnej Deklaracji Niepodległości i pilota RAF-u, Douglasa Smitha, przeszła do historii.

– Smithy nie był taki zły, chociaż w swoim czasie chcieliśmy go widzieć martwym – powiedział jeden z sekretarzy. – Przynajmniej wtedy przed podpisaniem dokumentów pieniądze nie musiały przechodzić z rąk do rąk. A teraz, jeśli nie zobaczą twoich pieniędzy, ich pióra pozostaną głęboko w kieszeni.

Fred i Pat śmiali się i rozmawiali z urzędnikami o dawnych czasach, aż w końcu, w ten sam niesamowity sposób, w jaki słoń wyczuwa niebezpieczeństwo i znika w buszu, pokój nagle się wyludnił.

Otworzyły się imponujące podwójne drzwi. Poprzedzani przez dwie sekretarki, do pokoju wkroczyli Tsvakai Tigera i Kumgirai Matamba. Zajęli miejsca przy stole, usprawiedliwiając swoje spóźnienie koniecznością załatwienia spraw Państwowej wagi.

Pat i Fred szanowali pracę Departamentu Parków Narodowych i Ochrony Zwierzyny Łownej. Parki były zarządzane właściwie i w sposób jak najbardziej postępowy, ale Pat nie ufał ani Tigerze, ani Matambie. Dysponowanie koncesjami łowieckimi i terenami ochronnymi dawało im wielką władzę, gdyż wielu ludzi chemie zapłaciłoby za nie ogromne sumy.

– Ach, przyjacielu – powiedział Matamba, ściskając obie ręce Freda w swojej wielkiej, mięsistej dłoni. – Jak miło cię znów zobaczyć.

Fred ogarnął wzrokiem tego jowialnego mężczyznę i przez chwilę zastanawiał się, ile też może ważyć Matamba. Jego marynarka naprężała się przy guzikach, a łydki ocierały się o siebie, gdy szedł.

– Widzę, że nadal mieszasz się dobrze – odpowiedział z uśmiechem.

– Tak. Widzisz również, że nie schudłem – Matamba głośno się roześmiał z własnego żartu. Od tego śmiechu po jego twarzy popłynęły łzy, a policzki zatrzęsły się. Wyciągnął rękę i jedna z sekretarek włożyła do niej wielką, białą

chustkę. Ocierając oczy, przestał się śmiać i przyjrzał się Patowi.

Tigera przywitał się z Fredem i umyślnie zignorował Pata, który właśnie sposobił się do wymiany uścisków dłoni z obydwoma mężczyznami.

Matamba spojrzął na Tigere, a ten władczo wskazał krzesło za sobą. Matamba pokiwał przecząco głową i podał rękę Patowi, a potem dołączył przy stole do Tigery. Tigera, nadal ignorując Pata, zaczął przerzucać papiery.

Fred, wściekły z powodu zniewagi, jaka spotkała jego przyjaciela, odepchnął krzesło od stołu. Słyszając nagły hałas, zarówno Matamba, jak i Tigera popatrzyli do góry.

– Panie Tigera, oczywiście zna pan pana Pata Gifforda – powiedział Fred lodowatym tonem. Jego spojrzenie było zimne i twarde jak stal.

– Ależ oczywiście – odrzekł Tigera przechylając się przez stół. – Kilka miesięcy temu pan Gifford był tak uprzejmy i zaprosił mnie na swoje piękne ranczo. – Wyciągnął rękę do Pata, który chwilę się wahał, ale zaraz uściśnął jego dłoń. Był pewny, że właśnie ta wizyta spowodowała niegrzeczne zachowanie Tigery, jednak nie miał pojęcia, jak powinien się w tej sytuacji zachować.

– Sądziłem, że człowiek tak bardzo zajęty jak pan już dawno zapomniał o swoim pobycie u mnie – powiedział uprzejmie, chociaż miał ochotę zerwać okulary w złotych oprawkach z nosa Tigery i rzucić mu je w twarz.

– Och, nie, panie Gifford. Jak mógłbym zapomnieć Ganyani! Cała ta ziemia i stada... – Przerwał, by zapalić cygaro. – I tylko od czasu do czasu jakiś myśliwy może się tym cieszyć.

Patowi zabrakło tchu. Czuł się tak, jakby ktoś uderzył go w splot słoneczny.

–...ale jest dobrze zarządzane – wpadł mu w słowo Fred. – A dzięki polowaniom i odstrzałom wiele rodzin z okolicy ma pracę. Musi pan pamiętać o jednej rzeczy, panie Tigera. Polowania są ważnym elementem ochrony przyrody w Zimbabwie. W pobliżu naszych rancz znajdują się jedne z ostatnich afrykańskich rejonów, w których zachowały się dzikie zwierzęta. I jeżeli mają przetrwać, muszą chronić je ludzie tacy jak pan Gifford, zaangażowani w tę sprawę, kochający ludzi i kraj.

– Nasze stada dzikich zwierząt i środowisko naturalne przyciągają turystów. A razem z turystami napływają potrzebne dewizy – dodał Pat spokojnym, przekonującym tonem.

– Tak, tak – przyznał ze złością Tigera. – Ale potrzebujemy także ziemi dla naszych ludzi.

Matamba coś po cichu powiedział i zachowanie Tigery nagle się zmieniło.

– Później porozmawiamy o interesach. Teraz zachowamy się jak dobrze wychowani ludzie i napijemy się herbaty. Widzicie, ja też zaraziłem się tym kolonialnym zwyczajem. – Zachichotał i klasnął w ręce. – Herbata dla czterech osób! – Zawołał.

Obie sekretarki biegiem wypadły z sali.

- Mówiliście o Ganyani, ranczu pana Gifforda – odezwał się Matamba.
- Jednym z rancz pana Gifforda – uściślił Tigera.
- Nie miałem przyjemności go zwiedzić – zauważył Matamba.

Czekał na zaproszenie, ale Pat już żałował, że w swoim czasie zaprosił Tigere do Karne i Ganyani. Wtedy zaprzyjaźnienie się z ludźmi u władzy wydawało mu się dobrym pomysłem, ale teraz zdał sobie sprawę, że tylko wzniecił zazdrość i doprowadził do tego, że Tigera chciałby przywłaszczyć sobie jego ziemię.

- Czy pański departament podjął już decyzję w sprawie przyznania nowych koncesji myśliwskich w rejonie rzeki Chizarira, czy też rozszerzycie Park Narodowy Chizarira na okręg safari Chete? – Spytał Fred, by zmienić temat.

Tigera wydawał się zaskoczony. Tylko jedna albo dwie osoby wiedziały, że zamierza na tych obszarach wprowadzić zmiany.

- Słyszałem, że jest tym zainteresowany pewien amerykański miliarder – kontynuował Fred. – Mówiono mi, że zamierza przeznaczyć miliony na ochronę przyrody w Afryce. Podobno jego dziadek lubił tu polować, więc wnuk chce teraz zrobić coś dobrego dla naszego kraju.

- Bębnymy musiały znów bić – powiedział Matamba cicho do Tigery. – Przecież nikt nie powinien jeszcze wiedzieć o ofercie Amerykanina.

- Wiedzą o tym w Afryce Południowej – odparł Tigera. – Chcą, żeby dał pieniądze na wytyczenie korytarza dla wędrówek słoni z N'dumu do północnego Mozambiku. – Uderzył ołówkiem w stół, bo bardzo złościła go myśl, że takie wielkie pieniądze mogłyby pójść do południowej Afryki i Mozambiku. – Rozmawiali już z nim, ale czuję, że te pieniądze pozostaną bezpiecznie w Zimbabwie.

Tigera uśmiechnął się. Wyobraził sobie wszystkie przysługi, jakich mógłby zażądać obiecując trochę pieniędzy. Oznaczałoby to dla niego więcej podaży do Europy na konsultacje z ekspertami od zarządzania. W ciągu ostatnich lat nabrał upodobania do dam przechadzających się nocą po rue Saint-Denis w Paryżu.

Następną godzinę spędzili sącąc herbatę, pogryzając suche ciasteczka i dyskutując o możliwości rozszerzenia Parku Narodowego Chizarira. Ten park, ozdobiony wspaniałymi górami i wąwozami, rozciągał się wysoko na Płaskowyżu Zambezi i spływał na równiny Kariba. Fred zaproponował, by włączyć do niego również tereny leżące między Chete a Parkiem Narodowym Matusadona. W tym momencie Pat Gifford przestał interesować się rozmową. Przeczuwał, że Tigera tylko zabija czas. Z doświadczenia wiedział, że urzędnicy państwowi nie dyskutują na temat planów wykorzystania ziemi z właścicielami prywatnych posiadłości. Na ogół odnosili się do nich podejrzliwie i z niechęcią. Tigera na coś czekał.

Zaczął obserwować Tigere, który razem z Matamba przysłuchiwał się słowom Freda. Zauważył na jego twarzy podniecenie na myśl, że mógłby mieć kolejny milion akrów dziewiczego buszu, podzielonych między zaledwie dwa

przedsiębiorstwa. Jedno uzyskałoby koncesję łowiecką, a drugie wyłącznie zezwolenie na safari fotograficzne.

Tigera był chudym, lekko przygarbionym, wiecznie cierpiącym na niestrawność męczyzną. Miał słaby wzrok, a okulary, które nosił, nadawały mu wygląd śledczego. Nikt nie wiedział, w jaki sposób doszedł do tak ogromnej władzy, ale szeptano, że po ugodzie Lancaster House właśnie dzięki niemu zniknęli ludzie niewygodni dla niektórych ministrów nowego rządu.

Pat sądził, że Tigera cierpi albo na gruźlicę, albo na AIDS. Obie te choroby bezkarnie panoszyły się w Zimbabwe.

Gdy Fred i Matamba studiowali szczegółową mapę terenu, Tigera szeleścił papierami. Jego kościste palce zdejmowały z nich spinacze; udawał, że czyta dokumenty, a potem znów je spinał. Od czasu do czasu mówił kilka słów do Freda albo Matamby, ale wyraźnie było widać, że jest roztargniony.

Czekali. Ale, na co?

Pat spojrzął przez okno na drzewa dzakarandy. Wiosną kryły się w chmurze pięknych niebieskich i różowoliliowych kwiatów, w upale skłaniających się ku dołowi, miękkich jak jedwabne chusty. Gdy przekwitały, ich płatki pokrywały ziemię gęstym, cudownym, kolorowym dywanem.

Głośny dzwonek telefonu stojącego obok Tigery wyrwał Pata z zamyślenia.

Tigera chwycił słuchawkę i przyłożył ją do ucha. Gdy słuchał, oczy mu rozbłysły, a lekki uśmiezek wykrzywił jego wargi.

– Dobrze. Upewnijcie się, że nic nie zostało. – Zamilkł i spojrzął na Matambę, który, pochylony do przodu, przysłuchiwał się rozmowie.

– Tak, nawet młode. Ty ośle, nie potrafisz zrozumieć, co się do ciebie mówi? Wszystko! – Krzyknął Tigera. – Oczywiście, gdy słońce zachodzi, robi się ciemno. Zainstalujcie reflektory i kontynuujcie.

Pat i Fred wpatrywali się w niego. Żaden z nich nie znał biegle języka szona, trochę jednak rozumieli. Tigera ściszył głos i uśmiechnął się, ale jego oczy nadal były gniewne. Skinął na Matambę.

Stało się. Za trzy dni ciężarówki odjadą. Ludzie będą mieli, co jeść. Mógł jeszcze dodać: „A nasze konta bankowe napećniają”, ale zmilczał. To rozumiało się samo przez się. Taka już jest Afryka.

Matamba pochylił się ku niemu i szepnął w szona:

– Powiesz im teraz czy pozwolisz, by sami to odkryli?

Tigera oblizał usta. Nareszcie nadeszła chwila, na którą czekał, odkąd zobaczył Ganyani.

– Dam im tylko małą przestrożę, żeby trzymać ich z daleka przez trzy dni, zanim nie odjadą ciężarówki – odpowiedział.

– Uważaj – ostrzegł Matamba. – Giffordowie nie są głupi. Słyszałem, że syn jest prawdziwym męczyzną. Nie chcę któregoś nocy poczuć kuli w plecach.

– Widziałem syna – uśmiechnął się Tigera. – Nie musisz się obawiać kuli w plecy nocą. Trafi cię prosto w czoło i to za dnia. – Poklepał Matambę po ramieniu i przeszedł do okna. Stojąc tyłem do obecnych i wyglądając na obsadzoną drzewami ulicę, pozwolił, by w sali narastała cisza.

Gdy odwrócił się twarzą do Pata i Freda, na jego obliczu malowała się już ponura powaga.

– Panowie – odezwał się rozważnie – otrzymałem pewne wiadomości i mam smutny obowiązek przekazać je wam.

Fred i Pat gwałtownie wyprostowali się na swoich krzesłach.

– Kilka tygodni temu uprzedzono nas, że silna i dobrze uzbrojona banda kłusowników weszła do Zimbabwe i działa gdzieś w okolicach Parku Hwange.

Strzelił palcami. Natychmiast jedna z sekretarek podbiegła, by nalać mu herbaty. Tigera pił powoli, radując się napięciem, które wyzwolił.

– Oczywiście, poprosiłem nasze dowództwo wojskowe o przydzielenie mi oddziału do walki z kłusownikami. Wojsko zawsze chętnie nam pomaga. Gdy poinformowałem ich, jaka jest liczebność i siła tej bandy, dali nam helikoptery, karabiny LMG i AK-47. Panowie sami rozumieją, że do walki z kłusownikami i ich likwidacji potrzeba sporych sił.

Tigera znów przerwał i spojrzał na Pata. W grubych szklach okularów odbijało się światło, uniemożliwiając wyczytanie czegokolwiek z jego oczu. Kontynuował wysokim, niemal piskliwym głosem:

– Wytropimy i zniszczymy kłusowników niezależnie od tego, gdzie ich dopadniemy: czy to na państwowej ziemi, czy też w posiadłościach prywatnych. Znaczenie słów Tigery zaczęło powoli docierać do Pata, ale wzdragał się przed uwierzeniem w to, co słyszy.

– Panie Gifford – powiedział jeszcze Tigera – muszę pana powiadomić, że ani pan, ani nikt z pana personelu czy rodziny nie może znajdować się w Ganyani aż do chwili uchylecia zakazu. W tej chwili toczy się tam walka z kłusownikami. Przebywanie na tym terenie jest bardzo niebezpieczne. Wojsko ma rozkaz strzelać do wszystkich, nie pytając o tożsamość.

Przerwał i elegancko wypił kilka łyków herbaty.

– Ma pan tylko jednego syna. Czy warto go tracić? – Pozwolił sobie na uśmiezek widząc, jak twarz Pata sztywnieje ze złości, a wokół ust pojawiają się białe plamy. Pat zacisnął ręce na poręczach fotela tak mocno, że kostki prawie przebiły skórę palców. Fred pomyślał, że gdyby kiał nie było tak twardym drewnem, poręcze by pękły.

– Uważaj – ostrzegł szeptem. – To oni trzymają bat. Ale tylko przez chwilę, przysiągł sobie Pat.

– A moja zwierzyna? – Warknął. W jego głosie było tyle jadu, co w zębach węża. – Co się stało z moją zwierzyną w czasie tej obławy na rzekomych

kłusowników?

Fred pokiwał głową z niemą przestrogą. Atak nie był w tej sytuacji najlepszym sposobem działania.

– Zwierzyna, panie Gifford? – Drwił Tigera, udając zdziwionego. – Zwalczamy kłusowników. Ale hałas na ogół powoduje panikę wśród zwierząt. Obawiam się, że nie będzie można pociągnąć do odpowiedzialności strzelców, jeżeli jakaś kula trafi w zwierzę.

Odwrócił się znów twarzą do okna. Matamba udawał, że studiuje mapę. Nie chciał widzieć wyrazu wstępu na twarzy Freda.

–Kiedy zamierzacie skończyć tę operację? – Spytał Fred, cedząc wyrazy tak, jakby zawierały gorzki sok z aloesu.

– Za trzy dni – odparł szybko Matamba.

– Lepiej cztery – poprawił Tigera w języku szona. – Nie może pozostać żaden ślad po suszeniu mięsa. Ma to wyglądać jak prawdziwa wyprawa przeciw kłusownikom. Nikt nie będzie wiedział, gdzie podziała się zwierzyna. Wszystkim będzie się zdawało, że uciekła w panice, najprawdopodobniej do Hwange, które jest własnością Departamentu Parków Narodowych.

Matamba w milczeniu patrzył, jak Tigera zapala cygaro, odrzuca głowę do tyłu i wydmuchuje równiutkie, doskonałe kółka dymu, które unosiły się w górę, dopóki nie rozwiały ich powiew powietrza poruszanego wachlarzami punka.

Ci, którzy śpią z węzami, często umierają od ich jadu, powiedział sobie w duchu. Tigera jest mądry, ale zbyt chciwy pieniędzy i władzy. Lepiej będzie, jeżeli on, Matamba, zdystansuje się trochę od Tsvakai Tigery, zanim sam wpadnie w pułapkę i nie będzie już mógł uciec.

Pogarda i wstępnalające się na twarzy Freda Hanleya poruszyły go bardziej, niż byłby skłonny przyznać. Zawsze cieszył się z dobrych stosunków, jakie łączyły go z Fredem, jednak teraz wiedział, że to już koniec, bo w jego oczach stał się takim samym łajdakiem, jak Tigera. Tylko że pieniądze są silną przynętą i on sam, jak większość ludzi, dał się na nią złapać.

To będzie moja ostatnia praca z Tigera, obiecał sobie.

– Co najmniej cztery dni – powiedział po angielsku Tigera. Matamba nie odzywał się. Próbował uśmiechnąć się przepraszająco do Freda, ale Fred celowo unikał jego wzroku.

Pat odsunął krzesło i spojrział ponuro na obu mężczyzn.

– Pamiętajcie, że tak jak hiena nie potrafi pozbyć się własnego fetoru, tak samo zło zawsze idzie za tym, kto je czyni.

Nagrodziły go iskierki strachu w ich oczach. Pat żył w Afryce wystarczająco długo, by wiedzieć, że przesąd ciągle jeszcze mocno tkwi pod warstwą wykształcenia, a głos bębnow ma większą moc niż rozum.

– Idziemy – powiedział do Freda.

Zamykając za sobą drzwi, słyszeli jeszcze, jak sekretarki śpieszą, by obsłużyć Tigera i Matambę.

Tigera zgasił cygareto w wielkiej, miedzianej popielniczce. Dusił je tak długo, aż tytoń rozsypał się ponad krawędzią i spadł na stół.

Trzaśnięcie drzwiami i wyraz pogardy na twarzy Freda sprawiły, że poczuł w żołądku gorzki ciężar. Nie miał wyrzutów sumienia z powodu rzezi, którą zarządził w Ganyani. W Afryce wygrywają najsilniejsi. Zamierzał zgarnąć wszystko, co tylko mógł, zanim nastanie nowy rząd, dojdzie do zamachu stanu lub rewolucji. Takie wydarzenia w obecnych czasach były na porządku dziennym.

– Dość już się nacieszyli pięknem naszego kraju. Teraz nadeszła nasza kolej – powiedział. Matamba siedział w milczeniu, układając dokumenty w porządku stosy.

– Następne będzie Karne – chełpił się Tigera, biorąc milczenie Matamby za przyzwolenie.

Nie, nie! Chciał krzyknąć Matamba. Masz już Ganyani, więc zostaw im Karne. Ale nie odezwał się. Wytrzeł tylko mokre od potu czoło i schował wilgotną chustkę z powrotem do kieszeni. Mądry człowiek wszystkiego wysłuchuje, a dopiero potem mówi, upomniał sam siebie.

– W przyszłym tygodniu zawiadomię Gifforda, że niestety, również w Karne zauważono ślady kłusowników, więc dla własnego bezpieczeństwa muszą opuścić posiadłość. – Mówiąc to, Tigera przechadzał się po pokoju.

– Pat Gifford nigdy nie odda Karne. – Matamba wreszcie przerwał milczenie, ale nadal przekładał papiery. Wyglądał jak je den z wielkich, zuluskich wodzów. Dostatnie życie pokryło tłuszczem jego niegdyś smukłe ciało, ale wciąż miał królewską prezencję.

Tigera zdjął okulary i spojrzał na Matambę tak, jak się patrzy na obrzydliwego robaka.

Ty psie N'debele, pomyślał. Masz brzuch szakala. I jak szakal zadowalas się resztkami po lwie Szona.

– Każdy człowiek ma jakieś słabe punkty – odpowiedział zimno. – Znajdź te słabe punkty, a człowiek jest twój. – Pozwolił, by cisza wypełniła salę konferencyjną.

– Mówisz o Erinie – stwierdził Matamba. – O jego synu. Tigera uśmiechnął się.

– Widzę, że nadal jesteśmy braćmi w umyśle. Gifford nigdy nie zaryzykuje życiem ostatniego syna, jaki mu pozostał. Stracił żonę. Straci rancza. Tak, przyjacielu, mamy go. A zimą dostaniemy Karne i Ganyani.

Matamba pokiwał w zamyśleniu głową.

– Nie martw się! Wszystko odbędzie się zgodnie z prawem. Zaoferujemy mu bezużyteczne tereny, a on je przyjmie. Nikt nie będzie mógł wskazać nas palcem.

–Tigera zachichotał. Był to niewesoły śmiech, który przyprawił Matambę o dreszcz.

Syn siostry Matamby był wyprawiaczem skóry upolowanych zwierząt i mieszkał w Karne. Przy każdej wizycie u rodziców opowiadał historyjki o Pacie i Erinie. „Nazywają ich «Białymi N'debele» – mówił. – Oni rozumieją i szanują nasz język i nasze obyczaje. Są dobrymi ludźmi i dbają o nas. Młody, Erin, ma serce lwa. A jego ojciec jest jak stary nyati. Jeżeli się go nie drażni, siedzi spokojnie jak bawół błotny, ale gdy jest zły, nie znajdziesz nikogo bardziej niebezpiecznego i chytrego”.

Słyszac teraz przechwałki Tigery, Matamba przypomniał sobie ten opis Pata Gifforda, który zapadł mu głęboko w pamięć.

– Co się stanie z Giffordem? – Spytał. – Wiesz, że jego przyjaciel Hanley ciągle jeszcze ma wiele znajomości. Są to potężni ludzie i słuchają go, gdy mówi. A możesz mi wierzyć, że porozmawia z nimi i przemówi do nich swoimi miódopłynnymi ustami.

Tigera przerwał wędrówkę po pokoju. Usiadł przy stole, wybrał nowe cygaro z drewnianej szkatułki, ostrożnie je obciął i zapalił, głęboko zaciągając się dymem. Dopiero potem się odezwał:

– A ten miliarder, który chce dać miliony na ochronę przyrody? Matamba skinął głową, trochę speszony tą zmianą tematu.

– Nie chcę, żeby Gifford i Hanley dowiedzieli się o tym, o czym wie tylko niewiele osób. Dokumenty zostały podpisane wczoraj. Południowa Afryka i słońce będą musiały poczekać na swój migracyjny korytarz przez Mozambik. Pieniądze są nasze.

Tigera znów się zaciągnął i kontynuował, zanim Matamba zdążył coś powiedzieć:

– Ten Amerykanin jest sprytny jak stary byk bawołu. Chce sprawdzić, jak wykorzystano jego pieniądze. I zostanie tutaj tak długo, aż przekona się, że zorganizowaliśmy teren ochronny. Ale pieniądze na utrzymanie tego miejsca da nam dopiero wtedy, gdy wszystko mu się będzie podobało.

– A co postanowiono? – Spytał Matamba.

– Przyznaliśmy milion akrów na rezerwat – odpowiedział Tigera. – Część tego terenu sąsiaduje z rejonem safari w Chirisa, a część z Parkiem Narodowym Chizarira. W ten sposób będzie również przesmyk wiodący wzdłuż rejonu safari Chete do Kariba. – Tigera westchnął. – Musieliśmy się zgodzić na takie warunki, bo inaczej nie dostalibyśmy pieniędzy. On żąda części Kariba na nowy rezerwat.

– Kariba? – Zdziwił się Matamba. – Dlaczego?

– Ten człowiek ma dziwne pomysły, ale jego pieniądze są dobre, więc dogadzamy mu. Wykazuje te amerykańskie sentymenty wobec ludu Tonga, który poniósł szkody z powodu tamy. Wierzy również w Nyaminyani, ich Boga Rzeki, który według nich nigdy nie pozwoli, by ucierpiała Zambezi. I jeszcze chyba

wierzy w tę głupią przepowiednię, że Nyaminyani kiedyś wyjdzie z Kariwe, swojej skalnej fortecy, i zniszczy tamę.

Tigera roześmiał się, ale Matamba pozostał poważny. Oczami duszy zobaczył, jak sto osiemdziesiąt miliardów ton wody wdziera się na teren wielkości Walii, niszcząc wszystko na swojej drodze.

– Jest trochę szalony, jak większość bogaczy – kontynuował Tigera – więc zgodziliśmy się. Kto wie, co będzie za kilka lat? Granice często się zmieniają. Nacisnął dzwonek ukryty pod blatem stołu.

Obie sekretarki natychmiast wbiegły z tacami, na których stały kwadratowe szklanki z rżniętego szkła, kryształowa karafka z whisky i miseczki z podobnymi do sardynek rybkami kapenta. Ta suszona na słońcu rybka z Kariba była prawdziwym smakołykiem. Pod koniec ciężkiego dnia pracy Tigera lubił ją pogryzać przy whisky.

– Inny okropny zwyczaj, który nam pozostał z kolonialnych czasów – powiedział unosząc szklankę ku Matambie.

Matamba połknął garść silnie pachnących rybek i skinął głową. Wolałby kufel domowego piwa, więc przełknął whisky tak, jakby to była szklanka żółci. Jego myśli goniły w kółko, a umysł przeskakiwał od pomysłu do pomysłu, jak złapana na haczyk ryba tygrysia.

– Ten milion akrów terenu safari myśliwskiego i fotograficznego, który ma być ustanowiony... – Zaczął obojętnie, jakby sprawa nie miała dla niego większego znaczenia.

– Tak? – ponaglił go Tigera.

– Kto tam będzie zarządcą? – Włożył następną garść rybek do ust i gryzł je powoli, czekając na odpowiedź Tigery.

Tigera dolał sobie whisky.

– Kirk Madden ma koncesję na sąsiedni teren – powiedział, bawiąc się nerwowo szklanką.

Zbyt szybka odpowiedź, pomyślał Matamba. A Tigera nigdy nie odpowiada od razu. Jest jak żmija śpiąca w słońcu. Nie rusza się, póki się na nianie nastąpi. Kirk Madden. Zna to nazwisko. Tak. Przypomniał sobie, kto to jest. Opuścił wzrok, bo nie chciał, by Tigera wyczytał w nim rozpoznanie.

Oczywiście. Mój umysł staje się tak samo stary i tłusty jak ciało.

Kirk Madden walczył przeciw nam, ale był również naszym agentem. Kilka razy wykonał doskonałą robotę i dostarczył nam niezwykle cennych informacji. W nagrodę otrzymał koncesję łowiecką. W swoim czasie była to prawdziwa sensacja, bo wszyscy wiedzieli, że Madden ma niewiele pieniędzy i nie byłoby go stać na wykupienie tak cennej licencji.

Matamba przypomniał sobie pewien poufny raport, i to przypomnienie

spowodowało taki ból, jakby szrapnel rozprysnął mu się prosto w twarz. Była to informacja od Maddena, który wprowadził patrol z synami Gifforda w starannie zaplanowaną zasadzkę. Obaj młodzi mężczyźni zginęli. Stało się to na początku wojny, gdy dokonywano takich barbarzyńskich czynów, by siać przerażenie wśród wrogich oddziałów. Ciała młodych Giffordów zostały poćwiartowane i powieszono na drzewach ku przestrodze.

Żona Pata, usłyszawszy o tym, przez wiele miesięcy budziła się z krzykiem. Śnił jej się zawsze ten sam koszmar: że jej synowie jeszcze żyli, gdy ćwiartowano ich ciała. Pat nie potrafił jej pocieszyć, gdyż zginęli wszyscy członkowie patrolu i nikt nie mógł go zapewnić, że jego synowie umarli od kul i nic już nie czuli, gdy rozrąbano ich na kawałki.

– Czy masz już kandydata na nową koncesję? – spytał Matamba, odpychając od siebie te okropne wspomnienia.

Tigera spokojnie popił whisky.

–

Nie,

ale musimy za nią dostać ładną sumkę. Nie oddam jej tanio. Podania mówią, że Zimbabwe jest dawnym Ofirem, skąd Salomon i królowa Saba przywozili złoto i kość słoniową. Niech to będzie nasz współczesny Ofir, który wzbogaci nas w walutę. – Zakaszłał i odłożył cygaro na brzeg miedzianej popielniczki. – To będzie nasze złoto i kość słoniowa – roześmiał się.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Gdy Pat przez radio przesłał wiadomość, że Fred zostanie u niego w Karne na noc, Blanche i Briar też postanowiły tam pojechać.

W drodze Briar była blada i małomówna, napytania matki odpowiadała monosylabami. W końcu Blanche też umilkła, sądząc, że córkę niepokoi wynik spotkania w Harare. Musiał być zły, bo inaczej Fred wróciłby od razu do domu.

Ale Briar zaprzętały inne myśli. Zastanawiała się, jak powiedzieć rodzicom, że chce wyjechać. Wiedziała, jak bardzo na niej polegają, ale dzisiejszy pobyt przy oczku wodnym wzmocnił jej postanowienie, by wykuć sobie nową, własną przyszłość. Zmarły narzeczony powinien stać się już tylko czułym wspomnieniem, od czasu do czasu ostrożnie wyciąganym i oglądanym jak sepiowa fotografia, a potem ponownie zamykanym w głębokich szufladach umysłu.

Kirk Madden znów dzwonił. Był teraz przy Wodospadzie Wiktorii z grupą myśliwych, którzy postanowili go zobaczyć zanim rozpoczną polowanie.

– Przyjedź, Briar – prosił. Potrzebuję kogoś takiego jak ty do zarządzania obozem i przywracania ludziom humoru, gdy zwierzyna się nie pojawi. To tylko trzytygodniowe safari i mam tu wspaniałą włoską rodzinę. Spędziłem z nimi już kilka dni i wiem, że ich polubisz.

Briar nie wiedziała co odpowiedzieć, więc milczała. Kirk powoli prosił.

– Jeżeli praca ci się nie spodoba albo nie będziesz mogła wytrzymać w moim towarzystwie, możesz wrócić do Inyati i szukać sobie czegoś innego. Proszę, Briar, powiedz, że się zgadzasz.

Briar poznała Kirka Maddena na ślubie w sąsiednim gospodarstwie, podczas wojny domowej. Przyjęcie w końcu przerodziło się w orgię pijaństwa, wrzasków, bójek i histerycznego śmiechu. Alkohol uwolnił nagromadzone żale i napięcia, i wszyscy zachowywali się tak, jakby oszaleli.

Briar tańczyła ze Scottem Giffordem gdy Kirk, niski, potężnie zbudowany mężczyzna, podszedł i chciał ją odbić. Scott chwycił Kirka za kłapy marynarki z taką samą łatwością, z jaką chwyta się szczeniaka za fałdę skóry na karku, wyniósł go na werandę i rzucił ponad schodami na ziemię.

– Briar jest moja – powiedział. – Znajdź sobie własną dziewczynę.

Goście weselni wybiegli w noc i zaczęli wznosić dzikie okrzyki radości.

Kirk, jak wielu niskich mężczyzn, miał nieprawdopodobnie wygórowane pojęcie o sobie i nie przebaczał zniewag. Nigdy nie zapomniał o tym upokorzeniu. Po śmierci Scotta zalecał się do Briar, ale ona, zdrętwiała z bólu, nie odpowiadała na jego awanse. Kirk szukał pociechy u prostytutek w barach Bulawayo i Harare, a czasami również u żon czy córek myśliwych podczas safari.

Briar nie lubiła Kirka, ale propozycja pracy wydawała jej się wymarzoną okazją do wyjazdu z domu.

Gdy Blanche i Briar przyjechały do Karne i usłyszały od Freda nowiny, Briar odłożyła na później rozwiązanie własnych kłopotów. Pomogła Rudo zrobić kolację i przygotować pokoje gościnne.

Rudo zauważyła, że stało się coś niedobrego. W domu zapanowała atmosfera tak samo ponura, jak po śmierci żony Pata. Nawet Sheeba chodziła za Patem wtulając ogon pod brzuch, jakby nie była pewna, czy to nie ona przypadkiem jest przyczyną złości swojego pana.

Późnym popołudniem bębny znów zaczęły przekazywać wiadomości, a gdy zapadł zmierzch, ich bicie stało się jeszcze bardziej natarczywe. Giffordowie i Hanleyowie przesiedzieli całą noc, omawiając konsekwencje spotkania w Harare. Właśnie bez apetytu jedli kurczaka przygotowanego przez Rudo na kolację, gdy rozległ się znajomy warkot helikopterów.

– To właśnie miała na myśli ta świnka Tigera mówiąc o światłach – krzyknął Pat. Odepchnął talerz tak gwałtownie, że sos prysnął na wykrochmalony biały obrus.

– Pat, Pat – mitygował go Fred – przecież nawet nie wiemy, czy wybili zwierzęta. Może to jest naprawdę wyprawa przeciw kłusownikom.

Pat tylko pokiwał głową w niemym zaprzeczeniu.

– Wojskowe dowództwo jest przeświadczone, że wysłało helikoptery na kłusowników – nalegał Fred. – Nadal jeszcze mam w wojsku wysoko postawionych przyjaciół. Studiowali w Sandhurst i wiedzą, co to honor. Nie okłamywaliby mnie.

– Ale Tigera i jemu podobni mają wpływy u ludzi, którzy nie znają słowa „honor” – powiedział Erin.

Jego rozjaśnione słońcem włosy opadły na czoło. Odgarnął je ze złością, ale znów opadły. Briar przyglądała mu się przez stół. Jest taki podobny do Scotta, pomyślała. Scott też miał zwyczaj szcesywać palcami włosy z twarzy. Poczula, że łązy żalu nad samą sobą palą jej powieki.

Przestań, rozkazała sobie. Najbliższemu przyjacielowi twoich rodziców grozi ruina i utrata wszystkiego, co kocha, a ty potrafisz tylko uzalać się nad sobą.

– Zgadzam się z tatą. W kraju rozpaczliwie brakuje mięsa i osiąga ono bardzo wysokie ceny, a w Ganyani jest go mnóstwo – kontynuował Erin, który również odsunął talerz. – Podczas wizyty u nas Tigera wywęszył okazję. Jeżeli ' Sandhurst elitarna akademie wojskowa w Anglii (przyp. tłum.).

wybije wszystkie stada, ziemia straci wartość. A wtedy w imieniu rządu mózg nam przedstawić ofertę wykupu tego bezużytecznego terenu, za bardzo marne pieniądze. Jeżeli jej nie przyjmujemy... – Erin przerwał, widząc ostrzeżenie w oczach Freda.

Poszedł za jego wzrokiem i przeraził się bladością ojca. Wydawało się, że Pat Gifford postarzał się o dwadzieścia lat. Jego ręka, trzymająca kufel piwa, drżała. Odstawił kufel, nie próbując nawet pić.

– Tigery nie zadowolili samo Ganyani – powiedział z trudem, jakby nie mógł znaleźć słów. – Następne będzie Karne. Nasze piękne Karne.

– Pat, daj spokój! To tylko domysły. Za kilka dni pojedziemy do Ganyani i zobaczysz, że nic tam się nie stało. Może zabili kilka zwierząt, ale reszta została. Jacob i Jonas mogą nam teraz udowodnić, że są wspaniałymi tropicielami. Od wieków nie widziałem twoich szablrogich antylop. – Fred uśmiechnął się do Erina z nadzieją, że udało mu się zmienić temat. – Młody Erin przechwalał się, że ma ich teraz czterdzieści. Chciałbym to zobaczyć na własne oczy.

– Zobaczysz! – obiecał Erin, rozumiejąc intencje Freda.

– Przestańcie! – krzyknął Pat. Wyprostował się gwałtownie na krześle stojącym u szczytu stołu. – Nie traktujcie mnie tak, jakbym był dzieckiem. Nie zostało tam żadne zwierzę. Wszyscy to wiemy. – Spojrzał na Erina, a potem na przyjaciół jak na obcych. – Już to zrobili i będą to robić nadal.

Fred Hanley odsunął krzesło od stołu. Matamba, pomyślał. Trzeba się z nim porozumieć.

– Muszę zatelefonować – powiedział, przeprosił obecnych i ruszył do drzwi. Blanche uniosła rękę chcąc go zatrzymać, ale nie zwrócił na to uwagi. W pokoju zapadła cisza. Z oddali dochodził jękliwy chór szakali i zawodzenia hien. Nieodparty zew Afryki. Briar zadrżała. Kochała tę ziemię, a przelewano tu tyle krwi. Czy to się nigdy nie skończy?

ROZDZIAŁ PIĄTY

W Ganyani trzy cielęta antylopy szablrogiej, których sierść miała jeszcze płowy dziecięcy kolor, ale w niektórych miejscach już ciemniała, stąpały delikatnie po twardej ziemi. Rozrzucone tu i ówdzie skały splamione były czerwienią promieni zachodzącego słońca i jeszcze jakąś inną substancją, której zwierzęta nie potrafiły rozpoznać, ale jej zapach je przerażał.

Najstarsze cielę odnalazło matkę i zatrzymało się skonsternowane, bo jej jedwabiste, czarne ciało z białym podbrzuszem nie poruszyło się, chociaż cielę trącało je nosem. Białe kępki sierści nad jej oczami, układające się miękko po obu stronach pyska, w zamierającym świetle dnia wyglądały jak zaschnięte łyzy. Niewidzące oczy patrzyły prosto w oczy cielęcia.

Cielę parsknęło niespokojnie i pozostałe dwa podeszły bliżej. Ostrożnie wybierały drogę między ciałami. To wspaniałe stado czterdziestu dumnych i nieustraszonych antylop było radością Erina. Teraz leżały rozsypane na kamienistym zboczu jak biało-czarne kostki domina, a ich stygnące ciała zbrzydły w objęciach śmierci.

Wielki, czterystufuntowy samiec padł u stóp zbocza. Tam właśnie się ustawił, by walczyć o swoje stado. Jego zakrzywione rogi, z potężnymi łopatami na przodzie, miały prawie cztery stopy długości. Niejeden lew sromotnie uciekł przed podstępny boczny atakiem tych szabel. Obecnie czubki rogów tkwiły w ziemi, w którą wbiły się, gdy seria karabinowych kul złamała zwierzęciu kark.

Ganyani, miejsce Dzikiego Psa, raj zwierzyny, było teraz sceną śmierci i terroru.

Tych kilka zwierząt, którym udało się uciec i schować głęboko w zagajnikach albo między skałami, teraz wypelzało nieśmiało z kryjówek, ufne, że ciemność je ochroni. Ich oczy były mętne od strachu, a nosy wyciągały się ku cierpkim oparom kordytu i mdlącej woni krwi.

Nieopodal miejsca tej rzezi hieny, podniecone zapachem krwi, wyły i chichotały. Niedługo przybędą na makabryczną ucztę.

Najstarsze cielę zadrżało, ugięło pającze nogi i położyło się obok matki. Ponieważ jej ciało stygło, cielę znów zakwiliło. Pozostałe cielęta, oszołomione i przerażone, przytuliły się do siebie, bo noc stawała się coraz zimniejsza, a szalone chichoty hien słyhać było z coraz mniejszej odległości.

Poszarpane chmury kapryśnie to przesłaniały, to odsłaniały tarczę księżyca i srebrzysta poświata na przemian oświetlała i zaciemniała teren rzezi w Ganyani. Zwierzęta wydawały nerwowe odgłosy. Ciche porykiwania pobratymców niosły im pociechę. Stado bawołów niespokojnie wydeptywało trawiastą równinę u stóp wzgórza, na którym cielęta antylopy drżały ze strachu i usiłowały zasnąć.

Pora cielenia się właśnie dobiegła końca i nowo urodzone bawoły wpychały się między dorosłe; węszyły zapach matek, ale ich ciche wezwania ginęły wśród potężnych ryków dorosłych sztuk.

Gęsta ławica chmur przykryła księżyc. Ganyani przybrało ponury wygląd. Oszłamiający jazgot oznajmił nadejście hien. Bawoły, najwspanialsze spośród wielkich dzikich zwierząt Afryki, instynktownie ustawiły się w krąg. Byki wściekle parskaly, przesuając krowy i cielęta do środka ochronnego koła.

Nieziemski jazgot przemienił się w piski i kaskady lunatycznego chichotu. Hieny znalazły pierwsze truchło. Szczęki, potężniejsze niż szczęki jakiegokolwiek innego żyjącego obecnie ssaka, łatwo kruszyły najtwardsze nawet kości. Wraz ze wzrostem podniecenia tych stworzeń dźwięki były coraz bardziej obrzydliwe.

Bawoły rozumiały, że padlinożercy stanowią dla ocalałych sztuk ich gatunku wielkie niebezpieczeństwo. Hieny niebawem zapolują na cielęta, które w ciemności odłączyły się od stada. Zaczęły więc ryczeć i potrząsać rogami, wyzywając hieny na pojedynek.

Nagle jednak usłyszały jeszcze bardziej przerażający dźwięk. Był to warkot łopat helikopterów. Zanim zdążyły odbiec i ukryć się w ciemności, z góry opadło je ostre światło.

– Mamy je! – zawołał technik odpowiedzialny za reflektory helikoptera. – Okrażaj, okrażaj! – wrzasnął, gdy kule poleciały w stado. – Trzymaj je w kręgu światła, a dostaniemy wszystkie! – krzyczał.

W helikopterze Alouette, o dziobie podobnym do mordy bawołu, otworzyły się drzwi. Podekscytowani zabijaniem dwaj mężczyźni z pistoletami AK wychylili się na zewnątrz.

Łoskot otwieranych drzwi i hałas prującej powietrze broni wypełnił kabinę symfonią dźwięków i światła. Wyostrzył zmysły ludzi i podniecił ich. Ci mężczyźni byli wojownikami. Trenowano ich, by zabijali. Widok umierających zwierząt doprowadzał ich do szaleństwa.

Drugi helikopter dołączył do pierwszego. Załogi, widząc, że bawoły, złapane w ciasną obręcz hałasu i oślepiającego światła, utraciły zdolność bronięcia się, rozpoczęły wypełnianie rozkazu, który brzmiał: „Odszukajcie i zabijcie przed świtem wszystkie zwierzęta z Ganyani”.

– Tam – krzyknął jeden ze strzelców. – Widzę trzy na szczycie wzgórza. Są moje!

Cielęta antylopy szablrogiej były zbyt wyczerpane i przerażone, by uciekać. Najstarsze próbowało podnieść się na nogi, ale kolana mu się ugięły. Opadło na ziemię i wcisnęło nos głęboko w sierść matki, gdy kule przeszywały jego ciało.

Hieny leżały rozciągnięte wokół truchła samicy kudu. Otwarte pyski ukazywały ich wielkie, poplamione krwią kły. Umierając, jeszcze ciągle obrzydliwie chichotały w kierunku helikoptera.

Gdy robota dobiegła końca, dwa helikoptery Alouette w kolorach ochronnych zawróciły. Parę minut leciały nad konwojem ciężarówek, by poinformować jadących na nich ludzi, że mogą już zacząć obdzieranie zabitych zwierząt ze skóry

i krojenie mięsa na kawałki do suszenia.

Potem helikoptery poleciały na wschód, prosto w piękny, świeży brzask.

Obdzieracze rozsiedli się wokół maleńkich ognisk, które rozpalili, by odegnąć zimne powietrze poranka. Odprowadzali wzrokiem helikoptery, póki nie zginęły w jasności świtu.

Wstało słońce, ukazując skażone niebo. Wyglądało to tak, jakby kłęby sadzy z pożaru buszu upstrzyły je ospowatymi krostami.

Mężczyźni przestali gawędzić i wkrótce wysłano dziesiątki dzieci uzbrojonych w kamienie i długie kije do odganiania sępów.

Skóry, rogi i mięso zdobyte podczas rzezi w Ganyani zostaną załadowane na pokryte impregnowanymi plandekami ciężarówki i wysłane do Harare. Tam kto inny zajmie się ładunkiem. Obdzieracze dostaną zapłatę i wrócą do domu.

Bębny nakazały milczenie. Nikt nie będzie opowiadał o tym, co widział i robił. Ludzie wypełnią rozkaz przesłany przez bębny.

Jacob i Jonas wyskrobywali ostatnie łyżki gęstego, kukurydzianego kleiku z emaliowanych misek. Popijali śniadanie wielkimi kubkami kwaśnego mleka. Nagle rozległ się warkot i obaj spojrzeli w niebo. Dwa „ptaki śmierci” odlatywały na wschód. Potem siedzieli w milczeniu, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Czuli się odpowiedzialni za rzeź zapowiedzianą przez bębny.

– Mogliśmy ich ostrzec – odezwał się w końcu cicho Jonas.

– Żeby poszli ze sztucercami na helikoptery i kałasznikowy? – zadrwił Jacob. – Co się stało, to się stało.

– Ale to jeszcze nie koniec! Bębny mówiły także o Karne. Tam mieszkają nasze żony i dzieci. Dlaczego nam to robią? – szeptał Jonas.

– Słoń jest wielki i potężny. Wszyscy mieszkańcy buszu się go boją. Ustępują mu przy wodzie i zostawiają mu najśłodszą trawę – rozumował Jacob.

Zawołał żonę Jonasa i kazał podać sobie więcej mleka. Kobieta pobiegła spełnić jego rozkaz. To ona dziś przygotowała śniadanie dla obu mężczyzn, bo Rudo jeszcze przed świtem poszła do domu Pata, mówiąc, że ma tam dużo roboty.

Jacob czuł się chory od tego, co się stało w nocy i z przerażeniem myślał, że tamci zabiją również jego rodzinę, ale mówił cicho i spokojnie. Nie chciał, by Jonas zaalarmował wszystkich mieszkańców małej wioski Karne. Może, pocieszał się, zabójcy zadowolą się Ganyani?

Ale gdy Pat z dumą pokazywał Tigerze stada, których dochował się w Karne i Ganyani, Jacob wyczytał w oczach Tigery chciwość. W głębi serca wiedział, że Karne też nie zostanie oszczędzone.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Erin odgarnął włosy z czoła i ostrożnie rozsmarował na twarzy czarną, kamuflującą pastę. Żołądek mu się zaciskał od zapachu przywodzącego na myśl wspomnienie wojny, o której tak bardzo chciał zapomnieć.

Usłyszał w pokoju ciche stąpanie, ale zanim zdążył się odwrócić, Pat klepnął go po ramieniu. Ręka ojca była twarda i ciężka, ale przynosiła uspokojenie.

Mężczyźni sprawdzili w lustrze skuteczność kamuflażu. Gdy tak stali obok siebie, widać było podobieństwo. Erin miał tak samo szerokie bary jak Pat, obaj byli wysocy, mierzyli po sześć stóp i dwa cale. Gdyby nie łysa czaszka Pata, obwiedziona, jak u zakonnika, wianuszkami siwiejących włosów, można by ich wziąć za braci. Niebieskie oczy wyglądały dziwnie na uczernionych twarzach.

– Posmarowałeś ręce? – spytał Pat. Erin skinął głową. – Więc chodźmy. Słyszac te słowa, Sheeba wypelzła spod łózka, z radością zamachała ogonem i cicho zapiszczała, dając Patowi znać, że jest gotowa.

– Spokój! – syknął. – Suka nie idzie. Pilnuj, Sheeba, pilnuj!

Uszy Sheeby opadły. Przybrała najsmutniejszą ze swoich póż, ale Pat był nieubłagany.

– Suka nie idzie!

Skuliła się na podłodze, kładąc głowę na łapach. Spojrzenie jej jasnożółtych oczu odprowadzało wychodzących z pokoju mężczyzn.

Opuszczali dom ukradkiem, jakby szli na wojenny nocny patrol. Hanleyowie ciągle jeszcze u nich gościli. Nie chcieli zostawiać przyjaciół, póki nie będą pewni, że Pat pogodził się z wydarzeniami w Ganyani i nie dopuści się jakiegoś szaleństwa.

Pat i Erin westchnęli z ulgą mijając drzwi pokoi zajmowanych przez Hanleyów. Jak cienie prześliznęli się przez ogród, gdzie schowali broń, manierki z wodą i latarnie.

Nagle zastygli. W pewnej odległości zauważyli ludzką postać ze strzelbą na każdym ramieniu. Postać blokowała im drogę. Automatycznie przygotowali się do otoczenia intruza i zaatakowania go. Kiedyś często musieli wykonywać takie manewry.

– Chyba nie pójdziecie do Ganyani beze mnie? – powiedział cicho Jacob, gdy już się do niego zbliżyli.

Giffordowie z ulgą wypuścili powietrze z płuc. Obaj przez chwilę wstrzymywali oddech, myśląc tylko o tym, by runąć na człowieka, który stanowił zagrożenie dla ich planu.

– Jacob, nie możesz iść z nami. To niebezpieczne – powiedział Pat. – Zastrzelą każdego, kogo zobaczą.

– Ma pan rację, panie Pat – zgodził się Jacob i zobaczyli, że się uśmiecha.

–Pan dobrze tropi, dobrze zna sindebele, ale te jasne oczy będą doskonałymi celami dla ich kałasznikowów. Lśniąc w świetle księżyca jak białe kółka wokół ogona kozła wodnego. – Splunął na ziemię, pod nogi. – Potrzebujecie mnie. Nie pozwolę, byście sami szli do Ganyani, bo wiem, co tam znajdziecie. Przez trzy noce słuchałem bębnow. Jak wolicie: albo was poprowadzę, albo pójdę za wami.

Giffordowie wymienili spojrzenia.

– Więc prowadź, Jacob! – polecił Pat.

Mała grupka ostrożnie przesuwała się przez zarośla. Po zapadnięciu nocy rządziły tu drapieżniki, zwierzęta, które w odróżnieniu od człowieka doskonale widzą po ciemku, a także mają znacznie wrażliwszy słuch i węch.

Księżyc stał wysoko nad wierzchołkami drzew, ale mężczyźni nie zwracali uwagi na piękno nocnego nieba, gdzie gwiazdy bawiły się w chowanego z chmurkami. Jacob dwa razy zatrzymał się tak nagle, że Erin niemal wpadł na Pata.

– Nzou – szepnął Jacob.

Giffordowie wysilali oczy tak długo, aż zaczęły łzawić, ale nic nie zobaczyli. Erin zawsze z zachwytem zastanawiał się, jak słoń – wysoki na prawie jedenaście stóp i ważący sześć ton – może stać tak nieruchomo, że wtapia się w zarośla i w nocy staje się niewidzialny. Tego słońca też nie zobaczył, ale czuł woń świeżego moczu na piaszczystej ścieżce. Gdy tak stali, czekając, aż słoń odejdzie, z tyłu usłyszeli gardłowy kaszel lamparta.

Jacob syknął. Odwrócili się twarzami w stronę dźwięku. Chrapliwy oddech drapieżnika brzmiał jak piłowanie drewna. Pat poczuł, że na ramionach podnoszą mu się włoski. Odczuwał prawdziwy respekt wobec samotnego lamparta, mbada, zręcznego łowcy, ale niezbyt go cieszyło, że idzie on jego śladem.

Odgłos piłowania umilkł. Usłyszeli, jak zwierzę, cicho chrząkając, odchodzi w prawo. Jacob pokazał, że mogą ruszyć. Gdy wreszcie zatrzymał ich unosząc rękę, księżyc stał już nisko na niebie.

– Jesteśmy w Ganyani. – Erin rozejrzył się po mrowiskach i drzewach mopane. Nic nie przypominało tu tak do niedawna znajomego terenu. Wstrząsnął się. Jednak wiedział, że Jacob ma rację. Już dawno przestał sprzeczać się z nim i Jonaszem co do miejsc, w jakich się znajdują, bo przekonał się, że jego tropiciele zawsze wiedzą, gdzie są i w pełni im ufał. – Nie musimy się już obawiać nzou ani mbada. Teraz wypatrujcie dwunożnych hien.

Sprawdzili, czy mają pełne ładownice, czy naboje są wprowadzone do komór, a potem starannie zamknęli sztucery. ~ Strzelby przeciw AK – parsknął Erin.

– Takie już są zasady powojennej sprawiedliwości, synu – odpowiedział cicho Pat. – Jednym wolno mieć automatyczną broń, innym nie.

– Zasady ustalane przez polityków – dodał Erin.

– Właśnie. To oni są zwycięzcami.

Jacob stał się teraz nocnym stworzeniem, drapieżcą. Jego zmysły dostroiły się do

zapachów i dźwięków otoczenia. Niemal można było wyczuć otaczające go pole elektryczne.

Władczo dał ręką znak i obaj Giffordowie natychmiast padli płasko na ziemię. Jacob zaczął się czołgać „sposobem lamparta” ku skalistemu wzgórzku tak bezszelestnie, jakby nie sunął brzuchem po ostrych kamykach i cierniach. Na zmianę w wolnym rytmie przesuwając ręce i nogi, wijąc się po ziemi zrećnie jak wąż.

Pat i Erin pełzli za nim uważając, by nie poruszyć żadnego kamyczka. Nagle Jacob zastygł. Erin uderzył ustami o stopę Pata. Trzymał głowę tak nisko, że nie zauważył, że Jacob przestał się czołgać. Posał górną wargę, z której ciekła krew, zostawiając w ustach smak żelaza. Przełknął. Wolał nie pluć, bo mogliby go usłyszeć robotnicy obdzierający martwe zwierzęta ze skóry albo strażnicy, których najprawdopodobniej rozstawiono.

W końcu ostrożnie dołączyli do Jacoba i położyli się po jego obu stronach.

– Boże! – sapnął Erin.

Pat potrząsnął głową. Erin ciągle jeszcze słyszał, jak matka go napomina: „Nie będziesz brał nadaremno Imienia Tego, który stworzył całe to piękno. Jeżeli już musisz przeklinać, znajdź sobie jakieś inne słowa”.

Od jej śmierci Pat nie dopuszczał, by w jego obecności ktokolwiek bluźnił. Niejeden myśliwy dziwił się, gdy ostro zwracał mu uwagę.

Widok, jaki ich powitał, gdy ukradkiem wyjrżeli spomiędzy skał, spowodował, że Erin na chwilę zapomniał o swojej obietnicy, że nigdy w złości nie wypowie imienia Bożego.

Przed nim leżały martwe ciała szablrogich antylop, jeszcze wczoraj tak pełnych wdzięku. Ich nogi, karki i wielkie rogi, ugodzone kulami, były połamane i skrecone. Białe brzuchy paskudnie rozdeły się od gazów. Erin zapłakał.

– Dranie – szepnął Pat, przyglądając się trzem cielętom przytulonym do martwego ciała jednej z dorosłych antylop.

Jakby czując, że jest obserwowane, jedno z nich zgięło nogi i usiłowało podnieść głowę. Nie dana mu była łaska łatwej śmierci. Erin instynktownie uniósł strzelbę, ale Jacob natychmiast przycisnął jego ręce do ziemi, unieruchamiając go chwytem tak silnym, że miał wrażenie, iż dostał się między szczęki hieny. Już po chwili zdrętwiały mu palce. Jacob porwał strzelbę, zanim upadła na ziemię.

– Jeden strzał i zaraz by tu byli – ostrzegł, zły, że Erin stracił panowanie nad sobą.

Pat podał Erinowi lornetkę.

– Zobacz, czy kogoś widać – powiedział. Jego ręce drżały ze strachu, że Erin mógł zdradzić ich obecność, ale mimo to podzielał jego uczucia. On sam też starał się opanować swoją instynktowną chęć pociągnięcia za język spustowy, aby położyć kres męczarniom cielęcia.

_ Nie ma nikogo – stwierdził Jacob. Żaden z Giffordów nie żądał dalszych wyjaśnień, bo wiedzieli, że na jego wzroku można polegać. Jacob nigdy nie używał lornetki, a przecież zawsze pierwszy dostrzegwał zwierzyne.

Jacob podał Patowi strzelbę i wyciągnął nóż do zdejmowania skóry tak ostry, że golił włoski na dłoni albo wchodził między żebra bez najmniejszego oporu, jak w masło.

– Nie! – szepnęli jednocześnie Pat i Erin, gdy Jacob wyczołgiwał się zza osłony, ale już było za późno. Mogli tylko czekać i modlić się, by jednak nie stały tu straże.

Nikogo się tu nie spodziewano, pocieszał się Pat. Ostrzeżono wszystkich, by nie zbliżali się do Ganyani. Bębny przemówiły i ludzie posłuchają.

Ale gdy patrzył, jak Jacob cal po calu zbliża się do rannego cielęcia, pot żłobił mu jasne smugi w czarnej paście maskującej.

Erin rozluźnił chwyt zdrętwiałych palców, gdy Jacob wyciągnął do przodu rękę, a potem pochylił się i wbił nóż głęboko w gardło cielęcia. Młodziutkie zwierzę lekko zadrżało i zaraz legło nieruchomo. Ale Jacob nadal ciął jego gardło, by wyglądało tak, jakby zagryzł je jakiś drapieżnik. Potem rozpoczął powolne czołganie do tyłu. Gdy wreszcie dotarł za osłonę, Erin ścisnął go za ramię.

– Dziękuję – szepnął. Jacob uśmiechnął się smutno.

– Musimy iść. Droga powrotna jest długa. Dzisiaj ciężarówka z mięsem wyruszą do Harare.

Pat po raz ostatni rozpaczliwie się rozejrzał. Antylopy pokrywały ziemię jak brązowe, jesienne liście. Ganyani było skapane we krwi i wydzielalo odór padliny. W końcu odwrócił wzrok od miejsca rzezi.

Wrócili w zarośla, gdzie było stosunkowo bezpiecznie, i tam się zatrzymali. Jacob badał niebo, podczas gdy Pat i Erin rozcierali zdrętwiałe kończyny. Głęboka czerń nocy ustąpiła już niewyraźnej szarości zapowiadającej świt. Droga przez busz będzie teraz łatwiejsza. Jacob ruszył powolnym truchtem.

– Jacob – zawołał cicho Pat. – Chyba nie powinniśmy biec.

– Musimy – odpowiedział Jacob przez ramię, nie zwalniając kroku. – Popatrzcie na drzewa.

Pat i Erin odwrócili się i zobaczyli, że drzewa mopane uginały się pod ciężarem potężnych, czarnych ptaków.

– Po sępach można poznać, że ludzie pracują blisko – wyjaśnił Jacob. – Trzeba się stąd oddalić, zanim słońce stanie się żółte.

Wyglądają jak odziani w czerń żałobnicy, czuwający nad zwłokami moich zwierząt, pomyślał Pat. Wiedział, że wraz z nadejściem dnia rozpocznie się kakofonia pisków, łopotu skrzydeł i odgłosów walki, gdy sępy rzucą się na siebie nawzajem i na martwe ciała zwierząt, z których kiedyś składało się jego stado. Nienawidził tych ptaków, tak wdzięcznych i potężnych w powietrzu, ale paskudnie

brzydkich, gdy trzęsły się i podskakiwały wokół martwego ciała na ziemi.

Biegnąc, Jacob wachał powietrze. Pat już chciał go zapytać, co spodziewa się wywęszyć, ale zaraz wiatr przyniósł do nich mdlący, obrzydliwy zapach gnijących zwłok.

– Czarne ptaki czekają, aż ludzie rozwieszą na drzewach paski mięsa do wysuszenia – powiedział Jacob. – Obdzieracze zaczną dziś ładować ciężarówki w Shamba Pan. Tracą dużo mięsa przez te ptaki.

Pat zatrzymał się.

– Skąd wiesz, że tracą część mięsa, które wywiesili do suszenia? I skąd wiesz, że dziś będą w Shamba Pan?

– W nocy bębny milczały. Po raz pierwszy w tym tygodniu nie było ich słychać – dodał Erin.

Patowi wydawało się, że w oczach Jacoba przez chwilę zalśniła iskra żalu albo złości.

– Wczoraj pracowałem u nich jako robotnik Wdebele odpowiedział. Gifibrdowie spojrzeli na niego w osłupieniu.

– Co robiłeś? – wybuchnął w końcu Pat. – Pomagałeś tym rzeźnikom przy naszych zwierzętach?!

– Przy oprawianiu mięsa tak, ale nie zabijałem – odrzekł Jacob. Zastygł jak posąg, patrząc w niebieskie oczy Pata.

– Tato! – Erin przerwał napiętą ciszę. – Nie rozumiesz, że Jacob poszedł do Ganyani, żeby zobaczyć, co się wydarzyło? A jedynym sposobem na to, by nie dać się zastrzelić, było udawanie, że jest jednym z robotników.

Pat uderzył zaciśniętą pięścią w dłoń drugiej ręki.

– Jacob, przyjmij moje przeprosiny za to, że w ciebie zwątpiłem. Proszę, wybac mi – powiedział. – To był bardzo odważny czyn.

Usta Jacoba rozciągnęły się w szerokim, radosnym uśmiechu.

– Panie Pat, pan nigdy nie musi mnie przeproszać. Gdy zobaczyłem, co oni robią w Ganyani, co robią panu i Erinowi, poczułem ogromny wstyd, bo to moi ludzie.

– Nie, Jacob – poprawił go Erin. – Ludzie tacy jak ty nigdy by tak nie postąpili. Mogą kłusować i od czasu do czasu upolować jakieś zwierzę, ale nie wymordowaliby całej zwierzyny na ranczu. To robota człowieka, którego zżera chciwość. W rządzie są ludzie pałający nienasyconą żądzą ziemi i władzy. I to nie tylko w naszym rządzie, lecz w każdym rządzie na świecie.

– Jeżeli zabijają dla mięsa – odezwał się Pat trochę spokojniejszym tonem – to nasze drapieżniki są bezpieczne. Przynajmniej zachowamy lwy i lamparty.

– Nie, panie Pat. Wczoraj zdejmowałem skórę z wielkiego shumba. To ten lew, którego często tropiliśmy, ale był dla nas za sprytny. Pamięta pan, ten z czarną grzywą.

Pat w milczeniu skinął głową.

– Tato, skóry i kły osiągają dobre ceny w sklepach z pamiątkami. Ze słoniami stanie się to samo: mięso na sprzedaż, a kły i skóry do sklepów z upominkami. Co znaczy kilka zwierząt, skoro najważniejsza jest dbałość o stan własnego konta, a zaraz potem zjednywanie sobie ludzi? – powiedział z goryczą Erin.

Ten dzień zmienił Erina, pomyślał Pat, i to chyba na zawsze. Mój najmłodszy jest teraz mężczyzną. Twardym mężczyzną.

Użalając się nad utraconą naiwnością i niewinnością syna, znów ruszył truchtem za Jacobem.

– Trzymaj się blisko – ostrzegł Erina.

Zapłacą za to, przysiągł sobie Erin, podbiegając bliżej do ojca. Nawet gdybym miał na to poświęcić resztę życia, znajdę tego, kto nakazał tę masakrę i wtedy on umrze.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Hanleyowie zostali w Karne cały tydzień. Wyjechali dopiero wtedy, gdy stwierdzili, że złość Pata opadła. Fred spędzał całe godziny przy telefonie, próbując znaleźć rozwiązanie dla sytuacji Pata, ale dowiedział się jedynie, że Tigera i Mataraba legalnie uzyskali pomoc wojska do zwalczenia dobrze uzbrojonej bandy kłusowników. Nie zostało popełnione żadne przestępstwo i nic nie można było zrobić.

Fred umówił się z Matambą na spotkanie w Inyati, ale zachował to w tajemnicy. Nie chciał dawać Patowi nadziei, a potem jej odbierać, jeżeli Matamba nie ugnie się pod presją.

W ciągu tego tygodnia spędzonego w Karne Briar podjęła decyzję, że przyjmie propozycję pracy przedstawioną jej przez Kirka Maddena. Nie chciała informować o tym rodziców teraz, gdy byli tak zdenerwowani położeniem Pata i Erina, ale z drugiej strony wiedziała, że nigdy nie znajdzie odpowiedniej chwili na powiedzenie im, że wyjeżdża z domu. Tak więc wieczorem, w przeddzień powrotu do Inyati, podjęła ten temat. Gdy już wszystko powiedziała, zapadła długa cisza. Ani ojciec, ani matka nie patrzyli na nią, jednak w świetle księżyca, które przedostawało się przez splątane gałęzie bugenwilli, widziała w oczach matki łzy.

– Mam trzydzieści dwa lata – przekonywała ich. – Muszę wreszcie zacząć coś robić. To tylko parę tygodni. Jeżeli nie spodoba mi się Kirk albo praca u niego, natychmiast wrócę do domu.

Rodzice nadal milczeli. Czuli, że tracą córkę.

– Bardzo was kocham – przekonywała ich Briar. – Proszę, spróbujcie mnie zrozumieć.

– Rozumiemy – odparł ochryple Fred. – Ale Inyati bez ciebie nie będzie już takie samo.

– Masz naszą miłość i błogosławieństwo – dodała Blanche. Wstała i podeszła do Briar. Objęła ją i przed oczami stanęły jej wspomnienia córki jako rozkosznego niemowlęcia, szczupłutkiej uczennicy i pięknej, młodej kobiety. Wprost trudno uwierzyć, że od chwili, gdy po raz pierwszy trzymała Briar w ramionach, upłynęło już ponad trzydzieści lat.

– Kirk Madden – wtrącił Pat. – Czy to on przekazywał informacje...

– Tak – uciał Fred, patrząc na niego ostrzegawczo. – Po wojnie krążyły brzydkie pogłoski na jego temat, ale nigdy niczego mu nie udowodniono. – Wzruszył ramionami. – Prawdopodobnie plotki rozsiewali ci, którzy mu zazdrościli koncesji łowieckiej koło Chete.

– A co takiego zrobił, żeby zasłużyć sobie na tę koncesję? – spytał Erin. – Przecież nie mógł mieć pięciu milionów, by stanąć do przetargu na teren w takim rejonie,

nie mówiąc już o sumie, jaką musi płacić Departamentowi Parków Narodowych za odstrzał każdego zwierzęcia. – Erin przerwał, obliczając w pamięci kwotę, jaką Madden musiałby dysponować, by otrzymać licencję łowiecką w rejonie tak bogatym w zwierzynę. Wciągnął z niedowierzaniem powietrze i kontynuował: – Gdyby stać go było na zapłacenie z góry Parkom Narodowym, zanim jeszcze zaczął organizować safari, musiałby mieć cichych wspólników, bo inaczej nie wiem, jak to osiągnął. Trochę go znam. Był w szkole z moimi braćmi, chociaż chyba o klasę czy dwie wyżej. Wiem, że go nie lubili.

– Lepiej byłoby dla niego, gdyby jego wspólnikami byli Amerykanie – odezwał się Pat. – Obecna władza woli, gdy płaci się jej w amerykańskich dolarach. To odbierze koncesje co najmniej trzem czwartym dawnych dzierżawców. Mogą oni teraz zarabiać tylko w ten sposób, że kupują od rządu zwierzęta z kontyngentu za dolary zimbabwejskie, a klientom sprzedają prawo odstrzału za dolary amerykańskie.

– Następny gwóźdź do trumny, jeśli chodzi o wymianę handlową naszego kraju z zagranicą – stwierdził Fred, popijając piwo.

– Ta polityka jest tak samo szkodliwa, jak ta, według której wszystkie zwierzęta należą do rządu, niezależnie od tego, czy znajdują się w rezerwach, czy na prywatnych ranczach.

Erin przytaknęła i wrócił do sprawy Kirka Maddena, nieświadomy, że Fred nie chce denerwować Briar omawianiem spraw człowieka, który miał ją zatrudnić.

– Pamiętam, jak bracia mówili, że po skończeniu szkoły Madden bez przerwy zmieniał pracę. A jeżeli wierzyć wszystkiemu, co o nim opowiadano, kolekcjonował kobiety tak, jak niektórzy myśliwi kolekcjonują karby na strzelbach.

W końcu zdał sobie sprawę z atmosfery w pokoju.

– Synu, przyniesiesz nam więcej piwa? – spytał Pat.

– Jasne, tato.

Fred cicho pogwizdywał.

– Tato, nie martw się – bagatelizowała sprawę Briar, bo wiedziała, że ojciec gwizdże w ten sposób, gdy jest zdenerwowany. – Ja nie stanę się karbem na jego strzelbie.

– Zabiłbym go, gdyby ci zrobił krzywdę – oświadczył twardo Fred, ale zaraz roześmiał się i uściskał córkę.

Erin, wchodząc z powrotem na werandę, usłyszał koniec tej wymiany zdań.

A jeżeli Fred chybi, ja go dostanę – obiecał. – Już prawie byłaś moją bratową, więc muszę o ciebie dbać.

Tej nocy jeszcze długo rozmawiali. Wiedzieli, że ich życie już nigdy nie będzie takie jak przedtem.

Gdy w wiosce Karne zaczęły pisać koguty, Fred i Blanche postanowili odwieźć

Briar do Wodospadu Wiktorii. Chcieli sami zorientować się, jakim człowiekiem jest Kirk Madden.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Landrover powoli jechał przez małe miasteczko, które wyrosło przy wodospadzie.

– Tylko tego nie mów! — zawołały jednocześnie Blanche i Briar, gdy Fred uderzył dłonią w kierownicę.

– Nienawidzę tych hoteli i restauracji. Komu potrzebne są deptaki i milion sklepów z osobliwościami? – mruknął, nie zwracając uwagi na słowa żony i córki. Wymijał właśnie grupkę turystów stojących pośrodku drogi. Z rękami i nogami spieczonymi do czerwoności przez tropikalne słońce, wydawali się otepiali od upału i kurzu.

Fred jeszcze raz uderzył w kierownicę, jęknął i posażał palce, aż przestały go boleć, a potem uśmiechnął się do kobiet. Odkąd wrócił z Patem do Karne ze spotkania w Harare, rzadko widziały jego uśmiech. Wymieniły pełne ulgi spojrzenia, ale zachowały milczenie.

– W dobrych, dawnych czasach mieliśmy tu kilka chat, jeden sklep i wspaniały stary hotel Wikusi – powiedział.

– Wszystko się zmieniło z powodu międzynarodowego lotniska – odparła Blanche, przyglądając się małemu parowcowi wpływającemu do portu. – Jeżeli jakieś miejsce staje się łatwo dostępne, turyści zaraz zaczynają napływać. Potrzebujemy zagranicznych walut, więc staramy się zaspokoić najbardziej wymyślne potrzeby.

– Jeżeli potrzebują wymyślnych rozrywek, niech jeżdżą do Paryża albo Londynu – parsknął Fred, skręcając w brudną drogę wiodącą do hotelu „Przy Wodospadzie”. Briar uśmiechnęła się do matki i w milczeniu pokiwała głową, gdy musieli ustąpić miejsca lotniskowemu autokarowi, z którego wysypała się horda paplających turystów.

Od razu zaczęli pozować do zdjęć z portierem. Jego czerwona kurtka była upstrzona najrozmaitszymi znaczkami, ofiarowanymi mu przez gości hotelu, który stał tu od czasów kolonialnych.

Portier szeroko się uśmiechnął na widok Hanleyów. Przeszli przez długi hol, minęli dziedziniec, gdzie olbrzymie mangowce obramowywały dwa małe stawy z liliami, i z ulgą weszli do wysokiego, chłodnego salonu, którego ściany wytapetowano w kolorach białym i jasnozielonym.

Briar rzuciła okiem na kilka odpoczywających tu osób, ale nie zauważyła Maddena. Wyjęła słoneczne okulary ze skórzanej torby przewieszanej przez ramie i wyszła na taras. Poniżej zobaczyła stoliki przykryte olśniewająco białymi obrusami, rozstawione pod rozłożystymi gałęziami wysokich drzew mahoniowych. W ich cieniu ludzie rozkoszowali się bufetowym lunchem. Kelnerzy biegali

między nimi jak pracowite termyty, wypełniając zamówienia na drinki. Europejczycy wydawali się odwodnieni i zwiędnięci. Nieprzyzwyczajeni do wilgotnego upału Doliny Zambezi, bez przerwy straszliwie się pocili.

Ze swojego miejsca Briar słyszała szum Wodospadu i widziała biały opar. Poczula taki sam dreszcz i zachwyty jak zawsze, gdy tu przyjeżdżała. Wydawało jej się, że potęga i majestat spadających wód wypełniają jej duszę i obdarzają własną siłą.

– Widzisz go? – głos ojca przerwał jej zamyślenie.

– Nie, tato. Ale miał tu być z klientami.

Właśnie wtedy spostrzegła Kirka. Przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu. Zauważyła, że nie zmienił fryzury: włosy miał krótko ostrzyżone po bokach, a na górze czaszki najeżony czub. Przyglądał czuprynę zupełnie jak kobieta, która chce zwrócić na siebie uwagę. Włosy koloru imbiru spłówiały mu od słońca, podobnie jak włoski na ramionach i nogach. Jego koszula khaki była dopasowana i rozpięta aż do pasa, odsłaniając muskularną i pozbawioną owłosienia klatkę piersiową. Odsunął krzesło od stolika i kołysał się w przód i w tył, a przybrana poza świadczyła niezbitnie o arogancji.

– Tam jest – Briar wskazała go palcem rodzicom.

– Więc chodźmy do niego. – Oczy Freda zwięzły się, gdy obserwował Maddena.

Guido Andretti, bogaty przemysłowiec z Mediolanu, popatrzył na swoją żonę Marię. Zauważył, że rozpięła jeszcze jeden guzik cienkiej bawełnianej bluzki ukazując głęboki rowek między piersiami. Jej wspaniałe włosy koloru mahoni opadły na twarz. Dzięki częstym wizytom u fryzjera nie pokazywały się w nich zdradliwe siwe pasemka, a codzienne sesje z osobistym trenerem utrzymywały jej ciało w znakomitej formie i przydawały mu gibkości właściwej naprawdę młodym kobietom.

Guido nie miał nic przeciwko temu, że jego żona, wchodząc w dojrzały wiek, staje się nawet bardziej atrakcyjna niż za młodu. Nadal flirtowała z każdym jako tako prezentującym się mężczyzną. Gdy był młodszy, denerwowało go to, ale teraz, gdy dobiegał już sześćdziesiątki, zrozumiał i zaakceptował tę jej słabość. Ostrzegł ją jednak, że jeżeli przekroczy granicę i nawiąże fizyczne stosunki z jakimś mężczyzną, rozwiedzie się z nią.

Maria tylko się roześmiała. Nie była głupia i nigdy nie naraziłaby na szwank swojej pozycji towarzyskiej. W Mediolanie wiadomości rozchodzą się szybciej niż wieści przekazywane w buszu przez tam-tamy. Guido dowiedziałby się, z kim spała, jeszcze zanim zdążyłaby wziąć prysznic i się ubrać.

Ale od chwili przyjazdu do Zimbabwe poczuła się niczym nie skrepowana i beztraska. Ta prymitywna ziemia wzywała ją, a ona całą swoją istotą pragnęła odpowiedzieć na zew. Tutaj, w hotelu, natrętne dźwięki bębniaków, grających w pobliżu gigantycznej szachownicy rozłożonej na ziemi, przeszywały jej ciało.

Znów była młodą, godną pożądaną, najpiękniejszą dziewczyną Mediolanu. Los pobłogosławił całą jej rodzinę ciemnymi aksamitnymi oczami, ocienionymi nieprawdopodobnej długości gęstymi rzęsami, tak typowymi dla Włochów.

Urodziła Guidowi troje dzieci, ale dopiero za trzecim razem mąż doczekał się upragnionego syna, dziedzica nazwiska i imperium Andrettich. Tomasina, najstarsza, wyrabiała sobie pozycję w mediolańskim świecie kreatorów mody. Do narodzin brata, Marka, ciągle się wstydziła, że nie jest chłopcem. Już gdy pływała w wodach płodowych w łonie matki, ojciec wybrał dla niej imię Tomasino. Jednak zobaczywszy, że nowo narodzone dziecko nie ma odpowiednich wypustków, by zostać Tomasinem, gwałtownie odszedł od łóżka żony. To ona nadała córce imię Tomasina, by przeprosić męża za zawód, jaki mu sprawiła.

Tomasina wyrosła na piękną dziewczynę. Miała godną pozazdrosczenia, szczupłą figurę top modelki i nosiła się z niewiarygodnym wdziękiem, przeczącym jej imieniu przywodzącemu na myśl Tomcia Palucha.

Tę rolę pozostawiła swojej siostrze, Tarze, która nie sięgała jej nawet do ramienia. Tara strzygła się krótko i nosiła splątaną urwisowską fryzurkę, podczas gdy Tomasina upinała swoje gęste włosy w staranny kok na czubku głowy, by jeszcze dodać sobie wzrostu. Tara odziedziczyła zmysłowe ciało matki. Maria dokuczała jej twierdząc, że ma „makaronową figurę”, ale córka wołała mówić, że ma kształt Sophii Loren.

Guido uwielbiał Tarę, chociaż kłócili się bez przerwy. Była tak samo uparta i sprytna jak jej ojciec. Podczas gdy matka i siostra uzyskiwały co chciały dzięki kobiecym narzekaniom i łzom, Tara zwyciężała w walce.

Marco, dziedzic milionów Andrettich, był ostrożnie przygotowywany do roli rozważnego biznesmena. Nie popełniał szalonych czynów ani nie doprowadzał ojca do nieprzytomnej wściekłości, tak jak Tara. Cała uroda Andrettich dostała się córkom i Guido nieraz uważał się, że syn nie ma jego postawnej postaci i dobrej prezencji. Marco był niski i szczupły, a jego twarz natychmiast się zapominało. Niedawno zapuścił wąsy. W biurze nosił okrągłe okulary bez oprawek. Tara mówiła, że wygląda w nich jak przestraszona mysz.

W duchu Guido czuł, że los go paskudnie oszukał. To Tara powinna być chłopcem. Miała w sobie ogień i siłę potrzebne do rozbudowywania królestwa Andrettich. Niestety, traciła czas na zwariowane akcje „w obronie planety”. Jeździła po świecie, uczestnicząc w spotkaniach na temat nieuleczalnych chorób w biednych krajach. Guida przerażało, że jego ukochana córka może złapać jedną z tych chorób i wtedy ją straci.

Tak więc, zrezygnowany, postanowił wykształcić Marka na twardego człowieka interesów. Być może rodzinna fortuna nie wzrośnie, ale przynajmniej będzie w jego rękach bezpieczna.

To safari zostało zaplanowane dla uczczenia dwudziestych pierwszych urodzin Marka i wybrania go do rady nadzorczej firmy „Andretti i Syn”. Gdy Tara zaczęła się awanturować, że ojciec planuje eskapadę wyłącznie męską, Guido jak zwykle skapitulował. Wtedy Tomasina również postanowiła im towarzyszyć, aby poznać i zapożyczyć plemienne afrykańskie wzory do swoich projektów sukien. Natomiast przyczyną, dla której Maria zdecydowała przerwać na jakiś czas swoje bujne życie towarzyskie, była nowa kolekcja Krizii, jednego z jej ulubionych twórców mody. Wymyślił dzianiny we wzory z lampartami o błyszczących oczach. Maria nie potrafiła się temu oprzeć. Jej komplet skórzanych walizek pękał, wypełniony strojami safari od najlepszych projektantów.

Guido, widząc, co spakowała, dodał do jej bagażu kilka własnych, cienkich koszul khaki.

– Nie będę tego nosiła – parsknęła Maria, składając nowe ubrania i owijając je cienką bibułką.

– Nie zarzekaj się. Gdy wejdziemy w gęste zarośla, na pewno to włożysz, albo będziesz się przez nie przedzierała w tych ślicznych szmatkach, które sobie kupiłaś – zapewnił ją z uśmiechem.

Kirk był zachwycony rodziną Andrettich. Natychmiast oszacował kobiety. Uznał, że Maria to pewna zdobycz, chociaż niebezpiecznie jest planować amory z żoną bogatego mężczyzny. Bogactwo na ogół idzie w parze z władzą i wpływami. A on nie chciał stracić swojej pracy.

Tomasina wydała mu się zachwycająco urocza. Za każdym razem, gdy ją widział, rozbierał ją w myślach, ale w obecności Guida i Marka wkładał ciemne okulary, by ukryć błyski pożądliwości w oczach. Tomasina udawała, że jest nieświadoma jego pragnień. Przyciągała wzrok mężczyzn gdy jeszcze była nastolatką; teraz przyjmowała to za normę.

Wszystko to zauważała Tara i postanowiła chronić swoją starszą siostrę. Kirk trzymał się z daleka od Tary. Była szorstka i kwestionowała jego polecenia. A on lubił kobiety łagodne, poddające się jego woli i podziwiające go.

Guido łatwo nawiązał z Kirkiem stosunki koleżeńskie. Od dawna polował po całym świecie na płochliwe zwierzęta i był dobrym, sprawnym myśliwym. Rozmawiali o sztucerach, amunicji i księdze rekordów myśliwskich „Rowland Ward”.

Z tym wszystkim rodzina Andrettich czuła się prawdziwie zadowolona z pobytu przy Wodospadzie.

Fred Hanley wziął pod rękę żonę i córkę i sprowadził je ze schodów na niższy taras.

Idąc w stronę Kirka Maddena i Andrettich, spojrzął ze złością na mężczyzn, którzy radośnie bili w bębny.

– To dobre bębny, tato – szepnęła Briar. – Oni są tu tylko po to, by dodać

kolorytu i nastroju temu miejscu.

– Na pewno przekazują wiadomości – upierał się Fred. – Bębny zawsze coś mówią. A te wołają: „Weźmy ich pieniądze. Stańmy się bogaci”.

Briar i Blanche roześmiały się. Dźwięk ich śmiechu zwrócił uwagę Kirka. Wstał z krzesła, na którym do tej pory się kołysał, by powitać nowo przybyłych. Wygląd Briar zyskał jego uznanie. Ubrana była w beżowe szorty i koszulę, szczupłą talię okryła szerokim skórzanym paskiem. Wielki, zielony kapelusz nasunęła nisko na czoło, a jej jasne włosy spływały na plecy.

– Briar – powiedział obejmując ją tak, jakby byli starymi przyjaciółmi. –Cudownie cię znów zobaczyć. – Gdy spróbował ją pocałować, odwróciła głowę i jego usta trafiły na jej policzek.

– Chciałabym cię przedstawić rodzicom – rzekła tonem towarzyskiej uprzejmości.

Gdy formalnościom stało się zadość, Kirk zapoznał Hanleyów z Andrettimi.

Fred i Blanche przez chwilę jeszcze rozmawiali z Kirkiem i Włochami, po czym ucałowali Briar i odeszli. Tęskno już im było za Inyati. Briar widziała, jak ojciec obejmuje matkę za ramiona. Kulał bardziej niż zwykle. Rodzice byli tacy szczęśliwi i tak się kochali. W jej duszy znów odezwał się żal za kimś, kto pokochałby ją.

– Coś mi się nie podoba w tym młodym człowieku – powiedział Fred, zatrzymując się na górze schodów. Odwrócił się i spojrzał w kierunku stolika, gdzie Briar siedziała teraz obok Kirka.

– Nigdy nie spodoba ci się mężczyzna, który zabierze nam Briar – dokuczała mu Blanche.

– Och, Blanche, zbyt dobrze mnie znasz.

Stała na palcach i lekko pocałowała męża w policzek.

– Blanche! – szepnął obrzucając wzrokiem salon, by przekonać się, czy nikt nie zauważył tego objawu czułości.

Jego żona tylko się uśmiechnęła i wzięła go pod rękę. Gdy wychodzili, portier znów obdarzył ich szerokim uśmiechem i ukłonem. Na zewnątrz hotelu Blanche jeszcze się obejrzała, ale budynek skrył się w drgającym upale i kurzu, przyćmiewającym nawet jaskrawe kwiaty bugenwilli.

Pod koniec lunchu Briar uznała, że następne trzy tygodnie będą przyjemne. Rodzina Andrettich odznaczała się radością życia i poczuciem humoru, tak typowymi dla Włochów. Z zapalem śmiali się i jedli. Ich ręce fruwały, gdy mówili, a ich entuzjazm wobec Zimbabwe i splendoru Wodospadu był zaraźliwy.

Po horrorze, napięciu i żalu przeżytych w Karne i Ganyani, Briar poczuła, że nareszcie się uspokaja. Znów mogła się śmiać. Nawet historyjki opowiedane przez Kirka wydawały jej się zabawne. Była pewna, że jeżeli podejmie u niego stałą pracę, rodzice wkrótce przyzwyczają się do życia w Inyati bez niej.

Fred i Blanche w milczeniu wsiedli do landrovera.

– Zgadzam się z tobą – powiedziała niespodziewanie Blanche, gdy Fred podjeżdżał do stacji benzynowej na skrzyżowaniu z główną szosą.

– Co takiego? W czym się ze mną zgadzasz? – Po prawie pięćdziesięciu latach małżeństwa Freda ciągle jeszcze zadziwiały te nagłe zwroty w rozmowie.

– Co do Maddena, Fred. Powiedziałeś, że ci się nie podoba. Mnie też się nie podoba. Nie kupiłabym od niego nawet używanego samochodu.

Fred roześmiał się i otworzył drzwiczki, by porozmawiać z pracownikiem stacji.

– Jest zbyt gładki – kontynuowała Blanche. – Te jego zielono–żółte oczy wydają mi się podstępne.

Wiatr poderwał kurz z drogi i przewiał go wzdłuż pomp. W samochodzie zapachniało benzyną. Blanche poczuła mdłości. Od śmierci starszych synów Pata i jego żony, która była jej najbliższą przyjaciółką, obie z Briar prowadziły raczej samotniczy tryb życia. A teraz Briar wyjechała. Blanche marzyła już tylko o tym, by znaleźć się z powrotem w domu.

Niespodziewanie w niewielkiej przestrzeni landrovera zadudniły uderzenia bębnow. Blanche wydawało się, że ten monotony, choć natrętny dźwięk wybucha w jej głowie.

Zakryła uszy rękami.

– Fred, ucisz bębny!– krzyknęła.

Spojrzał na nią z lękiem. To nie była ta dzielna, spokojna kobieta, którą znał i kochał.

– Blanche – szepnął, obejmując ją. – Blanche, jesteś zdenerwowana, bo zostawiliśmy Briar z Maddenem. Tęsknisz za domem. Nie znosisz zapachu benzyny. Uspokój się, kochanie, wszystko jest w porządku.

– Nie! To te bębny. Serce tego kraju bije zgodnie z ich rytmem, a teraz ktoś próbuje zatrzymać bicie serca.

Fred przytulił ją i zawołał do pracownika stacji:

– Przynieś szybko coca–colę. Moja żona źle się czuje.

Gdy pracownik wykonał polecenie, Fred przycisnął wylot puszkii do ust żony.

– Blanche – szeptał kojąco – to bęben sprzed sklepu z pamiątkami. Przywołuje turystów. Zlatują się do niego jak muchy tse–tse do lepu.

Blanche wypila lodowaty napój i oprzytomniała.

– Fred, przepraszam! Tylko że to, co bębny mówiły tamtej nocy, przyniosło tyle nieszczęścia Patowi i Erinowi. Oni naprawdę na to nie zasługują. Już spotkało ich zbyt dużo zła. To nieuczciwe.

– Bo i życie nie jest uczciwe, Blanche. Jest trudne, a czasami bezlitosne. Mieszkamy w cudownym kraju, ale nie wszyscy są tu dobrzy i honorowi.

– Tak, właśnie się o tym przekonaliśmy – odpowiedziała gorzko Blanche. –A bębny wiedziały, co ma się stać. Noc po nocy wybijały przesłanie strachu i

milczenia. Służą oszustwom. Za ich pomocą robi się wieśniakom pranie mózgu. Trzeba je uciszyć!

Fred oddał pustą puszkę pracownikowi stacji, uruchomił samochód i odjechali w chmurze czarnego dymu.

– Afryka bez bicia bębnów byłaby tak samo smutna, jak Afryka bez swojej dzikiej zwierzyny. Wyobraź sobie Inyati bez słoni, drapieżników czy kozłów, a tylko z bydłem i owcami. Utraciłaby całą magię. Bębny są nieodłączną częścią tajemnicy Afryki. Nie można ich uciszyć.

Blanche pokiwała głową i wyjrzała przez okno. Kochała ten pokryty buszem dziki kraj. Gdy ciepłe powietrze, wpadające podczas jazdy, odeгнаło zapach benzyny; panika powoli zaczęła ją opuszczać, a oddychanie stało się łatwiejsze.

– Głos bębnów dociera wszędzie, gdzie nie ma telewizji czy gazet. Przenosi wiadomości do najodleglejszych zakątków kraju, tam, gdzie wierzy się w ich posłanie. Gdyby je uciszono, skorumpowani ludzie z rządu nie mogliby przekazywać kłamstw – przekonywała męża.

Fred skinął głową i przejechał palcami po włosach. Rozumiał aż nazbyt dobrze lęki Blanche.

– Kochanie, postanowiliśmy tu zostać i musimy nauczyć się żyć w warunkach afrykańskiej demokracji. – Pochylił się i wziął ją za rękę, – Zawsze pamiętaj, że nie mogą całkowicie zniszczyć piękna tego kraju, ani miłości, jaką go darzymy.

Blanche uścisnęła jego dłoń. Jechali do Inyati trzymając się za ręce.

W czasie, gdy rodzina Andrettich pozostawała jeszcze w hotelu przy Wodospadzie, Briar wiele razy podnosiła słuchawkę, by zadzwonić do rodziców. Ale za każdym razem odkładała ją na widełki. Przecież nie może przyznać się do porażki zanim jeszcze safari się rozpoczęło! Przepracuje umówione trzy tygodnie i wyjedzie razem z Andrettimi.

Zdażyła już powziąć głęboką antypatię do Kirka Maddena. Uważała, że jest zarozumiały i arogancki. Chodził pompatycznie po hotelu, wydając rozkazy jak współczesny Napoleon, którego przypominał wzrostem.

Gardziła nim za flirtowanie z Tomasina, gdy jej ojciec i brat tego nie widzieli. Nienawidziła konspiracyjnego sposobu, w jaki uśmiechał się do niej samej, podczas gdy jego ręka ocierała się o pierś albo biodro Marii Andretti. Uprawiał taką grę zarówno z matką, jak i z córką, i Briar czuła się splugawiona poczynaniami swojego pracodawcy.

Dorośnij, mówiła sobie, gdy już znalazła się u siebie w pokoju. Zachowanie Kirka nie ma nic wspólnego z tobą. Została zatrudniona do prowadzenia obozu, a nie do czuwania nad moralnością tego człowieka. Nerwowo podchodziła do okna i wyglądała na taras. Jak zwykle, w cieniu wielkich drzew, turyści i kelnerzy kręcili się niczym w kalejdoskopie barw i ruchu.

Dziś spojrzenie Briar pobiegło aż do oparów unoszących się nad grzmiącym

Wodospadem. Patrzyła na wodny pył, lśniący w słońcu jak gigantyczna, splątana pajęczyna, tak długo, aż zaczęły jej łzawić oczy. Już zamierzała dokończyć pakowania swoich rzeczy – dziś późnym popołudniem mieli wyjechać do obozu Kirka – gdy na szczycie schodów wiodących z hotelowych ogrodów do punktu widokowego zauważyła dwie obejmujące się postacie.

W tej parze było coś znajomego. Briar przyłożyła do oczu lornetkę. Wyregulowała ostrość i aż sapnęła. Zobaczyła Kirka i Marię Andretti tak blisko, jakby znajdowali się razem z nią w pokoju.

Maria odchyliła głowę do tyłu i jej wspaniałe włosy lekko kołysały się na wietrze. Usta Kirka przykryły wargi jej wargi, a palce Marii wbiły się głęboko w jego ramiona.

Podczas gdy Briar patrzyła, niezdolna do odłożenia lornetki, Kirk przyciągnął Marię do siebie, trzymając obie dłonie na jej pośladkach. Wysunęła miednicę do przodu i ich ciała zaczęły się poruszać w rytmie grzmiącej wody.

– Nie – powiedziała Briar na głos i odwróciła się. Gdy znów spojrzała, Kirk i Maria szli ramię w ramię ku tarasowi. Na ich twarzach nie malował się najmniejszy ślad intymności, którą przed chwilą obserwowała. Usiedli naprzeciwko siebie przy stoliku i zamówili herbatę.

Sprytnie, pomyślała Briar. Panie Madden, jesteś bardzo sprytny. Podczas lunchu rozmawiasz o wielkich bawołach i słoniach, które można znaleźć w pobliskim Parku Narodowym Zambezi. Potem czekasz, aż mężczyźni, Tara i Tomasina wyjadą obejrzeć zwierzęta, i masz matkę dla siebie.

Pobiegła do szafy, gwałtownie ją otworzyła, wyszarpnęła szorty, spodnie, koszule, i wpychała je byle jak do torby, nie dbając o to, że się pogniotą. Ale po chwili jej oddech zaczął się uspokajać. Usłyszała cichy głos Blanche: „Nie oceniaj nikogo, póki nie przejdziesz co najmniej mili w jego butach”. Opanowała się.

– Mamo, dziękuję – szepnęła w pustym pokoju. – Nie będę tego robiła.

Gdy spotkała Kirka i Marię w holu, udało jej się do nich uśmiechnąć. Przyglądała im się uważnie, ale w obecności rodziny idealnie grali swoje role. Kirk był zręcznym i uprzejmym myśliwym, a państwo Andretti z dziećmi jego klientami.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wyrafinowanie obozu Kirka zaskoczyło Briar. Spodziewała się zwykłych chat, jakie na ogół budowano w buszu, i tylko najprostszych wygod. Urządzenie tak wygodnego miejsca musiało kosztować majątek i Briar jeszcze raz zaczęła się zastanawiać, skąd Kirk miał na to pieniądze.

Znajdowała się w jednej z okrągłych chat dla klientów. Zbudowana z cegły obklepionej gliną, z zewnątrz wydawała się autentycznym, miejscowym domostwem. Ale od środka ściany miała wybielone, a podłogę sporządzono z wygładzonego betonu, pomalowanego na ciemnozielony kolor. Okrągłe, wyplecione z trawy maty, rozłożone na środku pokoju, miały piękne purpurowo-zielone brzegi. Briar usiadła na jednym z żelaznych łóżek, wyposażonych w sprężynowe materace, ślące zaproszenie miękkie poduszki w wykrochmalonych bawełnianych powłóczkach i starannie złożone pierzynki chroniące przed chłodem nocy.

– Bezsensowny luksus – szepnęła i poszła obejrzeć małą, przylegającą do pokoju łazienkę. Jej wzrok przesunął się od białej, emaliowanej wanny na rozłożystych nogach do muszli klozetowej z jak najbardziej „cywilizowanym” rezerwuarem. Umywalka ustawiona była na nóżce z ciemnozielonego betonu, nad nią wisiało lustro, obramowane po obu stronach szarkami. Wyjrzała przez okno, próbując coś zobaczyć mimo siatki chroniącej przed owadami.

Na zewnątrz stał „osiołek”, urządzenie typowe w myśliwskich obozach, dostarczające ciepłej wody tam, gdzie nie można było przeciągnąć linii energetycznych. „Osiołek” składał się ze zbiornika postawionego na ceglanych wspornikach. Pod spodem zostawiono dość miejsca, by rozpałić ognisko. Z jednego boku biegła rura doprowadzająca wodę. Briar sądziła, że w tak doskonale wyposażonym obozie Kirk powinien mieć generator do pompowania wody do łazienek i „osiołków”.

Najprawdopodobniej ma również światło elektryczne, pomyślała, uśmiechając cierpko.

– Podoba ci się?

Głos Kirka wystraszył ją. Gwałtownie odwróciła się i zobaczyła, że nonszalancko stoi w drzwiach, więżąc ją w łazience.

– To wygląda bardziej na hotel niż obóz w buszu – odrzekła sucho.

– Po co zmuszać klientów do życia w trudnych warunkach, jeśli przy odrobinie pieniędzy można oferować im komfort, którego tak pożądamy? – odpowiedział. – W świetle słońca wszyscy są łowcami czującymi się macho, ale gdy nadchodzi noc, lubią, by ich drzwi były zaryglowane, a łazienka znajdowała się jak najbliżej.

– A kobiety są zachwycone sprężynowymi materacami – rzuciła Briar i natychmiast tego pożałowała.

– Och, tak, Briar – odpowiedział Kirk głosem miękkim i uwodzicielskim. Podszedł do niej. Briar cofała się, próbując dojść do drzwi pokoju. Jednocześnie mówiła do niego w nadziei, że nie zauważy, co zamierza. Czuła się niepewnie jak uczennica, która właśnie po raz pierwszy pozwala pocałować się chłopcu.

Wydawało jej się, że Kirk nie zwraca uwagi na jej manewry. Ale gdy już zamierzała wpaść w otwarte drzwi, przebiegł pokój, chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie.

– Nie! – krzyknęła, ale wyciszył jej krzyk ustami.

Przycisnął jej ręce do ciała. Walczyła, by odwrócić usta od jego penetrującego języka, ale nie zdołała się uwolnić.

Jego gruby język wsunął się w jej usta i zaczął je badać od wewnątrz. Trzymał ją mocno, jak pyton, który powoli dusi swoją zdobycz. Przed oczami stało jej wyobrażenie Kirka jako węża szukającego ciepłokrwistej ofiary narządami czuciowymi przy górze pyska. Jego ślina była dla niej śliną węża rozsmarowywaną na jej ciele. Wpadła w panikę, bo przycisnął ją jeszcze mocniej do siebie. Na ogół odznaczała się sporą dozą zdrowego rozsądku, ale teraz ją odbiegł. Mocno ugryzła go w język i poczuła cierpki smak krwi.

Kirk tylko się roześmiał wargami zabarwionymi na czerwono.

– W ten sposób nic nie osiągniesz, mała Hanley – powiedział. Ból języka podniecał go. – Lubię ogniste kobiety. Od chwili, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy, wiedziałem, że mi się nadasz.

Briar wypluła krew i z radością zobaczyła czerwoną stróżkę spływającą po jego nagiej piersi. To, co powiedział, przypomniało jej, ile radości odczuwała, gdy Scott brał ją w ramiona. Ich miłość była pełna nadziei. Kirk plugawił jej najcenniejsze wspomnienia.

– Gdyby Scott tu był, zabiłby cię – wysyczała walcząc o oddech. Nienawidził Giffordów. Na wspomnienie upokorzenia jego oczy nabrały złowiszczej, ciemnozielonej barwy. Przypomnił sobie, jak zwisał bezradny niczym kociątko w paszczy lwicy, gdy Scott Gifford przerzucał go przez balustradę werandy.

Tamtej nocy, leżąc na ziemi i słuchając śmiechu zaproszonych na przyjęcie gości, przysiągł zemstę. I osiągnął swój cel: obaj bliźniacy Giffordowie już nie żyli. A teraz los dał mu okazję zemścić się na Briar.

To ona była przyczyną jego upokorzenia. I nadal czuła do niego antypatię. Unikała wszelkiego fizycznego kontaktu z nim, ale w tej chwili znalazła się w jego władzy. Marzył o tym, by zobaczyć jej twarz, gdy powie jej, w jaki sposób Scott wpadł w pułapkę.

Nie, przestrzegł się. Zachowaj tę historię na później. To nie jest odpowiedni moment. Najpierw dogodź sobie z tą diabolicą, a dopiero potem opowiedz, co się przydarzyło jej cennemu, słodkiemu Giffordowi.

Pod silną, muskularną budową Kirk skrywał kompleks niższości. W szkole był

najniższy i koledzy go terroryzowali. Po skończeniu szkoły i podczas wojny trenował i pracował nad swoim ciałem tak długo, aż ludzie przestali zwracać uwagę na jego niski wzrost, zachwycając się umięśnionym torsem. A ponieważ ciągle usiłował udowodnić swoją wartość, w końcu zaczęto go postrzegać jako człowieka niebezpiecznego i wyniosłego.

– Tak więc uważasz, że mój obóz jest bezsensownie luksusowy. Zbyt komfortowy jak na twój gust. Nie podobają ci się sprężynowe materace? Wobec tego, Hanley, nie wypróbujemy ich.

Briar już otwierała usta, by wołać o pomoc, ale Kirk natychmiast przycisnął jej usta i nos ręką.

On jest szalony, pomyślała, próbując się uwolnić. Nie mogła złapać tchu i pokój zaczął wirować wokół niej.

Kirk uniósł ją z zadziwiającą, jak na tak niskiego mężczyznę, siłą i wepchnął do łazienki, kopniakiem zamykając drzwi.

Poczuła, jak zimna podpora umywalki wbija jej się w plecy. Kirk przyciskał ją z całej siły, więc usiłowała go kopnąć.

– Nie rób tego – ostrzegł ją zimnym tonem. – Chyba nie chcesz, żeby Andretti ci współczuli, że się potknęłaś i złamałaś nogę na tej betonowej podłodze.

Briar popatrzyła w oczy odległe od niej zaledwie o kilka cali. Zobaczyła zimne, bezlitosne spojrzenie lamparta, samotnego, nocnego łowcy. Nie mogła liczyć na zmiłowanie.

Więc nie da temu mężczyźnie satysfakcji i nie będzie go błagała. Jego fizyczna siła zaskoczyła ją i przeraziła. Zrozumiała, że nie jest w stanie z nim walczyć.

– Kirku Maddenie, przysięgam, że przyjdzie taki dzień, kiedy za to zapłacisz – powiedziała. – Rzucam na ciebie wszystkie klątwy N'debele.

– Z niecierpliwością będę tego oczekiwał, Briar. Już odczułem, jak kłujesz kolcami. A teraz przekonajmy się, czy oprócz kolców masz też słodycz róży.

Jednym zręcznym, wypraktykowanym przy setkach okazji ruchem odpiął jej szorty i opuścił je wzdłuż nóg. Cienkie bawełniane majtki zostały zdarte i odrzucone na podłogę. Przez cały czas przyciskał Briar do podpory umywalki. Betonowa krawędź wpijała się w nią coraz mocniej. Była pewna, że w końcu pęknie jej kręgosłup. Zaciśnęła zęby, bo rozdarł ją nowy ból. Oczy miała mocno zamknięte. Nie będzie krzyczała, nie zrobi mu tej przyjemności.

– Dziewica! syknął Kirk z obrzydzeniem. – Więc Gifford nic nie uszczknął, zanim go powieszono do wysuszenia. – Odsunął się od niej i zaczął zapinać spodnie.

Nie zauważył nogi Briar. Wybiła się mocno i szybko, prowadzona rozpaczą i nienawiścią. Kirk zgiał się wpół. Nie mógł nawet jęczeć. Ból dopadł go z taką siłą, jakby zaciśnęły się na nim szczęki hieny. Z trudem powłókł się do muszli klozetowej.

Briar skorzystała z okazji. Kolejne dobrze wycelowane kopnięcia wrzuciło go do porcelanowej muszli.

Wiedziała, że niedługo musi wyjść do Andrettich i odegrać swoją rolę gospodyni obozu. Oblała twarz wodą, przeczesła włosy palcami, wygładziła pogniecioną koszulę, żeby po ubraniu nikt się nie zorientował, jaką walkę dopiero co stoczyła. Majtki włożyła do kieszeni.

Zanim wyszła z łazienki, pociągnęła za łańcuszek przy ubikacji. Woda, zabarwiona na brązowo od rdzy w rezerwuarze, trysnęła do muszli i zalała twarz Kirka. Nawet nie uniósł głowy, bo następny spazm bólu wywołał kolejne wymioty.

Założyła ręce na piersi i po raz ostatni przejrzała się w lustrze. Odgłosy, jakie Kirk wydawał, skręcany torsjami, były dla niej najśłodszą muzyką.

– Wymiotujesz jak świnia, bo jesteś tylko świnia. – Przy drzwiach jeszcze się odwróciła. – Madden, zapamiętaj dzisiejszy dzień. Zło, które wyrządzasz, skieruje się przeciwko tobie. Kiedyś zapłacisz za wszystko. Modlę się tylko, bym przy tym była i widziała, jak cierpisz. – Przerwała na chwilę, a potem dodała: –Pilnuj pleców, jeżeli kiedykolwiek spotkasz w buszu mnie albo kogoś z mojej rodziny.

Z tymi słowy wyszła z łazienki i poszła wypełniać swoje obowiązki w obozie.

Andretti siedzieli na składanych krzesłach wokół stosu drewna, które zostanie rozpalone o zmierzchu. Służba obozowa była najwyraźniej doskonale wyszkolona. Kobietom podano herbatę, mężczyznom piwo. Strażnik, wyznaczony przez Departament Parków Narodowych do pilnowania, by prawo łowieckie było ściśle przestrzegane, również pił herbatę, tyle że w kuchni.

– Nie wyobrażałam sobie, że obóz w buszu może tak wyglądać – powiedziała Tara, pogryzając sucharek. Przyglądała się ogrodzeniu z trawy biegnącym wokół całego obozu.

– Na ogół nie są takie – odparła Briar. Cały czas zmuszała się do uśmiechu i do tego, by nie myśleć o wydarzeniach w łazience. – Ale urządzenie tego obozu kosztowało mnóstwo pieniędzy.

Guido lekko się wyprostował w krzesło. Zabawiał się pomysłem wykupienia dla siebie koncesji łowieckiej.

– To piękny obóz – skłamała Briar. Nienawidziła wszystkiego, co należało do Kirka Maddena.

– Briar, ile by kosztowało coś takiego? – spytał Guido.

– Nie wiem. Dowiedz się od Kirka.

– Gdzie on jest? – rzuciła obojętnie Maria. – Nie pojawił się od chwili przyjazdu.

– Odpoczywa. Przy Wodospadzie zjadł coś nieświeżego. Chyba rybę talapia. Czasami przed dostawą do hotelu rybacy zbyt długo trzymają je na słońcu.

Maria odsunęła krzesło i postawiła filiżankę na ziemi.

– Zobaczę, czy mogę jakoś mu pomóc – powiedziała.

– Proszę, zostań. Gdy ostatnio go widziałam, klęczał nad muszlą klozetową. Dołączy do nas, gdy poczuje się lepiej.

Maria z powrotem usiadła i uśmiechnęła się.

– Mężczyznom cierpiącym na niestrawność wydaje się, że już umierają.

O tak, temu musi się wydawać, że umiera, pomyślała Briar. Co za szkoda, że nie jest tak naprawdę.

– Proponuję, by panie wzięły prysznic, póki jeszcze jest ciepło i jasno – powiedziała. – Później bardzo się ochłodzi i zaczną gryźć komary.

Nie mogła się już doczekać okazji do wymycia całego ciała i pozbycia się wszelkich śladów Kirka. Kobiety natychmiast udały się do swoich chat. Uśmiechnęła się z ulgą.

Po drodze do chaty, którą dzielił z ojcem, Marco zauważył, że w bambusowej ścianie osłaniającej prysznic, którego używała Briar, są prześwity. Zatrzymał się, chociaż nie zamierzał podglądać. Ale wiedząc, że jego rodzice i siostry kąpią się teraz w swoich chatach, pozostał i spojrział.

Skóra Briar była zaczerwieniona. Szczotka pozostawiła białe ślady na jej brzuchu i nogach, a ona nadal się szorowała. Markowi wydawało się, że chce zedrzeć z siebie skórę, zdrapać tę, którą miała do tej pory i dać wyrosnąć nowej.

Briar należała do tego typu kobiet, które Marco chemie by poślubił, dobrze wychowanych i spokojnych. Gdy się śmiała, była młoda i piękna. Wiedział, że rodzina spodziewa się po nim małżeństwa z dziewczyną z dobrej, włoskiej rodziny, która urodzi mu dzieci dla zapewnienia, że firma pozostanie w rękach Andrettich.

Tych kilka dni, które spędził w towarzystwie Briar, odebrało mu spokój. Jego starannie zaplanowana przyszłość wydawała mu się teraz mniej pociągająca niż przed wyjazdem z Mediolanu.

– Służba – zawołała nagle Briar, która jeszcze nie знаła imion. – Proszę o następne wiadro gorącej wody.

Marco wystraszył się i szybko ruszył do chaty. Czuł się winny, że podglądał Briar. Nie zasługiwała na to.

W końcu Briar zeszła z płaskiego kamienia umieszczonego bezpośrednio pod zbiornikiem wody i stanęła na mniejszym, suchym kamieniu z boku zagrody. Ubrała się w długie spodnie, nogawki wepchnęła w skarpety, włożyła też koszulę z długimi rękawami i pikowaną kamizelkę. Schylając się, by zasznurować płócienne pantofle, poczuła gdzieś głęboko w sobie ból.

– Mamusiu, jego buty nie są warte, bym je wkładała, nie mówiąc już o milowej przechadzce. Nienawidzę go – szepnęła.

Spojrziała w zimbabwejskie niebo, które nabierało delikatnych barw zmierzchu. Ponad nią, na gałęzi utrzymującej zbiornik z ciepłą wodą, usiadł rudzik. Przechylił główkę i spojrział na nią lśniąącym, czarnym oczkiem.

Po szerokich, białych paskach nad oczami i ciemnobrązowych plamkach na brzuszku od razu poznała, że to drożdżik, jeszcze zanim usłyszała to, co uważała za najpiękniejszą, ptasią pieśń. Gdy rudzik powtarzał i wprowadzał wariacje tematów, Briar poczuła wreszcie, że jej plecy się uginają. Nie próbowała się opanować. Ramiona zaczęły jej drżeć, a włosy, nadal wilgotne po myciu, opadły na mokrą od łez twarz.

Po długim czasie rudzik przestał śpiewać, a Briar wytarła oczy.

– Powinieneś to śpiewać rano, by nas budzić – powiedziała do ptaka. – Nie jesteś wieczornym stworzeniem. Ale dziękuję ci.

Na dźwięk jej głosu ptaszek napuszył piórka i odleciał.

Briar oparła się o palik z drzewa mopane. Zdała sobie sprawę, że nigdy nie będzie mogła powiedzieć rodzicom o gwałcie. Ojciec na pewno powtórzyłby to swojemu najbliższemu przyjacielowi, Patowi Giffordowi. Pat poczułby się odpowiedzialny, bo to jego syn zranił dumę Kirka. A Erin miał wystarczająco gorącą głowę, by odszukać Kirka i rozpocząć wendetę. Niedługo wszyscy by się dowiedzieli. Przy każdej okazji stare damy, a także młodzi mężczyźni przyglądaliby się jej badawczo, zastanawiając się, czy zachęcała Kirka.

Natomiast jeżeli zachowa tajemnicę, Kirk nie będzie na tyle głupi, by się przechwalać swoim czynem. W kraju było mnóstwo zaprawionych w boju mężczyzn, którzy chcieliby go ukarać. Wielu z nich walczyło ramię w ramię z chłopcami Giffordów. Niektórzy chodzili z nią samą do szkoły.

Kirk spotkałby się z powszechnym bojkotem i w końcu najprawdopodobniej zginąłby w nieszczęśliwym wypadku podczas polowania.

Popatrzyła na gałązkę, na której siedział śpiewający ptaszek, potem uniosła oczy ku łagodnemu, szaremu niebu, które rozciągało się w nieskończoność.

– Przepraszam! – szepnęła. – Nie powinnam była życzyć mu niczego złego. Zemsta jest Twoja, nie moja.

Te słowa uspokoiły ją i oczyściły. Słyszac jeszcze ciągle w uszach śpiew rudzika, wyszła z zagrody prysznicowej.

Kirk przeprosił, że nie przyjdzie na kolację. Wymówił się bólem żołądka. Briar czuła ulgę nie widząc go przy stole. Andretti łatwo przyjęli jej propozycję, by wcześniej iść spać, bo nazajutrz czekał ich długi dzień.

Obawiała się, że nie zaśnie, a przed oczami będzie jej ciągle stała scena gwałtu, ale łagodna ciemność nocy szybko ją uspiła. Obudziła się, słysząc, jak służba rozpala ognisko i szykuje stół do śniadania.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Od gorącej wody, stygnącej na jego ciele, Kirk dostał gęziej skórki. Stał przed chatą i golił się w emaliowanej misce. Gdy mydlana piana spadała do wody razem z zarostem, w miednicy powstawały szumowiny, zupełnie jak na sadzawce bez odpływu.

Postanowił zgolić szczecinę, która imitowała wąsy. Był w obozie już od tygodnia, a z tym wąsikiem ciągle czuł się dziwnie.

Ze swojej chaty wyszła Tomasina. Udawała, że szcztokuje włosy, ale w rzeczywistości podziwiała mięśnie Kirka przeżące się przy każdym ruchu pod skórą na plecach i ramionach.

W Mediolanie miała już niejednego kochanka. W przemyśle związanym z modą pracowało wielu przystojnych, młodych mężczyzn, żyjących szampanem i papierosami, by zdążyć przygotować pokaz. Była to fascynująca, nerwowa egzystencja. Nawiazywało się mnóstwo romansów, które jednak trwały niewiele dłużej niż oklaski witające modelki na wybiegu. Teraz Tomasina z przyjemnością myślała o powrocie do swojego miasta, gdzie będzie mogła przechwalać się romansem z „białym łowcą”. To jej przysporzy popularności wśród znajomych.

Niestety, od razu, podczas pierwszego spotkania przy Wodospadzie, Guido jasno zapowiedział Kirkowi, że jego żona i córki mają być traktowane z szacunkiem.

– Mówiono mi, jak bardzo Afryka rozgrzewa kobietom krew – oznajmił. – Ale na Sycylii, tam, gdzie się urodziłem, mężczyźni zabijają tych, którzy zbyt się zbliżają do ich kobiet.

Kirk uroczyście skinął głową i nadal wyobrażał sobie, że posiadał Tomasinę.

Teraz, sięgając po ręcznik, zauważył obserwującą go Tomasinę i uśmiechnął się. Zaczzerwieniła się, bo przypomniała sobie, że jeszcze się nie umalowała i nie ubrała do końca. Odwróciła się plecami do Kirka, zapięła czarne, bawełniane spodnie i weszła do chaty, którą dzieliła z siostrą.

Tara siedziała na brzegu łóżka, klnąc na grube skarpety, które nie chciały wejść do płóciennych pantofli. Spojrzała na siostrę. Tomasina była zarumieniona i podniecona. Zaczęła się bawić otwartą kosmetyczką leżącą na stole.

– Uważaj na siebie, cara – ostrzegła Tara. – To nie jakiś tam mediolańczyk. Jest dziki i niebezpieczny jak zwierzęta, na które poluje. Skrzywdzi cię.

– Kto? – spytała Tomasina, udając, że nie wie, o co chodzi.

– Kirk Madden. Od chwili, gdy cię zobaczył, oczami uprawia z tobą miłość.

– Tara, siostrzyczko, zbyt wiele sobie wyobrażasz – zachnęła się Tomasina. – Ten myśliwy mnie nie interesuje.

Tara pokiwała głową i z całej siły pociągnęła za sznurowadła. Szkoda, że nie mogła okręcić ich wokół szyi Kirka i udusić go. Włochów znała i rozumiała doskonale. Byli urodzonymi kochankami. Jednak jeśli chodzi o Maddena, czuła, że

w jego charakterze kryje się okrucieństwo.

– Nigdy nie ufaj mężczyźnie, który kocha tylko siebie.

Tomasina roześmiała się i uważnie zaczęła obrysowywać wargi jasnoczerwoną konturówką. Tara, ze swoimi elfimi rysami i niskim wzrostem, była absolutnym przeciwieństwem Tomasiny. Różniły się nie tylko wyglądem, lecz również sposobem życia. Tara gardziła płytkim światkiem mody. Wiedziała, że jej siostra miała już wiele romansów, ale zachowywała to w sekrecie przed ojcem.

Tara zakochała się tylko raz. Trwało to rok, magiczny rok. Mieszkali już razem i ustalili datę ślubu. Ale wtedy, któregoś wieczoru, zadzwoniła żona jej kochanka. Z płaczem błagała Tarę, by odesłała jej męża do domu, bo ich maleńkie dziecko właśnie zostało zabrane do szpitala.

Nigdy więcej nie zobaczyła tego mężczyzny. Nie odpowiadała na jego listy i telefony. Wyprowadziła się ze wspólnego mieszkania, nie zostawiając nowego adresu. Teraz trzymała wszystkich mężczyzn na dystans. Umieili obiecywać księżyc i gwiazdy, ale nie mieli nic do ofiarowania.

Kirk uderzył w gong stojący na kredensie w jadalni. Była to miedziana tarcza, zawieszona między kłami guźca, wydająca głuchy, żalobny dźwięk. Tara zadrżała, mimo że miała na sobie watowaną kamizelkę.

– Nie warto eksponować twojej zgrabnej figury – powiedziała przyglądając się, jak Tomasina usiłuje zapiąć szeroki, nabijany ćwiekami pasek o jeszcze jedną dziurkę ciaśniej. – W samochodzie będzie zimno. Lepiej weź kurtkę, rękawiczki i szalik.

Siostry pobiegły do jadalni, bo ich ojciec złościł się, gdy kazano mu czekać. Lubił wsiadać do landrovera jeszcze przed świtem. W ten sposób czuł, że ma cały dzień na polowanie.

Maria próbowała przemówić mu do rozsądku.

– Wiesz, jak czują się zwierzęta na tym zimnie? Przecież śpią na dworze i wczesnym rankiem są odrętwiałe. Wychodzą ze swoich legowisk dopiero, gdy wzejdzie słońce.

Ale Guido był głuchy na wszelkie błagania. Tak więc codziennie u schyłku nocy rodzina ładowała się do samochodu i drżąc z zimna wpatrywała się w ciągle jeszcze okryte mrokiem zarośla.

– Dzisiejszy dzień będzie przyjemny – powiedział Kirk, lejąc sos pomidorowy, sos Worcester i keczup na sadzone jajka. Nie rozumiał, dlaczego rodzinie Andrettich ten sposób spożywania jajek wydawał się dziwny, skoro sami chrupali chili jalapeno jakby to były orzeszki ziemne.

Pierwszego dnia pobytu w obozie zgodził się spróbować chili, sądząc, że skoro smakuje kobietom, musi być łagodne w smaku. Ale gdy tylko ugryzł pierwszy kęs, całą siłą woli musiał się powstrzymać, by nie krzyknąć o wodę. Potem jeszcze przez wiele godzin pieczenie w nosie i gardle przypominało mu, żeby nigdy więcej

nie sięgać po pieprz jalapeno.

– Sprawdzimy przynęty na lamparty. Te, które nie zostały ruszone, przeniesiemy w inne miejsce. Ale może będziemy mieli szczęście i zdołamy wybrać miejsce na wieczorną zasadzkę.

Markowi rozbłyły oczy. Ojciec obiecał mu pierwszego lamparta, na jakiego się zasadzą, nie powiedziano mu tylko, że Guido i Kirk zdublują jego strzał, wypalając jednocześnie z nim na wypadek, gdyby chybił albo tylko lekko zranił ofiarę.

Kirk bez zachwyty myślał o ewentualnym pójściu w ciemnościach śladem rannego lamparta. Tropienie jakiegokolwiek rannego zwierzęcia jest zawsze niebezpieczne, ale chodzenie w wysokiej trawie za rozłożonym lampartem denerwuje i niepokoi nawet doświadczonych myśliwych.

– Mario, może zdobędziemy dziś pierwszą skórę na twoją kurtkę – uśmiechnął się Kirk.

– Nie powinno się używać na futra skór ze zwierząt schwytanych w pułapkę ani z należących do zagrożonych gatunków – odezwała się Tara, odkładając widelec i nóż.

– Lamparty są jak koty, Taro – powiedział uspokajająco Kirk. – Stwórz im odpowiednie warunki, daj dość jedzenia, a będą się mnożyć jak króliki. Na przykład w Zambii jest ich o wiele za dużo, tyle że można by szyć kurtki tysiącami i nawet nie zauważyć ubytku w populacji tych zwierząt.

– Te kraje potrzebują pieniędzy, a opłaty za odstrzał lampartów nie są niskie – poparł go Guido.

Tara nic nie odpowiedziała. Jej radykalne poglądy w kwestii polowania nieco złagodniały od czasu, gdy zaczęło się safari. Rozwiązania, które wydawały się oczywiste i proste wtedy, gdy w Mediolanie dyskutowała na te tematy z przyjaciółmi, przestały być aż tak naturalne tutaj, w środku afrykańskiego buszu. Tutaj stanęła twarzą w twarz z twardą rzeczywistością Trzeciego Świata, gdzie wymiana handlowa z zagranicą stanowiła warunek przeżycia, a gwałtowny przyrost demograficzny nie mógł być ani kontrolowany, ani zahamowany.

Politycy stali się żonglerami, mającymi w swoich rękach ludzi, zwierzęta i ich naturalne środowisko, które musi być zachowane. Niestety, żonglerom najczęściej wypadały z rąk piłeczki oznaczające zwierzęta i środowisko.

Kirk wytarł usta, beknął i odsunął krzesło od stołu.

– Jedziemy – powiedział.

' – Co tutaj tak cuchnie? – spytała Maria marszcząc nos. Landrover właśnie wjeżdżał do wąskiej, zalesionej doliny.

Było już południe i poranny chłód był już tylko wspomnieniem. Maria skrzyła włosy w węzeł i wepchnęła je pod płócienny kapelusz, a kołnierzyk bluzki postawiła, by uchronić kark przed palącymi promieniami słońca.

– Mam nadzieję, że to nasza szczęśliwa przynęta – odparł Kirk. – Powiesiliśmy ją na drzewie, do którego lamparty dość często przychodzą. Widzieliśmy na korze i gałęziach zadrapania od ich łap.

– To samo mówiłeś przy ostatnich trzech drzewach – rzuciła Tara.

Przez całe rano tłukli się po wertepach, ale nigdzie nie zauważyli świeżych śladów, których szukali. Lamparty ignorowały tusze zebr i impali, starannie przykryte liściastymi gałęziami dla ochrony przed sępami, ale łatwo dostępne dla wspinających się na drzewa kotów.

– Kiedy zatrzymamy się na lunch? – narzekała Tomasina. Ona też straciła zainteresowanie poszukiwaniem nie istniejących tropów.

– Nie tutaj – zawołała Maria, próbując skoncentrować myśli na swojej pięknie pachnącej łazience w mediolańskim domu. Już nawet nie mogła sobie przypomnieć cudownej woni czerwonych róż.

Nagle trafiła ręką na płyn przeciw komarom, który nosiła w kieszeni. Rozpyliła go na nadgarstki. Ten płyn również cuchnął, ale Maria uniosła rękę do nosa, wdychając go jakby to były perfumy Caleche.

Im dalej wjeżdżali w dolinę, tym bardziej się zwiężała. Po obu stronach wznosiły się tarasowo skały, utrzymujące gorąco i ciszę. Nagle historyjki, które Kirk i Guido opowiadali Markowi o zwyczajach samotnego zabójcy, którego poszukiwali, wydały się bardzo rzeczywiste. Kobiety poczuły się małe i bezbronne w otwartym landroverze.

Maria nerwowo popatrzyła na zwisające gałęzie otaczających ją wkoło drzew. Obawiała się, że w każdej chwili może spostrzec rozciągniętego na jednej z nich wielkiego kota, z ciemnymi plamkami barwiącymi brunatną skórę na wzór cieni rzucanych przez liście.

Gdy samochód zwolnił do prędkości piechura, Maria zaczęła się przyglądać największym drzewom. Jednocześnie bała się i miała nadzieję, że zobaczy długi, zakończony na czarno ogon zwisający prosto jak lufa strzelby.

Kirk zatrzymał samochód i wyłączył zapłon.

– Zostańcie tu i nie ruszajcie się – polecił. – My pójdziemy sprawdzić, czy jakiś lampart był w nocy przy przynęcie.

– Proszę, pozwól nam iść z wami – powiedziała Maria. – Będę się czuła bezpieczniej.

Kirk zastanowił się chwilę, potem skinął głową.

– Dobrze. Niech wszyscy wysiądą, ale idźcie cicho i nie rozmawiajcie. Guido, ty będziesz szedł ostatni. Nie strzelaj! – ostrzegł.

Gdy podążali za Kirkiem, starając się nie poruszać suchych gałęzi mopane ani nie szurać nogami po liściach na ziemi, Maria przeklinała się za to, że wysiadła z samochodu. Pot zmoczył jej bluzkę i chciało jej się wymiotować. W powietrzu unosił się odór zepsutego mięsa i krwi. Sapnęła rozpaczliwie, chwytając oddech.

Nagle Kirk się zatrzymał. Stał pod opadającymi ku ziemi gałęziami wielkiej akacji. W dolinie rozległ się krzyk przerażenia. Odbił się od skał i wzniósł wysoko w niebo.

Tomasina skoczyła do tyłu, jakby ugryzł ją skorpion. Kirk poczuł znajomy, mdlący przypływ adrenaliny, który zawsze zwiastował niebezpieczeństwo. Jednym płynnym ruchem wymierzył strzelbę w drzewo, ale nic tam się nie ruszało.

– Tomasina, co się stało? – spytał. – Co zobaczyłaś?

– To robaki – odpowiedział Guido, wyciągając wijące się czerwie z włosów Tomasiny. Kirk odwrócił się twarzą do niej. Jego żółtozielone oczy płonęły.

– Przez ciebie mogliśmy stracić tego lamparta.' Widzę na drzewie świeże ślady pazurów, gałęzie są odrzucone, a część mięsa zjedzona.

– Lampart jada mięso, w którym roi się od robaków i ociekające zieloną posoką? – zdziwiła się Maria.

– Widziałem kiedyś, jak lampart, pożywiając się przynętą, wydmuchuje robaki nosem – odpowiedział jej Kirk. Już się uspokoił po niedawnym szoku.

Kobiety wzruszyły ramionami i cicho usiadły w cieniu, podczas gdy Kirk sprawdzał, czy siedlisko jest nadal dobrze osłonięte. Była to stara kryjówka, zbudowana na małym wzniesieniu, gdzie wiatr na ogół wiał od drzewa z przynętą. Myśliwy miał z niej doskonały widok.

Tropiciele zdjęli kilka małych gałązek, które mogłyby utrudnić strzał. Kirk ustawił Guida i Marka w kryjówce i sporządził podpórkę dla strzelby Marka. Niewielu myśliwych potrafi utrzymać sztywno broń, gdy widzą przed sobą kontur swojego pierwszego lamparta, odznaczający się na tle ciemniejszego nieba.

– Oby był głodny i przyszedł, gdy jeszcze będzie jasno – wyraził życzenie Kirk, wreszcie zadowolony, że on i Guido będą mieli wyborny strzał ponad ramionami Marka. – Musimy się stąd wynosić, żeby wszystko się z powrotem uspokoiło.

– Myślisz, że lampart przyjdzie tu dziś wieczorem? – spytała Tomasina, nadal zawstydzona.

– Tak, jeżeli ma nie po kolei w głowie albo jest głuchy – zakpił Kirk.

– Przepraszam, Kirk. – Tomasina łagodnie położyła rękę na jego ramieniu. Przy tym ruchu jej bluzka rozchyliła się ukazując prawie całe piersi.

Kirk natychmiast wpadł w lepszy nastrój. Objął Tomasinę obronnym gestem i przycisnął do siebie. Guido i Marco potraktowali to jako pieszczotę na zgodę, ale Tomasina wyczuła erotyczną iskrę przebiegającą jego ciało. To ją podnieciło i w tym momencie postanowiła, że zanim wróci do Mediolanu, będzie go miała.

– Jeszcze masz robaki na ubraniu – powiedział Kirk. – Muszę ci je zdjąć –i obrócił ją twarzą ku sobie.

Udając, że zdejmuje robaki z jej bluzki, szybko ścisnął ją za brodawkę piersi.

Tomasina mrugnęła z bólu, ale było to przyjemne doznanie. Kirk spojrział jej

prosto w oczy. To, co w nich zobaczył, spowodowało, że natychmiast chciał ją rzucić na ziemię, w cień drzewa akacji, i leżeć na niej tak długo, aż usłyszałby jej krzyk.

– Dziś – szepnął. – W mojej chacie. O północy.

Tomasina skinęła głową. Ciągle jeszcze stała zwrócona plecami do rodziny.

– Dziękuję, Kirk – powiedziała głośno. – Te robaki są obrzydliwe! Nienawidzę tego wijącego się paskudztwa, żywiącego się padliną. Przypomina mi cmentarze i groby.

– Och, Tomasina, przestań! – Maria przeżegnała się.

– Lunch zjemy nad rzeką, przy ślicznym wodospadzie. To niedaleko stąd. Nazywam to miejsce „Wytchnieniem Kirka” – powiedział Kirk. – Potem pojedziemy do obozu i kobiety będą mogły odpocząć, a mężczyźni udadzą się do kryjówek. Na wypadek, gdyby lampart przyszedł wcześniej, powinniśmy tu być zanim wydłużą się cienie.

– A kiedy wrócicie? – spytała Maria.

– To zależy od lamparta – wyjaśnił Kirk, uśmiechając się do niej. Nadal miał zamiar zabawić się zarówno z matką, jak i córką. Maria w pocałunkach wykazywała ogromne doświadczenie i to go podniecało.

– Jeżeli lampart pojawi się wcześniej, wrócimy na kolację. Ale może się też zdarzyć, że będziemy musieli czekać aż do świtu. Czasami przychodzą dopiero na wczesne śniadanie.

Maria podeszła bliżej i podała mu rękę.

– Mam kolec w palcu. Wyciągnij go, proszę – odezwała się głośno. Kirk pochylił się nad jej ręką, gdzie nie było żadnego kolca.

– Postaraj się wrócić jak najwcześniej – szepnęła.

Ostatecznie zdecydowała się na romans z Kirkiem. Proponował to już przy Wodospadzie, ale wtedy jeszcze martwiła się o ewentualne konsekwencje. Jednak w buszu, z dala od cywilizacji, sprawy wyglądały inaczej. Tutaj wszystko było dziwne i podniecające. Poczuli się młodszą niż jej własne córki.

Guido myślał wyłącznie o polowaniu i nie mówił o niczym innym jak tylko o sztucerach, kulach i rekordowych rogach. W nocy, wykończony całym dniem tropienia, zapadał natychmiast w głęboki sen. Maria była pewna, że nie będzie niczego podejrzewał.

Chata Kirka stała na zewnątrz bomy. Nie będzie trudno wyśliznąć się z własnej chaty i pójść do niego. Gdyby Guido się obudził i pytał, gdzie się podziewała, zawsze może powiedzieć, że nie mogła zasnąć i poszła posiedzieć przy ogniu.

Kirk wyszczerzył zęby i uściskał jej rękę. Dwie kobiety jednej nocy, pomyślał. Lepiej, żeby ten lampart nie ociągał się zbyt długo.

– Zrobione – powiedział. – Kolec nie siedział głęboko.

Maria uśmiechnęła się. Walczyła ze swoim sumieniem, modliła się nocami, ale

ciało zdradziło ją. Dostała kompletnego bzika na punkcie Kirka Maddena. Musiała go mieć. Ich pieścizoty przy Wodospadzie nadal paliły ją w snach. Przeżywała od nowa każdą chwilę, czuła na ustach smak jego warg, a na ciele jego siłę i podniecenie.

Oczami śledziła każdy jego ruch, tak jak tropiciel śledzi gorące ślady zwierzyny. Wiedziała, że zachowuje się jak nastolatka oszołomiona pierwszą miłością, niezdolna do zapanowania nad fizycznym pragnieniem.

Kobiety spędziły długie, leniwe popołudnie. Pod nieobecność mężczyzn obóz wydawał się taki cichy.

Gdy słońce skrywało się za drzewami, rozświetlając niebo oślepiającym, złotopurpurowym blaskiem, wszystkie przyszyły do ogniska, ale dwie z nich były ślepe na piękno drzew rysujących się ostrymi konturami na tle sunących po niebie pierzastych chmurek. Z niecierpliwością czekały, aż płaszcz ciemności bezpiecznie okryje ich poczynania.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Cessna podskoczyła w ciepłym prądzie powietrznym z wdziękiem sokoła–akrobata. Matamba, w niczym niepodobny do tego zręcznego ptaka, wbił swoje wielkie ciało w wąski przedni fotel. Wracał do domu po lunchu w Inyati z Fredem i Blanche Hanleyami, i wcale nie czuł się dobrze. Za każdym razem, gdy samolot opadał w dół, czuł jak żołądek podchodzi mu do gardła. Lot trwał i trwał. Próbował wyglądać przez okno, ale ziemia pod nim falowała i na dodatek zaczęły go jeszcze nękać zawroty głowy.

Pieczeń wołowa i pudding podane przez Blanche były wyborne i Matamba zjadł zbyt wiele, chociaż te potrawy bardziej pasowały do chłodnego klimatu angielskiego niż do upałów Zimbabwe. Teraz żałował, że dał się skusić na trzecią dokładkę puddingu z jajecznym kremem.

Po lunchu odbył z Fredem nieprzyjemną rozmowę i do dolegliwości fizycznych dołączył jeszcze dyskomfort psychiczny.

Od lat pożyczał od Freda pieniądze obiecując, że zwróci je, gdy tylko jego partia dojdzie do władzy. Ale stało się coś, czego nie przewidywał. W wyborach niespodziewanie wygrał outsider i Matamba nie był w stanie oddać długu.

Jednak ponieważ uwielbiał wygody, jakie można uzyskać za pieniądze, po wyborach nadal pożyczał od Freda. Ojciec Freda, bogaty angielski posiadacz ziemski, był zręcznym człowiekiem interesów. Nauczył syna, że jeżeli ktoś ci coś zawdzięcza, masz nad nim władzę.

Gdy Matamba zdał sobie sprawę, jak bardzo jest zadłużony u Freda Hanleya, odczuł prawdziwy szok. Wiedział również, że gdyby wieść o jego długach się rozeszła, mógłby utracić swoją polityczną wiarygodność i dostarczyć opozycji bicia na samego siebie.

Po lunchu Fred zasiadł z Matambą na werandzie i pokazał mu wykaz kwot, jakie pożyczał mu od lat. Nawet bez odsetek była to zatrważająca suma. Liczby zaciążyły Matambie na żołądku z taką samą siłą, jak nadmiar puddingu z kremem. Wiedział, że nie jest w stanie zwrócić pieniędzy.

Jednak sposób załatwienia tej sprawy zaproponowany przez Freda przerażał go jeszcze bardziej, niż ewentualna kompromitacja polityczna. Aby spełnić te żądania, musiałyby wymanewrować Tigere. Wielu już tego próbowało i niewielu przeżyło. Gdy ktoś stawał na drodze Tigery, wkrótce ginął na skutek nieszczęśliwego wypadku. A Matamba wcale nie pragnął powiększyć tej statystyki.

Fred Hanley cierpiał razem z Patem z powodu rzezi zwierzyny dokonanej w Ganyani. Znał jednak ludzi takich jak Tsvakai Tigera i wiedział, że jeżeli Pat nie skapituluje, straci Erina. Wydarzy się wypadek, ale żaden palec nie wskaże na Tigere. Erin był tak bardzo podobny do Scotta, że w głębi duszy Fred traktował go

jak zięcia. Kochał tego chłopaka tak samo, jak kochał i szanował Pata.

Wiedział również, że Karne i Ganyani są jak życiodajna krew płynąca w żyłach przyjaciela. Pat nie mógłby żyć bez swoich rancz pełnych dzikiej zwierzyny. Wolaliby umrzeć niż oddać ziemię, którą tak ukochał. Wobec tego on, Fred, zmusi Matambę, by przekonał Tigera do swojego planu.

Znalazłszy się już bezpiecznie w domu, Matamba poczuł, że żołądek mu się trochę uspokaja. Rozsiadł się w skórzanym fotelu przy biurku i zawołał o coca-cole. Żona popędziła spełnić jego życzenie.

Ze złością wyłączył wentylator. Wydawało mu się, że wirujące skrzydełka szepczą mu do ucha pożegnalne słowa Freda: „Zawiadom mnie, gdy będziesz miał jakieś wiadomości”.

Wypił colę jednym haustem, potem z zamykanej na klucz szuflady wyciągnął notes. On też miał długą listę, chociaż nie długów pieniężnych, lecz nazwisk ludzi, którzy byli mu winni przysługę. Zadzwoeni do niektórych. Nie lubił skreślać ze swojej listy nazwisk, ale wołał nie sprzeciwiać się Fredowi.

Cienie zaczęły się wydłużać i w gabinecie Matamby pociemniało. Przyszła żona, by zapalić lampę na biurku. Matamba był tak zamyślony, że ledwie to zauważył. Dwa razy próbował dodzwonić się do Tigera i za każdym razem sekretarka mówiła mu, że Tigera jest na zebraniu, ale po powrocie oddzwoni.

Matamba wiedział, że sekretarka kłamie'. Ponieważ w tajemnicy ją opłacał, rozumiał, że w rozmowach z nim kłamie tylko wtedy, gdy Tigera jest w pokoju, więc nie może swobodnie mówić.

– Powiedz panu Tigerze, że to nadzwyczaj ważna sprawa i musimy ją jak najszybciej omówić – nakazał. – Jeżeli chcesz dostać swój czek na koniec miesiąca, powiedz mu to natychmiast – dodał łagodnie, odłożył słuchawkę, oparł się wygodnie w fotelu i zaplótł ręce na brzuchu.

Teraz mógł chwilę odpocząć. Panika, którą czuł na myśl, że zmierzy się z Tigera mając puste ręce, odpłynęła. Jeden z jego informatorów właśnie mu powiedział o poufnej umowie między Tigera a pewnym dalekowschodnim konsorcjum.

Umowa dotyczyła zezwolenia na budowę hotelu i kasyna w Parku Narodowym Zambezi. Był to region, w którym rozciągał się wspaniały las deszczowy okalający Wodospad. Ustanowiono tu Światowy Zabytek Przyrody, by chronić bogate życie zwierzęce i roślinne, a także nieskalane piękno Wodospadu. Budowa hotelu w takim miejscu na pewno spowoduje protesty na całym świecie i wielkie kłopoty dla rządu. Gdyby było wiadomo, że Tigera jest w to wmieszany, straciłby swoją godną pozazdroszczenia pozycję i wiarygodność.

Informator powiedział Matambie, że konsorcjum zamierza nocą sprowadzić buldożery i inne maszyny, aby oczyścić z drzew potrzebną połąć ziemi, zanim ekologiczne grupy nacisku dowiedzą się o tym i zdążą zareagować. Gdy już drzewa zostaną usunięte, nic się nie da zrobić, by przywrócić miejscu jego dawny

wygląd. Wtedy logicznym wyjściem będzie wybudowanie kasyna i hotelu. Oczywiście konsorcjum da wszelkie gwarancje, że będzie chronić środowisko naturalne. Przecież takie przyrzeczenia łatwo dawać i jeszcze łatwiej łamać, nawet zanim ostatni podpis znajdzie się u dołu umowy.

Rozmyślając nad swoim planem, Matamba ułożył palce w wieżyczkę. W świecie karmiącym się przemocą i krwią zniszczenie małego obszaru lasu w środkowoafrykańskim kraju szybko zostanie zapomniane. Skoro gniewne okrzyki nie zdołały ocalić ogromnych połaci lasów deszczowych w Brazylii, protesty w sprawie Wodospadu zabrzmiały jak ciche szepty.

Tigera jest mądry, pomyślał Matamba. Ale czasami chciwość odbiera człowiekowi rozum. I teraz nareszcie Tigera odsłonił swoje słabe miejsce, na które mogę naciskać.

W rozmyślania Matamby wdarł się ostry dzwonek telefonu. Pochylił się nad biurkiem i chwycił słuchawkę. Na dźwięk twardego, metalicznego głosu Tigery wzdrygnął się i postanowił skorzystać z dopiero co uzyskanej informacji tylko wtedy, jeżeli wszystko inne zawiedzie.

– Przyjacielu – powiedział Matamba – jak to miło, że dzwonicz, chociaż jesteś taki zajęty.

– Dla przyjaciół mam zawsze czas – odparł Tigera akcentując słowo „przyjaciół”.

Matamba przez parę minut cicho i nalegająco wyniszczał sprawę. Gdy czekał na odpowiedź Tigery, pot zrosił mu czoło.

– Karne! Chcesz powiedzieć, że nie mogę dostać Karne? Wobec tego nasz plan co do Ganyani zawiódł – warknął Tigera.

Matamba poczuł, jak zaciska mu się żołądek. Chyba Tigera nie może go obwiniać za nieprzejeżdżanie Giffordów.

– Nie podporządkowali się ostrzeżeniom – tłumaczył. – Podczas meczu polo w ostatnią sobotę Pat Gifford wygłosił oświadczenie. Powiadomił wszystkich, że na jego ranczu przeprowadzono rzekomą kampanię przeciw kłusownikom. Powiedział, że to tylko wymówka dla wybicia jego stad i wyrzucenia go z rancza.

– Niemożliwe! – ryknął Tigera.

– Przysięgał, że on i jego syn pozostaną w Karne, a do Ganyani wprowadzą nowe stada.

– Doprawdy? – Tigera wprost wypluł to słowo. Matamba odsunął słuchawkę od ucha. W duszy podziwiał Pata Gifforda za postawę, jaką przyjął znajdując się na słabszej pozycji.

– Nie wygląda na to, by się bał, że utraci syna – powiedział.

– Przekłęty syn – wściekał się Tigera. – Jest tak samo szalony, jak ojciec. Mówi, że raczej umrze, niż odejdzie z rancz. – Nastąpiła długa chwila milczenia. – Może warto byłoby mu to ułatwić.

– Przyjacielu – odezwał się szybko Matamba – musimy porozmawiać. Mam plan, który mógłby nam obu przynieść ogromne korzyści.

I ja też, mój tłusty przyjacielu, pomyślał Tigera strzelając palcami, żeby podano mu cygaro. Sekretarka natychmiast spełniła żądanie. Przytrzymała mu słuchawkę przy uchu, podczas gdy on obcinał i przypalał cuchnący tytoń. Odwróciła głowę, jakby chciała pokazać, że nie słucha rozmowy telefonicznej.

Jeżeli wybicie zwierząt w Ganyani nie przekonało Giffordów, że mają stamtąd odejść, poprobujemy innych sposobów, postanowił Tigera. Żołnierze bez nóg wywierają na ludziach większe wrażenie niż martwe ciała. Może kudu wlokące wnętrzności w pyłe albo antylopa z okaleczonymi nogami czy służący z brakującymi kończynami zmieniają zapatrywania Giffordów.

Tigera dobrze rozumiał, jaką wagę mężczyźni przywiązują do bydła i dzieci, ale zwierzęta, pracownicy i służba istnieli tylko po to, by mogli być wykorzystani.

– Przepraszam cię na chwilę – powiedział. – Muszę coś załatwić – i wybiegł z pokoju.

– Mów dalej – poprosił, gdy po kilku minutach wrócił. Kąciki jego cienkich warg leciutko się unosiły.

Sekretarka bezwiednie zadrżała. Gdy Tigera uśmiechał się w ten sposób, na ogół w niedalekiej przyszłości zdarzało się coś strasznego.

Matamba głęboko odetchnął, zanim podjął rozmowę. Musiał przekonać Tigera. W spojrzeniu Freda Hanleya mówiącego o spłacie długów, wyczytał jednoznaczny wyrok.

– Mój stary przyjacielu – powiedział. – Niedługo wszyscy się dowiedzą, że kupiliśmy Karne i Ganyani. Języki są tak samo ruchliwe jak psi ogon. Nie byłoby dobrze, gdybyśmy byli unurzani w błocie, gdy do Harare przybędzie nowe poselstwo brytyjskie.

Przerwał i wziął głęboki haust powietrza.

– W kwestiach dotyczących pieniędzy niewielu może się z tobą równać. Ja nawet nie próbowałbym robić rzeczy, które tobie wychodzą tak dobrze. Ale – podkreślił następne słowa – tym razem mam dobry pomysł.

Tigera zdjął nogę z nogi i zaczął prostować zgniecenia na spodniach. Ciągle jeszcze musiał liczyć się z Matambą, którego N'debele bardzo szanowali. Potrafił uspokoić swoich współplemieńców i uciszyć ich szepty, czasami wznoszące się aż do krzyków, gdy jakiś Szona ich zdenerwował. Matamba był użyteczny. Tigera pozwalał mu uczestniczyć w niektórych z własnych interesów, chociaż zawsze pilnował, by nie odkryć do końca swojego planu.

– Zaproponujmy synowi Gifforda na własność ziemię, na której uzyska nową koncesję łowiecką. To inteligentny, młody człowiek; jest doskonałym myśliwym, a nowe wyzwanie sprawi, że zapomni o Karne i Ganyani.

Tigera pozwolił, by cisza coraz bardziej narastała. Matamba szybko mówił dalej,

nie chcąc słyszeć odmowy.

Pozwól, by Pat Gifford zorganizował teren do safari fotograficznego. Ma doświadczenie. Całe życie spędził w buszu. Będzie blisko syna. W ten sposób przestanie rozpaczać po Karne. I, co najważniejsze, udowodni się, że nie odebraliśmy mu ziemi. Mężczyzna nie odbiera jedną ręką, by natychmiast oddać drugą.

Tigera słuchał, ale nic nie mówił. Matamba uświadomił sobie, że go nie przekonał.

– Dzięki temu nie będziemy musieli płacić za Karne i Ganyani. Po prostu damy im nową ziemię. Ziemię nic niewartą dla nas, póki nie zostaną wytyczone drogi przez busz, wykopane studnie, zbudowane porządne obozy myśliwskie, zatrudniony i wyćwiczony personel. Niech oni zrobią za nas tę robotę. Gdy skończą, kto wie, co się może wtedy zdarzyć?

Tigera stukał złotym wiecznym piórem w słuchawkę. Był to ponury, irytujący dźwięk.

– Moglibyśmy ustalić, że koncesja fotograficzna ma być co jakiś czas odnawiana. Mielibyśmy do dyspozycji doskonale urządzone i zarządzane ranczo. Jednocześnie wykazalibyśmy się niezwykłą liberalnością. A w końcu pieniądze i tak spłyną do nas – zakończył Matamba.

Tigera uśmiechnął się. Złote zęby z przodu jamy ustnej za jaśniały w świetle rzucanym przez żyrandol wiszący u sufitu.

Ten pies N'debele udowodnił, że jest coś wart, pomyślał. Jego plan jest dobry. Gdy nadejdzie pora odnawiania koncesji fotograficznej, miliardier dobroczyńca z sokolim wzrokiem będzie już z powrotem w Ameryce, szczęśliwy, że dopomógł w zachowaniu naturalnego środowiska Afryki. A wtedy Pat Gifford może pracować dla nowego dzierżawcy koncesji albo się wynieść. Jednak wszyscy uznają, że wykonujemy uczciwie naszą pracę.

Być może, myślał dalej słysząc, jak Matamba sapie do słuchawki, być może tego N'debele nie będzie już tutaj i nie będę musiał dzielić z nim zysku. Te luksusy, w jakich żyje, nie służą mu. Za bardzo się roztył. Serce, tak jak osioł, przez jakiś czas wytrzymuje obciążenie, ale w końcu nie może pracować dłużej.

Na myśl o tym, że w przyszłości będzie miał te wszystkie pieniądze dla siebie, Tigera radośnie wyszczerzył zęby.

– To mądry plan, przyjacielu – powiedział. – Wiadomość o założeniu nowego terenu ochronnego spowoduje wielkie podniecenie wśród myśliwych i fotografów. Nawet Giffordowie zainteresują się tym obszarem, a także tym, kto będzie nim zarządzał.

Matamba odchrząknął z ulgą.

– Mam jeszcze jeden pomysł – powiedział ochryple. – Niech Fred Hanley zaproponuje to Giffordom. Pat ufa mu i najprawdopodobniej usłucha jego rady. Porozmawiaj z Hanleyem, a potem niech on już przekonuje Giffordów do

przeprowadzki.

– Tak zrobię zgodził się Tigera. – Spij dobrze, przyjacielu.

Tigera wstał i przeciągnął się. Był niski. Czubkiem łysej głowy zaledwie sięgał do ramienia Matamby. Jego wąska twarz i chude ciało nie sprawiały imponującego wrażenia. Nie miał królewskiej prezencji Matamby. Jednak w sprycie i przebiegłości Matamba nawet nie miał co myśleć o zrównaniu się z nim.

Było już za późno, by odwołać rozkazy. Niech się stanie, pomyślał. Ten Pat Gifford potrzebuje nauczki.

Zapadła noc. W ciemnościach rozpały się neony i krzykliwe światła, przemieniające Harare w hałaśliwy, wielobarwny cyrk, usadowiony nieopatrznie w zimbabwejskim buszu.

W umyśle Tigery wspomnienie o obrzydzeniu, jakie widział na twarzy Pata Gifforda, nadal jątrzyło się jak rana. Jednak nie zmieni decyzji. Plan okaleczeń będzie wprowadzony w życie. A Matamba nigdy się o tym nie dowie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Pat kręcił się na niskim, okrągłym stołku, ustawionym specjalnie dla niego w cieniu wielkiego tekowca. Musiał zgiąć swoje długie nogi, wystawiając spiczaste kolana ku niebu. Z doświadczenia wiedział, że za godzinę złapią go kurcze i będzie musiał zmienić pozycję. To, że nie potrafił zasiąść wygodnie na honorowym stołku, zawsze bawiło ludzi N'debele zgromadzonych, tak jak dziś, na indaba.

Rzucił okiem na Erina i pozazdrościł mu młodości i giętkiego ciała. Erin skulił się na ziemi, stopy stały płasko, a kolana trzymał pod brodą. Pośladkami zaledwie muskał ziemię. Pat wiedział, że Erin, tak samo jak N'debele, może siedzieć w tej niewygodnej, skurczonej pozycji przez całe popołudnie.

Przebiegł palcami po łysym czubku czaszki. Sheeba leżała z głową na jego nogach. Teraz spojrzała na niego i zmarszczyła czoło, jednak ludzie utrzymywali stosowny dystans wobec tego diabelskiego psa.

Pat obawiał się tego spotkania. Odkładał je tak długo, jak się dało, ale po rozmowie z Fredem Hanleyem wiedział, że nie może dłużej zwlekać. Murzyni powoli cichli. Matki przystawiały niemowlęta do pełnych piersi, starzy mężczyźni wkładali tabakę do nosa, uspokajano dzieci, kurczęta coś wydziobywały na zewnątrz kręgu ludzi.

Prostymi słowami Pat wyjaśnił, że razem z Erinem sprzedają Karne i Ganyani rządowi, bo sami nie mogą już dłużej walczyć z kłusownikami.

Tłum jednogłośnie westchnął i jęknął, jak zwierzę w agonii. Pat poczekał, by choć trochę otrząsnęli się z szoku.

– Jesteście moimi ludźmi – kontynuował. – Zawsze będę się wami opiekował.
– Zabrakło mu głosu, więc z trudem odchrząknął, zawstydzony takim pokazem uczuć.

– Rząd da nam nową ziemię. Erin będzie polował w pobliżu terenów safari Chete. Już nazwał swoje ranczo „Nowe Ganyani”.

Przerwał, bo Murzyni zaczęli wznosić radosne okrzyki i klaskać.

– Ja też będę miał nowy dom, koło Chizariry. Turyści będą tam przyjeżdżać z aparatami fotograficznymi, a nie z bronią. Będziemy potrzebowali ludzi do wytyczenia dróg, budowy obozów w buszu, a potem pracy w tych obozach: do gotowania, prania i prasowania. Wasze żony i dzieci zamieszkają w wiosce takiej, jak ta. I nazwę mój dom „Karne Dwa”. – Pat zamilkł, bo ze wzruszenia zabrakło mu głosu.

Jacob wstał i obserwował ludzi. Większość z nich urodziła się już tutaj, w Karne.

– Jesteśmy N'debele – powiedział. – Pochodzimy od wojowników N'guni z południa. Imię Mizilikazi nappełniało wszystkie serca strachem. Mizilikazi był mądrym i potężnym mężczyzną, mężczyzną, który wiedział, że czasami odejście z

ojczyzny jest czynem zarazem koniecznym i rozsądnym.

Jakiś stary mężczyzna z gęstą czupryną siwych loków podjął opowiadanie. Jego głos brzmiał jak poszum trzciny na wietrze, ale dochodził do wszystkich zgromadzonych na indaba.

– Voortrekkerzy z południowej Afryki zepchnęli Mizilikaziego na północ. Przeszedł rzekę Limpopo i ustanowił swoje królestwo przy Wzgórzach Matobo. Przerwał, a tłum śpiewnie prosił o kontynuowanie opowieści. Uwielbiali słuchać historyjek.

– Jego impi zdobyło ziemię i osiedliło się przy rzece Zambezi. Był prawdziwym mężczyzną.

Jacob przerwał staremu. Wiedział, że ba jarz, gdy już raz zacznie, może mówić godzinami.

– Mizilikazi był prawdziwym mężczyzną. Pójdziemy za jego przykładem. Skoro tak trzeba, zostawimy dotychczasowe życie za sobą i wybudujemy nowe Karne i nowe Ganyani dla pana Pata, Erina i nas samych.

To krótkie przemówienie zostało powitane okrzykami aprobaty. Kobiety głośno wyły, zbierając się w niewielkie grupki, a potem puściły się w taniec, wznosząc tumany kurzu bosymi stopami. Niemowlęta kołysały się im na plecach z boku na bok. Muchy wzbily się w powietrze i krążyły czekając, aż znów będą mogły powrócić do buź umazanych mlekiem.

Pat wstał, zadowolony, że ma wymówkę do rozprostowania nóg. Podeszedł do Jacoba i wziął go za rękę.

– Jesteś moim najlepszym przyjacielem i bratem – powiedział miękko. – Dziękuję ci!

Erin opuścił taneczny krąg, by być razem z nimi. Jonas ruszył za nim.

– Jacobie, czy ty i Jonas zostanieie ze mną? – spytał. – W nowym miejscu będę potrzebował waszych oczu i uszu.

Jacob spojrział na Pata. Był lojalny wobec obu Giffordów i teraz nie wiedział, co odpowiedzieć. Rozumiał też, że Pat, bez żony i dzieci, byłby bardzo samotny. Ale Pat skinął głową.

– Tak, pojedę z tobą. Rudo oczywiście zostanie z panem, panie Pat – zdecydował. Erin się roześmiał. Jacob kontynuował, a na jego twarzy malowała się powaga. – Pójdę z tobą pod jednym warunkiem. – Uśmiech zniknął z twarzy Erina i jego miejsce zajął wyraz troski. – Będę odwiedzał Karne i pana Pata co najmniej dwa razy w miesiącu.

– Chcesz przez to powiedzieć, że zamierzasz odwiedzać Rudo – zadrwił Pat.

– Ją także, panie Pat. Oczy kobiety robią się wielkie jak oczy kameleona, gdy jej męża nie ma w pobliżu. Zaczyna się rozglądać wkoło i kto wie, co może zobaczyć.

Pat i Erin głośno się roześmieli. Jonas zbliżył się, by posłuchać, co ich tak

rozbawiło.

– Jacob ma już dosyć synów, a teraz pragnie czterech córek, by dostawać hbola, gdy będą wychodziły za mąż – powiedział. – Pieniądze za córkę zawsze się mężczyźnie przydadzą.

– Nie miałbym nic przeciwko temu. Jednak już teraz wiem, że moi synowie zostaną tropicielami u Erina i jego synów.

Jacob roześmiał się złośliwie widząc, jak młody pan czerwieni się aż po uszy. Erin nie miał doświadczenia z dziewczętami ani kobietami. Wojna pozbawiła go radosnych doznań młodości, a pogłoski o AIDS, endemicznej chorobie afrykańskiej, odebrały mu cały apetyt na seks. Jego obawy były zbyt silne, by chciał, za przykładem swoich beztroskich rówieśników, nawiązywać przypadkowe znajomości.

Pat odwrócił się od swoich towarzyszy, by popatrzeć na Murzynów zgromadzonych na indaba. Ci bawili się coraz lepiej.

– Zachowują się jak Izraelici w drodze ku Ziemi Obiecanej, a nie jak ludzie wygnani ze swoich domów, zmuszeni do rozpoczęcia nowego, niepewnego życia – zauważył zdumiony.

– Jesteśmy N'debele, a nie Tonga – odparł Jacob, mając na myśli najbardziej prymitywne plemię Zimbabwe. – My, w przeciwieństwie do Tonga, nie musimy wykopywać drzew naszych przodków z ziemi i zabierać ich ze sobą. Nie potrzebujemy tego, bo i tak wiemy, że przodkowie są blisko nas.

Pat skinął głową. W Afryce zabobony zawsze czaiły się pod samą powierzchnią. Ewangelizacyjny trud misjonarzy i ta odrobina wykształcenia, jaką zdołali dać Murzynom, przysypały je zaledwie cienką warstwą piasku.

– Zabierzemy ze sobą wszystkie zapasy – powiedział nagle ze stanowczością godną wytrawnego biznesmena. – Spiszcie wszystko i dajcie mi znać, ile ciężarówek potrzeba. Musimy stąd wyjechać pod koniec zimy.

Jacob i Jonas przytaknęli bez słowa. Wiedzieli, ile kosztowały Pata te słowa.

_ Odczuwam w sercu smutek z powodu pana Pata powiedział Jonas patrząc, jak Pat obejmuje Erina i obaj odchodzą.

_ Życie nigdzie nie jest łatwe, a w Afryce jest wprost okrutne. Przeżywają tylko najsilniejsi. Pan Pat jest silny, a jego szczenie, Erin, będzie jeszcze silniejsze – odparł filozoficznie Jacob.

Pat i Erin zatrzymali się. Musieli teraz wyjść z cienia na ostre słońce.

Straciliśmy ziemię, czasy się zmieniły, pomyślał Pat patrząc na mieszkańców wioski wzbudzających w tańcu wiry kurzu. Ale ludzie są dobrzy. A z takimi ludźmi nadzieja nie umiera.

Przyspieszył kroku. Wkrótce śpiewy umilkły. Na busz opadł afrykański południowy upał, przygniatając go jak parowy walec.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Mężczyźni, ukryci w wysokiej trawie, zaczęli się niecierpliwić. Noc była zimna. Piaszczysta ścieżka wiodąca do wioski, w której mieszkali pracownicy Karne, bieliła się w świetle księżyca jak wnętrzości antylopy, którą częściowo wypatroszyli.

To byli ludzie Tigery, zdziczały produkt wojny domowej. Zadawanie bólu sprawiało im rozkosz.

Rudo mocniej przycisnęła do siebie emaliowany garnek z potrawką i ryżem. Pat nalegał, by zawsze, gdy zostawała u niego do późna, zabierała z jego kuchni kolację dla dzieci.

Idąc, oświetlała sobie latarką raz jedno poboczne, raz drugie. Modliła się, by w świetle nie ukazały jej się żadne czerwone albo żółte oczy. Na ogół Erin odwoził ją wieczorem do wioski, ale dziś na kolację przyjechali państwo Hanleyowie i mieli spędzić u Giffordów również noc. Rudo, nic nikomu nie mówiąc, wysliznęła się z kuchni. Nie chciała przeszkadzać zaprzyjaźnionym rodzinom, więc zdecydowała pójść do domu sama. Przecież to niedaleko.

Ludzie Tigery zastygli, widząc światło latarki kołyszące się nad ścieżką.

– Idzie pieszo. Będzie łatwo – stwierdził dowódca. – Nie trzeba szukać jej w wiosce.

Zamiast czekać w zasadzce, wyszli na ścieżkę i zablokowali drogę.

Rudo zobaczyła ich. Rzuciła garnek i odwróciła się, by uciekać, ale z tyłu też na nią czekali. To właśnie uwielbiali: łapanie w pułapkę zwierzęcia albo człowieka. Ze zwierzętami sprawa była prosta. W nocy zastygały, schwyte w mocny strumień światła lamp bulala, prawnie zabronionych do polowań. Natomiast ludzie dostarczali lepszej zabawy. Krzyczeli, błagali o litość i obiecywali wszystko, byle tylko puszczono ich wolno.

Rudo nic takiego nie zrobiła. Chwyciła mocniej latarkę i skierowała światło w twarze napastników.

– Bere – powiedziała. – Przychodźcie w nocy jak hieny. Czuję wasz odór i zbiera mi się na mdłości. Jesteście na usługi każdego, kto wam zapłaci. Za pieniądze zabilibycie wasze matki. Bere mają większe poczucie honoru niż wy.

Mężczyzna, na którego twarzy skoncentrował się promień latarki, wrzasnął wściekle:

– Bulala! Zabijcie ją!

Skoczył do przodu. Rudo obiema rękami uderzyła latarką, wkładając w to całą siłę. Cios trafił go w lewą skroń i uszkodził oko.

Ryk bólu i złości, jaki wydał, pobudził pozostałych ludzi do działania. Zanim Rudo zdążyła uderzyć jeszcze raz, przycisnęli jej ręce do boków i rzucili ją na ziemię.

– Bere! – krzyknął ranny. – Mówisz, że jesteśmy hienami?

Wyciągnął z kieszeni nóż. W świetle księżyca tańczącego po ostrzu stał za jaśniała cudowną srebrzystością. Mężczyzna ukląkł nad Rudo, a krew z jego twarzy spłynęła w jej oczy.

Nóż opadł.

– Już nigdy nie nazwiesz żadnego mężczyzny bere – powiedział. Odciął jej wargi i włożył nóż do jej ust, by wyciąć język.

Rudo chciała krzyczeć, ale jej usta wypełniły się krwią. Słyszała szelest rozdieranej bluzki. Mężczyzna włożył rękę pod materiał i znalazł pełne piersi.

– Ani nie będziesz karmiła dzieci. Już nigdy żaden mężczyzna nie będzie chciał z tobą być, a na twój widok każde dziecko ucieknie.

Ból wreszcie zwyciężył i uwolnił Rudo od słuchania tego głosu. Wszystko stało się czarne, pozostał tylko zapach jej własnej krwi.

Nagle z oddali dobiegł warkot silnika. Przerażeni mężczyźni zaczęli się rozglądać. Dowódca skoczył na równe nogi. Wytarł zakrwawiony nóż o nogawki spodni. Wysoka trawa zamknęła się nad napastnikami.

Erin, pogwizdując, prowadził toyotę po wybojach. Dojechał już prawie do wioski, ale nigdzie nie widział Rudo. Pewnie bezpiecznie dotarła do domu. Przy tych nielicznych okazjach, gdy wracała sama, on i Pat zawsze się o nią bali. Prawie co noc hieny krążyły wokół wioski, kradnąc zepsute mięso i odchody. W nocy były zuchwałe. Samotnego wędrowca mógł zaatakować również lew. Tego wieczoru, gdy Erin wstąpił do kuchni po Rudo, okazało się, że już wyszła. Postanowił więc pojechać za nią samochodem i upewnić się, że dotarła szczęśliwie do domu.

Nagle zauważył jakieś ciało leżące na ścieżce. Nacisnął gwałtownie na pedał hamulca, bo przed oczami stanęła mu rzeź w Ganyani.

– Boże, nie pozwól, by zrobili to samo tutaj – szepnął. Pobiegł do rozciągniętego na ziemi ciała. Gdy się zbliżył, rozpoznał jaskrawy, kwiecisty materiał spódnicy, którą Rudo miała dziś na sobie. Opadł na kolana i uniósł do góry jej twarz.

– Nie! – krzyknął. – Wracajcie, dranie! Zabiję was!

Pobiegł do samochodu po broń, którą zawsze woził ze sobą. Włączył przednie światła na pełną moc i oświetlił ponurą scenę, ale zaraz odrzucił strzelbę na siedzenie.

Ty głupcze, pomyślał. Rudo potrzebuje pomocy. Później poszukamy tego potwora, który to zrobił.

Ostrożnie wziął Rudo w ramiona. Był silny, ale chwiał się niosąc ją do toyoty.

Delikatnie ułożył ją na boku, upewniając się, że jej głowa nie będzie się kołysała i że nie udusi się własną krwią. Zapalił silnik i już miał zawracać, gdy jego wzrok padł na jakiś mały, ciemny przedmiot, leżący na zakrwawionej ścieżce.

Chwycił strzelbę i pobiegł zobaczyć, co to jest. Na widok dwóch ciemnych

plasterków zastygł w szoku, ale zaraz się opanował. Wyciągnął chusteczkę i owinał odcięte wargi Rudo w zaplamiony olejem silnikowym materiałem.

Gdy wniósł Rudo do domu, Hanleyowie i Pat usiłowali ukryć przerażenie. Zrobili, co mogli, by zatrzymać krwawienie, ale wiedząc, że potrzebna będzie operacja, obawiali się podawać środki przeciwbólowe.

Fred zatelefonował do pewnego chirurga w Harare, który winien mu był przysługę. Specjalista zgodził się przyjechać natychmiast do Bulawayo. Nakazał przywieźć Rudo na ostry dyżur do szpitala ogólnego, skąd ją zabierze do kliniki Matki Bożej, najlepszego szpitala w kraju, gdzie ją zoperuje.

– Sztuka delikatnej perswazji. – Pat zwrócił się gorzko do Freda Hanleya. –Niestety, odkryli, że okaleczenia są bardziej przekonujące niż śmierć. Czy nie mogli poczekać, aż powiesz im, że przyjmujemy ich ofertę?

– Okaleczenie bardzo szybko doprowadza człowieka do zmiany zdania –przyznał Fred.

– Nie mogę pozwolić, by robili to moim ludziom – oznajmił Pat spokojnie. – Wyjedziemy z Karne przed końcem miesiąca. Nie możemy czekać do wiosny. – Popatrzył na Rudo i w jego oczach zabłyśły łzy. Fred odwrócił się.

Położyli Rudo na polowym łóżku i Fred zawiózł ich na pas startowy. Kilka minut później samolot był w powietrzu, unosząc Erina, Pata i Rudo do szpitala w Bulawayo.

– Briar jest potrzebna tutaj – szlochała Blanche. Fred odprowadzał samochód z pasa startowego. – Podczas wojny pracowała jako ochotniczka w szpitalu. Może zaopiekować się Rudo. Wiadomo, że w szpitalach zawsze brakuje pielęgniarek. Rudo umrze, jeżeli nie będzie miała prywatnej pielęgniarki.

Fred zawrócił samochód i pomknął z powrotem na pas startowy. Blanche musiała przytrzymać się deski rozdzielczej, bo na chwilę straciła równowagę.

– Fred! Co robisz?

– Jadę po Briar. Mam dość benzyny, żeby dolecieć do obozu Maddena. Tam mogę zatankować.

Blanche chwyciła go za ramię.

– Jak wylądujesz w ciemności? Złość wyostrzyła umysł Freda.

– Gdy znajdę się w powietrzu, wezwę Maddena przez radio. Może ustawić samochody na obu krańcach pasa i włączyć światła, a po bokach personel rozpali ogniska.

Blanche bała się. Fred wziął ją za rękę.

– Pomyśl, jak szczęśliwie się składa, że odwołano zakaz latania w nocy. Pat wiezie Rudo do szpitala. Ja mogę polecieć po Briar. Jeszcze niedawno nie moglibyśmy tego zrobić.

– Lecę z tobą – powiedziała Blanche.

– Kochanie, proszę cię, byś natychmiast pojechała do wioski i zawiadomiła

Jacoba o wypadku Rudo. On i Jonas muszą odnaleźć ślady tych świń dla Pata i Erina.

Blanche skinęła głową. Wiedziała, że Fred ma rację, ale bała się i chciała być z nim. Chyba wyczuł jej lęk, bo pochylił się i pocałował ją w policzek.

– Powiedz Jacobowi, że Rudo żyje i zrobimy wszystko, by zapewnić jej opiekę.

Już wsiadając do samolotu krzyknął:

– Każ Jacobowi zabrać strzelby, których używa polując z Erinem. Tych ludzi trzeba potraktować jak uzbrojonych kłusowników. W razie potrzeby Jacob i Jonas mogą ich zabić.

Odpowiedź Blanche zagubiła się w warkocie silnika. Odwróciła twarz od fruwających kamieni i trawy. Gdy samolot uniósł się w powietrze, Fred zobaczył światła podskakujące na wyboistej drodze.

– Dzielna kobieta – szepnął i skoncentrował uwagę na instrumentach pokładowych.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kirk Madden rozlokował swoich klientów w kryjówce i teraz, zachowując ciszę, czekali na lamparta. Spiorunował wzrokiem Marka, który uniósł rękę, by zabić komara. Marco zastygł, a ssawka komara przebiła miękką skórę u podstawy karku i owad bezkarnie wysysał jego krew.

Gdy rodzina dyskutowała o tym przy kolacji, siedząc wygodnie wokół stołu, polowanie na lamparta wydawało się Markowi podniecające. Jednak nie wyobrażał sobie, jak okropnie będzie godzinami wyczekiwać na zwierzę w niewygodnej pozycji, bez możliwości poruszenia się. Coraz bardziej nie cierpiał Kirka, którego teraz uważał za sprawcę swoich tortur. Jaką szkodę mógłby spowodować drapiąc miejsce, w które ugryzł go komar? Siedzieli schowani pod liściastymi gałęziami kryjówki. Czy jakikolwiek lampart mógłby zauważyć, że on się drapie po karku?

Marco rzucił ukradkowe spojrzenie na zegarek. Znajdowali się tu już od trzech godzin. Zmusił się, by przestać myśleć o niewygodach i spróbował skoncentrować się na wyobrażeniu ciemnego konturu lamparta kołyszącego się na gałęziach i próbującego dosięgnąć przynęty.

Połówkę impali, która zastąpiła zgniłą nogę bawołu, umieszczono kilka centymetrów poza zasięgiem łap lamparta. Lampart będzie musiał położyć się na gałęzi, by zaczepić mięso pazurami i ściągnąć je na dół, a to da myśliwym czas na wycelowanie i strzał.

Słońce zachodziło. Plamy światła, przefiltrowywane przez liście do kryjówki, zaczęły blednąć. Marco nie widział już wyraźnie ani Kirka, ani ojca. Nagle poczuł się osamotniony i bezradny. Tropiciele zabrali landrovera i zaparkowali go daleko od kryjówki. Wróć dopiero wtedy, gdy usłyszą strzały.

Słońce ześliznęło się pod horyzont i w buszu nastąpiła cisza. Wydawało się, że wszystko, co żywe, wstrzymuje oddech, czekając na przybycie nocnych stworzeń. W pewnej chwili ciszę rozdarł żałosny krzyk lelka. Mężczyźni łapali uszami każdy odgłos. Nagle usłyszeli coraz niższe tony. Przybliżyły się, aż wreszcie umilkły.

Guido, nie poruszając głową, spojrzał na syna. Czoło i kark Marka ociekały potem. Wystrzelimy jednocześnie z nim, tak jak proponował Kirk, postanowił.

Bez trudu zasklepimy dodatkowe otwory od kul. Marco nie zauważył ani ich, ani huku naszych wystrzałów, a będzie szczęśliwy, że dostał lamparta.

Do kryjówki dobiegł niski odgłos kaszlu, a potem wciąganego powietrza. Rozległ się tak blisko, że Marco poczuł się tak, jakby zwierzę znajdowało się razem z nimi w kryjówce. Przycisnął nogi jedną do drugiej.

Do diabła, pomyślał Kirk. Lampart wybrał dziś inną drogę do przynęty na drzewie. Tropiciele znaleźli ślady na silnie zadrzewionym obszarze w pobliżu drzewa. Lampart wygniótł sobie tędy przejście. Byli pewni, że potem wróci tą samą drogą. Te wielkie koty podchodziły do przynęty ostrożnie i na ogół szły do niej z gęstego

buszu.

Jednak ten lampart zrezygnował z poprzednio wybranej ścieżki i cicho minął kryjówkę. Musiał nas wyczuć, pomyślał Kirk.

Nie było potrzeby ostrzegać Marca gestem, bo on już wstrzymywał oddech wysilając słuch, by usłyszeć następne kaszlnięcie. W każdej chwili spodziewał się, że kryjówka rozpadnie się i lampart ich zobaczy.

Guido i Kirk czekali. Marco marzył tylko o tym, by zerwać się z krzykiem i wystraszyć lamparta tak, by skoczył w busz. Po co dopraszał się możliwości zastrzelenia wielkiego kota? Wtedy nie przyszło mu nawet do głowy, że napięcie będzie nie do wytrzymania. Teraz był pewny, że lampart, ze swoimi przerażającymi pazurami, które dowolnie mógł wysuwać, wie, że oni są tutaj, w kryjówce.

Marco słyszał łomot swojego serca, głośny jak bębny, od których nocami drżała ziemia. Jego ręce, złożone na strzelbie, drżały. Z ulgą pomyślał, że w kryjówce jest za ciemno, by ojciec zauważył, jak bardzo się boi. Nie czuł już swędzenia od ugryzień komarów ani czarnych mrówek, które wchodziły pod nogawki spodni i gryzły go w łydki. Wytrzeszczał oczy, by jak najszybciej zobaczyć ciężkie ciało wspinające się na gałąź, pod którą wisiała przynęta. Chciał wiedzieć, co w tej chwili robi lampart. Nie wytrzyma już ani chwili bez ruchu i w milczeniu, podczas gdy drapieznik kręci się koło kryjówki.

Nagle zaalarmował go dźwięk podobny do ostrzegawczego syku węża. Coś wspinało się na drzewo. To był lampart, który uznał, że teren jest bezpieczny i teraz zamierzał dobrać się do mięsa.

Marco poczuł kurcze w żołądku, jakby miał zaraz zwymiotować. Teraz powinien trafić w zwierzę, ale ledwo widział je na tle ciemniejącego nieba. Patrząc wzdłuż strzelby, stwierdził z ulgą, że lampart jest nie tylko wielki, ale i odznacza się wyraźnie.

Uprzednio Kirk przywiązał strzelbę w nadziei, że to pomoże Markowi trzymać ją sztywno, a odrzut będzie słabszy. Znów rozległ się syk. Marco zacisnął palce wokół języka spustowego. Wziął spazmatyczny oddech, zatrzymał powietrze w płucach i strzelił. Po chwili otworzył oczy w nadziei, że ojciec nie widział, jak je zamyka pociągając za spust.

Wszystkie trzy strzały zlały się w jeden głośny wybuch. Lampart ryknął i spadł z gałęzi, uderzając w ziemię z przyprawiającym o mdłości łomotem. Marco zadrzał, gdy wielkie zwierzę rozerwało krzaki, w paroksyzmie bólu i wściekłości, rozszarpując je pazurami. Upłynęła długa chwila, zanim umilkły ryki spowodowane przez cierpienie i złość.

– Dostałem go! – krzyknął Marco w upojeniu i spróbował wstać.

– Siedź! – warknął Kirk. – Nikt się nie rusza aż do przyjazdu samochodu.

Potrzebujemy świateł i tropicieli.

- Przecież jest martwy! Słyszałeś, jak spada – protestował Marco.
 - Wiesz, ilu głupców zginęło, bo słysząc, jak lampart spada, poszli po skórę? Guido położył dłoń na ramieniu syna. Rozumiał ulgę, jaka nadchodzi po godzinach kulenia się w bezruchu, z nerwami napiętymi do granic możliwości, a także podniecenie po zabijaniu.
 - Kirk ma rację. Czekaj!
- Guido siedział spokojnie aż do chwili, gdy światła samochodu oświetliły kryjówkę. Wtedy wstał, podszedł na krawędź ambony i rozpiął spodnie.
- Stań przy wejściu. Nie wychodź – ostrzegł go Kirk.
- Z rodziną Andrettich nie użyje już tej kryjówki, więc zapach moczu Guida nie ma znaczenia.
- Zostańcie tutaj, dopóki was nie zawołamy – rozkazał.
- Tropiciele i Kirk wzięli mocne latarki na baterie i ostrożnie podeszli do drzewa.
- Ale... – Marco był zbyt podniecony, by słuchać poleceń. Guido uniósł dłoń.
 - To on jest łowcą. Bądź posłuszny.
- Guido i Marco patrzyli za mężczyznami, którzy podeszli do drzewa. Lampy migotały jak świetliki. Tropiciele weszli w busz i wysoką trawę.
- Nie znaleźli lamparta – powiedział Guido wkładając nabój do sztucera.
 - Przecież musi tu być. Słyszeliśmy ryk i odgłos upadku – upierał się Marco.
 - Ale nie widzieliśmy ani nie słyszeliśmy, jak wślizguje się w busz z kulami w ciele.
- Marco popatrzył bacznie na ojca.
- Z kulą– szybko poprawił się Guido.
 - Jest! – Donośny okrzyk Kirka przerwał ciszę, jaka zawsze następuje po morderstwie. Światła lamp były teraz nieruchome i skoncentrowane na czymś, co znajdowało się w wysokiej trawie.
- Marco stęknął i spojrzał na lamparta leżącego na pylistej ziemi. Był to wspaniały samiec.
- Doskonały okaz! – powiedział Kirk, wyciągając rękę do Marka. – Od czubka głowy do końca ogona ma co najmniej siedem stóp, a może i więcej.
 - Maria będzie zachwycona – ucieszył się Guido. – To pierwsza ze skór na jej kurtkę. Kolor jest bardzo dobry. Spójrzcie, jak te czarne plamki odznaczają się na płowożółtym futrze.
- Marco uklęknął i przesunął palcami po wąsach lamparta. Chociaż śmierć ugasiła ogień w oczach zwierzęcia, nadal jaśniały złowrogą żółcią. Marco zapragnął tego kota dla siebie. Był pierwszym z jego Wielkiej Piątki. Matka może sobie zdobywać inne skóry i inne kurtki. Właśnie miał o tym powiedzieć, gdy odezwał się ojciec. Guido miał już na swoim koncie lwa, słonia, lamparta, bawołu a nawet nosorożca.
- Marco, oddam ci dwa lamparty z mojej własnej licencji na odstrzał. Możesz

je zabić. Mnie już na tym nie zależy, a w ten sposób kurtka będzie prezentem syna dla matki.

– Dziękuję, tato. – Marco przełknął rozczarowanie. Nie potrafił się zdobyć na sprzeciw wobec głowy rodziny Andrettich.

Wkrótce tropiciele wyłożyli tył landrovera naręczami trawy. Po śmierci lampart zostanie potraktowany z szacunkiem. Nikt nie chciał, by jego cenna skóra została uszkodzona.

Już zmyto krew z futra i zasklepiono otwory po kulach. Markowi powiedziano, że jego nabój najprawdopodobniej trafił w kość i zrykoszetował, wydzierając dwa otwory w skórze. Ale Kirk i Guido wiedzieli doskonale, że te dwie dziury po kulach pochodziły od ich strzałów. Marco chybił i jego kula poleciała albo ponad, albo pod zwierzęciem.

Kirk zmuszał się do wolnej jazdy, żeby martwy lampart nie podskakiwał na wybojach, bo to mogłoby spowodować wypływ krwi, która zaplamiałaby futro. Jednak co chwilę spoglądał na zegarek. Tej nocy miał zakosztować rozkoszy zarówno z Marią, jak i jej córką, Tomasiną.

Kobiety usłyszały niski pomruk silników landrovera wjeżdżającego wolno do obozu. Zerwały się ze swoich foteli, ustawionych wokół ogniska, i popędziły pod krytą strzechą wiatę, gdzie Kirk zaparkował samochód.

Guido i Marco pierwsi wyszli na spotkanie kobiet i opowiedzieli im o lamparcie. Maria z radości klaskała w dłonie.

– Moja kurtka! Och, synu, jestem z ciebie taka dumna. Dziękuję ci! – Objęła Marka, ale zaraz zmarszczyła nos i odepchnęła go. – Co to za zapach? – spytała.

– To zapach krwi – odpowiedział Guido i poprowadził ją do landrovera.

– I śmierci – dodał Kirk, oświetlając lamparta lampą. Delikatne białe futro na jego piersi i podbrzuszu drżało łagodnie, poruszane zimnym wiatkiem. Maria przebiegła palcami wzdłuż długiego ogona. Uśmiechnęła się i przytuliła twarz do jego czarnego koniuszka. Tara odwróciła wzrok. W tym geście było coś obscenicznego.

– Jest taki potężny – zachwyciła się Maria. Tomasina przytaknęła, chociaż nie miała ochoty dotykać martwego zwierzęcia.

– Był potężny za życia – powiedziała Tara. – Teraz jest już tylko górą mięsa. Jutro zacznie śmierdzieć.

– Jutro zdejmie się z niego skórę. Sępy oczyszczą kości i mama będzie miała pierwszą skórę na swoją kurtkę – odezwał się Guido spokojnie, choć stanowczo.

– Mamo, czy nie wystarczą ci twoje norki i sobole? – spytała Tara.

– To zwierzęta hodowlane jak krowy czy kozy, cara. Wszyscy mogą je mieć. A ja chcę czegoś odmiennego. Chcę mieć pocętkowaną skórę. Słyszałaś tatusia. W tym kraju lampartom nie grozi wyginięcie.

Guido podszedł do Tary.

– Wracaj z Briar do ogniska – nakazał głośno. – Tu jest zimno. – Potem dodał szeptem: – Nie psuj mamie radości z jej pierwszej lamparciej skóry.

Tara wzięła Briar pod rękę i obie wróciły na swoje fotele przy ogniu.

Briar naląła Tarze jeszcze jedno piwo i postawiła obok niej talerzyk z krążkami zielonych smażonych bananów. Dodała do tego miseczkę smażonych muszek mopane. Wiedziała, że jeżeli same tego nie zjedzą, personel nie zostawi ani odrobiny.

Kirk wyszczeniwał rozkazy. Nakazał tropicielom, by ostrożnie podnieśli lamparta i zanieśli do szopy, w której zdejmowano i konserwowano skóry. Maria przyglądała się wszystkiemu lśnącymi oczami, usta miała rozchylone. Oddychała urywanie, jak przy uprawianiu miłości. Martwy lampart ją podniecił. Podeszła do Kirka.

– Niech cię uściskam w podzięcie – powiedziała. Guido i Marco z uśmiechem obserwowali jej entuzjazm. – Wieczorem – szepnęła.

– Chyba wezmę prysznic. Cuchnę jak mbada – oznajmił Kirk.

Jego głos był ochrypliwy. Maria go podnieciła. Musiał oddalić się od Guida i Marka. Nie mógł dopuścić, by zaczęli coś podejrzewać.

Był z siebie bardzo zadowolony. Polowanie na lamparta okazało się udane. Uszczęśliwił Andrettich. Wiedział, że gdy Guido zaśnie, Maria udowodni mu swoją radość. Zapomniał o spotkaniu umówionym z Tomasina na dwunastą w nocy.

Briar obserwowała Kirka zbliżającego się do ogniska. Włosy miał wilgotne po prysznicu, roztaczał miłą woń płynu po goleniu. Wydał jej się jeszcze bardziej arogancki niż zwykle. Z trudem znosiła jego bliskość i zawsze starała się tego unikać. Odzywała się do niego monosylabami i tylko wtedy, gdy było to konieczne.

Gdyby potrafiła znaleźć jakąś wymówkę, która nie wywołałaby podejrzeń rodziców, skontaktowałaby się z ojcem i poprosiła go, żeby przyleciał do obozu i zabrał ją do domu. Ale ojciec nie był głupcem. Dziwiłby się, dlaczego nie chce zostać do końca umówionego z Kirkiem terminu. Wymyślała dziesiątki wyjaśnień, ale żadne nie było dobre. W końcu postanowiła nie dawać Kirkowi satysfakcji i nie uciec od niego. Odjedzie z Andrettimi tak, jak było zaplanowane.

Życie w obozie stało się łatwiejsze, gdy zaprzyjaźniła się z Tarą. Obie szybko odkryły, że mają ze sobą wiele wspólnego. Tara z przyjemnością słuchała opowiadań Briar o tym, jak wychowywała się w afrykańskim buszu. Była nienasycona w pragnieniu poznawania obyczajów zwierząt. Szybko nauczyła się nazw drzew i niskich roślin, zarówno w sindebele, jak i po łacinie.

Briar cieszyła się ze swojej roli starszej siostry i zarazem nauczycielki. Długie godziny pogawędek z Tarą sprawiały jej prawdziwą przyjemność. A Tara z radością poznawała historię Rodezji, jak nazywano ten kraj do roku 1980, kiedy to stał się niezależną Republiką Zimbabwe.

Obie młode kobiety połączyła również antypatia wobec Kirka Madden Tara nazywała go Romeo Madden i uważała za nędznego żigolaka. Instynktownie przeczuwała, że między Kirkiem a Briar coś się wydarzyło, chociaż ta niechętnie mówiła o swoim pracodawcy. Tara spokojnie czekała na zwierzenia.

Teraz obie młode kobiety grzały ręce przy ognisku. Żadna z nich nie spojrzała na Kirka, gdy przechodził obok nich. Wezwano go do chaty, w której trzymano radiostację. Kilka minut później wybiegł stamtąd pędem.

– Cholerny Hanley! – wykrzykiwał. – Cała ta cholerna rodzina zawsze sprawia kłopoty! Po co on tu przylatuje?!

– Wygląda jak kwoka, która straciła swoje ostatnie piskłę – szepnęła Tara do Briar. – Mówienie do siebie to pierwsza oznaka szaleństwa – dodała głośniejszym głosem, gdy Kirk się do nich zbliżył.

Kirk umilkł. Zapomniał, że obie kobiety siedzą przy ogniu. Rzucił ostre spojrzenie Briar.

– Twój ojciec zaraz przyleci po ciebie – z satysfakcją stwierdził, że Briar zbladła.

– Co się stało? Dlaczego? – szepnęła. To na pewno mama, pomyślała. Nic innego nie zmusiłoby ojca do nocnego lotu.

Kirk nie odpowiedział. Był szczęśliwy widząc lęk Briar. Wezwał służbę i kazał przygotować samochód, który pojedzie na pas startowy, wybrał też mężczyznę do dawania sygnałów świetlnych. On sam pojedzie landroverem.

– Odpowiedz! – krzyknęła Tara. – Dlaczego jej ojciec tu przylatuje?

Kirk zobaczył, że Marco i Guido, usłyszawszy podniesiony ton Tary, wychodzą ze swojej chaty.

– Ktoś z jego personelu miał wypadek – powiedział obojętnie. – Chyba są bardzo zmartwieni.

– Więc po co tu przylatuje? – spytała Tara. Zamierzała wyjaśnić sprawę dla przyjaciółki.

– Chyba chcą, żeby Briar pomogła pielęgnować tę osobę. Zapomnieli, że ma pracę tutaj – warknął Kirk.

Oczy Briar rozgorzały i Kirk cofnął się o krok. Wolał, żeby nie powtarzała swojego wyczynu, bo jeszcze pamiętał ból, jaki mu zadała. A dziś w nocy musiał być sprawny.

– Nie mam wobec ciebie żadnych obowiązków, Kirk – powiedziała Briar lodowato.

Marco i Guido dołączyli do grupy przy ognisku. Nie rozumieli, dlaczego w tonie Briar brzmi nieukrywana wrogość.

– Wyjeżdżam, gdy tylko ojciec przyleci. Wypląć mi pensję. Za całe trzy tygodnie.

– Ale...

– Nie masz innego wyjścia. Pełna pensja albo... – Briar pozwoliła, by groźba zawisła w powietrzu.

Dobrze – zgodził się Kirk.

– Nie, zmieniłam zdanie. Zapłać mi za cały miesiąc. Za cztery tygodnie. Zasłużyłam sobie na to.

Kirk już chciał zaprotestować, gdy odezwała się Tara:

– Z całą pewnością ma do tego prawo.

Kirk przeraził się. Czy Briar opowiedziała Tarze o gwałcie? Był pewien, że wstyd zamknie jej usta, ale te kobiety tak się zaprzyjaźniły... Nie mógł sobie pozwolić na otwartą konfrontację z Briar w obecności Andrettich. To wpływowi ludzie i mogą go polecić innym bogatym klientom.

– Dobrze, pensja za cały miesiąc – zgodził się.

– Briar, będzie nam cię brakowało – odezwał się Marco. – Byłaś dla nas wszystkich cudowna.

Tara odeszła od nich i stała teraz sama w ciemnościach.

– Jadę z Briar. Nie wracam do Mediolanu – oznajmiła.

– Co takiego?! Zostaniesz tu z nami! – krzyknął Guido. W jego rodzinie kobiety zawsze były posłuszne mężczyznom.

Tara usłyszała stanowczość w jego głosie i szybko zmieniła taktykę. Pobiegła z powrotem do ognia, objęła ojca w pasie i położyła głowę na jego ramieniu.

– Proszę, tato. Tak bym chciała spędzić tu trochę więcej czasu. To taki cudowny kraj i pragnę go lepiej poznać. Briar będzie się mną opiekowała. I obiecuję, że co tydzień do ciebie zadzwonię.

Guido potargał jej włosy. Nie potrafił długo gniewać się na młodszą córkę.

– A pytałaś Briar, czy chce, byś z nią jechała?

– Nie. Ale jej rodzina potrzebuje kogoś do pielęgnowania chorego, a ja jestem wyszkoloną pielęgniarką. Pozwoliłeś mi iść na kurs, gdy jeszcze nie byłam pewna, co chcę robić w życiu.

– To tylko wymówka, jakiej użyłaś, gdy wydawało ci się, że jesteś taka zakochana w tym swoim Romeo, który studiował medycynę.

Tara zachichotała i mocniej przytuliła się do ojca.

– Miałaś wtedy rację, tato. On nie był dla mnie odpowiedni. Ale moja pięcioletnia praktyka w ścieleniu łóżek i robieniu zastrzyków teraz na pewno się przyda.

– Panie Andretti, proszę, niech pan jej pozwoli jechać ze mną. – Briar przerwała długą ciszę. – Potrzebuję pomocy. Nie jestem wykwalifikowaną pielęgniarką, więc umiejętności Tary będą bardzo cenne. Moi rodzice ją pokochają. Obiecuję, że będę ją trzymała z daleka od wszystkich lekarzy, czy to przystojnych, czy też nie – dodała.

Guido spojrział na Briar. Jej twarz w świetle księżycy była łagodna i urocza.

Instynktownie jej ufał, więc gdy uśmiechnęła się do niego, skinął głową.

– Niewielu osobom powierzyłbym Tarę – powiedział. – Zwłaszcza, gdy będzie tak daleko od nas i w obcym dla siebie kraju. Ale wiem, że z tobą i twoimi rodzicami będzie bezpieczna. – Położył ręce na ramionach Briar i delikatnie pocałował ją w policzek. – Niech cię strzeże Najświętsza Panienska.

Marco patrzył na ojca ze zdumieniem. Na ogół jego ojciec nie okazywał uczuć osobom spoza rodziny.

Chwilę później przyszyły Maria i Tomasina i zaczęły rozprawiać o decyzji Guida. Łzy mieszały się ze śmiechem, gdy wszyscy żegnali się z Tarą.

Tara pobiegła do chaty, by się spakować. Potem wrzuciła walizki do landrovera. Briar na chwilę zatrzymała się w kuchni i wyjaśniła służbie, dlaczego ona i Tara wyjeżdżają, po czym obie wsiadły do samochodu i czekały na Kirka, który nadchodził powoli i nonszalancko.

– Pospiesz się! – krzyknęła Briar. – Ojciec będzie potrzebował dużo świateł. Kirk już zapalał samochód, gdy przybiegli Guido i Marco.

– My też jedziemy – wołali. Guidowi nie było łatwo rozstać się z Tarą.

– Nie, tato. Lepiej, żebyśmy pożegnali się tutaj – słowa Tary zagłuszył warkot silników cessny. Samolot przelatywał nad obozem, kierując się na pas.

– Ciao! – zawołała Tara, ale samochód już pędził wyboistą drogą.

Tomasina w duchu cieszyła się, że Tara wyjeżdża razem z Briar. Siostra miała lekki sen i była zbyt mądra, by ją omamić jakimis wykrętami. Pod jej nieobecność łatwiej będzie wśliznąć się do chaty Kirka. Tomasina miała nadzieję, że niespodziewane wydarzenia nie zepsują jej schadzki.

Maria patrzyła na Guida i Marka, którzy stali w ciemnościach jeszcze długo po tym, jak zniknęły światła landrovera.

– Tato będzie dziś mocno spał – powiedziała do Tomasiny. – Staje się już trochę za stary na safari.

– Mnie się wydaje, że wygląda dobrze – odparła Tomasina. – Ani on, ani Marco nie wyglądają na zmęczonych.

Maria szukała w twarzy i głosie Tomasiny oznak sarkazmu, ale czarne oczy córki patrzyły niewinnie.

Gdy Tomasina była nastolatką, dom Andrettich bez przerwy rozbrzmiewał krzykami i awanturami. Tomasina walczyła wtedy z matką o uczucie ojca i o to, by mogła sama wybierać sobie ubrania i chłopców. Do chwili, gdy przeniosła się do własnego mieszkania, nie było dnia bez walki. Maria widziała w córce samą siebie z lat młodości. Teraz oczy mężczyzn szły za Tomasina tak samo, jak kiedyś za nią. Tomasina natomiast zauważała, że matka jest zazdrosna o jej popularność i urodę, ale nie czuła litości dla kobiety, która rozpaczliwie starała się wykorzystać to, co jej jeszcze zostało z pięknego wyglądu. Matka miała wszystko, co można kupić za pieniądze. Guido nadal ją kochał i rozpieszczał. Nawet jeżeli od czasu do czasu

spędzał popołudnie w ramionach jakiejś młodej dziewczyny, nie kochał żadnej, więc nie miało to większego znaczenia.

– Może masz rację – powiedziała Maria. – Chodź, usiądziemy przy ogniu. Zawołaj tatę i Marka.

Popijali czerwone wino i słuchali opowieści o polowaniu na lamparta, gdy rozległ się warkot cessny. Wstali i machali rękami, a Fred pochylił w geście pożegnania skrzydło samolotu i skierował się do Bulawayo.

W Afryce niebo prześwituje pośród gwiazd – powiedziała Tara. Siedziała z nosem przyciśniętym do okienka samolotu. – W Mediolanie nocą możemy oglądać miejskie gwiazdy neonów, ale prawdziwych gwiazd nie oglądamy. Briar, masz szczęście, że tu mieszkasz.

Tara odwróciła się na fotelu i uśmiechnęła do przyjaciółki, która posadziła ją na przednim fotelu, koło ojca, by miała jak najlepszy widok na wspaniałość nieba. Lampki na desce rozdzielczej oświetlały twarz Tary. W tym łagodnym świetle wyglądała delikatnie i uroczo. Tara nie odznaczała się tą namiętną urodą, która przypadła w udziale jej matce i siostrze, ale miała oczy Andrettich, ocienione takimi samymi gęstymi, czarnymi rzęsami. Jednak podczas gdy oczy Marii i Tomasiny zapraszały mężczyzn, oczy Tary stanowiły dla nich wyzwanie. Miały tę cudowną, włoską umiejętność otwartego wyrażania czy to radości, czy bólu. Nie zostawiała nikogo w niepewności co do swoich uczuć.

– Będiesz dobrą Afrykanką, Taro – oznajmiła Briar. – Widzę, że namiętnie zakochałaś się w moim kraju.

Tara znów odwróciła się do okna. Fred milczał. Rozmyślając z rozpaczą o konsekwencjach napadu na Rudo, nie brał udziału w rozmowie kobiet.

– Rien n'a changé, mais tout est différent – wyszeptał teraz cicho.

– Słucham? – spytała Tara.

– Mówiłem do siebie. W moim wieku to zły nawyk.

– Ale nie mówił pan po angielsku.

– Nie. To powiedzenie mojej francuskiej babki. Wypowiadała je, gdy rzeczy miały się źle, a teraz te słowa często mnie nawiedzają, bo pasują do tego kraju. To zdanie znaczy: „Nic się nie zmieniło, ale wszystko jest inne”. W dzisiejszym Zimbabwe wszystko się zmieniło, ale nic nie jest inne.

Tara zmarszczyła brwi.

– Tato, mówisz jak Irlandczyk – rzekła Briar. – Całkowicie wypaczyłeś słowa babci.

– Tak – przyznał i znów zapadł w milczenie.

Kobiety uszanowały jego niechęć do rozmowy. Tara zapatrzyła się w piękno gwiazdzistej nocy, a Briar ze smutkiem rozmyślała o tym, co zastanie w szpitalu, do którego zawieziono Rudo.

– Boże, pozwól jej przeżyć – szepnęła.

Nagle zobaczyli światła Bulawayo, drugiego co do wielkości miasta Zimbabwe. Jarzyły się w ciemnościach jak odbłask gwiazd.

Fred porozumiewał się z wieżą kontrolną, ale Briar, siedząc z tyłu, nie mogła słyszeć rozmowy. Jednak gdy popatrzyła na spiętą twarz ojca, postanowiła o nic go nie pytać.

Wylądowali tak ostro, że samolot podskoczył. Drugie uderzenie było łagodniejsze i koła potoczyły się po ziemi.

Tato musi być zmartwiony, pomyślała Briar. Na ogół odnosił się do samolotu z taką delikatnością, jakby to było niemowlę.

Zanim jeszcze silniki ucichły, do samolotu podbiegł wysoki, szeroki w ramionach mężczyzna. Nie zwracał uwagi na krzyki człowieka w mundurze, który biegł za nim. Jednym szarpnięciem otworzył drzwi koło Tary i wyciągnął ręce.

– Briar – westchnął z ulgą. – Tak się cieszę, że przyleciałaś. Przeszliśmy przez piekło A.

Widząc Tarę, zamilkł w pół zdania. Gdzie jest Briar?

– Tu, Erinie. Usiadłam z tyłu. To Tara Andretti. Jest wykwalifikowaną pielęgniarką i przyjechała, by pomóc przy Rudo.

Erin tylko skinął głową. Wydarzenia tej nocy sprawiły, że nie potrafił zdobyć się na towarzyską uprzejmość. Chciał już wracać do Karne. Powinien tam być, z Jacobem i Jonasem, i szukać tych, którzy torturowali Rudo. Pragnął zobaczyć w oczach bandytów taki sam ból, jaki widział w oczach kobiety N'debele, która zastąpiła mu matkę.

– Wynająłem samochód. Chodźcie, zawiozę was do szpitala Matki Bożej.

– Czyli nie będziemy potrzebne – powiedziała Briar. – Tam się nią dobrze zaopiekują.

– W szpitalu prosili o prywatną pielęgniarkę dla Rudo – wyjaśnił Erin. – A teraz, skoro jesteście dwie, możemy im powiedzieć, że będzie miała opiekę pielęgniarską przez całą dobę. Chyba czuwa nad nami opatrność – kontynuował szybko. – Gdy specjalista z Harare usłyszał, co się stało, skontaktował się z chirurgiem plastycznym z Południowej Afryki, który właśnie przyjechał z rodziną na wakacje do Zimbabwe. Uprosił go, by zoperował Rudo. Mamy szczęście, bo Rudo pozostaną tylko niewielkie blizny. Ale uraz psychiczny...

– Z czasem wszystko się zagoi. Zawsze tak się dzieje – uspokajała go łagodnie Briar.

Tara spojrzała na nią. W głosie Briar usłyszała smutek, którego przedtem nie wyczuwała.

Ty też masz blizny, Briar, pomyślała, ale one jeszcze się nie zagoiły ani nie zbladły.

Pomogła wylądować z samolotu bagaż. Zarzuciła na oba ramiona torbę i poszła za Erinem. Gdy weszli do budynku lotniska, światła zaślniły na jego jasnych włosach

i w niebieskich oczach obramowanych rzęsami niemal tak długimi i gęstymi, jak jej własne.

Erin pędził przez terminal myśląc tylko o tym, by znaleźć się już w szpitalu i zabrać ojca. Ale gdy musiał zatrzymać się, by przepuścić liczną rodzinę, wlokącą za sobą wózek bagażowy, spojrzął do tyłu.

Tara omal na niego nie wpadła. Biegła zaraz za nim, a ciężkie torby obijały jej plecy.

– Och, panno Andretti, bardzo panią przepraszam. Wezmę bagaż – powiedział zawstydzony.

Tara z ulgą podała mu torby i roztarta sobie kark.

– Jestem Tara – powiedziała. – Proszę mówić mi po imieniu.

Erin pomyślał, że chciałby ją bliżej poznać. Uśmiechnął się. Nagle napięcie zniknęło z jego twarzy i znów wyglądał jak beztroski chłopak. Tara ucieszyła się, że przekonała ojca, by pozwolił jej jechać z Briar. Erin Gifford podobał się jej i miała nadzieję, że jeszcze nieraz się spotkają.

– Zostaniesz parę dni w Bulawayo? – spytała.

– Nie. Tata i ja wracamy do Karne, gdy tylko to będzie możliwe. Musimy coś załatwić.

– Och – powiedziała tylko. Poczowała się tak, jakby coś traciła. Erin rzucił jej szybkie spojrzenie, ale patrzyła w podłogę.

– Przylecimy do Bulawayo, by zobaczyć, jak Rudo się czuje po operacji. Jacob, jej mąż, będzie chciał z nią zostać.

Tara ucieszyła się. Więc zobaczy jeszcze tego pociągającego mężczyznę. Ale tym razem całą siłą woli postarała się ukryć swoje uczucia.

– A gdzie Jacob jest teraz? – spytała.

– Tam, gdzie i ja powinienem być. Siedzi tych łajdaków, którzy zrobili to jego żonie – wyjaśnił zwięźle Erin. Jej pytanie znów wznieciło w nim gniew i nienawiść, które na chwilę odeszły, gdy się do niego uśmiechnęła.

Briar ścisnęła rękę Tary. Usiadły w milczeniu na tylnej kanapie samochodu. Erin prowadził bardzo szybko przez spokojne ulice miasta. Wkrótce dojechali do szpitala, położonego w parku o powierzchni dziewięciu akrów.

Fred i Erin cicho rozmawiali o tym, co oznaczał ten akt terroru. Kobiety słyszały tylko pojedyncze słowa. Briar cieszyła się, że nie muszą brać udziału w rozmowie. Nie chciała, by Tara wyrzuciła z serca miłość do tego pięknego kraju tylko dlatego, że kilku amoralnych osobników nadużywa swojej władzy.

Ona sama nadal patrzyła na Zimbabwe oczami dziecka. Trudno jej było pojąć, że po przeżytych okropnościach wojny ludzie nadal popełniają niegodziwości dla zysku. Modląc się o wyzdrowienie Rudo, modliła się jednocześnie o śmierć potworów, którzy ją torturowali i okaleczyli, a także o karę dla tych, którzy to nakazali.

Erin zatrzymał się przed głównym wejściem do szpitala tak gwałtownie, że aż zapisały hamulce. Zobaczyli Pata, który nerwowo chodził w tę i z powrotem. W szpitalach był bezradny i nieszczęśliwy. Szpitalne zapachy i dźwięki kojarzyły mu się ze śmiercią. Tęsknił za swoim buszem, gdzie sam decydował o wszystkim.

– Co z Rudo? – spytali jednocześnie Erin i Fred.

– Właśnie zabrali ją na salę operacyjną – odparł Pat. – Facet od chirurgii plastycznej długo mi wyjaśniał, co z nią zrobią. – Przełknął ślinę i otarł czoło. – Myślałem, że po tych wszystkich latach patroszenia zwierząt mam zahartowany żołądek, ale gdy lekarz kończył swoje wyjaśnienia, musiałem pobiec do łazienki. Pielęgniarki powiedziały, że będzie lepiej, jeśli do waszego przyjazdu zostanę na dworze.

Udało mu się uśmiechnąć, ale był to żalorny uśmiech. Erin zgasił silnik, wysiadł z samochodu i stanął obok ojca. Briar i Tara wygramoliły się, taszcząc torby.

– Czy pozwolą, by miała prywatne pielęgniarki? – spytała Briar.

– Zakonnice są zachwycone – wyjaśnił Pat. – Rozmawiałem z miłą, włoską siostrą, która chyba jest tu najważniejsza. Nieustanne deszcze spowodowały, że okręg Bulawayo stał się „miejszem masakry”, jak to określał Lobengula. Komary roznoszące malarię, sieją spustoszenie wśród ludności. Szpitale są przepelnione. Ludzie chorują na malarię i zapalenie opon mózgowych. Wielu chorych umiera. Znowu podaje się chininę i paludrynę, to jedyne lekarstwa, na które komary nie są odporne. Prawie wszyscy, których znamy w Bulawayo, mieli tego lata malarię. Istnieje nowy, cudowny środek, ale wywołuje halucynacje, fatalne samopoczucie i drgawki, więc lekarze boją się go stosować. – Wzruszył ramionami, a potem potarł je, jakby mu było zimno.

Erin zadrżał. Dobry Boże, czy Afryka zawsze musi być taka brutalna i bezlitosna, pomyślał.

– Jeżeli naprawdę jesteśmy potrzebne, to zaraz tam z Tarą pójdziemy – powiedziała Briar. – Och, przepraszam, Pat. Nie przedstawiliśmy ci naszej włoskiej sorella, Tsay Andretti. Rudo będzie miała doskonałą opiekę.

Pat wyciągnął rękę.

– Cieszę się, że mogę panią poznać. I chyba nie muszę mówić, z jaką radością się dowiaduję, że mogła pani przyjechać z Briar.

Szczery uśmiech rozjaśnił twarz Tary.

– Na safari bardzo mi się podobało, ale Kirk Madden stawał się nieznośny. Kręci się koło kobiet jak muchy mopane.

Swoim włoskim akcentem nadała tyle pogardy słowom „muchy mopane”, że Pat się roześmiał, a wtedy napięcie wszystkich trochę zelżało.

– Tato, wracajcie z Patem i Erinem do Karne – zaproponowała Briar. – Wiem, że chcecie jak najszybciej zobaczyć się z Jacobem i Jonasem. Jacob na pewno umiera z lęku o Rudo.

Pat uściskał Briar.

– Jak zawsze odpowiednia propozycja w odpowiedniej chwili – stwierdził.

– Dziękuję, Briar. – Zwrócił się do Tary: – I dziękuję, że przerwała pani safari, by nam pomóc.

– Zrobiłam to z przyjemnością – odparła Tara. Nagrodą dla niej był uśmiech Erina, który również ją uściskał.

– Tato, mama jest w Inyati sama i na pewno się zamartwia – kontynuowała Briar. – Proszę, wracaj na lotnisko z Patem i Erinem. Leć do domu i powiedz mamie, że Tara i ja będziemy was o wszystkim informować. Dostaniecie codzienny raport o stanie Rudo.

Kobiety machały rękami, póki samochód nie zniknął w oddali, a potem zarzuciły swoje ciężkie torby na ramię.

– Facaldo – wykrzyknęła Tara. – Chyba nie będziemy musiały wchodzić pieszo na ostatnie piętro – dodała, patrząc na wysoki budynek w kształcie litery L.

Weszły do szpitala. Na ich spotkanie, szumiąc nakrochmalonym habitem, wybiegła zakonnica. Ubrana była w brązową suknię i biały welon franciszkanek.

– Rozpoznaję ten habit – szepnęła Tara. Nerwowo dotknęła małego, złotego krzyżyka, który nosiła na szyi. – To surowy zakon, założony przez świętego Franciszka z Asyżu.

– Wykonują tu wspaniałą robotę – powiedziała Briar.

– Czekam na pielęgniarkę, która pomoże przy pacjentce, która w tej chwili jest na sali operacyjnej – powiedziała ostro zakonnica.

– To właśnie ja. Jestem Briar Hanley – przedstawiła się Briar. – A to Tara Andretti, wykwalifikowana pielęgniarka. Mamy nadzieję, że się przydamy.

– Szpital jest przepelniony. Walczymy z jedną z najcięższych epidemii malarii, jakie za mojej pamięci zdarzyły się w Bulawayo.

Zakonnica ciągle jeszcze zagradzała przejście. Patrzyła sceptycznie na szorty khaki i buty do marszu, które nosiły obie kobiety. Dopiero gdy Briar wspomniała Pata Gifforda, jej spojrzenie złagodniało.

– Wspaniały człowiek – powiedziała cicho – i ma wspaniałego syna. Obaj któregoś dnia dostaną dobre żony.

Briar zdziwiła się, bo nigdy nie myślała o tym, że Pat może się powtórnie ożenić. Ale poza tym zakonnica miała rację. Pat to wspaniały człowiek.

– We Włoszech mówi się, że ojciec często jest lepszy niż syn – szepnęła Tara. Briar poczuła, że się czerwieni. Tara źle zinterpretowała uścisk, jakim obdarzył ją Pat.

– Pat zawsze mnie całuje – wyjaśniła. – Miałam wyjść za mąż za jego najstarszego syna, Scotta, ale zginął podczas wojny domowej.

Tara pomyślała, że teraz rozumie wyraz bólu, jaki czasami gości na twarzy Briar.

– Nie możecie iść na blok operacyjny tak ubrane. Poszukam wam mundurków

– oznajmiła zakonnica i poprowadziła je do szpitala. – Ale nie liczcie, że będą nowe. Nie mamy pieniędzy na takie luksusy. Jednak w mundurkach będziecie wyglądały jak prawdziwe pielęgniarki, a nie jak turystki. Brakuje nam niebieskich, ale znajdą się białe, przepisowe stroje państwowej służby pielęgniarskiej.

– Dziękuję, sestro – odpowiedziała Briar.

– Jedna z pielęgniarek przyniesie wam tu ubranie – mówiła dalej zakonnica, wprowadzając je do prywatnej separatki. – Gdy się przebierzecie, możecie pójść do naszej kaplicy. Ta biedna kobieta potrzebuje modlitwy.

Cicho zamknęła drzwi, a potem jeszcze raz je otworzyła.

– Operacja potrwa jakieś pięć godzin, więc macie czas na modlitwę. Tara i Briar popatrzyły na siebie z uśmiechem.

– Może i zakon franciszkanek jest surowy, ale ta zakonnica jest przemiła – powiedziała Tara.

– O tak. W naszym pełnym egoizmu świecie zakonnice są kimś wyjątkowym – odparła Briar.

Briar i Tara na klęczkach modliły się w kaplicy. W swoich wykrochmalonych białych mundurkach wyglądały jak nowicjuszek zakonne.

– Zawsze czuję się silna i spokojna, gdy jestem w kościele, obojętne jakiego wyznania – szepnęła Briar.

– Myślę, że modlitwa dodaje nam sił – odparła Tara. Przeżegnała się i wstała. Gdy na palcach wychodziły na zewnątrz, ze zdziwieniem zobaczyły w przyćmionym świetle nie tylko zakonnice, ale i pacjentów.

Godziny mijały szybko na pracy. Zgłosiły się na dyżur, póki trwała operacja Rudo. Wreszcie wezwano je do prywatnej sali. Briar aż jęknęła, widząc Rudo mocno obandażowaną, z wpadniętymi oczami i policzkami.

Obok łóżka stał niski, krępy mężczyzna. Na ciemieniu włosy miał przerzedzone, ale aż do karku spływały mu gęste loki. Poczekał do chwili, gdy sanitariusze wywieźli z pokoju wózek, a potem zwrócił się do Briar i Tary.

– Jak rozumiem, moja pacjentka należy do waszego personelu i przyjechaliście pielęgnować ją, by odciążyc pracowników szpitala. – Lekarz mówił to chłodnym tonem, odmierzając każde słowo z osobna. Briar i Tara potwierdziły.

– Ta kobieta ma szczęście, że przywieziono jej wargi razem z nią.

Briar wzdrygnęła się. Sama myśl o surowym mięsie tych warg, którymi Rudo tak często się uśmiechała, wywołała u niej falę nudności.

– Mikrochirurgia jest cudowną gałęzią chirurgii plastycznej. Byłem w stanie połączyć drobne naczynia krwionośne i żyły z głównymi arteriami, biegnącymi od kąćców ust do ich środka. – Przerwał i delikatnie zakaszłał, jakby czekał na oklaski kolegów zgromadzonych na zjeździe.

– Łączenie naczyń krwionośnych jest bardzo żmudne i zabiera dużo czasu –

dodał, nie doczekawszy się spodziewanej reakcji.

Kobiety pokiwały głowami i czekały na dalszy ciąg.

– Jej język wyglądał tak, jakby poszarpano go piłą. Właściwie został odcięty. Na szczęście nie do końca. Zanim wszystko się zagoi, całe wnętrze jej jamy ustnej będzie bardzo opuchnięte, ale w końcu znów będzie mogła mówić. Może nie tak dobrze, jak przedtem, jednak nie pozostanie niema.

– O, dzięki ci, Boże – westchnęła Briar.

– Tak – przyznał doktor, spoglądając na złoty krzyżyk, którego Tara dotykała palcami. – Problemem będzie odżywianie. Najprawdopodobniej przez kilka tygodni trzeba będzie stosować rurkę Rylesa.

– Co to jest? – spytała Briar szeptem Tarę, gdy lekarz nachylił się nad Rudo.

– To rurka, która przechodzi przez nos do żołądka – wyjaśniła Tara. Briar znów poczuła mdłości i miała nadzieję, że nie skompromituje się w obecności tego chirurga.

– Jak zrozumiałem, syn właściciela rancza przeszkodził bandytom w ostatniej chwili – kontynuował lekarz. Wskazał Rudo. – Miała szczęście. Gdyby zakończyli swoją robotę i odcięli jej piersi, nie moglibyśmy ich uratować. Ale teraz są na właściwym miejscu i mamy wszelkie powody, by się spodziewać, że w przyszłości będzie mogła jeszcze karmić dzieci. – Delikatnie przejechał palcami po policzku Rudo.

– Niedługo przyjdzie tu siostra dyżurna i powie wam, jak pielęgnować pacjentkę – kontynuował. – Pamiętajcie, że najważniejszą rzeczą, jaką możecie dać choremu, jest miłość i współczucie. Dotykajcie jej łagodnie. Niech wie, że wam na niej zależy.

Wybiegł z pokoju tak szybko, że fartuch załopotał mu wokół kolan.

– Dziękuję, panie doktorze – zawołała za nim Briar. Szybkie kroki lekarza biegnącego korytarzem zagłuszyły jej głos, ale mimo to wzbudził jakąś iskierkę świadomości w oszołomionym lekarstwami umyśle Rudo. Otworzyła oczy i spojrzała bezradnie na Briar.

Briar podbiegła do łóżka.

– Już wszystko dobrze, Rudo. Jesteś bezpieczna. Jacob wkrótce tu przyjedzie. Wszyscy cię kochamy.

Mówiąc to, łagodnie gładziła chorą po rękę. Ale Rudo znów zapadła w oszołomienie, spowodowane narkozą i środkami przeciwbólowymi.

Briar stanowczo otarła łzy i wstała, bo do pokoju weszła pielęgniarka. Jej welon, miękki i delikatny jak piasek tańczący w podmuchach wiatru, zakolysał się i zakrył okaleczoną twarz Rudo.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Kirk Madden był w złym humorze. Jego ludzie zgasili małe ogniska oświetlające pas startowy, a potem wszyscy stłoczyli się w samochodzie prowadzonym przez głównego tropiciela.

– Idioci! – wrzasnął. – Tylko połowa jedzie ze mną. Chcecie połamać resory? Cieszył się, że Briar wyjechała, chociaż będzie mu brakowało napawania się jej upokorzeniem, tym bardziej że wiedział, iż ze wstydu nikomu nie powie o gwałcie. Czekał, aż ludzie wdrapią się do samochodu, spojrzał na zegarek. Już minęła jedenasta. Był ciekaw, czy Maria przyjdzie do jego chaty. W zwykły wieczór do północy Guido i Marco mieliby dość czasu, aby wypić szklaneczkę brandy po kolacji i głęboko zasnąć. Jednak dziś Marco mógł być zbyt podniecony upolowaniem lamparta i odjazdem dziewcząt, by szybko położyć się spać.

W hotelu przy Wodospadzie, a także przy obozowym ognisku Kirk nasłuchiwał się dość opowiadań Andrettich o tym, co się dzieje z mężczyznami, którzy pozwalają sobie na zbyt wiele wobec żon i córek Włochów. Pożądał Marii i Tomasiny, ale nie na tyle, by ryzykować, że przez to straci życie albo, jak to niedwuznacznie sugerował Guido, męskość.

Zaparkował samochód i wszedł do bomy. Ku jego uldze ognisko ledwo się już żarzyło, a fotele wokół były puste.

Popatrzył na chaty. W żadnej nie paliło się światło. W obozie panowała cisza. Bezszelestnie poszedł do kuchni, gdzie na piecu czekała na niego kolacja. Służba знаła jego przyzwyczajenia i zawsze zostawiano mu w ciepłe gulasz z dziczyzny i kartofle.

Kirk przysiadł na brzegu stołu i zaczął łapczywie jeść. Do gulaszu, tak jak lubił, dodano mnóstwo kleistego, pysznego szpiku. Skończył, oblizał palce, beknął i poszedł do siebie.

Maria przewróciła się na drugi bok w swoim pojedynczym łóżku. Zastygła, gdy zaskrzypiały sprężyny materaca. Guido coś wymamrotał i podciągnął kołdrę wyżej, na kark.

Zegar stojący koło łóżka wskazywał pięć po dwunastej. Maria odrzuciła przykrycie i usiadła. Tym razem sprężyny milczały. Guido nie poruszył się.

Wzięła atlasowy szlafrok w kratkę i włożyła go. Zadrzała, bo pod spodem miała tylko przezroczystą czarną koszulę nocną. Był to strój odpowiedni do buduaru, ale nie na noc w buszu. Wiedziała jednak, że jest bardzo podniecający. A chciała, by widok jej ciała, przeświecającego przez cieniutki szyfon, podniecił Kirka.

Dziś postawi na jedną kartę całą swoją przyszłość, więc gra musi być warta ryzyka. Na myśl o tym, jak Guido znajduje ją splecioną z Kirkiem w jego łóżku, jej krew zaczęła krążyć szybciej.

Już szła do drzwi, gdy usłyszała jakiś głuchy łomot. Strach i poczucie winy

spowodowały, że wydał się jej tak głośny, jak wybuch bomby atomowej. Okazało się, że wpadła na skrzynkę ze strzelbami Guida, ustawioną koło drzwi. Nawet nie poczuła bólu.

Maria? – mruknął Guido sennie, macając moskitierę.

– Spij, caro szepnęła. – Mam migrenę. Chciałam posiedzieć przez chwilę na dworze, przy ognisku. Świeże powietrze zwykle mi pomaga.

– Mhmm – westchnął i przewrócił się na drugi bok.

Maria niezdecydowanie przystanąła przy drzwiach. Powinna wrócić do łóżka. Będą jeszcze inne noce, które może spędzić z Kirkiem. Ale wspomnienie o wielkim lamparcie i zapachu jego krwi zbyt ją podnieciło. Chciała mieć Kirka dziś.

Czekała bez ruchu, jak osaczone zwierzę, aż wreszcie Guido znów zaczął oddychać powoli i regularnie. Wtedy na palcach podeszła do drzwi i wysliznęła się na dwór.

Nerwowo rozejrzała się po ciemnej bome, a potem pobiegła do ogniska, zadowolona z tej odrobiny światła, którą jeszcze dawało. Wepchnęła polano głęboko w dogasający ogień. Szary popiół pokrył piasek, który już zdążył osadzić się na jej atlasowych pantofelkach.

Odsunęła jedno z krzeseł od polana, które zajęło się małymi, żółtymi płomieniami. Z zadowoleniem przyjrzała się scenerii, którą na wszelki wypadek przygotowała i, czując się pewniej dzięki światłu ogniska, wyszła poza bome, unosząc skraj koszuli. Była piękna i droga, więc nie chciała jej zniszczyć.

Kirk usłyszał ciche kroki na długo, zanim Maria doszła do jego chaty. Zdjął szorty i stanął przy drzwiach. Zaczeka na nią w ciemności.

Gdy jej długie palce delikatnie poskrobały drzwi, otworzył je jednym szarpnięciem i przyciągnął ją do siebie. Krzyknęła z przerażenia, ale uciszył ją przyciskając usta do jej ust.

Używał języka jakby nim kopulował. Maria jęknęła. Wbiła paznokcie w jego twarde pośladki i przycisnęła się do niego.

– Nie tak szybko mruknął, ciężko oddychając. – Chcę się tobą nacieszyć. Uniósł Marię w ramionach i rzucił ją na łóżko. Próbowła przyciągnąć go do siebie, ale się odsunął. Usłyszała, jak zapala zapałkę i zobaczyła jego wilgotne usta i rozpaloną twarz. Przyłożył zapałkę do knota świecy.

– A teraz zobaczmy, co tu mamy – powiedział zdejmując z niej szlafrok i rozwiązując kokardki na ramiączkach koszuli nocnej.

Leżąc na łóżku, z nogami szeroko rozsunietymi i pełnymi, jędrnymi piersiami, Maria wyglądała na kobietę najwyżej trzydziestoletnią. Światło świecy maskowało zwiedniętą skórę szyi i twarzy. Jej pozycja była prowokująca, ale i ukazywała ciało w najkorzystniejszy sposób.

– I jak mam cię wziąć? – spytał cicho. Jego oczy błyszczały żółto, jak oczy

lamparta, którego Marco zastrzelił, i to ją podniecało jeszcze bardziej.

– Zacznę szybko, a potem będę zwalniał. Nie – mruknął przebiegając palcami wzdłuż jej piersi i w dół, do pępka. Uniósł głowę i spojrzał na nią. Wielkie, ciemne oczy Marii były wilgotne z pożądania.

– Nie. Zaczniemy powoli zdecydował i wcisnął usta w jej gorące wargi. Odsunął się gwałtownie, bo poczuł coś piekącego. Potem uśmiechnął się, bo zdał sobie sprawę, że to smak pieprzu jalapeno, którym rodzina Andrettich raczyła się przy każdym posiłku.

Palący smak podniecił go jeszcze bardziej. Zaczął szybciej poruszać językiem. Maria wygięła ciało i jęknęła. Zamykając oczy, poddała się ruchom jego języka. Kirk właśnie kładł się na niej, gdy zastygła.

– Mario! – doszło do nich wołanie z bomby.

– Guido – szepnęła ze strachem.

Kirk mocno ją przytrzymał. Pomyślał, że mają jeszcze czas na dopełnienie aktu, ale Maria walczyła, by się uwolnić. W jej oczach malował się bezbrzeżny strach. Musi natychmiast opuścić chatę Kirka.

Nastrój seksualnego podniecenia załamał się. Kirk zwolnił chwyt i położył się na plecach patrząc, jak Maria drżącymi rękami wciąga koszulę i wkłada pantofle.

Wybiegła z chaty nie oglądając się za siebie. Kirk zdmuchnął świecę. Dzisiejszej nocy Maria już tu nie wróci.

Guido usłyszał, jak woła już w bomie.

Sprytna kobieta, pomyślał. Poszła naokoło, do dalszego wejścia. Jej mąż nie zorientuje się, że była u mnie.

– Guido, caro, dlaczego wstałeś? Musisz się wyspać. Jutro czeka cię znów cały dzień przeszukiwania przynęt.

– Obudziłem się, a ciebie nie było – wyjaśnił. – I nie znalazłem cię przy ognisku.

– Migotanie płomieni jeszcze spotęgowało moją migrenę, więc poszłam postać chwilę w ciemnościach. Teraz czuję się lepiej.

Guido objął żonę.

– Masz na sobie szlafrok, który kupiłem ci podczas wakacji w Rzymie powiedział miękko.

Maria zastanawiała się, czy by nic przywołać swojego mitycznego bólu głowy. Dziś pragnęła tylko Kirka.

– Tak odparła obojętnie, gdy Guido prowadził ją z powrotem do chaty i do swojego łóżka.

t

Polano zajęło się ogniem i nagle wybuchnęło, rzucając iskry aż do gwiazd. Potem iskry, jakby przytłoczone wspaniałością nieba, opadły na ziemię, stając się zwykłą, czarną sadzą.

Tomasina drzemała, gdy nagle obudził ją rozbłysk złotych cętek za oknem chaty, malujących prążki światła na jej zamkniętych powiekach.

W panice sięgnęła po zegarek. Musiałam zasnąć, pomyślała. Na pewno jest już co najmniej piąta i służba krząta się po obozie.

Ogarnęła ją rozpacz. Straciła schadzke z Kirkiem. Słyszała, jak wracają samochody, ale postanowiła poczekać aż do pierwszej, zamiast iść do niego o północy, bo ojciec i brat siedzieli przy ognisku jeszcze o wpół do dwunastej. Będą potrzebowali przynajmniej godziny, by głęboko zasnąć.

W ciemnościach znalazła zegarek i popatrzyła na fluorescencyjne cyfry. Wpół do drugiej. Mogła jeszcze iść do Kirka.

Na szczęście Tara wyjechała z Briar. Siostra na pewno domyśliłaby się, dokąd idzie, zanim jeszcze Tomasina zdążyłaby dojść do drzwi. Ma jakiś szósty zmysł, taki sam, jak jej ukochane zwierzęta.

Wyszła z chaty i głęboko oddychała w świeżym, nocnym powietrzu. Stała w ciemnościach i rozejrzała się po bomy. Przy ognisku nie zauważyła nikogo.

Po prostu polano opadło niżej, w ogień, pomyślała z ulgą. Na palcach minęła chatę rodziców, a potem przystanąła i obejrzała się, bo usłyszała jakieś dźwięki. Gdy zdała sobie sprawę, co słyszy, gorący rumieniec oblał jej twarz i szyję.

Zawsze czuła się zakłopotana na myśl, że jej rodzice, których najmłodsze dziecko miało już przecież dwadzieścia jeden lat, nadal odczuwają wobec siebie pożądanie. Nie wydawało jej się właściwe, że rodzice korzystają z przyjemności, które młodzi uważali za przynależne wyłącznie im. Szybko ruszyła dalej, starając się zapomnieć o skrzypiących sprężynach łóżka.

Gdy znalazła się poza bezpiecznym schronieniem, jakie dawało jej ogrodzenie z trawy, jej oddech stał się szybszy. Przerazał ją każdy dźwięk. Każdy cień wydawał jej się lwem lub hieną. Doszła do chaty Kirka, drząc na całym ciele.

Kirk nie mógł zasnąć, co chwilę przewracał się z boku na bok. Maria podnieciła go. Nagle uniósł głowę z poduszki i usiadł. Ktoś stał przy jego drzwiach. Widocznie Guido zasnął i mogła wrócić. Czuł, że oddycha szybciej niż przed chwilą. Wstał i podbiegł do drzwi.

– Maria? – szepnął ochryple. – Czy on śpi?

Postać stojąca w głębokim cieniu chaty zastygła w bezruchu.

– Maria? – spytał Kirk głośniejszym głosem. – Daj spokój! Chodź!

Kobieta odwróciła się i pobiegła przed siebie. Popędził za nią i złapał ją, gdy już miała przekroczyć wejście do bomby.

Jego ręce gorączkowo szarpały delikatną, bawełnianą koszulę.

– Tylko mnie dotknij, a będę krzyczeć – syknęła Tomasina. Zobaczył w jej oczach taką nienawiść i lęk, jakie widywał w spojrzeniu osaczonych drapiezców. Dopiero w tej chwili przypomniał sobie, że z nią również umówił się na schadzke, jednocześnie zdał sobie sprawę, że gdyby zaczęła krzyczeć, Guido i Maria

natychmiast przybiegliby jej na pomoc. Opuścił ręce i odsunął się.

– Tomasino – szepnęła – nie rozumiesz. Proszę, pozwól mi się wytłumaczyć! Policzek, który mu wymierzyła, zabrzmiał jak wystrzał z pistoletu.

– Tłumacz się mojemu ojcu – powiedziała i pobiegła do swojej chaty. Uklękła nad muszlą klozetową, a odór wymiotów wypełnił całe pomieszczenie. Kirk stanął w drzwiach i patrzył, jak drżą jej ramiona, wstrząsane skurczami żołądka. Odwrócił się i odszedł. Na razie nie będzie miał pożytku z Tomasiny. Najpierw musi się uspokoić. A on w jakiś sposób przekonają, że to, iż nazwał ją imieniem jej matki, było zwykłą pomyłką.

Mam czas do świtu na znalezienie jakiegoś wyjaśnienia, powiedział sobie, rzucając się na łóżko. Cholerna, kobieca histeria! Zachowała się jak pensjonarka.

Trzy dary od trzech kobiet, rozmyślał ponuro, wpatrując się w ciemny sufit. Kopniak Briar niemal pozbawił mnie męskości. Policzek wymierzony przez Tomasinę najprawdopodobniej będzie mi dźwięczał w uszach przez wiele dni. Mój język i wnętrze ust pali od pieprzowych pocałunków Marii. A i tak do niczego nie doszło. Wolałbym, żeby żuła gumę albo jadła ciasteczka, jak Amerykanki. Chili ma piekielny smak. Nagle uśmiechnął się, bo pomyślał o historyjkach, które będzie opowiadał przyjaciółom po tym safari. Żaden z nich nie poznał, czym są usta wypełnione jalapeno.

Tej nocy w obozie tylko dwie osoby spały beztrąsko: Marco i Guido. Maria i Tomasina leżały bezsennie, czekając na świt. Ich ciała spoczywały nieruchomo, lecz umysły nie potrafiły zaznać spokoju.

Maria policzyła, że do końca safari pozostało dziesięć dni, więc ma jeszcze szansę na schadzkę z Kirkiem. Ale wydarzenia wieczoru przestraszyły ją. Nie chciała stać się jedną z mediolańskich byłych żon. Teraz już wcale nie była taka pewna, czy noc z Kirkiem warta jest utraty domu i pozycji. A jednak ją podniecał. Wiedziała, że jeżeli będzie miała okazję, jej rozbudzone ciało znów ją zdradzi.

Tomasina też leżała nieruchomo. Doskonale wiedziała, jaki wstrząs w rodzinie spowodowałyby opowiadając o matce i Kirku. Dotknęłyby to wszystkich krewnych, nawet tych mieszkających w najbardziej oddalonych zakątkach Włoch. Partnerzy w interesach wyśmiewaliby ojca. Aż się skuliła na tę myśl. Kochała ojca i pragnęła jego aprobaty. Wiedziała również, że to, iż jego pierwsze dziecko okazało się dziewczynką, przyniosło mu wiele rozczarowań.

– Nienawidzi się posłańców przynoszących złe wiadomości – szepnęła, jakby dźwięk własnego głosu miał jej pomóc w rozwiązaniu dylematu.

Nagle usiadła na łóżku. Może powinna dać Kirkowi możliwość wytłumaczenia się, dlaczego nazwał ją Marią. Może był to zwykły lapsus?

Matka na pewno nie przespałaby się z innym mężczyzną, a przecież dzisiejszej nocy słyszała rodziców razem w łóżku. Kochają się. Maria jest wierną żoną, dobrą matką..

Tomasina poczuła się chora ze wstydu. Jak mogła wyobrazić sobie, że matka spędzi noc z Kirkiem? Zadrżała na myśl o nieszczęściu, jakie mogłaby spowodować mówiąc ojcu, że matka złamała śluby małżeńskie.

Kirk umawiał się ze mną, rozmyślała. Było późno, już drzemał i powiedział Maria zamiast Tomasina. Biedny człowiek, chciał wiedzieć, czy tato śpi, bo nasłuchiwał się od niego i od Marka opowieści o włoskich wendetach. Tomasina zamknęła oczy Polano mopane wypaliło się, pozostawiając tylko czerwony żar, i w pokoju zrobiło się ciemno. Dylemat został rozwiązany. Zasnęła, leciutko się uśmiechając.

Kirk usłyszał, jak drożdżik wita świt. Zaklął. Trzeba wstać i stawić czoło rodzinie Andrettich.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Pat pokołował cessedną do hangaru ustawionego w cieniu wielkiego tekowca. Potem starannie zamknął drzwi na zasuwę, by do hangaru nie dostały się hieny, uważające opony samolotu za wielki przysmak. Wysoko na niebie stał biały księżyc. Pat i Erin wsiedli do landrovera, którego zostawili przy pasie, gdy odwozili Rudo do szpitala.

Erin spojrział na księżyc. Jego zimne, zamglone światło zapowiadało delikatny blask świtu.

– Niedługo będzie dosyć jasno, by Jacob i Jonas mogli iść szybciej – powiedział. Pat tylko skinął głową i docisnął pedał gazu. Landrover z łoskotem pomknął po wyboistym trakcie, rozbijając ciszę i wznosząc chmury pyłu spod szerokich opon.

W domu zabawili tylko tyle czasu, ile trzeba było na otwarcie sejfu z bronią, wyjęcie strzelb i amunicji oraz napełnienie manierek wodą. W ostatniej chwili Erin złapał jeszcze blaszaną apteczkę i wepchnął ją pod kurtkę myśliwską. Było mu niewygodnie, ale metal przyjemnie chłodził skórę.

Usiadł za kierownicą i pojechali w miejsce, gdzie znaleźli Rudo. Sprawdzili, czy skrzynie pod siedzeniem tropicieli są dobrze zamknięte, i ruszyli tropem.

Łatwo było nim iść, gdyż Jacob i Jonas wygniatali trawę, nacinali pnie i układali gałęzie na ziemi, by wskazać im drogę. Ojciec i syn szli szybko, ale Jacoba i Jonasa prowadziła nienawiść.

– Aż trudno uwierzyć! – powiedział Pat, zatrzymując się na chwilę, by popić wody. – Ci dwaj wprost biegną po śladzie.

– Chcą dopaść tych rzeźników odparł Erin i szli dalej w milczeniu.

– Synu – odezwał się po jakimś czasie Pat. Pamiętaj, że chociaż to ty znalazłeś Rudo, mężczyźni, którzy ją okaleczyli, należą do Jacoba.

Erin skinął głową. Gdy znów zobaczył ciemne plamy na ziemi, gdzie Rudo leżała umierając i nie mogąc przemówić, jego nienawiść do bandytów jeszcze wzrosła.

Dobry Boże, przebacz mi! Wiem że zemsta jest Twoja. Ale jeżeli Jacob i Jonas ich nie dopadną, ja pomszczę Rudo, przysiągł w duchu.

W pewnym momencie zatrzymał się w pół kroku, bo zobaczył gałąź mopane złamaną w kształt litery V i ustawioną pionowo na ścieżce.

– Mają ich – szepnął. Musimy iść bardzo wolno.

Nagle rozległ się nieludzki wrzask przerażenia. Erin i Pat znieruchomieli, czując, jak włosy stają im na głowie. Pat oblizwał suche wargi i rozejrzał się. Erin wskazał rękę zarośla i cicho się w nich ukryli. Po pierwszym krzyku nastąpiły kolejne, przerywane błaganiami o litość.

Pat miał ochotę zatkać uszy. Wydawało mu się, że jest w piekle i słyszy wrzaski potępionych dusz. Nagle rozległ się okropny bulgot. Oczami wyobraźni zobaczył

mężczyzn walczących o oddech, podczas gdy krew zalewa ich płuca i wnętrzności. Musi powstrzymać te tortury. Wstał, ale Erin pociągnął go z powrotem w krzaki.

– Pamiętaj, że ludzie, którzy to zrobili, należą do Jacoba – szepnął, powtarzając słowa ojca. – Tato, pozwól, by sprawiedliwości stało się zadość. To Afryka. Jacob tylko w ten sposób może odzyskać spokój.

Pat przysiadł, oparł się o pień drzewa i pociągnął długi łyk z manierki, a potem pochlapał wodą twarz i kark. Mimo całego doświadczenia lat wojny, takie okrucieństwa nadal go przerażały.

Zamknął oczy. Czas mijał powoli. Walczył ze snem, podczas gdy Erin obserwował ścieżkę, którą tu przyszli. Oczy miał szeroko otwarte i był czujny.

Długą ciszę przerwały dopiero pierwsze dźwięki zwiastujące świt. W trawie rozległ się szelest wywoływany przez małe stworzonka rozglądające się za pożywieniem. Ptaki śpiewały coraz odważniej, czyszcząc sobie piórka; wkrótce zaczną przeszukiwać perłącą się od rosy trawę, w której już roiło się od owadów. Erin spojrzał na Pata. Siedział z opuszczoną głową, cicho posapując. Spał.

– Zrobione – dobiegł go głos z tyłu. Momentalnie skierował w tamtą stronę wylot strzelby. Jacob przedzierał się przez wysoką trawę, za nim podążał Jonas. Obaj byli niezwykle poważni. Ich twarze wyglądały jak wyrzeźbione w twardym granicie ze Wzgórz Matobo.

– Co z Rudo? – spytał Jacob. – Żyje?

– Operują ją. Mają specjalistę z Afryki Południowej. Nie mogłaby się znaleźć w lepszych rękach – pocieszał go Pat.

– Niedługo sam się przekonasz – dodał Erin.

Jacob nie uśmiechnął się. Zrobił to, co musiał zrobić, ale torturowanie ludzi nie przystoi mężczyźnie. Jednak bandyci przed śmiercią wyznali, kto ich wynajął. W odpowiednim czasie powie o tym Patowi i Erinowi, ale nie teraz.

– A co ze zwłokami? – spytał Erin.

– Wielkie, czarne ptaki pokażą drogę bere, i hieny będą miały ucztę – odparł Jacob.

Erin zerwał się na nogi, jakby go oblażyły czarne mrówki matabele.

– Jacob, odwróć się – powiedział ostro.

– To tylko skaleczenie – oponował Jacob. Pat podszedł do Jacoba i rozpiął mu koszulę.

– Skaleczenie? – powtórzył Erin przyglądając się głębokiemu cięciu biegnącemu od żeber do ramienia. Wyjął z kieszeni kurtki apteczkę. – Możemy to opatrzyć prowizorycznie, a w Bulawayo oczyszczą ci ranę i zrobią porządną opatrunkę powiedział smarując chore miejsce grubą warstwą żółtej betadyny. Pat pomógł mu umocnić gazę i bandaż.

– Za pół godziny lecimy do Bulawayo – powiedział, gdy zostawiali Jacoba i Jonasa w wiosce. – Umyjcie się i przebierzcie, ale ty, Jacobie, nie ruszaj

opatrunku. Erin przyjedzie po was za dwadzieścia minut.

Gdy przybyli do szpitala Matki Bożej, Jacob uparł się, że nie pozwoli nikomu zająć się swoją raną, póki nie zobaczy Rudo, więc poszli do separatki. Niewysoka kobieta w białym pielęgniarskim mundurku z wielką uwagą przygotowywała kroplówkę. Słyszając, że wchodzi, odwróciła się.

– Dzień dobry odezwała się. – Czekaliśmy na was. Mówiłam Rudo, że niedługo przyjdziecie.

Erin widział Tarę tylko przez chwilę w nocy, a wtedy był zrozpaczony i wściekły, więc nie poświęcił jej najmniejszej uwagi. Ale teraz przyglądał jej się uważnie. Pod oczami w kolorze miodowego brązu wiosennych liści drzew masasa miała ciemne sińce. Ciężkie rzęsy opadały ze znużenia, ale jej uśmiech był rześki. Poczuli się przy niej dobrze, ale stwierdził, że jest trochę podekscytowany.

– Briar przyjdzie za chwilę na dzienny dyżur. Ucieszy się, widząc was. Tara wyciągnęła rękę do Jacoba.

– To ty jesteś mężem Rudo? – spytała. Pat szybko dokonał prezentacji.

– Briar i ja dopilnujemy, by wkrótce wróciła do ciebie i dzieci. Nie zamartwiajcie się, proszę. Najgorsze już minęło. Operacja zakończyła się sukcesem, a teraz pilnujemy, by zbyt nie cierpiała.

Jacob uśmiechnął się do Tary z wdzięcznością i stanął w nogach łóżka. Rudo, z twarzą prawie całą w bandażach i rurkami doprowadzonymi do żył i nosa, nie była podobna do tej żony, z którą przeżył tyle lat. To nie była ani jego żona, ani matka jego dzieci. Nie znał tej obcej kobiety.

– Odezwij się do niej – przerwał ciszę Pat. – Usłyszysz cię, chociaż nie może odpowiedzieć. Jacob, pociesz ją i uspokój. Musisz jej mówić rzeczy, które tylko od ciebie może usłyszeć.

Jacob wstrząsnął się, jakby wychodził z transu. Przyciągnął krzesło i usiadł u wezglowia.

– Rudo, widzę cię, żono – powiedział. – Chciałbym cię uściskać, ale nie pozwolą mi na to, póki nie wyzdrowiejesz. Położył głowę na poduszce, obok głowy Rudo. – Zrobiłem to kontynuował cicho. – Te psy są martwe. Już nigdy żaden z nich nie weźmie do ręki noża.

Rudo otworzyła z trudem oczy i spojrzała na Jacoba. Pat odwrócił się, by nie patrzeć na ból i miłość malujące się w jej spojrzeniu.

– Chodź rzekł do Erina. – Zostawmy Rudo i Jacoba samych przez chwilę. Stali na korytarzu i cicho rozmawiali, gdy szelest nakrochmalonego płótna uświadomił im, że nie są sami.

– Dzień dobry, panie Gifford – pozdrowiła go zakonnica, która przyjmowała Briar i Tarę. – Przyszłam po pańskiego tropiciela. Kobieta musi odpoczywać, a jej mąż powinien porozmawiać z chirurgiem, który ją operował. Na pewno będzie chciał założyć kilka pięknych szwów na tej okropnej ranie na jego piersi.

Uśmiechnęła się do Pata i Erina i weszła do separatki Rudo. Wychodząc z Jacobem, dodała:

– Przysłaliście nam dwie dzielne kobiety. Nie boją się ciężkiej pracy. Będą doskonałymi żonami.

W tej chwili nadbiegła Briar i prawie na nich wpadła. Niosła basen przykryty czystą szmatką.

Jacob! Tak się cieszę, że przyjechałeś do Rudo. Teraz będzie szybko wracała do zdrowia.

– Dziękuję – powiedział Jacob. – Dziękuję za opiekę nad moją żoną. Zakonnica wydała Briar cichym głosem kilka wskazówek i zabrała Jacoba do chirurga.

Briar! – odezwał się Pat. Odwróciła się twarzą do niego. Pamiętając, jak Tara się z nią droczyła, poczuła się dziwnie nieśmiała w obecności tego mężczyzny, którego przecież знаła przez całe życie. Wyciągnął ramiona, by ją uściskać, ale osłoniła się niezręcznie basenem. Nie zauważając jej zakłopotania, Pat pocałował ją w policzek.

– Powiedz, czy Rudo będzie mogła mówić?

– Chirurg twierdzi, że tak, ale musi minąć sporo czasu. Najprawdopodobniej nigdy już nie będzie mówiła tak dobrze, jak przedtem, ale bez trudu da się ją zrozumieć – wyjaśniła Briar podchodząc do drzwi separatki.

– Rudo jest wojowniczką. Płynie w niej krew Zulusów. Wyjdzie z tego – oświadczył stanowczo Erin.

Gdy Briar już chwyciła za klamkę, Pat jeszcze ją zatrzymał.

– Jacob chce tu zostać, póki Rudo nie będzie mogła opuścić szpitala. Erin i ja sądzimy, że to dobry pomysł. Erin ma następnego klienta dopiero za dwa i pół tygodnia. Myślę, że do tej pory Rudo będzie mogła już wyjechać z Bulawayo.

Briar skinęła głową, zastanawiając się, po co on opowiada jej o swoich planach. Teraz musi zastąpić Tarę. Chciała już pozbyć się jego towarzystwa i trochę się opanować. Czuła, że w obecności Pata zaczyna się zachowywać jak nastolatka.

– Twoi rodzice zaprosili nas do swojego miejskiego domu – ciągnął Pat. – Może Tara zamieszka z nami? Będzie jej wygodniej niż w internacie pielęgniarek.

Jacob gotuje prawie tak samo dobrze jak Rudo – dodał Erin z wesołym uśmiechem. – No, daj spokój. Briar. Daj się namówić! Zawsze chciałem mieć siostrę, ale tato jakoś nie potrafił mi jej sprezentować – drażnił się z nią. Pat uderzył syna w ramię.

– A ty, oczywiście, nie jesteś zainteresowany pewną voreq o sarnich oczach i rozkosznym, włoskim akcencie – zakpił.

Erin popatrzył na ojca z absolutnym zdumieniem.

– Widziałem, jak błyszczały ci oczy, gdy Tara do ciebie mówiła – roześmiał się

Pat, radując się zakłopotaniem Erina. – Masz moje błogosławieństwo, synu. Ona jest urocza.

– Tato! – ryknął Erin, czerwony ze wstydu.

– Ciii... – mitygowała go Tara, która właśnie wyszła z pokoju Rudo. – Obudźcie ją. Po wyjściu Jacoba zasnęła, a bardzo potrzebuje snu.

Już po cichu mężczyźni powiedzieli Tarze o swoich planach spędzenia dwóch tygodni w domu Hanleyów w Bulawayo.

Dajcie mi dwie minutki. Przekażę tylko pacjentkę Briar i pójdę z wami. Ale jestem taka zmęczona, że mogłabym zasnąć wszędzie.

Briar wzruszyła ramionami. Tara podjęła decyzję za nie obie.

>

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Zbrązowiła trawa rozchyłała się na boki tak łatwo, jak włosy pod naciskiem rozczesującego je grzebienia. Kobieta N'debele, ogromna od rozpychającego jej łono dziecka, torowała sobie drogę przez wysokie do ramion kępy roślinności.

Małą córeczkę starannie przywiązała na plecach kawałkiem jaskrawej tkaniny. Kołyszący chód kobiety uspił dziewczynkę. Jej główka przechylała się z boku na bok. Muchy gromadziły się na twarzyczce, spijając śluz spod nosa i ślinę wypływającą z kącików ust. Ale dziewczynka spała mocno. Jej pięcioletni braciszek, chudziutki chłopczyk z wystającym brzuszkiem i sterczącym pępkiem, szedł krok w krok za matką. Mocno trzymał procę, by w każdej chwili móc ustrzelić ptaka albo gryzonia.

Kobietę dręczył niepokój. Wiedziała, że nie powinna była zbaczać z wytyczonej ścieżki łączącej obie wioski, ale czuła, że dziecko w jej brzuchu już się obsunęło i jej czas nadchodzi. Na poród chciała zdążyć do wioski swojej matki, a wtedy mogła dojść pół dnia wcześniej.

Poprzedniej nocy drżała ze strachu i przytulała się do męża, bo blednący księżyc przynosił porykiwania głodnych, polujących lwów. Gdy ryki stopniowo ścichły do pomruków, jej mąż szepnął, że shumba znajdują się co najmniej dzień drogi od wioski i nie ma się czego bać. Zasnęła. Słońce rozproszyło wspomnienie nocnych lęków i kobieta zapomniała o lwach.

Pochylając się nad garnkiem, w którym gotowała kleik kukurydziany na śniadanie, poczuła pierwszy skurcz i sapnęła. Gdy mąż zjadł, wzięła dzieci i wyszła z wioski tak samo niepostrzeżenie, jak lwica oddala się od stada, kiedy przychodzi jej czas, by dać nowe życie.

Dzień był chłodny, a zbierające się chmury zapowiadały deszcz. Kobieta nadal czuła się nieswojo i bez przerwy spoglądała do tyłu, ale nic nie widziała ani nie słyszała.

Nagle z tyłu zaszeleściła trawa. Instynktownie popchnęła syna przed siebie. Oczami szukała jakiegoś odpowiedniego drzewa, ale widziała tylko falującą na wietrze trawę. W oddali widniały drzewa mopane, jednak był to tylko młody zagajnik, który w niczym nie mógł jej pomóc. Po chwili z ulgą spostrzegła tekowiec, odznaczający się ponuro na tle zachmurzonego nieba. Kiedyś musiał paść ofiarą szalejącego w buszu pożaru, ale jego bezlistne gałęzie nadal wznosiły się do góry.

Po to, by dojść do tego drzewa, będzie musiała się cofnąć po własnych śladach. Zawahała się na moment, spoglądając tęsknie w kierunku, gdzie leżała wioska matki, ale trwało to tylko chwilę i zaraz zawróciła.

Po przejściu matki z dzieckiem na plecach i chłopczyka, trawy wracały na swoje miejsce. Gdy doszli do tekowca, odwiązała płachtę na plecach i położyła córeczkę

na ziemi. Pochyliła się, by syn mógł wspiąć się po jej plecach jak po drabinie. Wszedł bez trudu na drzewo, ale jego ciężar spowodował ból w jej nabrzmiałym brzuchu. Potem obwiązała dziewczynkę płachtą i rzuciła ten pakunek w drobne ramiona synka.

Chłopiec niezręcznie wspinał się po gałęziach. Ona sama też chciała wdrapać się na drzewo, ale ciężki brzuch przygniatał ją do ziemi. Stała więc przy pniu, aż upewniła się, że dzieci są dostatecznie wysoko. Wtedy kazała chłopcu usiąść wygodnie w rozwidleniu konarów i przywiązać się razem z siostrzyczką płachtą, w którą była zawinięta.

Pot plamił jej niebieską drukowaną bluzkę i nawet wiatr nie dawał ochłody. Ogarnęło ją bezbrzeżne przerażenie. Wydawało się, że białka jej oczu rozszerzają się na całą twarz, gdy przewracała nimi ze strachu. Rozpaczliwie przeczesywała wzrokiem trawę, ale nic się w niej nie ruszało. W całej okolicy panowała absolutna cisza i bezruch. A jednak jej instynkt krzyczał, by dołączyła do dzieci.

Spróbowała zawinąć długą spódnicę wokół brzucha, ale ręce drżały jej tak bardzo, że nie mogła tego zrobić. Spódnica nadal więziła kostki u nóg. Z rozpaczą zerwała ją z siebie i uniosła ręce do najniższych gałęzi, by podciągnąć się z ziemi.

Ale jej ręce nie zdążyły dotrzeć do gałęzi. Płowego kształtu, który unióś się z trawy, nawet nie zobaczyła ani nie usłyszała, a jedynie wyczuła węchem. Spadł na jej plecy. Przednia, umięśniona noga, twarda jak stalowa belka, przygniotła jej głowę do piersi. Gdy padała do przodu, z lekkim trzaskiem pękł jej kręgosłup i zapanowała ciemność.

Wychudzona lwica, z żebrami sterczącymi jak stare podkłady kolejowe, jednym szarpnięciem rozdarła miękki brzuch kobiety, a potem z cichym rykiem triumfu wcisnęła pysk w ludzkie wnętrze.

Chłopczyk zakrzyczał, jakby go ogarniało szaleństwo. Jego siostra, obudzona tym zawołaniem śmierci i przerażenia, zakrzyczała razem z nim.

Lwica, chora i polująca samotnie, popatrzyła w górę. Warknęła, widząc tam jakąś groźbę. Podniosła głowę, porzucając na chwilę wnętrze kobiety. Z jej pyska spływała krew, z obu stron do futra przyczepiły się strzępy ciała. Popędziła do drzewa, ale była zbyt słaba, żeby wspiąć się wyżej niż na stopę czy dwie. Opadła, wyszarpując pazurami bruzdy w pniu. Spróbowała jeszcze raz, a potem zrezygnowała i wróciła do na pół zjedzonego ciała u stóp drzewa.

Obawiając się, że może stracić łup, pociągnęła ciało kobiety głębiej w trawę. Życie dzieci zostało oszczędzone, ale los nie oszczędził im odgłosów gruchotania kości i mlaskania, gdy lwica pożywiała się ciałem ich matki.

Z nastaniem nocy zaczęło padać. Chłopiec ułożył ręce w miseczkę, sam się napił i dał pić siostrzyczce. Ale w ciemnościach rozbrzmiewały obłąkane dźwięki. Hieny chichotały jak oszalałe wampiry. Dzieci skuliły się i siedziały cichutko. Wiedziały, że hieny są pieszczoszkami ngangas i nie chciały, by przed ich oczami objawiły się

czarownice. Przytuliły się do siebie, zdrętwiały ze strachu i zimna. W końcu dobroczynne wyczerpanie sprowadziło na nie sen głęboki jak śmierć.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Pierwsze błyski przedświtów rozpraszały ciemności. Było zimno. Erin wydychał obłoczki pary zmieniające się zaraz w szron. Zatarł skostniałe ręce, tupiąc stopami o twardą, piaszczystą ziemię bomy. Szedł do niedawno ukończonej chaty, która służyła za jadalnię.

Uśmiechnął się, widząc kiść bananów zawieszoną na słupku podpierającym strzechę. Owoce były jeszcze ciemnozielone, ale kilka z nich jużgniło i etylen wydzielany przez nie nada wkrótce pozostałym piękny, ciemnożółty kolor.

Rozejrzał się po obozie, który zbudował razem ze swoimi ludźmi, i pogratulował sobie w duchu. Ustawione kosiście wewnątrz bomy, kryte strzechą chaty dla myśliwych były dość obszerne. W każdej umieszczono dwa żelazne, połowe łóżka, w kącie zawieszono pręt z gałęzi mopane na ubrania, a stół stanowił blat z nieobrobionych, lecz starannie wyplecionych gałęzi, położony na czterech grubych palach wbitych w ziemię.

Ściany z plecionej trawy sięgały ramienia wysokiego mężczyzny, gwarantując odosobnienie, a także światło i dopływ powietrza. Chaty nie miały drzwi, lecz zwykły otwór w ścianie. Prowadziła do niego zygzakowata ścieżka, ogrodzona z obu stron płótkiem z trawy. Uważano, że żaden drapieżnik nie wejdzie do zamkniętego pomieszczenia, jeżeli nie widzi przed sobą prostej drogi. Ta teoria koła obawy większości żon i córek myśliwych. Pośrodku starannie zamiecionego obozu palił się jasny, wesoły ogień.

– Jeżeli shumba będzie chciał tu przyjść, to i tak przyjdzie – przepowiadał Jacob, niosąc beły trawy, które uderzały go po ramionach. Pot oblewał mu ciało.

– Wiem, ale to uspokaja klientów przekonywał go Erin.

– To dlaczego prysznic i toalety są na zewnątrz ogrodzenia? – spytał Jonas.

– Shumba wie, że nie wolno napadać ludzi siedzących na kwadratowej skrzyni albo stojących pod kociołkiem z wodą – zakpił z niego Jacob.

– Katoro! – zawołał Erin. Zanim jeszcze zdążył wypowiedzieć ostatnią sylabę imienia, pojawił się drobny, niski mężczyzna z czerwonym, emaliowanym dzbankiem na kawę i ciemnozielonym kubkiem. Świeża blizna, biegnąca od ucha

do kącika ust, świadczyła o niedawnej walce o kobietę z innym wyprawiaczem skór. Gdy Katoro wpadał w gniew, lepiej było go unikać.

– Kawa gotowa, panie Erin – powiedział. Twarz mu się rozjaśniła, gdy zobaczył zadowolenie Erina. Niedawno awansował ze stanowiska wyprawiacza na godne pozazdrosczenia stanowisko kucharza w obozie Nowe Ganyani. Jako kucharz nie tylko dostawał wyższą pensję, lecz także niepomierne wzrósł jego

prestiz wśród dam z wioski. W przeciwieństwie do większości pracowników Erina, Katoro nie był żonaty. Poinformował Erina, że wciąż jeszcze szuka odpowiedniej kobiety, a na razie ma do dyspozycji wielki wybór dziewcząt mieszkających razem z nim.

Ludzie Erina wybudowali krąg chat dla siebie w niewielkiej odległości od głównego obozu myśliwskiego. Ich rodziny już się tu przeprowadziły z Karne i Ganyani. Kurczęta dziobały ziemię wokół chat, a w zagrodzie umieszczono kilka zaniedbanych kóz.

Pat i Erin rozdzielili personel między Nowe Ganyani i Karne Dwa. W ciągu tygodnia, który Hanleyowie spędzili z Giffordami, Briar zaproponowała coś, co Pat natychmiast z radością zaakceptował.

Zamiast wysyłać te wszystkie fakсы odwołujące polowania, moglibyście zaoferować coś nowego i podniecającego powiedziała któregoś dnia.

Fred już miał ją powstrzymać, ale Pat podniósł rękę.

– Na przykład?

– Zaproponujcie im polowanie w stylu Selousa. Pat i Erin spojrzeli na nią ze zdumieniem.

– Macie dość czasu na wybudowanie obozu z trawy i znalezienie kilku oczek wodnych – kontynuowała szybko, żeby nie zaczęli oponować. – Niech klienci śpią w chatach z trawy, wykopcie latryny, prysznic zróbcie z podziurawionego wiadra zawieszona na linie. – Jej oczy jaśniały, gdy wracała wspomnieniami do minionych czasów.

– Safari „Selous” – mruknął Pat. Frederick Courteney Selous był młodym Anglikiem, który przyjechał do Afryki i stał się jednym z najsłynniejszych tutejszych myśliwych. – Briar, to może się udać! – Uśmiechnął się radośnie, poruszony jej entuzjazmem.

– Jednocześnie zaproponujcie pobyt w Karne Dwa – dodała Blanche. – Wielu myśliwych chętnie spędzi tam kilka dni bez żon albo...

– Albo kochanek – uzupełniła Briar. Blanche roześmiała się.

– Busz nastraja romantycznie. Wywiera na ludzi taki sam wpływ, jak podróż morska.

– Żony – czy jak tam je nazwać będą zapewne zadowolone, mogą przez dzień czy dwa obserwować stada dzikich zwierząt z landrovera. Zdażyłyby wygoić pęcherze na piętach, a dobra, gorąca kąpiel czyni cuda – powiedział Fred. – Macie cudowny, stary dom farmerski w pobliżu Kariba i tam też znajduje się wasza nowa koncesja. Skorzystajcie z tego.

– To wspaniały pomysł, tato – zachwycił się Erin. – Nowe Ganyani jako obóz myśliwski, a Karne Dwa na odpoczynek.

– W swoich faksach proponujcie kombinację obu. Polowanie, a potem wypoczynek – rzuciła Briar. – Jestem pewna, że będziecie mieli mnóstwo

zgłoszeń. No, już, idziemy wysyłać fakсы.

Odzew wprost zdumiał Giffordów. Mieli zgłoszenia na cały sezon.

Erin wszedł w nowe życie łatwo i spokojnie. Całymi dniami był tak zajęty przy budowie obozu, doprowadzaniu wody z pobliskiej rzeczki, wybieraniu miejsca na latryny, szukaniu płaskich kamieni do pryszniców pod gołym niebem, że miał niewiele czasu, by żałować starych rancz Ganyani i Karne. Pat wyznaczył mu olbrzymie zadanie, a on miał zamiar udowodnić, że potrafi zorganizować i przeprowadzić własny obóz myśliwski.

Uwielbiał podejmować decyzje. Było to dla niego czymś zupełnie nowym i podniecającym. Stare ranczo zostało wybudowane przez Pata i praca w nim odbywała się według zasad Pata. Natomiast Nowe Ganyani należało do niego i sam za nie odpowiadał. Traktował je tak, jak ojciec traktuje pierworodnego syna.

Katoro chwilę przyglądał się, jak Erin pije kawę, a potem pobiegł truchcikiem do kuchni po kukurydziany kleik. Ostrożnie podniósł garnek ze starego pieca Dover. Pysnił się tym piecem. Nadal piekł chleb w blaszanej skrzynce stawianej na ogniu, ale piec został przywieziony do obozu z kuchni w Karne i nikomu nie pozwalał go dotykać. Ściany i dach kuchennej chaty wykonano z trawy, ale czuł, że dzięki temu piecowi jego własna kuchnia nie jest gorsza od jakiegokolwiek kuchni w Bulawayo.

Teraz Katoro przyglądał się, jak Erin robi dwie dziurki w pokrywce puszki i polewa swoje sadza grubą warstwą słodkiego, skondensowanego mleka. Uprzedzając następny ruch Erina, Katoro podał mu garnek z miodem. Erin odsunął wosk na bok i nalał miodu na mleko.

Katoro zawsze przyglądał się jedzącemu Erinowi. Zdumiewało go, że Erin może jak należy jeść kleik kukurydziany podczas kolacji, polewając go kapenta albo gulaszem, natomiast rano nie życzy sobie kwaśnego mleka.

– To musi być angielski zwyczaj, którego Wielki nauczył go, gdy był jeszcze dzieckiem i nie wiedział, co naprawdę jest dobre – zwierzył się Jonasowi.

Jonas natychmiast się z nim zgodził. Mądry mężczyzna nie robi sobie wroga z obozowego kucharza. A jeżeli ma w nim przyjaciela, dostaje ekstra posiłki, a czasami nawet owoce z puszki.

Erin wybrał palcami resztę skondensowanego mleka i odsunął talerz. Dziś skończą budowę ostatniej chaty dla myśliwych. Podsunął kubek, by Katoro dolał mu kawy, i popatrzył na mężczyzn, którzy wchodzili do bomy, obciążeni belami świeżo ściętej trawy. Nagle odstawił kubek.

– Jacob! Jonas! – zawołał.

Ludzie znajdujący się bliżej przekazywali jego wołanie, aż doszło do wioski, gdzie tropiciele jedli swoje sadza ze zsiadłym mlekiem. Chwilę później obaj byli już przy nim.

– Nie będziemy dziś budować. Zostawimy to innym. Wiedzą, co robić. Idźcie

po manierki. Poszukamy oczka wodnego, które mój ojciec widział przelatując tędy w zeszłym tygodniu.

– Dobrze będzie znów pójść tropem – rozpromienił się Jacob.

Jonas przytaknął. W głębi duszy cieszył się tą niespodziewaną przerwą w codziennej rutynie, ale nigdy by się do tego nie przyznał.

Erin wziął od Jacoba strzelbę i krzyknął coś w sindebele. Natychmiast pięciu mężczyzn pobiegło tam, gdzie oczyszczano z trawy miejsce na pas startowy.

Pat chciał spędzić tu weekend i Erin zamierzał na czas przygotować pas dla cessay. Pragnął zobaczyć podziw w oczach ojca, gdy ujrzy nie tylko wykonany już pas startowy, ale i obóz przygotowany na przyjazd gości.

– Nikt, kto nie przepracuje dziś całej dniówki, nie dostanie nyama, gdy wieczorem wrócimy z kozłem – ostrzegł.

Wiedział, że dzięki obietnicy mięsa na kolację, wszyscy będą dziś pracowali naprawdę ciężko.

Wokół unosiły się roje muszek, wpadały do ust i nosa. Erin zaczął je odganiać.

– Nie zwracaj na nie uwagi, tak jak shumba nie zwraca uwagi na muchy tse-tse – radził mu zawsze Jacob.

– Może gdybym mógł na nie ryknąć jak shumba, też zostawiłyby mnie w spokoju – odpowiadał Erin.

Trzej mężczyźni maszerowali, dopóki ich cienie nie znalazły się dokładnie pod nimi, ale nie spostrzegli nawet śladu wodnego oczka. Przed nimi rozciągała się głęboka, trawiasta dolina.

– Zwłoki – powiedział Erin i wskazał ręką w stronę doliny, gdzie na odległym drzewie spoczywały czarne kształty.

– Niezbyt świeże – dodał Jonas oceniając oczy. – Na niebie nie ma już sępów. Zostały tylko te siedzące na drzewie.

– Zbyt objedzone, by latać – roześmiał się Erin. – Chodźmy zobaczyć, co tam leży.

Jacob w milczeniu poszedł pierwszy przez trawę. Nieustannie przepatrywał okolicę i węszył jak ogar.

Nagle zakręcił w prawo i przysiadł w trawie. Erin i Jonas chwilę poczekał, ale gdy nie pojawił się, Erin załadował broń i ostrożnie ruszył w kierunku, w którym zniknął Jacob. Znaleźli go przykucniętego nad czymś, co leżało na ziemi.

– Jacob, co się stało? – szepnął Erin.

Jacob wstał i potracił tę rzecz nogą, rozwijając kawałek niebieskiej bawełny zaplamionej zgęstniałą krwią, czarną od rojących się much.

Mężczyźni popatrzyli po sobie, a potem zwrócili spojrzenie na materiał.

– Shumba – stwierdził Jacob wskazując ledwie widoczny ślad na piasku wśród trawy.

Pochylił się nisko nad odciskiem łapy i wdał w cichą rozmowę z Jonaszem. Potem

obaj się wyprostowali i powoli ruszyli, każdy w innym kierunku, poszukać dalszych śladów. Gdy je znaleźli, zaczęli się nawoływać cichym okrzykiem przyłaskowej turkawki, który dla Erina brzmiał jak: Gdzie jest Ingwe? Gdzie jest Ingwe?

Poszedł cicho za nimi. Był niespokojny, gdyż wiedział, że w tych okolicznościach można wejść prosto na lwa. Ten, który tu niedawno polował, na pewno przesypia teraz południe szczęśliwy, bo ma pełny brzuch.

Jonas i Jacob zatrzymali się, by na niego poczekać.

– To stara lwica. Jest sama i nie pożyje długo. Już nie może polować – powiedział Jacob.

Erin nie zakwestionował jego stwierdzenia. Mimo że mieszkał tu od urodzenia, nie potrafił zrozumieć, w jaki sposób tropiciele mogą odczytać historię życia zwierzęcia na podstawie kilku śladów pozostawionych w gęstej trawie, ale nigdy nie wątpił w ich słowa.

Nagle Jacob wydał ostry gwizd dzierzby. Mężczyźni natychmiast zbliżyli się do siebie, bo usłyszeli głośny, nosowy zew.

Erin popatrzył na ziemię, próbując zorientować się, co takiego zobaczył Jacob, potem spojrział w niebo, na kołującego sokoła. Jego białe skrzydła obrzeżone były czarnym paskiem. Obserwował wspaniałe przewroty, jakich ptak dokonywał w powietrzu. To właśnie one zyskały mu wśród Francuzów nazwę akrobata.

– To była kobieta – powiedział Jacob, patrząc na kości potrzaskane potężnymi szczękami. – Gdy lwica odeszła, przyszły tu na ucztę hieny.

Erin zmusił się, by spojrzeć na żałosne szczątki kobiety. Hieny wgniotły trawę w piasek. Kawałki materiału zwisały ze stojących jeszcze ździebeł jak flagi z masztów w bezwietrznym powietrzu.

– Musimy znaleźć lwicę i ją zastrzelić. Skosztowała już ludzkiego mięsa, więc znów będzie zabijać – oznajmił Erin.

– Nie ma takiej potrzeby – sprzeciwił się Jacob. – Hieny zrobiły to za nas. – Powiedział jeszcze coś do Jonasa, który szybko odszedł, pilnie przypatrując się ziemi.

– Próbowwała obronić swój łup, ale było ich za dużo. Jonas niedługo znajdzie jej zwłoki. Popatrz tutaj.

Erin przykucnął obok Jacoba i znów się zachwycił jego umiejętnościami. Jacob kijkiem odwrócił coś, co dla Erina wyglądało jak złamana gałązka przysypana piaskiem. Ale była to noga lwa, odgryziona od ciała przy pachwinie.

Gdy tak przyglądali się okropnemu dowodowi świadczącemu o śmierci lwicy, podszedł do nich Jonas.

– Jest, jak powiedziałeś. Ciało leży tam. – Wskazał jakiś kształt w niewielkiej odległości od nich.

– Nie była taka stara, tylko łakoma. Zanim zabiła kobietę, chciała

podelektować się delikatnym podbrzuszem ngungu. W gardło i łapy weszły jej kolce jeżozwierz. Potem z ran popłynęła żółta ropa. Była chora i nawet gdyby hieny jej nie zabiły, szybko by umarła.

Nagle do ich uszu dobiegł jakiś cichutki dźwięk, jak miauczenie nowo narodzonych kociąt. Wydawało się, że dochodzi z miejsca, gdzie siedzą sępy. Spojrzeli uważnie na czarne kształty i ostrożnie zaczęli podchodzić do drzewa.

– Dzieci!

– Jacob? O czym ty mówisz? – spytał Erin. – Jakie dzieci?

– To nie sępy, lecz dzieci przywiązane do gałęzi – wyjaśnił Jacob.

Erin wzdrygnął ramionami. Ciągle jeszcze nie mógł rozróżnić kształtów. Jednak gdy zbliżyli się do tekowca, rozpoznał ludzkie sylwetki. Pobiegnął przez trawę.

Z tyłu wystrzeliła ręka i zatrzymała go w pół kroku. Odwrócił się gwałtownie, rozzłoszczony i gotów do kłótni z Jacobem.

Tu może być jeszcze jakiś inny lew. Zobacz, na pniu zostały ślady pazurów. Lew wie, że na drzewie siedzą dzieci.

Irin uspokoił się i skinął głową. Rzeczywiście nie chciał znaleźć się między lwem a tym, co ten lew uważał za swój łup.

– Może być głodny – kontynuował Jacob.

Irin przyglądał się szerokiemu, zarośniętemu trawą terenowi. Wypatrywał jakiegoś ruchu, który podczas bezwietrznego dnia zdradziłby obecność zwierzęcia. Nagle coś miękkiego owinięło się wokół jego kostki od nogi. Zdusił okrzyk przestachu. Spojrzał w dół i gwizdnął, przywołując Jacoba, bo zobaczył, że nastąpił na kawałek drukowanego, bawełnianego materiału.

– Nie miała siły, by wejść na drzewo za dziećmi – powiedział Jacob.

– Więc zdjęła spódnice. Może była zbyt tęga – kontynuował Jonas. I wtedy lwica ją dostała – uzupełnił cicho Erin.

– Zaczęła ją pożerać już tutaj – wskazał Jacob. – Zobaczcie, ziemia jest przesiąknięta krwią. Ale shumba poczuła się niespokojna i pociągnęła kobietę w trawę.

– Robiła to powoli – dodał Jonas. – Shumba była słaba, a kobieta ciężka. Pożarła ją dopiero w wysokiej trawie. – Wskazał łaską miejsce odległe o kilka stóp.

– Bere wywęszyły zapach mięsa i krwi, i przyszły na żer. Walczyły między sobą i zaciągnęły kawałki kobiety aż do miejsca, gdzie znalazłem pierwsze strzępy niebieskiego materiału dokończył Jacob.

Tropiciele stanęli przy pniu i zaczęli wołać do dzieci, ale one milczały. Wydawało się, że akt śmierci, który tak niedawno rozegrał się na ich oczach, połączył oba ciała w jedno.

Jonas podał strzelbę Jacobowi i zwinnie wdrapał się na drzewo.

– Nie żyją – zawołał z góry.

– Podejź wyżej – rozkazał Erin. – Siedzą w rozwidleniu konarów. Jonas wspinał się do chwili, gdy zaczęło się wydawać, że lada chwila pod jego ciężarem gałąź się złamie. Wtedy ze zrećnością właściwą tylko naczelnym ssakom, wyskoczył w powietrze. Gorączkowo szukał punktu oparcia na gałęzi pod spodem. Czuł, że zdziera paznokcie, ale palce pochwyciły coś stałego.

Erin zamknął oczy. W każdej chwili oczekiwał głuchego odgłosu upadku. Znieś je na dół – krzyknął Jacob.

Jonas odsupłał płachtę od gałęzi i starannie owinął nią dzieci. Potem przełożył sobie pakunek przez plecy i zaczął ostrożnie schodzić.

Gdy tylko znalazł się na ziemi, Jacob zdjął dzieci z jego pleców. Wszyscy trzej pochylili się nad ciałkami. Chłopczyk kurczowo zaciskał ręce na ciele siostrzyczki. Jej twarz była ukryta w jego podartej kurtce.

Erin poczuł bicie pulsu na szyjnej tętnicy chłopca.

– Chyba żyje. Zmoczcie to w wodzie i zaraz mi podajcie – polecił, zdzierając z szyi apaszkę.

Wyciągnął jedną rękę po moką szmatkę, a drugą szukał pulsu. Tak – wyszeptał cicho. Bije słabo jak puls pisklęcia, ale chłopiec żyje.

Powoli, po kropli, wyciskał apaszkę w usta dziecka. Gdy zobaczył delikatne drżenie warg, oddał szmatkę Jacobowi. Musiał sprawdzić, co się dzieje z dziewczynką.

Podaj mi manierkę poprosił Jonasa.

Jonas wręczył mu metalową butelkę owiniętą w maskującą siatkę i patrzył, jak woda spływa na malutką twarz i ciało.

Erin nie wyczuwał tętna, ale uparcie masował rączki i nóżki dziewczynki powolnymi ruchami skierowanymi ku sercu.

– Zmocz palec i włóż jej do ust.

Jonas wykonał polecenie. Jednocześnie odwrócił się tak, by jego cień osłonił twarz maleństwa przed słońcem. Obaj mężczyźni zapamiętali się w ratowaniu dziecka od śmierci. Słyszeli, jak Jacob rozmawia z chłopcem, ale nie zwracali na to uwagi.

Cichutki, nieśmiały głosik wypowiedział coś, czego nie zrozumieli.

– Tak, był tu lew odparł Jacob. Nie możesz myśleć, że twoja mama umarła. Po prostu jej ciała już tu nie ma. Ale jej dusza wróciła do naszych przodków i będzie tam żyła zawsze. Powinieneś być dumny ze swojej mamy. Była dzielna jak prawdziwy wojownik.

Nastąpiła długa cisza, a potem Jacob dodał:

– Znaleźliśmy lwa. Jest martwy. Przysięgam.

Erin spojrział przez ramię. Chłopczyk wtulił się w szyję Jacoba, jego chude nóżki z podrapanymi, wystającymi kolanami mocno obejmowały mężczyznę w talii.

– Skoro Jacob twierdzi, że lew nie żyje, musisz mu wierzyć, gdyż Jacob jest najlepszym tropicielem w kraju. Wszystkie shumba się go boją.

Mimo że Erin mówił w sindebele, chłopiec odwrócił głowę i jeszcze mocniej wcisnął się w Jacoba.

– To musi trochę potrwać powiedział Jacob po angielsku. – Jest już w takim wieku, że wszystko będzie pamiętał. Ale dziewczynka ma szczęście. Nie pozostaną jej żadne wspomnienia.

Jeżeli żyje, pomyślał Erin. Jonas nadal masował i zwilżał małe ciało. Erin na chwilę zdjął palec z jej przegubu, gdzie próbował wyczuć tętno, gdy dziewczynka nagle wydała ssący dźwięk i jej usta wykrzywiły się, jakby jadła kwaśną cytrynę.

Instynktownie odskoczył, ale Jonas się roześmiał.

Te dzieci są silne. Znaleźliśmy je na drzewie, jakby były małpkami. Musimy dać im jakieś imiona.

– Och, nic – sprzeciwił się Erin. Jeżeli nadamy im imiona, będziemy musieli je zatrzymać i zaopiekować się nimi.

Obaj tropiciele skinęli głowami. Gdy ratujesz człowiekowi życie, stajesz się za niego odpowiedzialny, bo od tej pory on należy do ciebie.

– Jacob, Jonas prosił Erin. Te dzieci mają ojca, rodzinę. Muszą wrócić do swojej wioski.

– Znalezienie ich wioski może potrwać bardzo długo – zaproponował Jacob.

– Może ich ojciec nie żyje dodał Jonas.

Dziewczynka zapłakała. Leżała na ziemi i patrzyła błagalnie na mężczyzn. Jej ogromne, czarne oczy wydawały się za duże w małej twarzączce, ściągniętej i poszarzałej.

– To Buna – powiedział Jonas. Erin skinął głową.

– Tak, ma oczy i głos małpiatki, i jest malutka. Będzie miała na imię Buna. Jonas uśmiechnął się.

– Aten – odezwał się Jacob, obejmując chłopca, który rozpaczliwie się do niego wtulał – będzie Shoko. Wczepił się we mnie jak mały koczkodan, a jego ręce i nogi są całkiem małpie.

Erin przyglądał się tropicielom. Miał wrażenie, że bardzo zrećźnie zmuszono go do pogodzenia się z sytuacją.

– Shoko i Buna mogą zostać z nami w obozie... – Widząc ich rozradowane twarze, uniósł obronnie ręce –...dopóki nie znajdziemy ich rodziny.

Ruszyli dalej przez wysoką trawę. Tropiciele nieśli dzieci, które chciwie ssały mokre płótno.

Jonas i Jacob rozmawiali po cichu. Żona Jonasa jeszcze karmiła swoje ostatnie dziecko, więc wykarmi również Bunę, póki mała nie będzie dość silna, by jeść sama, a Shoko już od jutra dostanie wodniste sadza.

Jacob powiedział coś do Jonasa. Jonas skinął głową, a Jacob zwrócił się do Erina.

– Niech Jonas zanieś Bunę i Shoko do obozu. To niedaleko. A my postaramy się o mięso na kolację. Jonas zostawi dzieci z kobietami i przyjedzie po

nas samochodem.

Tropiciele byli rozradowani. Teraz, gdy znaleźli maskotki, w obozie będzie się działo dobrze. Pan Pat ma Sheebę, a wszyscy wiedzą, że „czerwony diabelski pies” przynosi szczęście.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Tara i Briar stały obok siebie przy oknie wychodzącym na park, w którym zbudowano szpital Matki Bożej. Trawa była tu cudownie zielona, choć chłodne wieczory i ranki zapowiadały już zbliżanie się zimy.

Briar przyszła zwolnić Tarę po nocnym dyżurze. Choć całodobowe dyżury przy Rudo nie były już konieczne, praca w szpitalu sprawiała im prawdziwą przyjemność. Obie miały uprzejme obejście i umiały ciężko pracować, a te zalety zjednały im przywiązanie i szacunek zakonnice.

Wracając z dyżurów, zawsze zastawały kogoś u Hanleyów. Obie były zdumione, że Pat i Erin tak dobrze gotują i prowadzą dom.

– Tu jest łatwiej niż w obozie w buszu – powiedział Erin, gdy Tara chwaliła śniadanie, które dla niej przygotował.

Pat i Erin kolejno latali do Nowego Ganyani i Karne Dwa. Personel sprawiał się doskonale i oba obozy weszły już na tory zwykłej rutyny. Jacob wrócił do Nowego Ganyani w poprzednim tygodniu i został powitany z historyczną radością przez Shoko.

Lekarze orzekli, że Rudo nie grozi już niebezpieczeństwo śmierci. Mimo że jej stan poprawiał się, opiekujący się nią doktor wołał, by została w szpitalu tydzień dłużej, ponieważ nadal nie mówiła. Nie wiedział, czy jest to spowodowane szokiem, czy też jej język nie zrósł się prawidłowo.

Briar siedziała przy niej całymi godzinami, opowiadając o Karne i Jacobie. Oczy Rudo śledziły usta Briar, ale jej własne wargi nawet nie drgnęły.

Tara przeciągnęła się i ziewnęła.

– No, chyba już pójdę. Erin jest w Nowym Ganyani, więc muszę sama ugotować sobie śniadanie.

– Ach, nie. Pat powiedział, że zajmie się kuchnią – powiedziała Briar, nieświadomie psując niespodziankę Erina.

– Myślałam, że Pat jest w Karne? – zdziwiła się Tara. Briar zaczerwieniła się.

– Przyleciał w nocy. Mówi, że nie chce, bym była sama w tym wielkim domu.

– Aha – mruknęła Tara, a jej oczy rozblęły.

– Taro, Pat mógłby być moim ojcem – wyjąkała Briar.

Chyba tak – odparła Tara dokonując szybkich obliczeń. – Mój ojciec jest sporo starszy od mamy, a przecież się kochają... na sposób włoski. Pat nie jest znowu tak wiele starszy od ciebie. W każdym razie wygląda najwyżej na trzydzieści pięć lat. I jest seksowny.

Briar uśmiechnęła się złośliwie.

– Myślałam, że to Erin jest seksowny. Tara nie wydawała się zakłopotana.

– Och, tak. To prawda...

Od strony łóżka dobiegł jakiś odgłos. Tara i Briar odwróciły się gwałtownie. Rudo

próbowała coś powiedzieć.

– Briar?

– Rudo – zawołała Briar z radością. – Znów możesz mówić!

– Briar – powiedziała Rudo niewyraźnie. – Wyjdź za pana Pata. Mężczyzna potrzebuje żony.

Briar była tak wzruszona słysząc głos Rudo, że w pierwszej chwili nie zrozumiała znaczenia jej słów. Szybko podeszła do łóżka i uściskała kobietę, która przez chwilę znalazła się w piekle, a potem z niego wróciła.

– Zgadnam się z Rudo – odezwała się Tara.

– Co takiego?

– Powinnaś wyjść za Pata i zamieszkać w Karne.

– Zamieszkać z panem Patem i ze mną – szepnęła Rudo. Ciągle jeszcze trudno jej było formułować słowa.

– To śmieszne – rzuciła Briar. – Ale pędzę do telefonu powiedzieć im, że już mówisz. Teraz będziesz mogła wrócić do domu.

Wybiegła z separatki, prawie wpadając na jedną z zakonnicek.

– Przepraszam, siostrzyczko – krzyknęła, nie zatrzymując się. – Rudo mówi! Zakonnica uśmiechnęła się i weszła do sali. Tara zerwała się z łóżka, gdzie przysiadła i trzymała Rudo za rękę.

– Kudo, twój lekarz niedługo przyjdzie cię zbadać. Najprawdopodobniej pozwoli ci wrócić do domu jeszcze dziś.

Rudo uśmiechnęła się z wysiłkiem i szeptem podziękowała.

– Nie do wiary! – powiedział Pat, gdy zadzwonił lekarz z informacją, że wypisuje Rudo ze szpitala. – Wczoraj leżała pogrążona w obojętności, a dziś pan mi mówi, że siedzi na ławce w cieniu drzewa. Dziękuję panu! Zawdzięczamy panu więcej, niż kiedykolwiek potrafimy spłacić.

Najbardziej zdumiewające jest to, jak te młode kobiety, które pan nam przysłał, potrafią pracować. Briar godzinami siedziała przy Rudo, udzielając jej swojej siły. To jej miłość przywróciła Rudo zdolność mówienia.

– Tak, Briar jest właśnie taka – przyznał Pat i cicho odłożył słuchawkę.

Po drodze do szpitala Pat postanowił, że poprosi Briar i Tarę, by przyjechały do Karne Dwa na dłuższy pobyt. Tam Rudo spokojnie dojdzie do zdrowia. Briar i Tara oczywiście będą jej doglądać, ale poza tym spędzą czas na dobrze zasłużonym odpoczynku.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

W obozie Maddena po wyjeździe Tary i Briar atmosfera się popsuła. Safari dobiegało końca, a ciągle brakowało im jeszcze jednej lamparciej skóry. Kirk Madden i jego tropiciele dzień po dniu, od rana do wieczora, sprawdzali przynęty. Jednak mimo całej zręczności i doświadczenia w wyborze nowych miejsc zastawiania pułapek, nie znaleźli żadnych śladów lamparta.

Kobiety były już zmęczone jeżdżeniem po wybojach i patrzeniem, jak mężczyźni zdejmują z gałęzi zwierzęce trupy i wieszają nowe. Ostatnio matka i córka zostawały w obozie, oddając się lekturze i sprzeczkom. Monotonny tryb życia zaczął je nudzić.

– Jedźcie dziś z nami – poprosił Guido przy śniadaniu. Przygarnął do siebie żonę i córkę. – Przyniesiecie nam szczęście. Wiem, że jeżeli będziecie z nami, znajdziemy ślady – pocałował Marię w policzek. – Proszę cię, cara.

Rzucił Kirkowi ponagląjące spojrzenie.

– Kirk! – zawołał. – Poproś moje kobiety, by przyłączyły się do nas. Może dla ciebie zrobią to, czego nie chcą zrobić dla' mnie.

Na pewno, zgodził się w duchu Kirk.

– Mario, Tomasino, proszę, dołączcie do nas. Potrzebujemy szczęścia. Mam przeczucie, że wasza obecność pozwoli nam znaleźć naszego ostatniego lamparta. Kobiety jeszcze chwilę się sprzeciwiały, zmuszając Marka, by też zaczął je błagać. W końcu zgodziły się i wsiadły do landrovera, witane radosnymi okrzykami mężczyźni.

Kirk patrzył, jak szorty opinają się na pośladkach Tomasiny. Nadal zamierzał przespać się z nią przed końcem safari. Uznawszy, że Maria za bardzo boi się Guida i nie ma nadziei na spędzenie nocy z nią, zrezygnowanie podchodził Tomasinę. Udawał, że nie zwraca na nią uwagi, ale gdy tylko byli poza zasięgiem wzroku jej rodziny, obejmował ją ukradkiem. Wyczuwał jej gotowość, ona też go chciała mieć. W dalszym ciągu pragnęła wpisać białego łowcę na listę swoich kochanków. Przy pierwszej zasadzce, którą sprawdzali, zauważyli upragnione ślady. Lampart był tu w nocy. Na pniu znaleźli świeże zadrapania od pazurów. Zjadł też trochę przynęty.

Wróci wieczorem, by dokończyć mięso powiedział Kirk. Poczekamy, aż tropiciele zbudują kryjówkę.

Cara, przyniosłaś nam szczęście. Jeszcze dziś będziesz miała swojego lamparta. Guido był rozpromieniony.

A niedługo będziesz mogła nosić kurtkę dodał Marco. Strażnik Parku Narodowego obchodził niespokojnie drzewo. Kirk zżymał się na obecność tego człowieka, którego nazywał cerberem, ale odnosił się do niego uprzejmie. Wiedział, że gdyby strażnik wysyłał swoim władzom niekorzystne dla niego sprawozdania, mógłby

stracić koncesję.

– Co się stało? – zawołał. – Nie cieszysz się, że mamy naszego ostatniego lamparta?

Strażnik powiedział kilka słów do tropicieli, a potem podszedł do Kirka, który stał w małej plamie cienia rzucanej przez drzewo mopane.

– Twój tropiciele zgadzają się ze mną. To najprawdopodobniej samica z małymi.

Kirk poczuł się chory ze złości. Potrzebował tego lamparta! Aby Guido Andretti zechciał polecać go swoim bogatym znajomym, safari musi skończyć się wielkim sukcesem. I postanowił, że tym wielkim sukcesem będzie doskonały strzał i zdobycie tak wymarzonej przez Marię skóry.

– Przecież nie możemy być tego pewni, póki nie zobaczymy zwierzęcia – upierał się.

Strażnik tylko pokiwał głową i odszedł. Idiota, pomyślał Kirk. Tyle tu lampartów. Jaką różnicę sprawi jedna samica więcej czy mniej?

– O co chodzi? – spytała Maria. Obserwowała incydent z daleka, ale z gestykulacji domyśliła się towarzyszących rozmowie ostrzeżenia i gniewu.

– Mój cerber uważa, że to samica z młodymi – wyjaśnił rozgoryczony Kirk. Ale przecież zapolujesz dziś wieczorem, prawda? – Maria była zaniepokojona. Odwróciła się do męża i zaczęła szybko mówić po włosku.

– Guido! – prosiła. – Guido, obiecałeś, że będę miała kurtkę. A teraz, tylko, dlatego, że jakiś strażnik uważa to zwierzę za samicę, nie dostanę jej. Och, Guido, och, Marco, zabijcie dla mnie tego lamparta!

Rozplakała się, ale popatrywała na męża przez palce zasłaniające oczy. Jej łzy zawsze na niego działały. Zrobiłby wszystko, by żona nie czuła się nieszczęśliwa.

– Kirk! – zawołał grzmiącym głosem i odszedł tak, by me było słyhać ich rozmowy. Stanął przy mrowisku.

Kirk wstał i podszedł do niego.

Kirk, moja żona bardzo pragnie tego lamparta.

– Nie mogę strzelać do samicy z kociętami, a już zwłaszcza teraz, gdy strażnik mnie przed tym ostrzegł. Straciłbym licencję – wyjaśnił Kirk.

W Mediolanie mam wielu przyjaciół, którzy tylko marzą o safari. A wybiorą przewodnika, którego im polecę. Znam co najmniej pięciu, którzy zapolowaliby na słońce.

Kirk oblizwał wargi. Opłaty za wielkie polowanie plus napiwki są chyba warte samicy lamparta. A strażnikowi zamknie usta pieniędzmi.

– Potrafiłbym okazać wdzięczność – kontynuował Guido. – Powiedzmy, że moja wdzięczność wyraziłaby się dwudziestoma tysiącami dolarów złożonych w mediolańskim banku na nazwisko Kirka Maddena.

Dreszcz chciwości przebiegł Kirkowi po plecach, ale zdołał zachować obojętny

wyraz twarzy.

– Coś ci powiem, jak mężczyzna mężczyźnie – ciągnął Guido. – W Mediolanie miałem romans. Maria się o tym dowiedziała. Gdyby dostała skóry na kurtkę, przebaczyłaby mi.

Kirk skinął głową. Już podjął decyzję. Zawołał w szona tropicieli.

– Ten strażnik myśli, że mbada, który tu był, to samica z młodymi. Sprawdzimy inne przynęty. Jedziemy!

– Czy chcesz, byśmy zburzyli kryjówkę, która teraz już jest niepotrzebna?
– Spytał jeden z tropicieli.

– Nie – odparł Kirk niedbale. – Zostawcie ją. Pojedziemy do przynęty nad rzeką i tam zjemy lunch.

W drodze do rzeki Kirk milczał, planując akcję. Postanowił za wszelką cenę zapolować tam, gdzie przy przynęcie lampart zostawił ślady, ale musiał się jakoś pozbyć strażnika.

Trzęśli się na wyboistym szlaku prowadzącym do płytkich stawów ocienionych zwisającymi gałęziami drzew tekowych. Ta niewygodna jazda podsunęła mu pomysł. Roześmiał się i uderzył dłonią w kierownicę. Jesteś sprytny, pochwalił się w duchu, cholernie sprytny. Upozoruje awarię samochodu. Strażnik będzie musiał odprowadzić kobiety do obozu. To niedaleko i bez trudu dojdą na piechotę.

On, Guido i jeden z tropicieli zostaną tu, by naprawić samochód. Pozostałym tropicielom rozkaże zatrzymać strażnika w obozie. Najlepiej, gdyby znaleźli dla niego jakąś chętną kobietę.

Sami wrócą samochodem do kryjówki, zabierając ze sobą latarnię bulala. Gdy lampart przyjdzie, zabiją go. Potem wrócą do obozu samochodem, ale w wiosce personelu nikt nie usłyszy silnika. Strażnikowi powie się, że wrócili wcześniej.

Tropicielom dobrze zapłaci za milczenie. Na szczęście żaden z nich nie lubił strażnika, który usiłował wydawać im rozkazy. Następnego dnia wyjadą bardzo wcześniej. Strażnik nie zdąży sprawdzić chaty wyprawiaczy skór. A skórę zdejmie się z lamparta w nocy i schowają tak, by strażnik jej nie znalazł.

Kirk uśmiechnął się radośnie do Guida, który siedział obok niego.

– Zrobimy to – obiecał.

– Już masz kurtkę – powiedział Guido do żony, zajmującej podwyższone miejsce tropicieli.

Maria ułożyła usta jak do pocałunku. Guido wiedział, że przez jakiś czas będzie zadowolona i spokojna. Moralność i pieniądze nigdy nie idą w parze pomyślał, patrząc na Kirka.

Rzeka była chłodna i ciemna. Dawała odpoczynek po blasku, który zmęczył im oczy na drodze i po kurzu wzbijanym przez samochód. Kobiety zeskoczyły 7 siedzeń i pobiegły ochłodzić się w wodzie.

– Zostańcie tam, gdzie będzie was widać! – krzyknął za nimi Kirk. Tutaj

zwierzęta przychodzą pić. Wolałbym, żebyście nie wpadły na błotnego bawołu. Tomasina popryskala wodą twarz i kark. Kropelki wpadły jej za koszulę i materiał przykleił się do ciała.

– Za chwilę wracam – zawołała i weszła za stożkową termitierę; jej żyzna, czerwona ziemia służyła teraz drzewom i krzakom za kotwicę.

Kirk patrzył, jak odchodzi. Potem wziął strzelbę i wysiadł z landrovera.

– Sprawdź, czy tu jest bezpiecznie – powiedział do Guida. – Dopilnuj, żeby Maria i Marco zjedli lunch. Wracam za dziesięć, piętnaście minut.

Tomasina rozpięła szorty i je zdjęła. Rozkoszowała się chłodnym powiewem na spoconej skórze. Przykucnęła pośrodku piaszczystego kawałka terenu, licząc, że nie zaatakują jej tu ani mrówki, ani węże.

Kirk bezszelestnie okrążył termitierę i teraz przyglądał się Tomasinie. Jego oddech stawał się coraz szybszy. Musi mieć tę kobietę! Gdy grzebała w kieszeni, szukając papieru toaletowego, podszedł bliżej. Tomasina sapnęła i w panice sięgnęła po szorty, ale Kirk postawił na nich stopę i zaczął napawać się widokiem jej ciała. Na policzki Tomasiny wypłynął rumieniec. Wstała i położyła ręce na biodrach.

– Jesteś cudowna – szepnął i stanął przy niej.

– Nie, nie tutaj – protestowała, gdy jego palce stały się natarczywe.

Ale myśl o Andrettich jedzących lunch kilkanaście metrów dalej i nieświadomych tego, co robi ich córce, nieprzytomnie go podnieciła.

– Tak. Tutaj. Teraz – powiedział popychając ją na twardą glinę.

Gdy ciężkie ciało Kirka zważyło się na nią i przygniotło do ziemi, Tomasina zdołała powstrzymać okrzyk bólu. Ale zaraz poddała się jego brutalnemu pożądaniu.

– Tomasina! – dobiegł ich nagle głos Marii.

– Odpowiedz matce! – rozkazał Kirk, nadal przygniatając ją do termitiery.

– Nie mogę! – wysapała.

– Odpowiedz! – powtórzył Kirk twardo. Przygryzła wargę i próbowała się opanować.

– Wszystko w porządku, mamó – zawołała bez tchu.

– Mówiłem ci, że nic jej nie jest – odezwał się Guido. – Kirk sprawdza okolicę, by się upewnić, że nie ma tu groźnych zwierząt. Tomasina jest absolutnie bezpieczna.

Maria z powrotem opadła na rozłożony brezent, ułożyła głowę na udzie męża i zamknęła oczy.

Kirk parsknął ze złości, a potem odsunął się od Tomasiny. Zapiął szorty i wstał. Już miał odchodzić, gdy Tomasina wyciągnęła ręce.

– Kirk! – szepnęła. Nie odpowiedział. Polowanie na kobiety było jak polowanie na dziką zwierzynę. Podniecało go samo ściganie, a nie następująca po nim kopulacja czy napawanie się śmiercią zwierzęcia.

Ścigał Tomasinę i dopadł jej. Teraz już nie znaczyła dla niego nic, chyba że miałaby ochotę na jeszcze jeden raz.

Tomasina patrzyła, jak się od niej odsuwa.

– Porco! – syknęła.

Podniosła szorty, teraz pogniecione i zaplamione ziemią tam, gdzie Kirk nastąpił na nie stopą. Wytrzepała je najlepiej jak mogła i włożyła. Koszuli nie zapinała.

Jeżeli zatrzymam się nad wodą i udam, że chcę umyć nogi i ręce, będę mogła zanurzyć się i wyprać szorty. Wtedy mama nie zorientuje się w niczym, pomyślała.

Słyszając chłopot wody, Maria poderwała się na równe nogi.

– Co tam się dzieje? – spytała.

– To Tomasina – odparł Marco, wgrzyzając się w kolejną kanapkę. – Weszła do wody w ubraniu, bo chce się ochłodzić.

A jeżeli są tam krokodyle? – zaniepokoiła się Maria, patrząc na ciemną sadzawkę.

– Woda wydaje się głęboka, bo znajduje się w głębokim cieniu. Ale naprawdę jest bardzo płytka – uspokoił ją Kirk, wyłaniając się zza landrovera. – Tomasina jest tam zupełnie bezpieczna.

Usiadł obok Andrettich i patrzył, jak Tomasina się myje udając, że tylko przyska wodą.

Kobiety, pomyślał. To one powinny rządzić światem. Ich umysły są o wiele pokrętniejsze i zachowują się sprytniej niż mężczyźni.

– Idę sprawdzić samochód. Coś w nim szwankuje – zawołał w szona do swoich ludzi. Wiedział, że strażnik nie zna się na urządzeniach mechanicznych. – Wracam za chwilę – dodał, zwracając się do Guida. – Nie podobało mi się stukanie w dyferencjale tylnej osi, gdy zjeźdzaliśmy ze wzgórza.

Maria lekko się przeraziła.

– Mario, to nic takiego – powiedział głośno. – Spójrz, twoja córka wydaje się bardzo zadowolona i wypoczęta.

Tomasina leżała rozciągnięta na skale. Suszyła w słońcu ciało i ubranie. Wiedziała, że ta uwaga jest skierowana do niej, ale postanowiła ją zignorować tak samo, jak będzie ignorować Kirka aż do końca safari.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

To był ostatni dzień safari Andrettich. Plan Kirka okazał się doskonały. Ustrzelił samicę lamparta, ogromną, z idealnymi cętkami. Jej skóra mogła ująć za skórę niewielkiego samca i nikt nie zorientuje się, że złamali prawo. Maria promieniała. Kirk wiedział, że Guido da mu nadzwyczajną premię, a także skieruje do niego wielu nowych klientów.

Było jeszcze ciemno, gdy gong wezwał ich na śniadanie. Kirk wyjaśnił, że nie powinni stracić ani jednej minuty ostatniego dnia.

– Po raz pierwszy w życiu jem śniadanie przy świetle księżyca – roześmiała się Maria i poprosiła, by nalano jej jeszcze jeden kubek kawy.

– Jeżeli się pospieszymy, zobaczymy na drodze zwierzęta prowadzące nocny tryb życia – oznajmił Kirk. Chciał, by strażnik jak najszybciej znalazł się w landroverze. Gdyby to się udało, nie zdążyłby sprawdzić chaty, w której pracowali wyprawiacze skór. Zrobił wszystko, by udowodnić, że wrócili o zmierzchu i nie udało im się ubić żadnego lamparta. Ale jeżeli strażnik odkryje najnowszą skórę, powie mu, że natknęli się na zwierzę, gdy już wracali do obozu po naprawieniu samochodu. Powie, że ten lampart zapewne zmierzał do drzewa, na którym zawieszono przynętę, i Guido strzelił. Nie mieli czasu, by wracać do obozu po strażnika i pytać go o instrukcje. A skoro zwierzę i tak zostało już ustrzelone, zanieśli je do chaty wyprawiaczy, bo po co marnować tak dobre futro.

Kirk krzyknął na tropicieli i strażnika. Tropiciele natychmiast do niego podbiegli, ale strażnik się nie pojawił.

– Gdzie jest strażnik? – spytał. – Wyjeżdżamy teraz, a nie wtedy, gdy jemu przyjdzie na to ochota.

Obaj tropiciele nagle wydali się głusi. Spojrzeli na Kirka niewidzącymi oczami i szybko zajęli się ładowaniem rzeczy do landrovera.

Nagle otworzyły się drzwi jednej z chat, wypuszczając na zewnątrz pas złotego światła. Była to chata, w której Kirk trzymał radiostację. W drzwiach zarysował się kontur wysokiej, ciemnej postaci.

– Co tam robisz? – krzyknął Kirk w szona. – Nikomu nie wolno wchodzić do mojej stacji radiowej. To prywatne pomieszczenie. Chodź tu natychmiast i wytłumacz się.

– Po angielsku, żeby pana klienci mogli zrozumieć, czy w szona, by jedynie pan wiedział, że nie będzie pan już więcej polował w Zimbabwie? – spytał strażnik lodowatym tonem.

Kirk spocił się ze strachu.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi – powiedział o wiele grzeczniej.

– Doskonale pan rozumie. Widziałem wiele niegodziwości w tym obozie, ale zastrzelenie samicy lamparta, która dopiero, co urodziła młode, o czym pana

ostrzegłem; użycie lampy bulala do wypatrzenia jej w nocy i przekupienie wyprawiaczy, by twierdzili, że to był samiec, to wystarczające powody do utraty licencji.

Wydawało się, że strażnik, przemawiając tak surowo, góruje nad Kirkiem jak wieża. Kirk wiedział, że musi ubłagać tego człowieka, ale był również świadom tego, że jego włoscy goście obserwują przedstawienie rozgrywające się w oświetlonych drzwiach.

– Czy moglibyśmy porozmawiać w chacie radiowej? – poprosił uprzejmie.

– Nie, panie Madden. Rozkazał mi pan stąd wyjść, a poza tym już j A za późno. Połączyłem się z Harare. Pan Tigera otrzyma wiadomość, gdy tylko przyjdzie do biura.

– Tigera? – zdziwił się Kirk. – A co on ma z tym wspólnego?

– Wszystko, panie Madden. Nie jest żadną tajemnicą, że to on uzyskał dla pana koncesję.

– To nieprawda. Ja... ja... – jąkał się Kirk.

– Rozumiem, panie Madden. Jak to wy, kolonizatorzy, mówicie? Ręka rękę myje. – Strażnik roześmiał się, ale był to cichy, niewesoły śmieszek. – Jedźmy. Klienci czekają.

Kirk wiedział, że jeżeli utraci licencję, będzie musiał zatrudnić się jako przewodnik w jakimś zakazanym zakątku Afryki, gdzie nie sprawdzają zbyt dokładnie dowodów tożsamości. Skończy się życie w dostatku i szacunku otoczenia.

– Zadowolona z siebie świnią – mruknął i podszedł do Andrettich.

– Jakież kłopoty? – spytał Guido.

– Nie – warknął Kirk, a potem zdał sobie sprawę, że jeszcze nie otrzymał od Guida premii, więc dodał grzeczniej: – Ci miejscowi urzędnicy, których nam wpychają, doprowadzają mnie do szału swoją nieudolnością.

Popatrzył z nienawiścią na strażnika, który stał przy landroverze.

– Ten tutaj był w mojej radiostacji i grzebał w urządzeniach. Na niczym się nie znają, więc psują wszystko, co im wpadnie w ręce.

Kirk wyczuwał złość strażnika, ale już go to nie obchodziło.

– Niewiele można się spodziewać w kraju rządzonym przez nieuków i łapówkarzy. Ci strażnicy zwierzyny z parków narodowych mają pilnować, by ściśle przestrzegano przepisów podczas polowania. To tylko służący, płatni informatorzy.

Strażnik już otwierał usta, żeby zaprotestować. Był dumny ze swojej pracy dla Departamentu Parków Narodowych, zasłużenie cieszącego się doskonałą opinią. Ale postanowił nic nie mówić. Pana Tigera na pewno zainteresuje fakt, że człowiek, któremu dał tak dobre utrzymanie, nazywa go nieukiem i łapownikiem.

– Ciii... – szepnęła Maria, kładąc rękę na ustach Kirka. – Nie psujmy ostatniego dnia.

– Maria ma rację – potwierdził Guido. – Możesz załatwić sprawę z tym strażnikiem po naszym wyjeździe.

Kirk uśmiechnął się. Myśląc o premii opanował złość i stał się znów takim samym miłym gospodarzem obozu, jakim był do tej pory.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Tigera pogwizdywał wchodząc do swojego gabinetu. Sekretarki natychmiast zerwały się na równe nogi i powitały go. Ta, którą opłacał Matamba, uważnie mu się przyjrzała. Chyba załatwił pomyślnie jakąś sprawę, doszła do wniosku, albo właśnie planuje coś nowego. Dziś będzie podsłuchiwała jeszcze staranniej.

Zaczął urzędowanie od odtworzenia wiadomości nagranych pod jego nieobecność na automatycznej sekretarce, a jego asystentki trzymały w pogotowiu bloczki i ołówki. Gdy chciał, by coś zanotowały, podnosił rękę.

Jedna z informacji została przekazana w szona przez niski, męski głos. Tigera znieruchomiał, wysłuchał, a potem przewinał taśmę do tyłu i posłuchał jeszcze raz. Gestem kazał jednej z sekretarek zbliżyć się do biurka.

– Podyktuję list – powiedział.

– „Szanowny panie...” – zaczął. Sekretarka czekała, nie odrywając ołówka od bloczka. Tigera popatrzył na nią ostro. – Potem wpiszę nazwisko.

– Tak, proszę pana.

– „Znalazłem odpowiedniego kandydata na wakujące stanowisko przy granicy Somalii – kontynuował dyktowanie. – Rozumiem pana kłopoty z na jazdami shufta i trudności, jakie sprawia obsadzenie posterunków. Ci bandyci rzeczywiście stwarzają problemy, ale zapewniam pana, że mój człowiek nadaje się doskonale do tej roboty. Nie będzie stawiał żadnych pytań”.

Jeszcze jedna z jego śmierdzących przysług, pomyślała sekretarka szpiegująca dla Matamby. Ciekawe, o kogo chodzi.

– „Z poważaniem, Tsvakai Tigera”. Po przepisaniu przynieś mi list do podpisu. Sam wyślę go faksem.

– Tak, proszę pana.

Tigera rozsiadł się wygodnie i w zamyśleniu palił cygaro. Prawdopodobieństwo, że Kirk Madden zostanie zabity na granicy kenijsko-somalijskiej było bardzo wysokie. Ta myśl go cieszyła. Gdy Madden zginie, nikt już nie będzie wiedział o bestialstwach, jakie on sam popełnił podczas wojny domowej. Zniknie również ostatni świadek śmierci młodych Giffordów w zastawionej zasadzce.

Teraz Tigera miał również koncesję myśliwską do wystawienia na przetarg. Będzie warta co najmniej sześć milionów zimbabwejskich dolarów, gdyż jest to obszar obfitujący w zwierzyinę.

Bogaci ludzie zaczną walczyć o tę koncesję. Mógłby nawet załatwić sprawę tak, by opłata za każdy odstrzał była wypłacana w dolarach amerykańskich. Dzierżawcy koncesji na ogół kazali płacić swoim klientom właśnie w walucie amerykańskiej, a swoje należności wobec rządu Zimbabwe regulowali w miejscowych pieniądzach. Będą wściekli, gdy ich zarobki zostaną tak drastycznie obniżone. Jednak Tigera był pewny, że skoro tereny myśliwskie w Afryce kurczą

się coraz bardziej, a konkurencji przybywa, bez trudu przeprowadzi swoje zamysły.

Przyszłość nie napawała Tigery obawą. Żył teraźniejszością i zawsze stawał na początku każdej kolejki ustawiającej się, gdy tylko otwierała się jakaś nowa, korzystna możliwość.

Kirk Madden stanowił zagrożenie, więc z radością się go pozbędzie.

– Powinienem nagrodzić strażnika – mruknął, ale zaraz potrząsnął głową na myśl o konsekwencjach, jakie groziły za próbę przekupienia pracownika Departamentu Parków Narodowych.

No cóż, każdy ma swoją cenę, rozmyślał dalej, tylko że jeszcze muszę znaleźć strażnika, który dałby się kupić. Kilka słów pochwały, skierowanych do zarządu Parków Narodowych, spełni swoją funkcję. Mogę powiedzieć, że połączył się przez radio ze mną, a nie z Departamentem, bo osobiście go prosiłem, by sprawdził Maddena. To brzmi rozsądnie i przyjmą moje wyjaśnienie.

– Połącz mnie z Departamentem Parków Narodowych i Dzikiej Zwierzyny – krzyknął i obie sekretarki poderwały się, by spełnić rozkaz.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Kłęb czerwonego futra niemal zbił Erina z nóg. To Sheeba wyskoczyła z samolotu, który właśnie wylądował w Nowym Ganyani. Tańczyła wokół niego prawie nie dotykając łapami ziemi, a jej żółte oczy promieniały radością, że znów go widzi.

Pat już miał ją zawołać do nogi, ale Erin wziął Sheebę na ręce, a ona lizała mu twarz.

– Uważaj, Erin – powiedział Pat. – Teraz będzie się spodziewała, że ja też będę ją nosił, a tego na pewno nie zrobię.

Na dźwięk głosu Pata Sheeba jeszcze raz polizała Erina, zeskoczyła na ziemię i pobiegła na swoje miejsce przy nodze pana. Pat potarł jej uszy.

– No dobrze, mała. Wybaczam ci to niestosowne zachowanie. Wiem, że tęskniłaś za Erinem. Ale pamiętaj, że jesteś ułożonym psem myśliwskim, a nie szczeniakiem.

Erin podszedł do Pata i obaj mężczyźni pokleпали się po ramionach. Patowi brakowało towarzystwa Erina. Miał mniej pracy niż syn i czas upływał mu zbyt wolno. Farmerski dom z ośmioma sypialniami był w doskonałym stanie. Trzeba go było tylko odmalować, na nowo założyć ogród warzywny i ponaprawiać niektóre stare meble.

Rudo wracała do zdrowia i już zabrała się za porządki, dyrygując robotnikami, którzy przyjechali do Karne Dwa ze starego Karne. Szybko i bez problemów zadomowili się w wiosce, która istniała tu od dawna.

Pat spędzał większość czasu latając nad nowym ranczem. Zaznaczał na mapie ciekawe formacje skalne, sadzawki i strumienie. Gdy już wszystko zarejestruje, razem ze strażnikiem Parku Narodowego i swoimi dwoma tropicielami zaplanuje trasy dla klientów.

Młodych i silnych chciał wysyłać do wspaniałej, dzikiej części Parku Chizarira, gdzie w kanionach mogliby obserwować rzadki gatunek sokoła Taita albo iść tropem nosorożca. Do parku, odległego od wszelkich dróg, trudno było dojechać bez samochodu z napędem na cztery koła. Stanowił niecywilizowaną część Zimbabwe. Pat uwielbiał ten rejon. Zamierzał zorganizować prymitywne obozy, gdzie

klienci będą nocować wokół ogniska i myć się w wiadrze wody ogrzanej na ogniu. Nie mógł się już doczekać, kiedy omówi te plany z Erinem.

– Widzę, synu, że uczciwie fu pracowałeś – powiedział i skinął aprobowująco głową, gdyż pas startowy był wykonany jak należy. Erin rozpromienił się. Na pochwałę ojca wcale nie było łatwo zasłużyć. A jeszcze pozostał do pokazania obóz Nowego Ganyani.

– Tato, chodźmy już – zawołał, bo Pat wrócił do samolotu.

– Poczekaj chwileczkę. Przywiozłem prezent dla Jacoba.

Cessna zadrżała, gdy Pat ciężko się o nią oparł i pomagał komuś wsiąść.

– Rudo! – krzyknął Erin. – Och, jak się cieszę! Jacob! – zaczął wołać. – Jacob, chodź i pomóż nam rozładować samolot.

– Shoko, zostaniesz tutaj – nakazał Jacob, schodząc z ławki tropicieli w toyocie. Ale nie zdążył jeszcze dotknąć stopami ziemi, a chłopczyk już był przy nim. Dla Shoko Jacob stał się ojcem i matką. Wczepiał się w Jacoba jak kleszcz i tak samo trudno było go strząsnąć.

Twarz Jacoba za jaśniała szczęśliwym, szerokim uśmiechem, ukazującym zdrowe, białe zęby.

– Dziękuję, panie Pat – powiedział. – Już chudłem i traciłem siły. Żona Jonasa nie potrafi gotować tak dobrze jak Rudo.

Rudo dumnie postukała się w piersi. Maleńka różnica w rozmiarach nie była widoczna.

– Kto to? – spytała na widok Shoko wyglądającego zza nogi Jacoba. Jacob z zachwytem uświadomił sobie, że Rudo mówi normalnie. Bał się, że już na zawsze pozostanie jej niewyraźna mowa. Ale jedynym świadectwem tego, co przecierpiała, były różowe linie przy ustach.

Briar i Tara dokuczały jej, że ustanowi nową modę w wiosce. Mówiły, że wszystkie kobiety zaczną kupować kredki, by obrysowywać wargi tak jak ona, bo wyglądało to naprawdę ładnie.

– To twój nowy syn – wyrwał się z wyjaśnieniem Jonas.

– Potem ci wszystko wyjaśnię – powiedział Jacob, piorunując Jonasa wzrokiem.

– Chodź do mnie, mały mężczyzno – odezwała się łagodnie Rudo. Widziała strach w oczach dziecka.

Chłopiec ostrożnie puścił nogę Jacoba i podszedł do kobiety, która wydała mu się tak samo ogromna i roztaczająca aurę bezpieczeństwa, jak jego matka.

– Ma na imię Shoko, a jego siostra Buna – powiedział Jacob.

Rudo wzięła Shoko za rękę, a gdy małe paluszki mocno ścisnęły jej dłoń, uśmiechnęła się.

– Jacob, zostawiam cię samego na parę tygodni, a po powrocie dowiaduję się, że masz dwoje nowych dzieci. Widocznie Erin nie każe ci zbyt ciężko pracować.

Pat i Erin roześmiali się, widząc wyraz zakłopotania na twarzy Jacoba. Nigdy jeszcze nie pracował ciężiej. Do tej pory, jako główny tropiciel, nie musiał się zbyt wiele przemęczać. Natomiast w Nowym Ganyani razem ze wszystkimi zbierał trawę na strzechy, budował chaty, ścinał drzewa mopane dla uzyskania pali i drągów, a nawet pomagał kopać rowy na latryny.

Erin wreszcie się nad nim ulitował.

– Nie wiem, co bym zrobił bez Jacoba – rzekł do Rudo. – Codziennie

wykonywał pracę co najmniej pięciu ludzi. – Na chwilę przerwał i zastanowił się. – Jacob, dziś możesz wziąć wolny dzień. Jutro pokażemy mojemu ojcu sadzawki, które znaleźliśmy, a także sprawdzimy, czy w okolicy są jakieś tropy.

Potem zwrócił niespokojny wzrok na ojca. Ale Pat wydawał się zadowolony.

Może wyjazd z Karne i oddalenie się od tragicznych wspomnień wyjdzie mu na dobre, pomyślał uruchamiając toyotę. Wygląda całe lata młodziej. Właściwie wygląda tak, jakby był zakochany.

Ale sama myśl, że ojciec mógłby pokochać po matce inną kobietę, sprawiła mu przykrość.

– Tato – odezwał się, gdy toyota podskakiwała na świeżo wytyczonej drodze.

– Czy masz kogoś, kto zamieszkałby z tobą w Karne Dwa?

– Jak to: zamieszkał? – zdziwił się Pat. – Ach, masz na myśli damę serca? Erin zaczerwienił się. Rozmowa o sprawach seksu z własnym ojcem nie wydawała mu się czymś właściwym.

– Nie, chłopcze. Jestem całkiem zadowolony z życia. Mam wszystko, czego chcę. Gdy poznało się już to, co najlepsze, po co szukać czegoś gorszej jakości? Nie zamierzam nikim zastępować twojej matki.

Położył rękę na ramieniu Erina i uściśnął je. Wiedział, że Erin ciągle jeszcze tęskni za zmarłą matką, ale aż do teraz nie zdawał sobie sprawy, że syn obawia się jego powtórnego małżeństwa.

Toyota podskakiwała teraz na płaskich, granitowych skałkach.

– Wykopaliśmy sporo takich kamieni i użyjemy ich jako podstaw pryszniców

– wyjaśnił Erin pragnąc zmienić temat.

Droga prowadziła w dół, do małej doliny.

– Tu założyłeś obóz? – spytał Pat. – Rankami i wieczorami będzie tu o kilka stopni chłodniej, niż tam, gdzie leżą te płaskie granity.

– Wiem, tato, ale prawie przy samym wjeździe do Nowego Ganyani znalazłem wspaniałe źródło zimnej, świeżej wody. Poczekaj, aż to zobaczysz.

Gdy wjechali do obozu, pracownicy w eleganckich, świeżo upranych i wyprasowanych mundurach khaki ustawili się w szeregu. Mieszkańcy wioski stanęli za nimi i wybijali stopami taneczny rytm na powitanie Pata.

Pat poczuł, że wilgotnieją mu oczy. Kochał tych ludzi. Odchrząknął, by oczyścić gardło i pozdrowił ich.

Potem pojechali do wioski. Rudo, Jacob, Shoko i Jonas wysiedli. Pat obejrzał chaty, kryte strzechą kurniki, wybudowane na wysokich palach z drzewa mopane, by drób był bezpieczny w nocy, i zagrodę dla kóz, ogrodzoną parkanem z cierniowych gałęzi. W końcu skinął głową z aprobatą, a twarze mieszkańców wioski rozpromieniły się.

– Stary Człowiek jest zadowolony – mówili. Z dumą pokazali mu rurę doprowadzającą wodę z rzeki do wioski, ze starą zasuwą do regulowania

przepływu.

– Myślałem, że to ma być obóz w dawnym stylu Selousa – powiedział Pat, patrząc z ukosa na nowoczesny rurociąg.

– Obóz myśliwski jest wybudowany tradycyjnie, tato, ale tutaj chciałem stworzyć ludziom lepsze warunki, bo naprawdę ciężko pracują. Są bardzo dumni z doprowadzenia wody.

Wyjechali z obozu żegnani pieśniami dziękczynnymi i pochwalnymi. Piękno afrykańskich śpiewów i muzykalność Murzynów zawsze zachwycały Pata.

– Dziś w nocy odezwą się bębny – powiedział Erin. – Jutro nie będę miał ludzi do pracy. Wszyscy zapadną na nagłą, poważną chorobę.

– Nazywaną powszechnie kacem – uśmiechnął się Pat. – A teraz jedźmy zobaczyć twoje dziecko, Nowe Ganyani.

Erin siedział spokojnie na stołku wyciętym z pnia drzewa, a Pat przeprowadzał inspekcję. Personel stał na baczność, czekając, aż Stary Człowiek się wypowie.

Wreszcie Pat wyłonił się z kuchni, żując nie do końca ususzony pasek biltongu. Suszona dziczyzna smakowała mu bardziej, gdy była jeszcze wilgotna w środku. Przeszedł przez bomę i wyciągnął rękę do syna.

– Gratuluję, Erin. Sam nie zrobiłbym tego lepiej. Chyba nic już nie można tu dodać. Jesteś prawdziwym synem Afryki.

Erin wstał i uściskał ojca.

– Katoro! – zawołał. Ale Katoro już biegł z tacą, na której niósł zastawę do herbaty i kanapki.

Pat wziął kanapkę i uśmiechnął się widząc, że posmarowana jest grubą warstwą jajecznicy z musztardą.

– Bardzo dobrze, Katoro – powiedział. – Dziękuję.

Nadszedł czas, by przekazać Erinowi nowiny. Chciał od razu wykrzyczeć wszystko, zaraz po przylocie, ale siłą zmuszał się do milczenia. Teraz jednak nadeszła chwila, by Erin wreszcie usłyszał pomyślne wieści.

– To dziwne, że ci dwaj łotrzy, Tigera i Matamba, robią nam przysługę – zaczął – choć jednocześnie łamią mi serce. A może to nie jest przysługa, bo nie wierzę, by byli oni zdolni do dobrych uczynków.

Erin wsypał czwartą łyżeczkę cukru do swojego kubka herbaty. Nie odzywał się. Cekał, aż ojciec będzie mówił dalej. Słowa „Tigera” i „Matamba” brzmiały dla niego jak przekleństwa. Wiedział, że nie usłyszy nic dobrego.

– Kilka tygodni temu wypłynęła sprawa rekompensaty za ziemię. Fred przekonał mnie, żebym pozwolił mu to załatwić, bo zna wielu ludzi w rządzie i ma dobre stosunki z Matamba.

Pat przerwał i pozwolił, by napięcie narastało. Do bomy wpadła Sheeba. Ogon miała podkulony pod brzuch, próbowała ukryć ogromną kość trzymaną w pysku. Chwilę wcześniej przymilała się do Katora tak bezwstydnie i skutecznie, aż

wyżebrała kawał nogi impali.

Pat poszedł się dowiedzieć, czy Sheeba dostała kość w prezencie, czy też ukradła ją z kuchni. Gdy już to ustalił, zawołał sukę, pogłaskał ją i kazał jej się położyć u swoich nóg. Sheeba rzuciła kość na piasek, przytrzymała jedną łapą i wgryzła się w mięso, które Katoro na niej specjalnie zostawił.

Erin kręcił się niespokojnie na stołku. Jeszcze chwila, a złamie jedno z niepisanych przykazań z czasów dzieciństwa; „Nie przerywaj, gdy mówi ojciec”, ale Pat podjął opowiadanie.

– Fred wrócił kilka dni temu. Twierdzi, że nikogo do niczego nie zmuszał, jednak na pewno coś takiego zrobił. On to nazywa spłacaniem starych długów.

Erin skinął głową i popił herbaty.

– Zamiast rekompensaty pieniężnej, która nigdy nie dorównałaby wartości ziemi, dostajemy taki sam teren, jaki straciliśmy.

Erin spojrział na ojca. Przeczesał palcami włosy, ale one i tak zaraz znów spadły mu na czoło.

– Erin, nie rozumiesz? Nowe Ganyani jest nasze. Stanowi naszą własność. Możesz tu polować bez dozoru strażnika zwierzyny. Ponieważ nie będzie to jedynie dzierżawa, nikt ci tej ziemi nic odbierze. Jest twoja. Ale... – Pat uniósł rękę, by powstrzymać okrzyk radości i ulgi Erina, bo jeszcze nie skończył. – Otrzymujemy jedynie teren o dokładnie takiej samej powierzchni, jaką utraciliśmy.

– Jedynie! – wykrzyknął Erin. Jego głos rozniósł się po całym obozie. – Nie wierzę. Przecież nigdy tak nie postępują.

Również Katoro i jego pomocnikom trudno było uwierzyć w to, co widzą. Przez szpary w płocie bomy przyglądali się ukradkiem, jak Stary Człowiek i Erin tańczą i walą się nawzajem po plecach. Sheeba czuła się rozdarta między pragnieniem, by dalej gryźć swoją kość a instynktem nakazującym jej warować przy swoich panach, którzy zachowywali się tak dziwnie. Jej czoło zmarszczyło się w głębokie bruzdy. W końcu uznała, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo i wróciła do kości.

– Fred dokonał cudu – powiedział Erin. – Och, uwielbiam go!

– Ten cud polega na tym, że Fred zna odpowiednich ludzi.

– I ich tajemnice – dodał Erin. – Tato, nieważne, czym im groził albo jak się przymilał. To zadziałało! Mamy Nowe Ganyani. Mamy przed sobą przyszłość. Przez cały czas martwiłem się, że buduję obóz, który w każdej chwili może mi zostać odebrany.

Pat cieszył się szczęściem syna. Nowe, dzikie tereny są dla młodych. On sam nadal tęsknił do swojego starego domu w Karne i wspomnień z nim związanych, ale nie powiedział o tym Erinowi.

Nagle Erin zachmurzył się.

– A ty, tato? Jaka jest sytuacja Karne Dwa?

– Trochę inna niż Nowego Ganyani – odpowiedział Pat myśląc o wyborze, przed jakim go postawiono: może mieć na własność tylko jedno ranczo: albo to przeznaczone na safari fotograficzne, albo myśliwskie. W żadnym wypadku obu. Wybrał własność rancza myśliwskiego, Nowego Ganyani, dla Erina. Syn jest młody, wkrótce na pewno założy rodzinę i musi mieć przed sobą pewną przyszłość.

On sam z konieczności zadowolony się wspomnieniami żony, synów, posiadłości. Przeżył już swoje. Teraz przyszła kolej na Erina.

– Postanowiłem trochę sobie odpuścić – skłamał. – Fred poruszył bagno. Ludzie u władzy zapłacili mi wystarczająco dużo za Karne, bym mógł wykupić fotograficzną koncesję w Karne Dwa na dziesięć lat, która po upływie tego terminu będzie mogła być odnowiona. Karne Dwa nie zostanie wystawione na przetarg przez następnych dwadzieścia lat.

– Tato, wspaniała wiadomość!

– Musimy mieć nadzieję, że ta umowa jest solidniejsza niż ugoda Lancaster House, bo inaczej stracą Karne Dwa zanim jeszcze minie dziesięć lat.

– Ale skoro Fredowi udało się wydusić z nich koncesje, muszą mieć jakieś tajemnice, których wyjawienie mogłoby im bardzo zaszkodzić – zauważył Erin. –Tato, mam dobre przeczucia co do Karne Dwa.

Pat podszedł do chaty, w której miała znajdować się jadalnia, stanął na palcach i zerwał banana z wiszącej tam gałęzi. Ostrożnie zdjął skórkę i zachwyił się lekko cytrynowym zapachem wydawanym jedynie przez banany dojrzewające w kiściach.

– Chyba masz rację, synu.

Do bomy zaczęli wchodzić pracownicy, by przygotować łóżka na noc. Sheeba obronnie położyła obie przednie łapy na kości. Gdy mężczyzna niosący czyste ręczniki podszedł zbyt blisko, podwójny rząd czerwonej sierści zjeżył się jak u punka. Suka warknęła i uniosła wargi, ukazując kły. Mężczyzna cisnął ręczniki na ziemię i pędem uciekł.

– Sheeba! – napomnieli ją obaj Giffordowie. Suka tylko machnęła ogonem i wróciła do kości.

Pat i Erin usiedli przy ognisku z kubkami whisky rozcieńczonej wodą ze źródła. W oddali rozległ się łomot bębnow. Za ogrodzeniem bomy Katoro szczupłymi palcami pieścił płaskie, stalowe klawisze mbiry. Z tykwy, jak z pudła rezonansowego, popłynęła łagodna muzyka. Ojciec i syn słuchali w milczeniu.

– Brzmi to tak, jakby mbira była kobietą śpiewającą dla mężczyzny, który gra na bębnie – zauważył Erin.

– Tak, to kameralna muzyka Afryki – odparł Pat. – Nie miałem pojęcia, że Katoro potrafi tak grać. Na ogół ten „afrykański fortepian” ma metaliczny, nieprzyjemny dźwięk. Ale Katoro wydobywa ze swojego instrumentu głębię, jaką

Anne–Sophie Mutter znajduje w skrzypcach.

Katoro przygotował tradycyjny posiłek z sadza i gulaszu. Wykorzystał ogon bawołu, którego Erin zastrzelił na mięso dla personelu kilka dni temu. Na piecu podgrzewał się garnek częściowo usmażonych muszek mopane. Sezon na ten przysmak prawie już się kończył. Zarówno Pat, jak i Erin lubili je za jadać z ciepłym sadza.

Sheeba leżała koło ogniska, jej uszy łowiły odgłosy nocy, ale ani na chwilę nie spuściła wzroku z obu mężczyzn.

Erin nerwowo wciągnął powietrze. Już od dłuższego czasu chciał poruszyć pewien temat, choć ojciec go zapewnił, że nie zamierza powtórnie się żenić. Jednak mimo swojego wieku nadal trochę się obawiał dawać ojcu rady.

– Tato – powiedział wreszcie.

Pat spojrzał na niego i zmarszczył brwi. W dzieciństwie Erin, gdy czegoś chciał, zawsze pociągał się za palce. Teraz też to robił.

– Co takiego? O co chodzi, synu?

Erin spojrzał w górę. Po niebie przesuwiał się księżyc w nowiu. Był blady w porównaniu z jarzącą się masą gwiazd. Przyglądając mu się, wypowiedział w duchu życzenie: „Niech tato przyjmie moją propozycję”.

– No więc? – ponaglił go Pat.

– Przepraszam, tato. Wypowiadałem życzenie wobec księżycyca w nowiu. Zawsze tak robię. Mama mówiła, że to przynosi szczęście.

– Ja też tak robię – przyznał się z uśmiechem Pat.

– Tato, w Karne Dwa będziesz potrzebował kogoś, kto by dogadzał gościom. – Teraz już Erin mówił szybko, żeby ojciec nie zdążył mu przerwać twierdząc, że Rudo może się tym zająć. – Kogoś, kto będzie oprowadzał twoich amatorów fotografowania zwierząt i ptaków. Kogoś na tyle interesującego, by zarówno mężczyźni, jak i kobiety chcieli znów przyjechać.

– I znasz kogoś takiego?

– Tak. Briar Hanley. – Erin zamilkł na chwilę, by zorientować się, jaka jest reakcja ojca. – Ona chce pracować i przebywać wśród ludzi. Ma odpowiedni wiek, jest ładna i nie podpisała długoterminowej umowy z Maddenem. Nie zamierza więcej pracować w jego obozie. To byłoby tak, jakby żyła zbyt blisko hieny. Przebywała już w Karne Dwa z tobą i z Tarą. Wiem, że jej się tam bardzo podoba, a wy dwoje doskonale się rozumiecie.

Pat zamyślił się. To całkiem dobry pomysł. Briar zawsze była jego ulubienicą. Gdy Scott zalecał się do niej, Pat cieszył się, że dziewczyna wejdzie do jego rodziny. A teraz wyrosła na piękną, mądrą kobietę. Widywał ją bardzo często, gdy pielęgnowała Rudo. Tęskniłby za nią, gdyby zamiast przyjechać do Karne Dwa, podjęła pracę w jakiejś agencji turystycznej.

– Poproś ją jak najszybciej, zanim zobowiąże się gdzie indziej – nalegał Erin.

– Słyszałem, że jakieś nowe przedsiębiorstwo organizuje spływy tratwami i szuka kogoś takiego jak ona.

Pat wepchnął kłodę drzewa mopane głębiej– w ogień. Zatrzeszczała, a jej żywica, zawierająca terpentynę, strzeliła snopem złotych iskier. Pat patrzył na to widowisko dopóki nie zaboląły go oczy. Ogień przygasł, został tylko rozżarzony węgiel drzewny.

– To dobry pomysł, synu – powiedział wreszcie.

Erin spojrział w niebo. Odniosł wrażenie, że gwiazdy uśmiechają się do niego.

– Dziękuję wam – wyszeptał.

Posiedzieli jeszcze trochę przy ognisku, a potem, z Sheebą maszerującą na czele, ramię w ramię poszli do swoich uplecionych z trawy chat.

Erin ogromnie pragnął udowodnić ojcu, jak wspaniałe polowania można zorganizować w Nowym Ganyani. Rankiem przy ciepłych źródłach zauważyli ślady bawołu. Bawół był ranny, bo znaleźli kilka plam krwi.

Pat,* Erin i dwaj tropiciele zatrzymali się gwałtownie przed kępką zarośli. Szare gałęzie były splątane jak włosy czarownicy i tak samo odstręczające. Jacob ukucnął, wziął do ręki garść pyłu i przesypał go przez palce. Pat, Erin i Jonas zrobili to samo.

Wiał lekki, stały wiaterek, ale wiedzieli, że gdy już znajdą się pod wyższymi krzewami, których korony przypominają sklepienie katedry, wiatr zacznie wirować, wystawiając na próbę ich wzrok i nerwy podczas poszukiwań gałązek czy listków zaplamionych krwią rannego bawołu.

Jacob jeszcze raz obejrzał ślad, a potem stanął na czele. Pat i Erin sprawdzili broń i wsunęli naboje do komory. Całą amunicję na ogół nosili w płóciennych pasach wokół talii. Jonas jak zwykle zajął miejsce na tyłach. Jego obowiązkiem było upewnienie się, że nie wchodzą w zasadzkę.

Tropiciele poznali po odciskach w ziemi, że bawół cierpi. Szedł z trudem. Gdyby wyczuł, że idą za nim, najprawdopodobniej zatoczyłby krąg i zaczekał na nich. Z prześladowanego mógłby się zmienić w sprytnego prześladowcę. Masywne, czterostopowe rogi bawołu ważącego do tysiąca pięciuset funtów mogłyby rozerwać ich wszystkich na krwawe strzępy. Mimo że afrykańskie bawoły wyglądem, zapachem i wydawanymi dźwiękami przypominają domowe bydło, to jednak zabiły więcej myśliwych niż jakiegokolwiek inne zwierzęta.

Wstrzymując oddech, Pat uważnie stawiał stopy w śladach pozostawionych przez Jacoba. Dzięki temu zwierzę będzie słyszało tylko jeden trzask łamanej gałązki czy chrzęst piasku zamiast odgłosu dwóch idących ludzi.

Zagłębiali się coraz bardziej w zarośla. Nagle Jacob uniósł rękę i mężczyźni zastygli jak dzieci bawiące się w „Raz, dwa, trzy, Baba–Jaga patrzy”. Jacob przesypał przez palce jeszcze trochę piasku. Opadł pionowo, wirując jak delikatna chmurka i nie wskazał kierunku wiatru. Jacob nie poruszył się, jedynie jego głowa

obracała się powoli z jednej strony na drugą. Szeroko otwartymi oczami starał się spenetrować splątane gałęzie krzaków.

Erin przeniósł ciężar ciała na drugą nogę. Jacob rozłożył płasko ręce. Był to znak, który nakazywał absolutny bezruch. A potem jedną ręką poruszył tak wolno, że Erin zastanawiał się, czy w ogóle był to jakiś sygnał.

Wydawało im się, że stoją tak już całą wieczność. Erin czuł ostry zapach ich potu. Sam też był cały mokry, ale nie odważył się wytrzeć kropelek zalewających mu oczy.

Pat marzył tylko o tym, by wyprostować plecy i potrzeb kark. Po tych godzinach pochylania się, by nie uderzyć głową w gałęzie, wszystko go bolało. Ale wokół panowała cisza zwiastująca niebezpieczeństwo i śmierć. Tylko Jacob mógł je zasygnalizować, tak jak licznik Geigera sygnalizuje równie śmiertelne zagrożenie.

Nagle Jacob wymierzył palcem wskazującym w prawo. Pat na chwilę zamknął oczy, by odzyskać ostrość widzenia, a potem spojrział w tamtym kierunku. Nic się tam nie działo. Właśnie zamierzał odwrócić wzrok, gdy jakiś ruch, szybki jak mgnienie oka, przyciągnął jego uwagę. Na krzaku nadal znajdowało się kilka listków, więc nie mógł dostrzec, co zaalarmowało Jacoba. Niektóre listki wyglądały, jakby były zaplamione krwią bawołu, ale okazało się, że to tylko czerwień jesieni.

Pat bacznie obserwował to miejsce. Żaden ruch, żaden niewyraźny, ukryty w gąszczu kształt nie świadczył o obecności rannego zwierzęcia. Jednak w pewnej chwili Erin uniósł palec dając znać, że zobaczył bawołu. Zwierzę zdradziło swoją obecność poruszając lekko uchem. Pat nadal nie mógł go dostrzec, bo bawół całkowicie wtopił się w tło, jednak wiedział, że patrzy na nich i pała żądzą mordy, by ukoić ból, którego nie rozumie i nie może znieść.

Gdy Pat przeszukiwał wzrokiem krzaki, splątane gałęzie rozchyliły się i bawół, trzymając wysoko głowę, wyskoczył z nich rycząc z wściekłości. Pat i Erin jednocześnie podnieśli strzelby. Sztucer Rigby.416 Pata wystrzelił na moment przed Lottem.458 Erina.

Obie kule weszły głęboko w łopatkę bawołu, a jednak zwierzę się nie zatrzymało. Pędziło przez krzaki jakby to były cieniutkie zapalki.

Strzelby wystrzeliły jeszcze raz, ale bawół biegł dalej.

Odgłos strzału Erina już przebrzmiał. Pat wiedział, że musi jeszcze raz załadować broń. Wchodząc w busz obaj mieli po trzy kule. Pat wycelował swój Rigby nisko w łopatkę, mając nadzieję, że kula przebije kości i dotrze do płuc i serca bawołu.

Zwierzę skręciło i popędziło prosto na Pata. Nie miał czasu, by ponownie nabić broń. Erin będzie musiał trafić w łopatkę rozjuszonego zwierza, a to oznaczało konieczność strzelania w zbytnej bliskości ojca.

Pat czuł mocny, gnojowy odór, podobny do odoru roztaczanego przez domowe

bydło. Bawół szarżował prosto na niego. Wydawało mu się, że widzi wszystko jak na zwolnionym filmie. Miał czas ocenić wielkość rogów rozszerzających się na czole, gdzie tworzyły spłaszczony guz. Garb zwierzęcia był czarny, zaokrąglony, ogromny.

Erin starannie celował. Jego ręce nie drżały. Zwierzę opuściło łeb i uszami niemal szorowało po ziemi. Było gotowe do nabicia wroga na rogi i rozszarpania go na strzępy.

Pat zobaczył, że Jacob staje obok Erina, by w razie potrzeby podać mu amunicję. Za późno, pomyślał. Nic już nie powstrzyma ataku i śmierci.

Nagle od dołu poczuł uderzenie w nogi i padł twarzą na ziemię z takim impetem, że zadźwięczały mu zęby. Ból w głowie i karku oślepił go. Na nogach spoczął mu ogromny ciężar. Był sparaliżowany.

– Tato! – krzyknął Erin. – Tato, słyszysz mnie?

Pat z trudem otworzył oczy. Syn go potrzebuje. Musi wstać. Walczył z bezwładem, by podnieść się na nogi. Ogarnęła go panika. Nie mógł się poruszyć. Jak we śnie usłyszał Jacoba:

– Pomóż nam zdjąć mu nyati z nóg, zanim połamie mu kości.

Pat uśmiechnął się. Żona całowała go czule w usta, wargi miała słodkie i chłodne. Westchnął uszczęśliwiony i otworzył oczy.

Zobaczył pochylonego nad sobą Erina. Wlewał mu wodę do ust i obcierał mu twarz wilgotną szmatką.

– Dzięki Bogu, nic ci się nic stało, tato. Tak się niepokoiiliśmy. Jacob poszedł po samochód, żebyś nie musiał męczyć się chodzeniem.

Pat już miał zaprotestować, ale gdy usiadł, krzaki zaczęły wirować wokół niego i poczuł mdłości. Oparł się o Erina.

– Dziękuję, synu.

– Umarł w chwili, gdy cię zbijał z nóg – wyjaśnił Erin. Nagle sam poczuł mdłości. Przyłożył manierkę do ust i długo pił.

– Wcale nie jest tak trudno zabić bawołu – odezwał się Pat, przyglądając się, jak Erin pije. – Po prostu najtrudniejszą część zadania stanowi przekonanie go, że już nie żyje. Widziałem bawoły, które nie przerywały szarży nawet wtedy, gdy ich serce i płuca były już w strzępach. Wydawały się niezdolne do poddania się śmierci.

Wysunął się z objęć Erina i znów zakręciło mu się w głowie.

– Jonas! – zawołał. – Chodź mi pomóc.

Jonas i Erin wiedzieli, że nie warto się sprzeczać, więc wzięli Pata z dwóch stron pod ramiona i postawili go na nogi. Przez chwilę jeszcze przytrzymał się ich, a potem pokuśtykał do bawołu.

– Gdzie raniliście to biedactwo?

– Jeszcze nie patrzyliśmy, tato. Najpierw musieliśmy wyciągnąć cię spod

niego.

Pat obszedł zwierzę dokoła. Z głośnym szumem unosiły się już nad nim roje muszek. Kleszcze i inne pasożyty uciekały ze stygnącego ciała.

Z szarych gałęzi krzaków dochodził zapach kordytu i krwi. Busz stał się świątynią, w której złożono bawołu na ofiarę.

– Tu! – zawołał Pat unosząc ogon zwierzęcia. – Spójrzcie na to!

– Shumba – stwierdził Jonas, wskazując ręką głębokie ślady po kłach na zadzie bawołu.

– Tak. Musiał mu skoczyć na zad i albo źle chwycił, albo bawół go strząsnął.

– Ale zdążył przegryźć mu skórę – dodał Erin, krzywiąc nos. Od ropiejących ran dochodził gnilny smród.

– Stało się to jakiś czas temu – powiedział Pat. – Już się tu dostały robaki. – Gałązką ułamaną z krzaka pogrzebał w jednej z ran. Na stopy spadły mu białe, beznogie larwy. – Cierpiał piekielne męki, gdy muchy i inne owady ssały mu krew.

– Te koty mają kły ostre jak brzytwy – rzucił Erin – a przecież skóra bawołów jest taka twarda, że zrobione z niej buty noszę od lat. Wydawałoby się, że nic jej nie może nawet zadrasnąć.

– Twoje buty też nie wytrzymałyby siły, jaką koty mają w przednich łapach, gdy ciągną zdobycz – zauważył z uśmiechem Pat.

Usłyszeli odgłos silnika. To Jacob próbował zaparkować toyotę jak najbliżej krzaków. Przywiążą bawołu do samochodu i zabiorą go do Nowego Ganyani. Personel będzie miał zapas mięsa na całe tygodnie.

– Erin – odezwał się Jacob spokojnie. – Znalazłem ślady. Te, których szukałem od ostatniej pełni.

Przed tym polowaniem na bawołu nowina podnieciłaby Erina, ale teraz tylko się zmartwił.

Ostatnio, chodząc wzdłuż rzeki, natykali się na zwierzęta złapane w sidła i pułapki kłusowników, ale aż do dziś nie spostrzegli żadnego śladu samych kłusowników.

– Jak dawne? – spytał Erin.

– Sprzed paru godzin. Idą do Lasku Nzou.

Erin dobrze znał ten piaszczysty zakątek. Rzeka wiła się tam na kształt wielkiej litery S, a przy jej wilgotnych brzegach zapuściły korzenie wielkie akacje. Gdy strąki dojrzewały i opadały na ziemię, przychodziły się nimi raczyć całe stada słoni.

– Musimy poprosić tatę, żeby razem z Jonaszem odprowadził samochód do Nowego Ganyani – powiedział.

Jacob pokręcił głową.

– Jonas musi iść z nami. We dwóch nie zaskoczemy i nie złapiemy kłusowników. Sądząc ze śladów jest ich czterech, a może nawet pięciu.

Erin miał już zaproponować, ale wtrącił się Pat.

– Wam się wydaje, że tylko szepczecie, ale kłusownicy na pewno was już słyszą.

Jacob i Jonas wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Stary Człowiek nadal miał słuch jak młody mężczyzna.

– Zabiorę bawołu do obozu, a potem spotkam się z wami przy Lasku Nzou.

– Tato, nie wiesz, gdzie wtedy będziemy – sprzeciwił się Erin.

Jonas w zakłopotaniu szurał nogami po ziemi, a Jacob z niezwykłą starannością przywiązywał bawołu do haka holowniczego.

Pat uświadomił sobie, że po raz pierwszy w życiu decyzje nie należą do niego. Nowe Ganyani jest własnością jego syna i Erin sam będzie stanował o swoich sprawach. Poczł się tak, jakby utracił coś cennego. Syn nie będzie już na nim polegał. Jego dziecko stało się mężczyzną.

Erin chyba zrozumiał smutek ojca, bo powiedział głośno:

– Tato, jak myślisz? Wydaje mi się, że musimy pójść, bo wszystkie tropy, które do tej pory widzieliśmy, miały co najmniej tydzień. Po raz pierwszy zdarza się coś świeżego.

Pat miał ochotę uściskać Erina.

– Ciężar tego starego bawołu leżącego na mnie trochę mnie wyczerpał. Sądzę, że powinniście natychmiast ruszyć śladem, a ja zobaczę, czy Katoro potrafi przygotować przyzwoitą whisky. Mały drink z wodą i ciepły prysznic sprawią, że jutro będę w stanie zawieźć waszych kłusowników na posterunek policji.

Gdy już mieli się rozstać, zawołał jeszcze Jacoba.

– Weź to, proszę – powiedział. Możesz tego potrzebować. Pilnuj mojego syna! To już mężczyzna, ale rodzice nigdy nie wierzą, że ich dzieci dorosły.

Jacob z czcią wziął do ręki sztucer Pata. Erin był oszołomiony. Ojciec nigdy jeszcze nie pozwolił, by ktoś dotykał jego broni.

– Upuść to, a już jesteś martwy – zażartował.

Pokój, w którym Pat przechowywał broń, matka Erina nazywała „kaplicą”. Twierdziła, że na czyszczeniu strzelb mąż spędza tam tyle samo czasu, co nowicjusz zakonny na kolanach podczas modlitwy.

Erin i tropiciele stali na brzegu skłębionych zarośli, póki beżowa toyota, podskakując, nie zniknęła w oddali. Potem ruszyli na zachód. Wkrótce wpadli w naturalny rytm wędrówki przez busz. Zatrzymywali się tylko po to, by zbadać ślady ludzkich stóp, za którymi podążali. Dwaj kłusownicy nosili buty z gumowymi podeszwami, pozostali dwaj szli bosy. Jeden z nich kulał i chyba miał na stopie opatrunek.

– Cieszyłbym się, gdyby zranił sobie nogę we własnych sidłach – powiedział Erin cierpko.

Po chwili Jacob zatrzymał się i wskazał coś przed sobą. Przy płytkiej sadzawce stał

samotny słoń.

– Jest słaby i spragniony – stwierdził.

– Nie możemy czekać, aż nzhou się napije i obsypie grzbiet piaskiem – oznajmił Erin. – Musimy iść szybko, żeby złapać kłusowników.

Wszyscy trzej przyglądali się ogromnemu słoniowi. Nie chcieli się z nim zmierzyć, ale gdyby obeszli go w sporej odległości, straciliby ślady i potrzebowaliby całych godzin, żeby znów je znaleźć.

Słoń kołysał się z boku na bok, jakby był zamknięty w klatce. Jego skóra zwisała luźnymi fałdami.

Erin przyłożył lornetkę do oczu. Sapnął i podał ją Jacobowi, który tylko kiwnął głową i przekazał ją Jonasowi.

– Nie jadł i nie pił od wielu dni – powiedział Jacob wskazując zraniony do żywego mięsa czubek trąby. – Wsadził trąbę w sidła zastawione na inną zwierzynę.

Erina zaswędziało palec na spuście. Chciałby położyć kres mękom zwierzęcia, by już nie patrzeć, jak usiłuje nabrać wody niemal oderwanym czubkiem trąby.

Wydawało się, że słoń wyczuwa ich obecność. Próbował unieść trąbę, żeby powąchać powietrze i złapać ich zapach, ale w końcu zrezygnował i bezradnie ją opuścił.

– Trwało dwadzieścia milionów lat, zanim słonie wykształciły ten wieloczynnościowy narząd. Bez niego umrze. Używa go do oddychania, węszenia, zbierania pokarmu, picia i czyszczenia ciała z pasożytów – wściekał się Erin. –A teraz jakiś łajdak nastawia linię sideł i prawie go odcina.

Jacob dotknął ramienia Erina.

– Rozumiem, co czujesz. My też poważamy Wielkiego Szarego Człowieka z buszu. Ale jeżeli go zastrzelimy, stracisz licencję łowiecką, a to oznacza, że wszyscy stracimy Nowe Ganyani.

– Naradźmy się – zaproponował Jonas. Wszyscy trzej przykucnęli w cieniu akacji.

– Trzeba go zastrzelić upierał się Erin.

– To prawda – przyznał Jonas. – Ale powinniśmy zawiadomić Departament Parków Narodowych. Wtedy przyślą strażnika zwierzyny, który sprawdzi, czy słonia naprawdę nie można już uratować. Zanim się go zabije, muszą zostać podpisane papiery i wydane pozwolenie.

– Tylko że do tego czasu Szary Człowiek odejdzie całe mile stąd albo umrze –powiedział Jacob.

Obaj tropiciele wymienili długie spojrzenia, a potem skinęli głowami. Milcząco ustalili, co mają robić.

– Nie jestem myśliwym, tylko zwykłym tropicielem – powiedział Jacob,

rysując w piasku kółko patykiem. – Nie mam licencji łowieckiej. Ale mam Rigby.

– Los sprawił, że Stary Człowiek ci ją dał – uzupełnił Jonas. – Duchy wiedziały, że będziesz jej dziś potrzebował.

Erin pokiwał głową, ale nie odezwał się.

– Twój ojciec, wkładając mi strzelbę w ręce, nakazał mi strzec ciebie – mówił dalej Jacob. – Więc będzie słusznie, jeżeli to ja zabiją słonia.

– Pomyślą, że to sprawka kłusowników – perswadował Jonas. – Nie stracisz licencji, a sumienie będziesz miał czyste. Uratujesz tego starego słonia od długiej, bolesnej agonii.

Mężczyźni popatrzyli na drugi brzeg sadzawki z zieloną wodą. Słoń nadal się kołysał z boku na bok. Próbował nabrać wody delikatnym koniuszkiem zranionej trąby. Na jego zadzie szara skóra zwisała w wielkich fałdach. Wyglądał jak stary człowiek, który już nie potrafi podciągnąć sobie spodni.

Erin poczuł, że oczy go palą od łez. Owszem, zabijał zwierzęta. Obserwował, jak myśliwi zza oceanu je zabijają. Ale nie mógł znieść widoku ich cierpień.

– Jacob, zastrzel go. Połóż kres jego męce. Teraz. Właśnie stoi idealnie bokiem.

Erin często widział, jak Jacob używa broni palnej. Tropiciel był doskonałym strzelcem, ale Erin i tak nie potrafił powstrzymać się od pouczenia go.

– Pamiętaj, celuj w czubek otworu usznego, a potem przesun wylot o dwa cale wyżej.

Erin chciał, by Jacob trafił w mózg zwierzęcia. To byłaby szybka śmierć. Wiedział, że chociaż w stosunku do ciała słoń ma dużą głowę, jego mózg jest tylko cztery razy większy niż mózg człowieka. Między oboma warstwami kości czaszki znajdują się gąbczaste jamy, wypełnione powietrzem i często kula pozostaje w tym obszarze, zamiast trafić w mózg.

Jacob uniósł sztucer i spokojnie celował. Erin chciał krzyknąć, żeby się pospieszył, zanim zwierzę się obróci, co utrudniłoby strzał. Ale stary samiec był słaby i poruszanie się kosztowało go zbyt wiele bólu. Znalazł sadzawkę, więc rozpaczliwie pragnął poczuć zimną wodę spływającą mu wzdłuż przełyku.

Erin spodziewał się wystrzału, ale aż podskoczył, gdy huk rozdarł mu uszy. Słoń stał nieruchomo jeszcze przez sekundę, a potem zwalił się jak wieża, pod którą podłożono ładunek wybuchowy. Uniósł do nieba zranioną trąbę, jakby pytał o przyczynę bólu. Potem wszystko się uspokoiło.

Mężczyźni czekali, aż opadną kłęby kurzu i dopiero wtedy ostrożnie podeszli do słonia. Wokół obozowych ognisk krążyły opowieści o tym, jak martwe zwierzę nagle powraca do życia, gdy zbliża się do niego myśliwy.

– Stary Szary Człowiek odszedł, by przyłączyć się do towarzyszy tam, gdzie trawa jest zielona, a rzeki pełne chłodnej wody – oznajmił Jacob.

Erin zerwał garść trawy Rhodesa i włożył czerwone źdźbła do pyska słonia.

To na drogę powiedział i odwrócił się. Tego zwyczaju nauczył go ojciec, gdy zastrzelił pierwszą antylopę: „Zawsze odnoś się z szacunkiem do zwierzęcia, któremu odebrałeś życie”.

– Dziękuję ci – powiedział tylko Jacobowi.

Jacob skinął głową, a potem gęsiego ruszyli w dalszą drogę.

– Są o mniej niż dwie godziny od nas – stwierdził Jacob klękawszy, by zbadać złamaną łodygę ognistej lilii, zwisającej z termitiery ulepionej z gliny w kolorze ochry.

Erin również się pochylił i podniósł kwiat. Jego pofałdowane płatki tworzyły kielich, którego płomienna czerwień przechodziła przy łodydze w złoto. Wepchnął go za pas z amunicją i pobiegł, by dogonić Jacoba.

– Lasek Nzou – oznajmił tropiciel.

Zobaczyli przed sobą krąg wielkich akacji z płaskimi koronami. Do tej pory kłusownicy szli szybko, ale teraz zrobili postój, by się napić.

– Nie wiedzą, że jesteśmy tutaj – szepnął Jacob, raz jeszcze badając ślady. – Jednemu z nich krew przesącza się przez bandaż i on ich opóźnia.

– Chcą sprawdzić sidła wzdłuż rzeki – dodał Jonas. – To im zajmie trochę czasu, bo muszą uwolnić i zabić zwierzęta, które jeszcze nie umarły z pragnienia ani nie udusiły się.

Erin poczuł, jak wypełnia go chłodna, mordercza wściekłość.

– Zabijcie ich rozkazał. – Niech umierają tak, jak zwierzęta, które torturowali w sidłach.

– Erin – Jacob usiłował przywieść go do opamiętania. – Zostań tutaj, na wzgórzu. Zagwiżdż, jeżeli nas zobaczą i będą próbowali uciekać. Jonas i ja znajdziemy ich z drugiej strony.

Erin chciał oponować, ale Jacob się uśmiechnął.

– My jesteśmy czarni, więc mogą nas wziąć za bogatych kłusowników. Kłusowników w mundurach i z bronią. Dziś wielu strażników zwierzyny napycha sobie kieszenie pieniędzmi ze sprzedaży kości słoniowej i rogów nosorożca. W ten sposób ich złapiemy. Jesteś dobrym myśliwym, ale do tej roboty masz niewłaściwy kolor.

Erin roześmiał się.

– Wygrałeś! Zostanę tutaj, ale tylko do chwili, gdy ich dopadniecie. Tropiciele odeszli cicho jak wiatr szepczący wśród traw. Erin obserwował brzeg rzeki przez lornetkę. Nie zauważył żadnego ruchu. Kłusownicy zniknęli tak samo, jak tropiciele.

W pewnej chwili usłyszał cichy szelest i drapanie na skale za sobą. Wolno odwrócił głowę. Był pewien, że spojrzy prosto w wylot kałasznikowa, ale zobaczył tylko dwoje oczu jak perełki, które wpatrywały się w niego nieruchomo. Minutę

później jaszczurka ostrzegacz zdecydowała, że dostatecznie go wystraszyła i może odejść. Erin patrzył na małego drapieżnika sunącego łuskowatym ciałem po kamieniach, by wreszcie zniknąć w głębokiej szczelinie. Zwierzątko wyglądało jak miniaturowa straszliwego gada z filmu. Wzruszył ramionami i znów zaczął obserwować akacyjny las i rzekę.

Nagle rozległ się dziki, mrozący krew w żyłach krzyk rybołowa. To tropiciele wzywali Erina i oznajmiali, że nie ma niebezpieczeństwa.

Erin pobiegł nad rzekę. Zbliżywszy się do brzegu, spostrzegł kilku mężczyzn, których do tej pory nie widział, bo znajdowali się za kępą gęstych zarośli.

Czterech leżało na ziemi, z rękami na głowie. Jacob i Jonas triumfalnie stali nad nimi. To były doskonałe łowy. Kłusownicy zauważyli tropiciele dopiero wtedy, gdy Rigby już w nich mierzyła. Drżeli teraz ze strachu. Byli bezbroni. Przewracali oczami tak, że widać było tylko białka ich oczu. Nie ośmielali się podnieść głów, by popatrzeć na Jacoba i Jonasa, którzy odebrali im zdobycz.

Erin ciągle jeszcze nie mógł zapomnieć widoku cierpiącego słonia. Chciał, żeby ci ludzie również cierpieli.

– Każcie im wstać – powiedział. – Niech nam pokażą, gdzie ustawili sidła, potem niech je zdejmą, zwiną drut i zanosą go na sobie do Nowego Ganyani.

Jacob i Jonas rozpromienili się. Doskonale rozumieli ten rodzaj sprawiedliwości.

Kłusownicy, mocno skrepowani, z kłębami drutu wokół szyi, będą się potykać i upadać, starając się nadążyć za tropicielami. Nie zdołają podpierać się rękami. Wkrótce nieznośnie rozbolą ich ramiona, bo węzły związane przez Jacoba zaczną wpijać się w ciało i ściągać ręce do tyłu.

Na rozkaz Jacoba podnieśli się z ziemi niezręcznie, jak marionetki na zerwanym sznurku.

Ten z opatrunkiem na stopie spojrział Erinowi w oczy. Mocz splamił jego podarte szorty i spłynął po nodze. Erin odwrócił wzrok. Nagle zawstydził się, że z jego powodu ten mężczyzna cierpi takie poniżenie. Powoli złość mu mijała, zastąpiona litością. Popatrzył na kłusowników, którzy drżąc stali ze spuszczonej głowami.

Ich nogi i ręce były tak cienkie i kruche, jak szczapki na podpałkę. Łachmany, które mieli na sobie, ledwo zakrywały ich brudne, chude ciała.

– Ci ludzie nie są sępami tuczącymi się na sprzedaży mięsa pochodzącego z kłusownictwa – odezwał się do Jacoba. – Spójrz na ich ubranie i buty. – Płócienne buty były tak samo stare i podarte, jak ubranie.

– Policja sprawdzi, czy ci łajdacy, zastawiając tu sidła, zamierzali zdobyć mięso dla swoich rodzin, czy też dla ludzi z miasta – odpowiedział Jacob w szona, żeby kłusownicy go nie zrozumieli.

– Nienawidzę kłusownictwa, ale potrafię zrozumieć, że głodujący ludzie, którzy nie posiadają broni palnej, łapią zwierzęta w sidła, by utrzymać swoje dzieci przy życiu. Ludzie z miasta mają pieniądze i samochody, ale ci tutaj

pozbawieni są żywności i opieki lekarskiej.

Jacob i Jonas potrzęsnęli głowami. Nie rozumieli nagłej łagodności Erina.

– Kłusownicy wiedzą, że dzika zwierzyna jest jak domowe bydło. Trzeba się nią opiekować. Ryzykując zakładanie sidła, ryzykują także przyłapanie na tym – stwierdził Jonas.

– Ale wszyscy wiemy również, jak leniwi i znudzeni są policjanci na posterunku. Nie mają co robić i nikt ich nie kontroluje. Piją od rana do nocy – opono

wał Erin po angielsku. – Będą bili tych ludzi, aż padną. Potem wrzucą ich do małych chat, gdzie będą się prażyć w dzień i marznąć w nocy Skontaktują się przez radio z Harare, ale przedtem spędzą dzień czy dwa na wypełnianiu dokumentów. Wreszcie ci ludzie zostaną zabrani do Harare i postawieni przed sądem.

Kłusownicy stali nieruchomo. Nie rozumieli tej wymiany zdań, ale czuli, że w tej chwili ważą się ich losy.

– Nie możesz współczuć jednocześnie i ludziom, i zwierzętom – powiedział Jacob.

– Dziś współczuję wszystkiemu, co żyje w Afryce – odparł miękko Erin. Jonas odszedł i stanął nad rzeką. Erin wiedział, że jego tropiciele mają rację.

Kiedyś znaleźli samicę kudu złapaną w sidła. Spojrzała na nich wilgotnymi oczami. Już była w agonii, a w jej wzroku malowało się niezrozumienie tego, co jej się przydarzyło. Wtedy chciał zabić każdego kłusownika, który wpadnie mu w ręce. Ale w tej chwili, mając przed sobą czterech przerażonych, wychudzonych jak szkielety mężczyzn, czuł tylko litość.

Jonas zagwizdał. Jacob podszedł do niego.

Jonas mówi, żebyś poszedł zobaczyć, co jest w sidłach – powiedział wracając do Erina. – Ja przypilnuję tych hien.

Erin podszedł do Jonasa, który przykucnął na piasku. Usta zacisnęły mu się w wąską, twardą kreskę, kiedy zobaczył drut skręcony w obręcz wokół nogi lamparta, przy której nie było reszty ciała. Kot wolał odgryźć ją niż pozostać w sidłach.

– Niech ci ludzie zbiorą sidła i pułapki. Zawołaj, gdy będziecie gotowi rozkazał.

Usiadł na piasku i oparł brodę na kolanach. Patrzył na wodę, a jego ciałem wstrząsało suche łkanie.

Boże!, modlił się po cichu. Niech mucha tse–tse i moskity sprawią, by Afryka na powrót stała się miejscem, w którym mogą przeżyć tylko najprymitywniejsze plemiona i najtwardsi ludzie. Niech zwierzęta znów przemierzają ten wspaniały kontynent w rytmie pół roku, a nie zgodnie z planami człowieka.

Jednak zdawał sobie sprawę, że to człowiek, wszystko jedno wrogi czy przyjazny,

jest jedynym stworzeniem, którego wszystkie zwierzęta się boją. Przez chwilę głęboko nienawidził tej samej Afryki, którą tak bardzo ukochał.

Jesteś twardą ziemią, pełną sprzeczności – mówił jego umysł. – Urządziliśmy sanktuaria dla ochrony zwierzyny, a teraz musimy zabijać nasze ukochane zwierzęta, by uniemożliwić im zniszczenie ich własnych ostoi.

Jacob zagwizdał dając znać Erinowi, że są gotowi do drogi. Erin podszedł do rzeki i ochlapał sobie głowę. Woda była zimna i uspokoiła go.

– Zostawcie sznur, który wiąże ich razem, ale uwolnijcie im ręce, żeby mogli nieść drut – powiedział.

Jacob i Jonas spełnili jego rozkaz, ale sztywność ich ramion i karków świadczyła o wielkim niezadowoleniu.

Powiedzcie im, żeby zaprowadzili nas do swojej wioski. Poszukamy rogów i skór. Może natkniemy się tam nawet na tego, kto im płaci za zastawanie sidła.

– Dziś pułapki są puste. Zdobyli tylko nogę lamparta – odparł Jacob. – Ale kto wie, co w nich znajdują przy innych okazjach?

– Nie wskazali nam wszystkich pułapek – stwierdził Jonas. – Jest ich więcej, głęboko w buszu. Pokazali nam tylko trochę, akurat tyle, żeby cię zadowolić.

Erin wiedział, że tropiciele mają rację, więc powiedział tylko:

– Ruszajmy! Chcę dojść do ich wioski przed zmierzchem.

Już po niecałej godzinie marszu cienkie, dziecięce głosiki obwieściły bliskość wsi. Jacob i Jonas zapowiedzieli swoim jeńcom, że ich zastrzelą, jeżeli zaalarmują mieszkańców wioski i dadzą im szansę ukrycia rogów i skór.

Kłusownicy byli jednak zbyt przerażeni, by chociażby się odezwać. Dzieci zauważyły wkraczających do wsi mężczyzn, którzy wyglądali jak oddział łapaczy niewolników. Wrzeszcząc popędziły do matek i razem z nimi zniknęły w chatach.

Erin strzelił w powietrze.

– Wezwij naczelnika – polecił Jacobowi.

Po kilku minutach z jednej z chat wyszedł mężczyzna. Jego wielki brzuch zadawał kłam łachmanom, które zapewne włożył w ostatniej chwili, by udawać nędzarza.

– Ten tu ma dość jedzenia – szepnął Jacob. – Zacznijmy przeszukiwanie od jego chaty.

Erin głośno nakazał Jacobowi i Jonasowi, by przeprowadzili rewizję. Naczelnik zaczął wykrzykiwać i grozić. Ale gdy Jonas pojawił się w drzwiach z pięknymi rogami antylopy końskiej, naczelnik opadł na stół stojący przy ścianie i ukrył twarz w rękach.

Antylopa końska była zwierzęciem chronionym, zagrożonym wyginięciem. Naczelnik wiedział już, że spędzi w więzieniu co najmniej rok. Wiedział też, że człowiek, któremu dostarcza rogi i skóry, wyprze się go. Był sam i nie mógł znikąd spodziewać się pomocy.

Gdy patrzył w górę, na Erina, wydawało się, że jego pomarszczona twarz rozsypie

się na kawałki jak błoto schnące w słońcu. Po policzkach popłynęły mu łzy. Nadbiegła jego żona i rzuciła się Erinowi do nóg; inne kobiety wyły, a dzieci płakały.

Erin odwrócił się. Wiedział, że to przedstawienie jest obliczone na to, by wzbudzić w nim litość, ale i tak serce go bolało na widok nędzy, w jakiej ci ludzie muszą żyć.

Jednak zrobię to, co muszę, pomyślał, bo inaczej za pół wieku połowa gatunków afrykańskich zwierząt przestanie istnieć. Muszą nauczyć się chronić zwierzyne.

Popatrzył w niebo, żeby nie widzieć wielkich, przerażonych oczu obdartych wioskowych dzieciaków i błagań matek i żon.

– Jak można chronić zwierzyne, skoro z dnia na dzień ludzi jest coraz więcej, a ich nędza wzrasta? – szepnął do Jacoba.

– Dzieci i bydło stanowią bogactwo mężczyzny – odparł tropiciel. – Bez nich mężczyzna jest niczym.

– A bez dzikich zwierząt, zamieszkujących afrykańskie równiny, Afryka będzie niczym – wyszeptał Erin miękko.

W tym momencie z chaty wyszedł Jonas. Otrzeptywał głowę z trawy, którą pokryty był dach, a w rękach niósł jeszcze jedną parę rogów.

– Już nigdy nie zobaczysz słonecznego światła – powiedział Jacob do naczelnika małej wioski. Zostaniesz w więzieniu do śmierci.

– Nie oglądaj się poradził Jacob, gdy opuścili wioskę. Obawiał się, że Erin ulegnie litości i zwolni naczelnika oraz kłusowników. – We wszystkich garnkach gotowało się mięso. Łąpali wiele zwierząt. Teraz płaczą, bo muszą za to zapłacić.

Erin powąchał powietrze. Poczł zgniły zapach mięsa, które zbyt długo leżało na słońcu.

Masz rację, Jacobie. Tylko, że kłusownicy nic dziś nie jedli. Może naczelnik odżywia się odpowiednio, jednak reszta w ogóle nie ma mięśni na kościach. Nakarm ich w obozie i niech tam spędzą noc. Równie dobrze mogą stanąć przed policjantem jutro, z pełnymi brzuchami.

• – Policja w Harare nie jest taka, jak ten leń w mundurze, ten bere – syknął Jonas do kłusowników i pociągnął za sznur, którym byli razem przewiązani. – W Harare powiecie, kto wam płaci za łapanie zwierząt w sidła. I wyjawicie wszystkie miejsca, w których zastawiacie pułapki.

– Jeśli skłamiacie, zabiją was dodał Jacob.

A my was zabijemy, jeżeli jeszcze raz was tu zobaczymy kontynuował Jonas. – To jest teraz nasza ziemia. To Nowe Ganyani. Wiecie, że nie możecie mieć wioski na terenie objętym koncesją. Więc jeżeli policja z Harare was nie zabije, wynoście się stąd, gdy tylko wrócicie. Jacob kazał naczelnikowi nieść ciężkie rogi.

– To ty dostajesz pieniądze, więc je nieś powiedział. – Jeżeli nie odejdziesz z tej okolicy, znajdziemy cię, a hieny pożrą twoje kości.

Pojmani mężczyźni rozejrzeli się trwożliwie, jakby już nadchodziły hieny, te ulubienice czarownic, przywołane przez tropicieli.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Pat Gifford stał na werandzie starego domu farmerskiego w Karne Dwa. Podłogę werandy wykonano z drewna, więc nie była tak chłodna pod bosymi stopami, jak cementowa podłoga werandy w Karne.

Gdy patrzył na wschód, nie widział już białych oparów nad Wodospadem, a zamiast odległego grzmotu spadającej wody słyszał ptasi śpiew i cichą paplaninę służących, którzy krzżeli się przy domowych zajęciach.

Zima pozbawiła drzewa mopane liści, które leżały grubą, złotą warstwą na ziemi. Pat narzucił kamizelkę na bawełnianą koszulę z długimi rękawami. Było to jego jedyne ustępstwo na rzecz pory roku, bo poza tym nadal nosił szorty khaki i chodził boso.

Powodzenie Nowego Ganyani i Karne Dwa przeszło wszelkie oczekiwania. W obu obozach miejsca zostały wykupione na całą zimę i pierwsze miesiące lata.

Erin pojechał do Johannesburga i kupił tam używaną cessnę. Twierdził, że klienci czują się pewniej, gdy w obozie jest samolot, którym mogą się zabrać w razie niebezpieczeństwa. Ale Pat znał prawdziwy powód tego ekstrawaganckiego zakupu. Erin po prostu chciał częściej odwiedzać Karne Dwa i pewną włoską pielęgniarzkę. Gdy Tara i Briar przebywały w Karne Dwa opiekując się Rudo, widział, jak przyjaźń między Erinem i Tarą pogłębia się i rad był z tego niezmiernie. Podobała mu się radość, z jaką Tara zmagala się z życiem. Przemierzała niezmordowanie spadziste wąwozy w Chizarira, szukając sokołów Taita i wcale nie przejmując się muszkami mopane, mrówkami czy węzami. Studiowała atlasy ptaków, by dobrze zapamiętać wygląd tego silnego, małego sokoła z białym podgardlem i czarnymi paskami przy dziobie, aż była pewna, że nie pomyli go z afrykańskim kobuzem, innym rodzajem sokoła. Nie chciała, by personel uważał ją za niedouczoną. Pokochała busz miłością, jaką darzyli go na ogół tylko ludzie tu urodzeni.

Rudo podjęła się nauczania jej sindebele i Tara zadziwiła wszystkich szybkością, z jaką chwytala ten język. Jej przyjaźń z Briar pogłębiła się i obie kobiety były nierozłączne. W starym domu farmerskim rozbrzmiewał śpiew i radosny śmiech.

Pat starał się nie myśleć o chwili, kiedy Tara będzie musiała jechać do domu, a Briar, być może znudzona pracą, wróci do rodziców w Inyati.

Nauczył się całkowicie polegać na niej i nie potrafił już wyobrazić sobie Karne Dwa bez jej obecności. Czasami, podczas ponurych, czarnych godzin nocy, puszczał wodze fantazji, wyobrażając sobie, że Briar kocha go tak, jak kochała Scotta. Ale gdy obliczał różnicę wieku, odrzucał je i usiłował wygodniej ułożyć poduszkę, by znaleźć zapomnienie we śnie.

Nagle rozległ się czysty, wesoły śmiech Briar. Pat odwrócił się i oparł o balustradę werandy. Drewno było wilgotne, ale nie poczuł tego. Skoncentrował uwagę na

Briar i Tattonie Boysie.

Tatton zamówił miejsce w Karne Dwa na dwa miesiące. Pisał dla „National Geographic Magazine” artykuł o sokołach Taita. Ptaki te, małe i bardzo rzadko występujące, przemieszczały się z prędkością sokoła wędrownego. Można je było zobaczyć tylko w wysoko położonych wąwozach wzdłuż Zambezi i w górach Zimbabwe.

Pat z przykrością zdał sobie sprawę, że Briar lubi towarzystwo Tattona. Był to ciemnowłosy mężczyzna, zahartowany i wesoły jak każdy tramp. Z humorem opowiadał o swoich wędrówkach po świecie w poszukiwaniu materiału do artykułów. Nie krył zachwyty, jaki wzbudzała w nim Briar. Spędzali ze sobą coraz więcej czasu.

– Stanowią ładną parę, prawda? – Tara cicho podeszła do Pata. Zrezygnowała już z nadziei, że Pat zakocha się w Briar. Chyba całkiem mu wystarczała jej obecność jako pracownicy.

Pat tylko coś mruknął. Tatton od niechcienia objął Briar za ramiona. Pat marzył, by zrzuciła jego rękę, ale wydawało się, że jest szczęśliwa, schodząc do rzeki w jego objęciu. Zupełnie jakby byli kochankami!

Kochankowie! Och, nie, pomyślał. Briar nie może się zakochać w Tattonie! Jeżeli tak się stanie, zostawi mnie i wyjedzie z Karne Dwa. Będą razem wędrować po świecie. Już nigdy jej nie zobaczę, nie usłyszę jej śmiechu. Uświadomił sobie, że chce, by Briar weszła na zawsze w jego życie. Ty głupcze! powiedział sobie. Zaslugujesz na to, by ją stracić na rzecz Tattona. Stracić? Nigdy jej nie miałeś. Jesteś za stary, Giffordzie. Pamiętaj, że była narzeczoną twojego syna.

– Przepraszam, Taro! Zamyśliłem się.

– Pat – odezwała się cicho Tara. – Mogę z tobą porozmawiać?

– Oczywiście.

– Bez świadków, jeśli można.

Pewnie chce wracać do Mediolanu, doszedł do wniosku Pat, prowadząc ją do gabinetu. Guido Andretti wczoraj znów dzwonił. Po tej rozmowie Tara była blada i roztargniona, ale z nikim nie podzieliła się swoimi myślami.

– Proszę, Taro, usiądź – powiedział Pat przyciągając stary, wygodny fotel. Usiedli w milczeniu. Ciszę przerywało tylko regularne tykanie starego zegara, stojącego w kącie pokoju.

– Pat, rodzice chcą, żebym natychmiast wracała do Mediolanu – powiedziała wreszcie Tara smutno. Siedziała skulona i patrzyła w podłogę.

Pat czekał, ale Tara znów zapadła w milczenie.

– Rozumiem, że chcą cię mieć z powrotem – rzekł, bawiąc się nożem do papieru. – Wszyscy będziemy za tobą tęsknić. Byłaś cudowną przyjaciółką dla Briar. – Przerwał. –1 dla Erina – dodał po chwili.

Na dźwięk imienia Erina Tara niespokojnie poruszyła się w fotelu. Potem uniosła

głowę, wyprostowała ramiona i popatrzyła Patowi w oczy.

– Powiedziałam im, że zostanę w Nowym Ganyani, z Erinem, do końca roku.
– Mówiła teraz szybko, żeby Pat nie zdążył odpowiedzieć. – Erin prosił mnie, bym pomogła mu prowadzić Nowe Ganyani, tak jak Briar pracuje tutaj, w Karne Dwa.
– Zamilkła, a jej wielkie, ciemne oczy wypełniły się łzami. – Pat, czy mógłbyś do nich zadzwonić? Powiedz mamie i tacie, że będę tu bezpieczna. Powiedz im, jakim wyjątkowym człowiekiem jest Erin. I powiedz im, że to tylko praca.

Pociągnęła się za palce. Ten gest, tak podobny do gestu wykonywanego przez Erina, gdy czegoś bardzo chciał, pomógł Patowi podjąć decyzję.

– Tato okropnie się gniewa. Mówi, że należę do rodziny Andrettich i mam w domu obowiązki. A ja nienawidzę Mediolanu! Chcę tu zostać. Pat, błagam cię, pomóż mi!

Pat już miał w rękę słuchawkę.

– Jeżeli linia jest wolna, od razu porozmawiam z twoim ojcem – powiedział. Tara frunęła wokół stołu służącego za biurko i zarzuciła Patowi ręce na szyję.

– Och, dziękuję ci, Pat. Kocham cię!

Nagle otworzyły się drzwi i stanęli w nich Briar, Tatton i Rudo.

– Przepraszam – mruknęła Briar. Usłyszała słowa Tary. – Nie wiedziałam, że jesteście zajęci. – Poczula się chora i skrzywdzona. Tara ani słowem nie wspomniała o swoich uczuciach wobec Pata. Briar sądziła, że są po prostu dobrymi przyjaciółmi. Ale teraz wszystko się wydało. Tara jest zakochana w Pacie.

– Chodź – odezwała się do Tattona i wzięła go pod rękę. – Umieram z głodu, a czuję zapach smażonego bekonu.

– Śniadanie stoi już na stole – oznajmiła Rudo patrząc niechętnie na Tarę. Pan Pat jest dla Briar, szeptała do siebie w duchu. Tara o tym wie. Dlaczego go jej odbiera? Westchnęła i cicho zamknęła drzwi.

– Trudno zrozumieć mężczyzn – mruknęła jeszcze. – Ma dobrą kobietę, Briar, ale jak te małpy, które sięgają po najjaśniejszy melon, on sięga po młodszą. – I ze złością wymaszerowała z jadalni.

– Och! – szepnęła Briar. – Dziś powinniśmy zachowywać się ostrożnie.
– Zachichotała, gdy Tatton wstał i na palcach podszedł do kredensu, gdzie stały półmiski z jajecznicą i bekonem.

Ten fotograf wydawał jej się atrakcyjnym mężczyzną, a poza tym w jego towarzystwie dobrze się bawiła. Był od niej starszy tylko o dziewięć lat, ale z niezrozumiałych powodów przy nim znów czuła się młoda; młoda i beztraska.

Tatton stanowił typ szczęśliwego samotnika, z radością wykonującego swój zawód. Wewnętrzna potrzeba, która gnała go po świecie, sprawiała, że od czasu do czasu nawiązywał romanse, jednak nie zamierzał się ustatkować, zakładać rodziny i mieć dzieci. Gdy poznał Briar Hanley, ta decyzja wcale nie wydawała mu

się już taka mądra. Ku swojemu zdumieniu stwierdził, że dni, kiedy był razem z nią, cieszyły go bardziej niż dni spędzane z tropicielami albo Patem i Tarą. Od rana pragnął słyszeć jej głos i odkrył, że jeżeli wstanie wcześniej, może do niej dołączyć podczas porannego spaceru nad rzekę. Stawała się dla niego coraz ważniejsza i coraz trudniej było mu opanować chęć przebywania z nią.

Pat wypatrywał dla niego sokoły Taita i Tatton zdobył znakomite ujęcia. Mimo to przedłużał swój pobyt, a jako powód podawał, że redakcja zażądała dodatkowych fotografii, ponieważ zamierzała poświęcić małemu sokołowi cały następny numer.

Pat zatrzymał się w drzwiach jadalni. Usłyszał chichot Briar, któremu towarzyszył basowy śmiech Tattona. Briar popatrzyła na Pata i Tarę, a potem zaczęła wycierać marmoladę z twarzy Tattona.

– Właśnie mówiłam – oznajmiła Patowi i Tarze – że jeżeli naprawdę mu zależy na smarowaniu chleba dwucalową warstwą marmolady, musi się nauczyć otwierać usta szerzej.

Tara skwitowała to obojętnym uśmiechem. Linia telefoniczna była uszkodzona i Pat nie zdołał połączyć się z Mediolanem. A taką miała nadzieję, że Pat przekona ojca, by pozwolił jej tu zostać! Była pewna, że jeżeli Pat osobiście porozmawia z rodzicami, nie będą mieli nic przeciw jej dłuższemu pobytowi w Zimbabwie. W duchu postanowiła, że i tak zamieszka w Nowym Ganyani, z pozwoleniem ojca lub bez niego. Była jednak na tyle wrażliwa i rozsądna, że wiedziała, iż przebywanie z Erinem nie sprawi jej przyjemności, jeżeli ojciec, którego uwielbiała, nie wyrazi na to zgody.

Tymczasem dla Briar milczenie Tary podczas śniadania oznaczało po prostu zakłopotanie tym, że przyłapano ją na obejmowaniu Pata.

Pat też był milczący. Nie podobała mu się coraz wyraźniejsza bliskość między Briar a Tattonem. Martwił się również o formalne kłopoty, jakich może nastreczyć przedłużenie wizy Tary, oczywiście jeżeli ojciec nie udzieli jej pozwolenia na to, by tu jeszcze została. Trudno byłoby udawać, że jest tylko gościem, skoro miejscowi będą widzieli, iż powierzono jej stanowisko w obozie myśliwskim. Niedługo pojawi się problem pozwolenia na pracę. Będzie musiała wystąpić o nie w kraju, w którym co najmniej czterdzieści procent mieszkańców stanowią bezrobotni.

Nagle uświadomił sobie, że Briar coś mówi, a on w ogóle tego nie słyszy.

– Przepraszam, Briar, byłem myślami daleko – usprawiedliwił się z uśmiechem. – Co mówiłaś?

– Że chciałabym zabrać dziś wieczorem Tattona do obozu Figowego Drzewa – powtórzyła uprzejmie Briar. – Tatton od trzech tygodni nie robi nic innego, jak tylko wspina się i schodzi z gór. Na pewno spodoba mu się nasz obóz pod namiotami, nad rzeką, gdzie można trochę odpocząć.

Pat rozpaczliwie szukał powodu, dla którego mógłby odwieść Briar od tego

pomysłu, ale głowę miał całkiem pustą.

– Doskonały plan – powiedziała Tara, nie zdając sobie sprawy z prądów przebiegających wśród tych ludzi. – Briar, to będą również dla ciebie krótkie wakacje. Tak ciężko pracowałaś. Chętnie cię zastąpię.

Nie, nie! Pat chciał to wykrzyknąć na cały głos, ale zdobył się jedynie na to, by skinać głową.

– Dobrze, Briar. Skoro oboje potrzebujecie wytchnienia, jedźcie tam. Ja muszę zadzwonić do Mediolanu, a linie telefoniczne są uszkodzone. Tara i ja polecimy do biura w Chizarira. Może tam będziemy mieli więcej szczęścia.

Twarz Tary rozjaśnił radosny uśmiech.

– Och, dziękuję, Pat, dziękuję! – zawołała. – Tak bardzo mi zależy na tym, bym dziś mogła porozmawiać z mamą i tatą.

Briar poczuła, jak na jej twarzy zastyga uśmiech. Oni się pobiorą! Nie mogło być innego powodu, dla którego dzwoniłoby do Andrettich natychmiast po ich telefonie do Tary.

Gwałtownie odsunęła krzesło od stołu. Musi wyjść z pokoju! Do oczu napływały jej łzy, a nie chciała skompromitować się, pokazując, jak bardzo jest zrozpaczona.

– Przepraszam – wychrypiała. – Muszę przygotować dzisiejszy wyjazd. – Przy drzwiach jeszcze przystanąła. – Mam nadzieję, że w Chizarira telefon będzie działał. Tatton, spotkamy się za chwilę.

Ci, którzy pozostali przy stole, zjedli posiłek w milczeniu, zatopieni we własnych myślach. Gdy Rudo przyszła sprzątnąć ze stołu, wyszli z jadalni nie odzywając się do siebie.

Briar i Tatton przyjechali do obozu pod namiotami późnym popołudniem. Tatton prosił Briar kilka razy, by zatrzymała samochód, bo chciał sfotografować ogromne, wyglądające jak fortece, kopce termitów.

Briar zawiozła go do kopca z podwójnym szczytem. Mieścił więcej termitów niż wielkie miasto ludzi. Tattona zafascynowały te drobne stworzonka budujące sobie domy, które w porównaniu z ich rozmiarami miały wysokość piramid czy drapaczy chmur.

Przez chwilę usiłował wepchnąć nóżki statywu w podstawę termitiery.

– Twarde jak cement – mruknął, sprawdzając światłomierz.

– Cały kopiec jest wybudowany z odchodów termitów, które przeszły przez ciała niezliczonych owadów – wyjaśniła mu Briar, a potem roześmiała się, widząc na jego twarzy niedowierzanie. – Podają sobie nawzajem pokarm, a także odchody, otworami gębowymi albo odwłokami. Gdy to wszystko przejdzie przez ciała wielu owadów, powstaje ciemnobrązowa pasta i właśnie z niej budują te twarde jak cement kopce.

– Z pewnością rozwiązuje to problem kanalizacji – zażartował Tatton, odsuwając się od aparatu, żeby sprawdzić, czy właściwie wykadrował zdjęcie.

– Zjadają również ciała martwych towarzyszy i stare skórki – tłumaczyła dalej Briar – więc wewnątrz kopca mogą zachować idealną czystość.

Tatton osłonił oczy czując obrzydzenie, ale uprzejmie pokiwał głową.

– Mama i ja zbierałyśmy małe, czarne termity i wrzucałyśmy je do kurnika. Nie masz pojęcia, jakie uczty się wtedy odbywały. – Briar uśmiechnęła się do Tattona. – Nasze kurczęta uwielbiały tę paszę. Muszę przyznać, że gdy byłam w internacie, czekałyśmy z koleżankami na przelot termitów po deszczu. Łapałyśmy je, kiedy roily się wokół kopca i oslepiałyśmy je światłem latarek. Odrywałyśmy głowy i odnóża, a korpusy zjadałyśmy. Smakowały trochę jak skondensowane mleko.

– Fuj mruknął Tatton.

– Spróbuję je złapać dla ciebie – drażniła się z nim Briar.

– Jesteś niemożliwa, ale i tak chciałbym, żebyś zawsze była ze mną. Briar nie odpowiedziała. Po prostu patrzyła na niego. Tatton położył jej ręce na ramionach.

– Nie powinienem był tego mówić, Briar, ale naprawdę tak myślę. Nie mogę zaproponować ci małżeństwa, bo ciągle jeżdżę po świecie. Przyciągają mnie wielkie przestrzenie. Wiem, że nie jestem dobrym materiałem na męża, ale czuję, że ty i ja stanowimy pokrewne dusze.

Briar nadal milczała.

– Mogę sprawić, że twoje życie będzie jedną wielką przygodą. Chcę ci ofiarować miłość i radość. Moglibyśmy przemierzać świat trzymając się za ręce. Tu nie czeka cię nic ciekawego. Briar, jedź ze mną!

– Tatton, zostajesz jeszcze tydzień w Karne Dwa. To, co proponujesz, brzmi bajecznie, ale muszę się zastanowić.

Briar uniosła twarz, a Tatton ją objął. Lubiła go, ale jednak czegoś jej brakowało. Chyba głębi uczuć. Gdy trzymał ją w ramionach, odczuwała tylko zwykłą przyjemność, jaką odczuwa każda kobieta, gdy jest całowana i znajduje się w ramionach mężczyzny.

Ciągle jeszcze idealizujesz wspomnienie o Scotcie, upomniała samą siebie. Przez te wszystkie lata wmówiłaś sobie, że gdy cię całował, słyszałaś anielskie pienia. Nic nie wiesz o miłości między dorosłymi.

– Briar, jesteś taka urocza – powiedział ochryple Tatton.

No i popatrz – Briar kontynuowała swoje rozważania. – Dla Tattona to jest podniecające. – Przełknęła nerwowo ślinę, bo do jej umysłu wśliznął się obraz szyderczej twarzy Kirka. – Może już nigdy nie potrafię oddać się mężczyźnie. Kirk chyba zabił we mnie tę zdolność.

Poczuła się tak, jakby lodowata pięść zacisnęła się jej na żołądku. Gdyby mogła w tej chwili sobie na to pozwolić, po prostu by się rozplakała.

– Dobrze by było, gdybym mogła cię pokochać – szepnęła.

– I pokochasz, Briar, pokochasz – obiecał Tatton.

Wjeżdżając do obozu, odepchnęła od siebie wszelkie myśli o wspólnej przyszłości z Tattonem.

– To zbyt dobre, żeby było prawdziwe – powiedział Tatton patrząc na zielone namioty, ustawione porządnie w cieniu ogromnego figowca. Wśród owoców wielkiego drzewa uwijały się motyle.

Rzeczywiście, wygląda trochę teatralnie przyznała Briar. Ale czy jest jakieś inne miejsce na świecie, gdzie można by znaleźć tak idealną scenografię?

W obozie panował spokój. Na tę noc zgłosiła się tylko pewna rodzina / Genewy, więc ona i Tatton będą mogli zająć osobne namioty zamiast nocować w namiocie dla personelu, podzielonego jedynie zasłonami na osobne pomieszczenia.

Zawołała kierownika obozu, by pomógł rozładować samochód, a potem zakłęła pod nosem, gdy uświadomiła sobie, że zostawiła strzelbę w domu farmerskim. Już obliczała, ile czasu zajmie jej dojazd i powrót, ale zrezygnowała, bo zobaczyła przewodnika ze strzelbą przewieszoną przez ramię. Prowadził szwajcarskich klientów z powrotem do obozu.

Kazała wiać gorącą wodę do kociołka nad prysznicem dla Tattona i poszła przywitać się z klientami. Byli w doskonałych humorach, bo widzieli krokodyla i hipopotamicę z małym.

Gdy klienci zasiedli do herbaty, przewodnik poprosił Briar na stronę.

– Ma pani tutaj swoją broń? – spytał.

– Nie. Zostawiłam ją w Karne Dwa. Ale dlaczego pytasz? Przecież ty masz strzelbę.

Tak, tyle że dziadek próbował wspiąć się na gałąź zwisającą nad stawem, żeby mieć lepsze ujęcie małego hipopotama. Matka ukryła go w trawie na brzegu. Briar mruknęła z dezaprobatą.

– Chwyciłem go za rękę, bo chciałem go ściągnąć z gałęzi, a wtedy upuściłem broń.

– I?

– Wydaje mi się, że rygiel się zaciął. Jest nie do użytku. Briar bardzo nieelegancko zakłęła.

– Strzelby myśliwskie są przystosowane do niezbyt delikatnego obchodzenia się z nimi – powiedziała. – Właściwie nie rozumiem, dlaczego twój sztucer się zablokował. Ale pan Pat na pewno zdoła go naprawić.

Przewodnik skinął głową, ale nadal był zatroskany.

– Że też właśnie dziś musiałam zostawić broń w domu – złościła się Briar na siebie.

– Tu jest spokojnie – odezwał się przewodnik po chwili. – Chyba nie będzie żadnych kłopotów.

– Nie kuś losu! – Briar na wszelki wypadek skrzyżowała palce przeciw złemu fatum.

– Niech się pani nie martwi. To ostatnia noc tych klientów w obozie. Na pewno nic się nie stanie.

Mam nadzieję, że nie rozdrażnili samicy hipopotama? – spytała jeszcze Briar, gdy już wracali do stołu.

Zawsze bała się hipopotamów. Jej ojciec czuł prawdziwy respekt wobec tych pozornie łagodnych zwierząt. Uważał, że są najniebezpieczniejszymi zabójcami w całej Afryce. Przywoływał dziesiątki opowieści o małych chłopcach pasących bydło, którzy w poszukiwaniu zaginionej sztuki wchodzili w trzciny i tracili życie przegryzieni na pół płaskimi, ostrymi kłami rozjuszonego hipopotama. Hipopotamy zawsze wpadały we wściekłość, gdy odcinano im drogę do rzeki.

Pamiętała, że gdy była małą dziewczynką, podsłuchiwała opowiadanie o jednym z sąsiadów, którego łódź została zaatakowana przez samicę hipopotama idącą pod wodą ze swoim małym. Kiedy ludzie krzycząc wpadli do rzeki, hipopotamica zabiła ich wszystkich.

– Ten hipopotam był podniecony – powiedział przewodnik. – Ale nic wydaje mi się, by chciał odchodzić ze swojego terenu. Młode jest jeszcze bardzo małe.

Podchodząc do klientów, Briar zmusiła się do uśmiechu. Właśnie kończyli placek owocowy i herbatę. Poradziła im, by po wzięciu prysznicą nasmarowali się płynem przeciw komarom, bo obóz leżał w pobliżu rzeki. Chociaż wyżej, w Karne Dwa, wieczorami było chłodno, tu, w dolinie panował upał. Chciała ustrzec klientów od zapadnięcia na malarię po powrocie do domu.

Afrykańskie słońce opadało ku horyzontowi jak wielka kula ognia. Wypełniało całe niebo, a wodzie w rzece nadawało barwę krwi.

Briar dołączyła do Tattona, który sprawdzał odczyty światłomierza. Niebo z połyskującego złotawo stawało się brązowe. Stała cicho obok niego wiedząc, że on też podziwia to piękno. Czarne kontury drzew rysowały się na karmazynowym tle nieba. Patrzyła na zachodzące słońce, dopóki jej nie rozboleły oczy. Pragnęła, by te kolory na zawsze wryły się w jej pamięć. Niedługo słońce skryje się za horyzontem. Stanie się to w mgnieniu oka, tak szybko, jak drgnięcie migawki zamykającej się w aparacie. Z oddali dobiegły głośnie ryki obwieszczające, że hipopotamy wyszły na brzeg, by w nocy paść się na trawie.

Mocny zapach dymu snującego się wśród gałęzi figowca wyrwał Briar z zamyślenia. Poszła do kuchni, oddzielonej od obozu wielką płachtą brezentu.

Na kolację kucharz zaplanował rybę kapenta, a potem gulasz z ogona krokodyla z pomidorami i cebulą, pokropiony sokiem z czosnku. Na węglu piekły się już dynie i słodkie kartofle. Do tego poda chleb upieczony w starej blaszanej puszcze. Na deser będzie maślany pudding z kremem.

Briar miała wątpliwości co do ogona krokodyla. Dopiero parę godzin temu jej klienci przyglądali się temu odrażającemu zwierzęciu. Kucharz też nienawidził krokodyli, ale uwielbiał mięso z ich ogonów, które smakowało jak coś pośredniego

między homarem a kurczakiem.

Gdy Briar wieczorem wyszła ze swojego namiotu, Tatton siedział przy ognisku ze szwajcarską rodziną, opowiadając jej straszne historyjki o lwach i lampartach.

– Przestań, Tatton! – poprosiła go Briar. – Nikt nie zaśnie, jeżeli nadal będziesz wymyślał takie okropności.

– Och, nie – odezwał się dziadek, dziarski, siedemdziesięcioletni staruszek. – On mówi prawdę. Ja też słyszałem, że lwy wchodzą do obozów i wyciągają ludzi z łóżek.

Briar popatrzyła ze złością na Tattona. Noc już zapadła. Poza kręgiem ogniska panowała nieprzenikniona ciemność. Briar wiedziała, jak nerwowie potrafią się stać klienci w nocy, gdy dziwne odgłosy wydają się o wiele głośniejsze, a oni leżą w łóżkach i nasłuchują cichych stąpań.

Jej praca polegała między innymi na tym, by pomóc klientom cieszyć się nocą spędzaną niemal pod gołym niebem, tylko w namiocie. W żadnym wypadku nie mogła dopuścić, żeby ci ludzie wrócili do Szwajcarii spanikowani i ostrzegali swoich znajomych przed niebezpieczeństwami kryjącymi się w zimbabwejskim buszu.

– Lwy nie napadają na ludzi – powiedziała. Wolą omijać miejsca, w których mogą napotkać człowieka. Jedyne zarejestrowane przypadki ataków lwów na człowieka podejmowały słabe i chore zwierzęta, które nie mogły już normalnie polować.

– Albo lwy, które już zakosztowały ludzkiego mięsa, tak jak te w Kenii, podczas budowy linii kolejowej. Pamiętacie to? – dodał radośnie Tatton. Uwielbiał drażnić się z ludźmi.

– Ludojady z Tsavo stanowiły wyjątek, a nie regułę – oświadczyła Briar stanowczo.

– Co to takiego Tsavo? – spytał dziadek. Zawsze chętnie słuchał opowiadań o życiu w buszu.

– Tsavo był to obóz budowniczych kolei w Ugandzie – wyjaśnił Tatton. – Obawiano się tego miejsca jeszcze w czasach handlu niewolnikami. I chyba rzeczywiście właśnie ci handlarze pozostawiali zmarłych niewolników w buszu, dzięki czemu lwy zakosztowały ludzkiego mięsa.

Szwajcarzy zadrżeli i przybliżyli swoje fotele do ognia.

– Jeżeli się nie mylę, lord Salisbury, brytyjski premier, wspomniał o lwach z Tsavo w Izbie Lordów. Mówił, że praca przy budowie kolei została wstrzymana na miesiąc, bo lwy–ludojady pożerały robotników – Tatton delectował się swoim opowiadaniem.

– Tu jesteście bezpieczni – oznajmiła Briar. Potem przypomniała sobie, że w obozie nie ma żadnej sprawnej broni, i z nadzieją pomyślała, że być może jej słowa nie wyzwą losu. – Wypadki w Tsavo wydarzyły się na początku

dziewiętnastego wieku, a nasz obóz znajduje się daleko od Kenii.

– A co zrobimy, jeżeli lwy tu przyjdą? – spytała matka. – Wołałabym w nocy nie wychodzić z namiotu do toalety.

Briar poklepała kobietę po ręce, którą ta kurczowo obejmowała podłokietnik fotela.

– Pod każdym łóżkiem stoi nocnik z pokrywką. Korzystajcie z nich. Jutro służba je opróżni.

Matka tylko się skrzywiła.

– A teraz – zaproponowała Briar – może przed pójściem spać napilibyśmy się likieru manila?

– Manila? Co to jest? – spytał dziadek.

– Zabawny, stary spryciarz – mruknął Tatton, idąc z Briar po przygotowaną przez kucharza tacę z trunkami.

Owszem, ale może nas polecić innym klientom – odparła Briar więc przestań opowiadać te okropności.

– Jak sobie życzysz.

– Manila – tłumaczyła Briar, rozdzielając szklaneczki wypełnione gęstą cieczą – to drzewo uważane tu za magiczne. Wszystkie zwierzęta uwielbiają jego owoce. Są podobne do śliwek i mają soczysty, biały miąższ. Można z nich robić galaretkę i warzyć piwo. Podobno słonie się upijają owocami fermentującymi w ich brzuchach.

– To prawda. Widziałem, jak się potykają po uczcie z tych owoców – potwierdził Tatton. – Fotografowałem je też, gdy następnego dnia wściekle niszczyły roślinność, bo cierpiały na potężnego kaca.

Rozweseleni Szwajcarzy dopili swój likier, więc Briar ponownie napełniła im szklaneczki.

– To powinno ich uspić – zauważył Tatton, gdy patrzyli za klientami udającymi się do swoich namiotów.

– Mam nadzieję – westchnęła Briar.

– Dlaczego jesteś taka poważna?

– Nie mamy dziś w obozie żadnej broni. Moja została w domu Pata, a przewodnik uszkodził swoją.

Tatton podszedł bliżej i objął Briar.

– Gdy pojedziemy do Arktyki albo Nepalu, wszystko to przestanie być ważne. Briar, ze mną będziesz się świetnie bawiła. Bo przecież pojedziesz ze mną, prawda?

Briar położyła mu głowę na ramieniu. Spojrzała w górę, na księżyc torujący sobie drogę wśród grubych, czarnych gałęzi figowca. Czemu nie, pomyślała. Ofiarowuje mi beztrudne życie, a ja chyba potrzebuję zmiany. Muszę na jakiś czas wyjechać z Zimbabwe.

– Panno Hanley!

To wołanie, wypowiedziane drżącym głosem, uwolniło ją od konieczności udzielenia odpowiedzi. Szybko uściskała Tattona.

– Do zobaczenia! – szepnęła i pobiegła do jednego z namiotów.

Tatton z żalem patrzył, jak odchodzi. Jest warta tego, by na nią zaczekać, powiedział sobie.

Zaczął mu się wydawać, że Briar może być jedyną kobietą, dla której chciałby skończyć z koczowniczym życiem. Po raz pierwszy myśl o wzięciu na siebie odpowiedzialności nie przerażała go. Nie chciałby od razu zmieniać wszystkiego, ale gdy on i Briar dostatecznie już się napodróżują, mógłby zastanowić się nad możliwością osiedlenia się gdzieś na stałe.

Wiedział, że Briar lubi z nim przebywać i na pewno go nie odepchnie, gdy weźmie ją w ramiona. Przecież nie odsuwała się, gdy ją obejmował albo całował. Uznał to za dobry znak.

Wyrzucił pięść w powietrze. Tak! Pod koniec tygodnia powie mu, że z nim wyjeżdża.

Ruszył do siebie, szurając stopami po piasku i unosząc chmurki pyłu. Ale gdy już doszedł, zawrócił na pięcie i pomaszerował do namiotu Briar. W środku było ciemno. Wymacał drogę do jednego z łóżek, położył się i czekał.

Briar obcinała knoty świec i sprawdzała, czy wejścia do namiotów są dobrze zasnurowane. Zajęło jej to pół godziny, aż wreszcie znużona skierowała się do własnego namiotu.

Była zbyt zmęczona, by brać prysznic i przebierać się. Jednym kopnięciem pozbyła się butów, rzuciła ubranie na ziemię i opadła na łóżko. Odległe skowyty szakali polujących w świetle księżyca kołysały ją do snu. Westchnęła.

– Briar – szepnął cicho Tatton. Usiadł koło niej i poczuła, jak pod jego ciężarem łóżko przechyliła się na bok. Jego palce, wrażliwe jak palce osoby niewidomej, rysowały linię wzdłuż jej policzków, potem dotknęły uszu. Prześliznęły się po szyi i zeszły niżej.

Briar już unosiła rękę, by go powstrzymać, ale jego dotyk był taki czuły i delikatny, że zamknęła oczy i rozluźniła mięśnie. Nawet wtedy, gdy jego usta stały się natarczywe, nie potrafiła zdobyć się na protest.

Przez sznurowanie namiotu wpadały iskierki księżycowego światła. Znajomy zapach wygrzanego słońcem brezentu i pyłu dawał poczucie bezpieczeństwa. Tatton pochylił się nad nią i łóżko zaskrzypiało.

– Masz kondom? – szepnęła.

– Nie obawiaj się! Jesteś bezpieczna, kochanie.

Briar westchnęła i zarzuciła mu ręce na szyję, poddając się jego doświadczonym dłoniom.

Była tak oszołomiona wypitym likierem manila i pieszczotami Tattona, że głośny

dźwięk gongu niemal ją ogłuszył. Usiłowała usiąść i odzyskać jasność myśli.

– Lwy! – Przez rozdzierające uszy bicie w gong usłyszała alarmujący krzyk. Instynktownie sięgnęła po strzelbę, którą zawsze trzymała koło łóżka. Nagle zastygła. Jej obawy się spełniły. W obozie były lwy, a ona nie mogła obronić klientów. Chciała wołać, by nikt nie wychodził z namiotu, ale nie była w stanie przekrzyczeć hałasu.

– Dlaczego nikt nie przychodzi? – zawodził dziadek, waląc pokrywką w nocnik. Odlamki niebieskiej emalii fruwały po całym namiocie. – Muszą słyszeć ten rozgardiasz. Krzyknij jeszcze raz. Powiedz im, że idą po nas lwy ludojady.

Żona posłusznie znów zaczęła wrzeszczeć. Briar zakryła uszy rękami. Nie mogła nic zrobić. Pójście w ciemność obozu, gdzie tylko ostry, gnilny odór i wszechogarniający strach obwieszczały obecność lwów, byłoby szaleństwem. Jeżeli lew ma choć trochę rozumu, szybko stąd odejdzie, myślała. Taki hałas wystraszy każdego drapieznika w okolicy.

Jakby w odpowiedzi na swoje myśli usłyszała serię krótkich warknięć i chrząknięć, dochodzących zza namiotu. Walenie w nocnik i krzyki stawały się coraz głośniejsze.

– Jesteście bezpieczni! – krzyknęła. – Spijcie dalej! Lew odszedł. Ale jej głos nie przebił się przez harmider panujący w obozie.

– Szkoda, że nie jest dość głodny, by ich zabrać i położyć kres temu piekielnemu rozgardiaszowi – szepnął jej do ucha Tatton.

– Może staruszka rozboli wreszcie ręka i przestanie tak tłuc – powiedziała z nadzieją. Poszarpała wate na małe strzępki, a potem włożyła je sobie i Tattonowi do uszu. Ale nadal słyszała, jak dziadek niezmordowanie uderza w nocnik.

Przykryła głowę poduszką i czekała, aż nadejdzie świt, a z nim cisza.

Pieśń bębnow 11

Krótko po wschodzie słońca kucharz uderzył w metalowy pręt, zwisający z drzewa w pobliżu kuchni.

– Śniadanie! – zawołał.

Szwajcarzy zaczęli ostrożnie wyglądać z namiotów. Zanim zdecydowali się wyjść, starannie rozglądali się na lewo i prawo.

Briar czekała, by ich powitać. Wcześniej opuściła swój namiot, bo nie chciała, by personel zorientował się, że Tatton spał u niej.

– To była podniecająca noc – powiedziała radośnie. – Macie szczęście, że mogliście być w obozie, który odwiedziły lwy. Mnie się to jeszcze nigdy dotąd nie zdarzyło.

– A walenie w nocnik było genialnym pomysłem – dodał Tatton. Brak snu wycisnął pod oczami sińce zarówno jemu, jak i klientom.

– Jakim cudem wyglądasz tak świeżo? spytał szeptem Briar.

– Wata w uszach, poduszka na głowie i zimny prysznic – odszepnęła.

Po trzeciej filiżance kawy Szwajcarzy uznali się za bohaterów minionej nocy. Z podnieceniem kłócili się o to, kto pierwszy wpadł na pomysł, by użyć nocnika i jego pokrywki do odstraszenia lwów.

Gdy już zjedli śniadanie, przyszedł przewodnik. Miał dość rozsądku, by powstrzymać się od komentarza na temat ostatnich wydarzeń. To była jasna, rozświetlona księżycem noc, a lwy polują i są niebezpieczne w nocie ciemnej i pochmurnej. Usłyszał lwa, zanim jeszcze dotarł do namiotu dla personelu i, sądząc po jego warknięciach, doszedł do wniosku, że po prostu skraca sobie drogę przez obóz. Gdyby polował, nikt by go nie usłyszał, chyba że lew zdecydowałby się zaryczeć pełnym głosem. Taki przerażający dźwięk powoduje, że nawet doświadczonemu myśliwemu przebiega po plecach dreszcz.

Gdy Briar i przewodnik pokazali Szwajcarom ślady lwa, podniecenie sięgnęło szczytu. Prześlędzono jego drogę przez obóz. Klienci nie przejęli się zbytnio tym, że lew szedł w pobliżu kwatery Briar, a nie ich własnych namiotów.

– Och, Tatton, musisz mi wybaczyć – powiedziała Briar, gdy wsiadali do landrovera, by ruszyć w powrotną drogę do Karne Dwa. – Obiecałam ci odpoczynek po wspinaczkach i marszach w Chizarira, ale niestety wyglądasz, jakbyś całą noc spędził w dyskotecie.

– Bo to prawda. Poziom hałasu był taki sam – zażartował. Potem podjął miękko i poważnie: – Briar, ta noc była wyjątkowa. Kocham cię! Czy ty też mnie kochasz?

Briar skoncentrowała uwagę na wyboistym trakcie. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Coś ją powstrzymywało przed zgodą na sposób życia i miłość, które jej chciał dać Tatton. Polubiła go, a zeszłej nocy myślała nawet, że go kocha. Ale wiedziała, że jeszcze nie jest gotowa do opuszczenia Zimbabwe.

– Guido! wołała Maria Andretti. Głośno stukając pantoflami na wysokich obcasach, biegła po wyłożonej marmurem podłodze holu w ich mediolańskim domu. – Guido! – Gwałtownie otworzyła drzwi gabinetu. Szybko, podnieś słuchawkę! To Tara!

Guido odłożył plik papierów i machnął na sekretarkę, by wyszła z pokoju. Obecnie dwa dni w tygodniu pracował w domu. Po powrocie z Zimbabwe postanowił dać Markowi więcej samodzielności w głównym biurze rodzinnej Firmy.

Nie był pewny, czy ta decyzja jest naprawdę słuszna. W domu nie zaznawał ani chwili spokoju. Bez przerwy przeszkadzał mu ktoś ze służby, albo nowy kryzys w życiu żony.

Jego gabinet traktowano jak miejsce wydawania Salomonowych wyroków, przychodzono do niego z każdym, najmniejszym nawet drobiazgiem, oczekując jego opinii. Teraz dla odmiany spokój zakłócała mu zachcianka Tary. Wiedział, że przekonanie jej do powrotu nie będzie łatwe. Miała jego geny i bezkompromisowo walczyła o to, czego pragnęła.

– Taro, kochanie – powiedział łagodnie.

– Dzień dobry, panie Andretti – odpowiedział mu niski, męski głos. – Niestety, ominęła mnie przyjemność zawarcia znajomości z panem podczas pańskiego pobytu w Zimbabwe. Jestem Pat Gifford, przyjaciel Hanleyów. Briar i Tara razem pielęgnowały Rudo w Karne Dwa i pomogły mi zorganizować safari fotograficzne.

Tara przysunęła się do Pata najbliżej, jak tylko mogła i skrzyżowała palce na szczęście próbując usłyszeć, co mówi jej ojciec.

– Witam, panie Gifford – odpowiedział zimnym tonem Guido. – Czy mogę mówić z córką?

Tara rozpaczliwie kręciła głową dając znać, że woli uniknąć tej rozmowy i patrzyła błagalnie na Pata.

– Musisz porozmawiać z ojcem – szepnął nalegająco, zasłaniając mikrofon słuchawki ręką.

– Każe mi wracać do domu. Pat, proszę, obiecałeś, że mu wszystko wyjaśnisz! Pat westchnął i odsłonił mikrofon. Tara uśmiechnęła się.

– Oczywiście, panie Andretti. Zaraz tu przyjdzie. Ale może, czekając na nią, mógłbym poprosić pana o chwilę uwagi?

Pat szybko kontynuował czując, że Guido zamierza przerwać połączenie.

– Panie Andretti, Tara jest wspianą młodą kobietą. Może pan być z niej dumny. Miałem trzech synów, z których też byłem niezmiernie dumny. Dwaj zginęli podczas wojny domowej. Został mi tylko jeden, najmłodszy. Ma na imię Erin i prowadzi polowania w rejonie zwanym Nowe Ganyani. Jest doskonałym kierownikiem safari, świetnym strzelcem, bardzo zdolnym młodym człowiekiem, a przede wszystkim jest prawdziwym dżentelmenem. Potrzebuje kogoś takiego jak Tara, kto pomógłby mu zarządzać obozem. A pana córka tylko marzy o tym, by przyjąć tę pracę.

Guido nadal milczał.

– Latam do Nowego Ganyani przynajmniej dwa razy na tydzień. Zresztą Erin ma własną cessenę, więc gdyby zaszła taka potrzeba, Tara mogłaby znaleźć się u mnie w domu w przeciągu godziny. Ale zapewniam pana, że z Erinem będzie tak samo bezpieczna, jak ze mną.

Tara uniosła kciuk w geście zwycięstwa.

Chyba właśnie to miałem powiedzieć jej ojcu, pomyślał Pat.

– Słucham pana, ale nie jestem przekonany, panie Gifford – odezwał się wreszcie Guido. – Tara jest mi bardzo droga. Umawialiśmy się, że wróci do domu, gdy tylko Rudo wyzdrowieje.

Tego człowieka nie da się namówić, zmartwił się Pat. Nie chciałbym prowadzić z nim interesów.

– Doskonale rozumiem pana uczucia – powiedział spokojnie. – Ja też mam ukochane dziecko. Proszę, panie Andretti, niech mi pan uwierzy, że nie prosiłbym pana o zgodę na nic, co mogłoby skrzywdzić Tarę. Ale ona pokochała nasz kraj i cieszy się każdą chwilą tu spędzoną. I wydaje mi się, że lepiej, by była tutaj niż w pełnym pokus mieście.

Guido obserwował Marię krążącą po gabinecie. Za każdym nawrotem zatrzymywała się i wygładzała jedwabny, chiński dywan leżący przed biurkiem. W końcu i jego oczy spoczęły na ptaszkach i zwierzętach stanowiących misterny wzór dywanu.

W jednej chwili nawiedziło go wspomnienie zapachów i dźwięków buszu. Tęsknił za nimi i obawiał się, że Tara zbyt długo pozostała w Zimbabwe i Afryka, jak zazdrosny kochanek, już jej nie uwolni. Oczywiście, na mocy ojcowskiej władzy może ją zmusić do natychmiastowego powrotu i wtedy fizycznie będzie tu razem z nim, ale jej serce zawsze już będzie biło w rytmie afrykańskich bębnow.

Był świadomy tego, że Pat czeka na jego odpowiedź. Tak, zadumał się. Może Pat Gifford ma rację. Nie można decydować o przyszłości Tary. Maria niecierpliwie stuknęła stopą w podłogę. Pozwólę jej zostać, postanowił Guido. Nie chcę, żeby stała się jeszcze jedną uroczą, mediolańską damą. Tara jest wyjątkowa. Niech jeszcze przez jakiś czas cieszy się buszem.

– Panie Gifford, czy może mnie pan zapewnić, że będzie pan dbał o Tarę tak, jakby była pana własną córką? Gdyby miał pan jakiegokolwiek obawy o jej bezpieczeństwo czy samopoczucie, proszę ją odesłać do Mediolanu pierwszym samolotem.

Guido zdał sobie sprawę, jakie okropne słowa wychodzą z jego ust, i głos mu się załamał. Teraz będzie musiał stawić czoło Marii i rodzinie. Niemal słyszał ich wyrzuty. Już w tej chwili oczy Marii ciskały błyskawice. Z całej siły wbijała paznokcie w dłoń.

– Ma pan moje słowo! – powiedział Pat. – Zresztą już teraz Tara właściwie należy do rodziny.

– Pat, kocham cię! – szepnęła Tara biorąc słuchawkę.

Pokój zalał potok włoskiej mowy. Pat wyszedł na werandę. Wziął lornetkę i zaczął obserwować brudną drogę wiodącą z obozu Figowego Drzewa.

Tęsknił za Briar i zarazem obawiał się jej powrotu. Bał się, że wróci zakochana w Tattonie...

Na drodze zawirowały tumany kurzu, delikatne jak smużki dymu z dogasającego ogniska. Pat poczuł się dziwnie podekscytowany. To był jego landrover. Briar i Tatton wracali. Przyłożył lornetkę do oczu.

Zobaczył w przybliżeniu rękę Tattona, spoczywającą na gołej nodze Briar. Wiedział, że powinien odłożyć lornetkę, ale nie zdołał się poruszyć. Badał twarz Briar. Ona i Tatton śmiali się, ale oczy mieli schowane za ciemnymi okularami.

Dusza Briar ukryła się przed nim.

Rzucił lornetkę na stół, więc nic zobaczył, jak Tatton zabiera rękę. Gdy samochód zatrzymywał się przed domem, na werandę wybiegła Tara, stanęła na palcach i pocałowała Pata.

– Dziękuję, Pat. Sprawileś, że jestem szczęśliwa. Nigdy ci tego nie zapomnę. Briar miała właśnie zdjąć okulary, ale słysząc słowa Tary i widząc te objawy uczucia, zmieniła zamiar. Musi ukryć szok, jaki na pewno odbił się w jej oczach. Poza tym potrzebuje trochę czasu, by otrząsnąć się z tego mdlącego uczucia, które ją ogarnęło.

– Pat wreszcie dodzwonił się do moich rodziców. Briar, on jest cudowny! Przekonał tatę. Nigdy jeszcze nie byłam taka szczęśliwa!

Briar tylko skinęła głową. Przez chwilę udawała, że nie może wyciągnąć kluczyka ze stacyjki, a potem słabo się uśmiechnęła. Pat bacznie się jej przyglądał.

Boi się, jak ja przyjmę wiadomość o tym, że zakochała się w Tattonie i wyjeżdża z nim, pomyślał.

Tatton wysiadł z samochodu i przeciągnął się.

– Obóz przy Drzewie Figowym jest piękny – powiedział. – Cudownie spędziliśmy czas. Zasnęliśmy dopiero o trzeciej, a może to była nawet czwarta, co, Briar?

Pat opanował gwałtowną chęć uderzenia Tattona. Odszedł z werandy mówiąc, że poprosi Rudo o podanie podwieczorku.

Gdy wrócił, zastał na werandzie grupę klientów, którzy spędzili dwa dni na jego łodzi mieszkalnej w Kariba. Siedzieli przy stole z Briar, Tarą i Tattonem. Opowiadali z zachwytem o zdjęciach słoni płynących do wyspy, z trąbami wystającymi nad wodę jak czarne peryskopy. To była udana wycieczka i na wyścigi przekazywali swoje wrażenia. Na werandzie zapanował gwar, co chwilę rozlegały się śmiechy. Pat zdołał odwrócić uwagę od Briar i Tattona, by słuchać klientów.

– Panie Pat – powiedziała spokojnie Rudo. – Za mało pan sypia, a za dużo pracuje. – Postawiła na stole jeszcze jeden talerz z ciastem i świeży dzbanek herbaty.

Pat uśmiechnął się do niej i poklepał ją po ręce. Wracając do kuchni Rudo tylko kiwała głową z dezaprobatą.

Dlaczego mężczyźni na zawsze pozostają dziećmi? – zastanawiała się. – Nie potrafią postępować rozsądnie, a co gorsza, nie chcą słuchać rad kobiet.

Słowa Rudo dźwięczały Patowi w uszach, gdy udawał zainteresowanie rozmową i od czasu do czasu przyłączał się do śmiechu. Wreszcie klienci odjechali, ciągle jeszcze przechwalając się doskonałymi zdjęciami, jakie udało im się zrobić.

Popatrzył przez stół na siedzących obok siebie Briar i Tattona.

– Briar – odezwał się. – Tara i ja lecimy jutro do Nowego Ganyani.

Wyjeżdżamy o świcie. Zajmiesz się nową grupą turystów? Powinni tu być w południe. Lecą znad Wodospadu.

. Briar zdziwiła się, bo Pat zwykle sam latał swoją cessną po klientów.

– Jeden z nich jest właścicielem przedsiębiorstwa lotniczego, które organizuje „Lot Aniołów” nad Wodospadem – wyjaśnił. – Przywiezie tu całą grupę. Zostaną zaledwie dwa dni. To wpływowi biznesmeni. Zamierzają w ciągu tygodnia zwiedzić wszystko, co tylko warto zobaczyć w naszym kraju.

– Oczywiście – odparła Briar. – Nie przejmuj się, wszystko załatwię. – Potem, jakby diabeł przejął władzę nad jej językiem, dodała: – Tatton prosił mnie, bym wyjechała z nim pod koniec tygodnia. Ma zlecenie na fotografowanie w Arktyce. Bardzo chciałabym zobaczyć tę część świata. Tara doskonale poradzi sobie z prowadzeniem domu tutaj, w Karne Dwa. Właściwie wie już tyle, co ja, na temat naszych zajęć.

– Ależ... – zawołała Tara. Z rozpaczą pomyślała, że nie spotka się z Erinem w Nowym Ganyani. Pat ścisnął jej rękę.

– To wspaniale, Briar – powiedział. – Jestem pewny, że będziesz bardzo szczęśliwa.

Te słowa zadały jej ostry ból, bo świadczyły, że Pat nie ma wobec niej żadnych głębszych uczuć. Najwyraźniej cieszył się, że wyjeżdża z Tattonem.

– Dziękuję, Briar – szepnął miękko Tatton i pocałował ją. Najchętniej by stąd uciekła. Chciała znów być przy oczku wodnym, gdzie tyle razy jeździła ze Scottem. W tej chwili nie mogła znieść obecności ani Pata, ani Tattona. Jak mogłam coś takiego powiedzieć? – wyrzucała sobie rozpaczliwie.

Pat poczuł się tak, jakby jego świat się zapadł. Życie bez tej kobiety, która teraz siedzi naprzeciwko niego, straci sens. Karne Dwa będzie jak róża bez zapachu. Piękne, ale jego najistotniejsza część odejdzie.

Zmusił się do szerokiego uśmiechu.

– Chciałbym, żebyście spędzili ze mną weekend na „Gola”, zanim wyjedziecie. Wszystkim nam należy się trochę odpoczynku. Rudo właśnie mi powiedziała, że za dużo pracuję. Może ma rację roześmiał się.

– Co to jest „Gola” i gdzie się znajduje? – spytał Tatton z ciekawością.

– „Gola” to łódź mieszkalna Pata – wyjaśniła mu Tara. – Ma też dwie inne, dla klientów. – Pat już kiedyś zabrał ją i Briar na grupkę wysepek w pobliżu Binga na jeziorze Kariba, gdzie trzymał łódź.

W porównaniu z łodziami należącymi do agencji turystycznych, „Gola” była staroświecka i nie oferowała komfortu, ale Pat zapraszał tam tylko rodzinę i przyjaciół. Zacumował ją przy lesie Sjarira, a wysepki gwarantowały mu spokój i prywatność.

– Gola to zapewne nazwa jakiegoś zwierzęcia w sindebele? – zauważył Tatton.

– Tak. To nazwa dzikiego, szarego kota, zbika – odparł Pat. – Koty nie lubią wody, a gdy na Kariba burzą się fale, „Gola” też tego nie lubi.

Rozmowa o łodzi spowodowała, że Briar poczuła się jeszcze bardziej nieszczęśliwa. Będzie tęskniła za absolutnie wszystkim w tym twardym, lecz pięknym kraju. Jakby do wtóru jej cierpieniu gdzieś w oddali bębny podjęły swój monotony łomot. Przebiegł ją dreszcz.

– A to co znowu? – mruknął Pat. Bębny przypominały mu o rzezi w Ganyani. Wiedział, że już do końca życia ich pulsujący rytm będzie mu się kojarzył ze śmiercią.

– Umarł naczelnik jednej z wiosek poławiaczy kapenta – poinformowała go Rudo. Weszła właśnie na werandę z drewnianym wózkiem, na którym zaczęła układać brudne naczynia.

– Dziękuję, Rudo. – Pat w duchu westchnął z ulgą.

Skinęła głową. Rozumiała, że tajemne wieści, ukryte w pieśni bębnow, niepokoiły ludzi niepotrafiących ich odczytać. Już nigdy wobec pana Pata nie zachowa w sekrecie informacji przekazywanych przez bębny. Przecież zawdzięcza mu życie.

– Rudo – zwrócił się do niej Pat. – Tara i ja lecimy jutro do Nowego Ganyani. Chciałabyś zabrać się z nami i zrobić Jacobowi niespodziankę?

– Tak. Mogę wziąć Bunę?

– Oczywiście. A jeżeli Erin zgodzi się ich zwolnić, Jacob i Shoko spędzą z nami weekend. Chociaż wątpię, by Erin chciał się bez niego obejść przez kilka dni, bo Jacob jest niesamowity. Potrafi przerazić klientów podprowadzając ich tak blisko do słońca, że można mu policzyć włosy w ogniu.

Briar spojrzała na Pata.

– Masz dość miejsca w samolocie? – spytała.

– Och, tak – zawołała Tara radośnie. – Ja zostanę w Nowym Ganyani. – Roześmiała się widząc zdumienie Briar. – Właśnie dlatego Pat telefonował do mojego taty. Byłam pewna, że ojciec nie pozwoli mi tu zostać, ale Pat okazał się cudowny. Sprawił, że tato się zgodził.

Briar zerwała się na równe nogi i uściskała Tarę.

– Czy powiedziałaś ojcu, jaki przystojny jest Erin? – szepnęła.

– Nie – Tara się zaczerwieniła, ale zaraz postanowiła się zemścić. Oddając Briar uścisk spytała: – A czy Tatton jest tak seksowny, jak się wydaje, gdy się na niego patrzy?

Słyszając imię Tattona, Briar poczuła się chora. Jak ostatnia idiotka źle zrozumiała stosunki między Patem a Tarą. Ale teraz sprawy z Tattonem zaszły już za daleko. Obiecała mu, że wyjedzie z Zimbabwe razem z nim.

– Rudo – wykrzyknął Pat. Rudo przybiegła na werandę. – Za trzy dni jedziemy na „Gola”.

– Dobrze, panie Pat. To bardzo dobry pomysł!

Wracając do kuchni uśmiechała się radośnie. Wytarła ręce w fartuch. Nareszcie pan Pat zachowuje się jak mężczyzna, a nie jak dziecko. Teraz musi sprawić, by Briar z nim została. Ten Tatton nie jest dla niej. Postępuje jak shongololo. Niczym stonoga chodzi wolno, ale z wielką determinacją. Zawsze będzie w ruchu i zameczy Briar. A ona nie jest stworzona do błakania się jak duch, który zgubił drogę. Jej dom jest tutaj. Będę się modliła do Boga zakonnica od Matki Bożej, postanowiła Rudo. To potężny Bóg. Zatrzyma Briar z nami.

Ku zdziwieniu ludzi pracujących w kuchni Rudo uklękła na cementowej podłodze, zarzuciła fartuch na głowę, by upodobnił się do welonu, i zaczęła się modlić do Białego Boga.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Tara polubiła prymitywne, plecione z trawy chaty ze zwykłym klepiskiem stanowiącym podłogę, postawione w Nowym Ganyani. Wpasowała się w powolny rytm obozowego życia z taką samą łatwością, z jaką tropiciele biegną śladem. Przez kilka pierwszych tygodni nie wysuwała własnych propozycji, chociaż jej bystre oczy koloru bursztynu zauważały wiele rzeczy, które należałoby zmienić.

Erin codziennie zabierał klientów z obozu przed świtem, a wracał dopiero o zmierzchu. Podczas jego nieobecności Tara z radością zawierała przyjaźnie z pracownikami i poznawała ich role, niezbędne dla sprawnego działania całego przedsiębiorstwa.

Poprzedniego wieczoru, ostatniego dnia przeznaczonego na polowanie, Erin i myśliwi wrócili późno. Mężczyźni byli podekscytowani, bo wytropili i zastrzelili kudu z rogami, które można było potraktować jak prawdziwe trofeum. Teraz zwierzę leżało z tyłu landrovera. Jego masywne, cudownie spiralne rogi spoczywały byle jak odrzucone na plecy. Tara pomyślała, że oczy martwej antylopy, czarne i ocienione długimi, takimi samymi jak jej własne, rzęsami patrzy na nią błagalnie.

Łagodnie pogłaskała palcami dwie plamki na policzkach kudu, wyglądające, jakby zostały spiesznie muśnięte puszką do pudru. W świetle latarki jaśniały bielą. Przesunęła palec wzdłuż szerokiego, białego szewronu między oczami zwierzęcia. Biała sierść, obramowująca wielkie oczy, połaskotała jej rękę.

– Biedaku! – szepnęła. – Powinieneś teraz strzec swoich łań i cieląt, zamiast leżeć tutaj z obrzmiałym językiem wystającym z pyska i głową w kałuży krwi.

Jednak gdy odwróciła się do mężczyzn, na jej twarzy nie było widać smutku, a głos miała rażny.

– Wspaniałe rogi – powiedziała. – Gratuluję. Zmierzyliście je?

– Tak. Zrobiliśmy to na razie pobieżnie, po zewnętrznej krzywiźnie i wyszło nam około sześćdziesięciu ośmiu cali – rzekł Erin. Był zadowolony, bo zapewnił klientom wspaniały łup.

– Powiedziałabym, że raczej siedemdziesiąt – zaśmiała się Tara.

– Gdyby to była prawda, brakowałoby nam tylko pół cala do rekordu południowej Afryki – wyjaśnił jej Erin. – Ale niestety tak nie jest i musimy się zadowolić tym, co mamy.

– No, to wypijmy za to – zaproponował jeden z myśliwych.

– Przed waszymi chatami stoją miski z ciepłą wodą – poinformowała ich Tara.

– Gdy zmyjecie kurz z rąk i twarzy, prażona kukurydza będzie wam lepiej smakowała.

– Prażona kukurydza! – zachwycił się Teksańczyk, który zastrzelił kudu.

– Dziewczyno, co za zakończenie tego wspaniałego dnia! Po tych wszystkich

sucharkach i robakach, jakie jadam od tyłu dni... No, w końcu to nie szkodzi, whisky je splukuje. Ale prażona kukurydza...

Erin był zdumiony. Gdzie ona znalazła prażoną kukurydżę? Gumę do żucia i coca-colę można było tu dostać, ale popcorn?

Tarze udało się uwolnić od towarzystwa dopiero o północy. Leżała w łóżku z kołdrą naciągniętą na uszy, mimo to słyszała śmiechy i rozmowy dobiegające od ogniska. Wiedziała, że jakkolwiek by się starała, nigdy nie potrafi przyjąć obojętnie śmierci zwierzęcia, ale zaczynała rozumieć, dlaczego niektórych ludzi polowanie tak fascynuje.

Gdy następnego dnia obudziła się, słońce stało już wysoko, a w obozie panowała dziwna cisza. Mężczyźni odjechali. Przy jej miejscu w chacie jadalnej leżała koperta. Właśnie miała ją otworzyć, gdy Katoro przyniósł talerz sadza i zsiadłe mleko. Takie tradycyjne śniadanie bardzo Tarze smakowało.

– Pan Erin zabronił nam panią budzić. Zabrał myśliwych do Harare – oznajmił. – Ta kukurydza, którą uprażyliśmy wieczorem, była bardzo dobra. Wszyscy dostaliśmy hojne napiwki w dolarach.

Tara uśmiechnęła się i otworzyła kopertę.

Droga Taro, nie mogliśmy ci kupić kwiatów ani czekolady, chociaż każda dziewczyna, która znajduje w buszu popcorn zasługuje na jedno i na drugie.

Prosimy, przyjmij to, co ci zostawiamy, i kup sobie czekoladę, gdy będziesz w Harare.

Dziękujemy ci, że uczyniłaś nasz pobyt czymś wyjątkowym. Wrócimy tu!

Z serdecznym pozdrowieniem Teksańczycy

Tara zobaczyła banknoty i potrząsnęła głową. Nie może tego przyjąć. Odda pieniądze Erinowi. Ale po chwili lekki uśmiech rozjaśnił jej twarz. Może jednak przyjmie. Tak. Oczywiście, że tak!

– Katoro! – zawołała. – Gdzie są ludzie budujący chaty? Potrzebuję ich. Wkrótce mężczyźni z zapalem zabrali się do pracy, którą im zleciła. Uginali się pod palami z drzewa mopane i belami trawy, którą moczyli w wodzie, by stała się elastyczna. Tara przysiadła na piasku i gałęzią wyciągała namokniętą trawę, a potem wraz z mężczyznami ją udeptywała.

– Powiedz im, że musimy skończyć przed powrotem pana Erina – poleciła Katoro.

Nie wiedziała, co im powiedział, ale robotnicy wypełniali wszystkie jej rozkazy. Szybko ustawili pale, a potem wdrapali się na górę i pletli strzechę. Za rok stara trawa, rojąca się od owadów i pajaków, zostanie wymieniona na świeżą.

Tara kazała ustawić chatę pod dziwacznym wykręconym baobabem. Erin mówił jej, że to jedyny baobab w tym rejonie. Wiedziała, że tubylcy uważają go za drzewo płodności, a znachorzy stosują jako lek. To było doskonałe miejsce na „klinikę w buszu”. Nie mogła się już doczekać powrotu Erina.

Za pieniądze od Teksańczyka kupi pierwszą partię środków medycznych. Robotnicy wybudowali także krytą strzechą wiatę, ustawioną za chatą. Teraz wiazali pale, konstruując prymitywne ławki. Tara zamierzała prowadzić kursy dla personelu, a zwłaszcza dla kobiet, dotyczące higieny, planowania rodziny i pielęgnacji dzieci. Katoro będzie tłumaczem. Wprawdzie mogła już wydawać podstawowe polecenia w sindebele, nie znała jednak języka na tyle, by poradzić sobie z wykładami.

Na dźwięk silników cenny mężczyźni pobiegli do wioski. Katoro powiedział im, że nie powinni kręcić się po obozie, gdy wróci pan Erin. Panna Tara chce sama powitać go przy nowej chacie.

– Boi się, że pan Erin się rozgniewa. Budowanie obozu nie jest zajęciem dla kobiet – domyślił się jeden z robotników.

– Ale zaprojektowała to jak mężczyzna – powiedział inny. – Chata jest dobra. Tylko dlaczego ona zamierza mieszkać tu sama, między obozem a naszą wioską?

– To z powodu drzewa – stwierdził trzeci. – Chce spać koło drzewa, które rośnie korzeniami do góry.

– Może chce, żeby czary zadziałały i dały jej pana Erina.

Tara z lekką obawą czekała na przyjazd Erina. Przez cały dzień wydawała rozkazy jego pracownikom i bez jego zezwolenia zbudowała chatę.

Landrover zatrzymał się w chmurze kurzu i Erin zobaczył Tarę stojącą z rękami na biodrach pośrodku drogi. Nie zauważył nowej chaty. Patrzył tylko na tę niewysoką kobietę, której obecność tak bardzo przyczyniła się do sukcesu ostatniego polowania.

W czasie, który pozostał im do przyjazdu nowej grupy, chciał pokazać Tarze całe Nowe Ganyani i zabrać ją na polowanie na bawołu. Takie polowanie, w którym nie będą uczestniczyli klienci, pozwoli mu zorientować się, jak Tara się zachowa w buszu. Nie mógł zatrudniać osoby, która postępowałaby nierozważnie i narażała w ten sposób ludzi na niebezpieczeństwo utraty życia.

– Witaj w domu – powiedziała Tara czekając, aż Erin się wypowie na temat jej kliniki.

– Dziękuję, Taro. Cieszę się, że jestem tu z powrotem. Pobyt tej grupy okazał się bardzo udany. Po prostu ich oczarowałaś. Jeszcze nie widziałem klientów, którzy z taką radością wracaliby co wieczór do obozu.

– To był zew whisky – roześmiała się.

– Tak, włoskiej whisky – zażartował. – Wskakuj do samochodu! Ciekawe, co Katoro przygotował na kolację. Umieram z głodu.

– Jak ci się podoba klinika w Nowym Ganyani? – spytała, pokazując palcem chatę z trawy stojącą pod baobabem.

Erin nic nie odpowiedział. Wsiadł z samochodu i podszedł do chaty. Powoli obszedł ją wkoło, sprawdzając jakość roboty. Kopnął kilka pali, ale były białe

głęboko w twardą ziemię i nie poruszyły się. Tara deptała mu po piętach, usiłując po ułożeniu jego ramion odgadnąć, co myśli.

– Wyjaśnij mi to – powiedział wreszcie, siadając na jednej z prowizorycznych ławek.

Zaczęła z wahaniem, ale w miarę jak mówiła, oczami wyobraźni zobaczyła samą siebie, pomagającą kobietom i dzieciom. W jej głosie brzmiało coraz większe ożywienie, a ręce fruwały jak koziołkujący w powietrzu sokół–akrobata. Erin nie potrafił zachować długo rezerwy. Wybuchnął śmiechem, gdy powiedziała mu, jaką rolę ma do odegrania w jej planach Katoro.

– Taro, jesteś niesamowita! – wykrzyknął. – To wspaniały pomysł! Aż trudno uwierzyć, że zdołałaś to wszystko wybudować przez jeden dzień.

– Twój personel wykonał całą pracę – certowała się Tara, uszczęśliwiona jego reakcją.

– Musiałaś wobec tego użyć takich samych czarów, jak w stosunku do Teksańczyków. Dobra robota!

Tara mało nie pękła z dumy, słysząc tę pochwałę.

– W porządku – szepotali do siebie mieszkańcy wioski. – Pan Erin się śmieje. Wkrótce wszyscy zebrali się w kucki wokół Erina i czekali na wyjaśnienia.

Gdy skończył mówić, przez chwilę panowała cisza, ale zaraz kobiety zaczęły klaskać i śpiewać.

– One ci dziękują – powiedział Erin. Ale nie powtórzył, że radziły mu, by wziął Tarę za pierwszą żonę, która da mu wielu synów. – Nadały ci również imię: Nsimba, czyli łasica. Mówią, że jesteś mądra i sprytna jak ten półkot. I masz takie same wielkie, żółte oczy.

– Nsimba – powtórzyła Tara tak, jakby smakowała imię językiem. – Podoba mi się. Proszę, podziękuj im ode mnie i powiedz, że jestem dumna z tego imienia.

– Jutro wszyscy mają wolne – dodał Erin po spełnieniu prośby Tary i rozkaszał się od pyłu, który unióśł się z czerwonej ziemi, gdy ludzie puścili się w tany. Poszukał spojrzeniem Jonasa.

– Jonas! – zawołał. – Pojutrze zabieramy Nsimbę na jej pierwszego bawołu. Jonas skinął głową i poprowadził ludzi z powrotem do wioski.

Jacob przebywał w Karne Dwa z Rudo i Jonas z niepokojem myślał o polowaniu na złośliwego nyati bez niego przy boku, bo bardzo polegał na jego doświadczeniu. W gruncie rzeczy jednak wiedział, że chociaż razem stanowili wspaniały zespół, w wypatrywaniu i tropieniu zwierzyny jest drugi, zaraz po Jacobie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Gola kołysała się łagodnie, unieruchomiona kotwicą. Nyaminyami, bóg rzeki, miał akurat dobrotliwy nastrój i skrzące się wody jeziora Kariba były spokojne. Jachty i łodzie ślizgały się po powierzchni z wdziękiem i szybkością białoskrzydłych mew. Pod wielkimi mahoniowcami i akacjami, które wyrosły na nowym brzegu, pasły się beztrosko zwierzęta.

Pat zakotwiczył swoją łódź w pobliżu jednej z wysepek, by ochronić ją przed sztormami, które potrafiły rozszaleć się tu w przeciągu kilku minut i wywołać fale dochodzące do czterech metrów wysokości.

Dwa pstre zimorodki przysiadły na kotwicznym łańcuchu i huśtały się jak dzieci, ale co pewien czas, jakby na podstawie jakiejś umowy, to jeden to drugi wznosił się w powietrze, a potem nurkował w jasną toń, skąd wracał ze srebrzystą rybą w mocnym, spiczastym dziobie.

Młody N'debele, którego Pat zatrudnił do pilnowania łodzi, przykucnął na tylnym pokładzie i obierał ziemniaki. Dziś rano złowił sześć leszczy, więc wesoło podśpiewywał przy pracy.

– Tam jest! – wykrzyknęła z radością Briar, widząc przez okienko cenny dwupokładową łódź.

Tatton zajmował się swoimi aparatami, więc tylko coś mruknął.

– Okno nie jest chyba dość czyste, żeby ci wyszły dobre zdjęcia – kontynuowała Briar. – Popatrz na łódź zamiast wiecznie oglądać świat przez obiektyw.

– Czasami uzyskuje się w ten sposób wyjątkowe obrazy – odparł Tatton.

– Prawda, że tu jest pięknie? – Briar zwróciła się do Pata, pozostawiając Tattona przy jego aparatach.

– Tak, pięknie – przyznał Pat. Właśnie zataczał kółko wokół łodzi. – I chyba znów dostaniemy wędzonego leszcza i sałatkę z ziemniaków. Nie powinienem być mówić Goli, że to lubię.

– Goli? Myślałem, że tak nazywa się łódź – zdziwił się Tatton. Nawet oderwał na chwilę wzrok od aparatów.

– To prawda – wyjaśniła mu Briar – ale ten młody mężczyzna chciał, by nazywano go Gola G., ponieważ łowi ryby, gotuje, sprząta i opiekuje się łodzią. Nie powinniśmy się na to zgodzić, bo ciągle powstają nieporozumienia.

Tatton tylko pokiwał głową.

– Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo mi brakuje „Goli” – mówiła dalej Briar. – Chciałabym tu pozostać na zawsze i nikogo nie widywać.

Na widok miny Tattona Pat pospieszył z żartem:

– Miałabyś serce pozbawić Golę G. pracy?

Briar nie odpowiedziała. Wpatrywała się zachłannie w piękny krajobraz. Pat

pewnie wylądował na krótkim pasie.

– Tu jest o wiele cieplej niż w Karne Dwa – zauważył Tatton wycierając kark czapką.

– Jeżeli już teraz jest ci za gorąco, w lecie byś tu nie wytrzymał. Temperatura dochodzi wtedy do pięćdziesięciu stopni Celsjusza.

– Arktyko, przyjeżdżamy! – zawołał Tatton.

Pat zachmurzył się, słysząc to „my”, ponieważ jednak zamierzał cieszyć się każdą chwilą w towarzystwie Briar, nie pozwolił sobie myśleć więcej o jej rychłym odjeździe.

– Spójrz! – zawołała, wskazując coś palcem. W głębokim cieniu akacji stał samiec słonia. Owinał trąbę wokół gałęzi i w tej postawie odpoczywał. Trąba zwisała z drugiej strony gałęzi jak wąż mamba.

– Muszę zrobić zdjęcie – oznajmił Tatton. – Proszę, zatrzymaj samochód. Pat nacisnął hamulec i dżip gwałtownie stanął. Słoń zafalował wielkimi uszami, ale potem już nie zwracał na nich uwagi.

– Chciałbym podejść bliżej.

Pat wziął strzelbę i pierwszy poszedł w kierunku słonia.

– Mają słaby wzrok, ale bądź gotowy do odejścia, jeżeli tak ci polecę. Tylko nie biegnij.

Podchodzili coraz bliżej. Briar cicho sapnęła. Nigdy jeszcze nie znalazła się tak blisko słonia. Wydawało jej się, że góruje nad nimi jak drapacz chmur. Nagle zapragnęła być z powrotem w samochodzie zmierzającym do brzegu jeziora.

Jakby wyczuwając jej strach, słoń odwinął trąbę z gałęzi i zwrócił się przodem do nich. Powoli przestawił jedną ogromną nogę przed drugą i ruszył ku nim. Briar, oniemiała z wrażenia, patrzyła, jak wokół tych wielkich stóp wirują tumany pyłu. Słoń zatrzymał się, popatrzył na nich, a potem, niezdecydowany, zaczął się kołysać.

– Myślisz, że jesteśmy antylopami – szepnął Pat.

Jednak słoń, jakby przecząc tym słowom, znów ruszył do przodu.

– Cofnąć się! – nakazał Pat. – Cofajcie się powoli.

Briar poczuła, że robi jej się słabo. Słoń przesłaniał niebo. Zmusiła się do postąpienia do tyłu, ale cały czas patrzyła na Pata i na słonia.

– Już prawie jesteśmy bezpieczni – szepnął Pat. – Jeszcze kilka jardów i przestanie się nami interesować. f Nagle Tatton odwrócił się i zaczął biec. Słoń uniósł trąbę i zakwiczał.

Jednym szybkim, wyćwiczonym ruchem Pat podniósł strzelbę. Wystrzał oszołomił Briar. W uszach jej dzwoniło, gdy stała nieruchomo, czekając, by słoń upadł. Ale on zawrócił, wzniecając tumany kurzu i z ogłuszającym trąbieniem pobiegł między drzewa. Po chwili nie było go już widać.

– Mówiłem, żeby cofać się powoli – warknął Pat do Tattona.

– Ten słoń zabiłby nas wszystkich! – Tatton był blady po przeżytych szoku. – Szedł prosto na nas. Nie zatrzymał się.

– Słoń zaspokoił ciekawość i właśnie miał wrócić do swojej akacji – powiedział Pat lodowatym tonem. – Mamy szczęście, że kula, która przeleciała mu nad głową, wystarczyła, by się wystraszył i odszedł.

– Biedactwo, będzie dziś cierpieć na migrenę – zaśmiała się Briar. Tym żartem chciała odwieść mężczyzn od kłótni. Czuła, że to ona, a nie incydent ze słoniem, jest powodem ich nagłej wrogości. – Jedźmy na łódź.

W milczeniu wrócili do samochodu. Tatton był wściekły, bo Pat przedstawił go jako tchórza. Briar położyła mu rękę na ramieniu. Pragnęła, by nic nie zakłóciło tych dni na łodzi.

– Będziemy mogli popłynąć na tę łachę piasku? – spytała Pata. – Chciałabym pokazać Tattonowi twojego starego krokodyla. Założę się, że nigdy nie miał okazji widzieć aż tak wielkiego.

– Wygrałbym zakład! – wykrzyknął Tatton. Za radością powitał zmianę tematu. – Widziałem jednego naprawdę ogromnego na wysepce przy Wielkiej Rafie Koralowej. Mierzył co najmniej siedem metrów.

– To nieuczciwe – sprzeciwiła się Briar. – Ten twój to krokodyl słonowodny. One są większe niż nasze, nilowe. – Zastanowiła się przez chwilę. – Wobec tego zakładam się, że nasz jest grubszy. Ma prawie tak samo szeroki obwód brzucha na całej długości.

– Troszkę przesadzasz, Briar. – Patowi minęła już złość. – Nawet gdyby miał w brzuchu antylopę, z trudem pasowałby do tego opisu.

– Mam nadzieję, że jeszcze tam jest. Za każdym razem, gdy przyjeżdżaliśmy na „Golę”, wylegiwał się na tej samej łasze piasku – wyjaśniła Tattonowi.

– Jeżeli już go nie ma, to najprawdopodobniej skóra z jego brzucha wisi w charakterze torebki na czyimś ramieniu, albo ozdabia czyjaś talię – roześmiał się Pat.

– Nienawidzę krokodyli. – Briar się wstrząsnęła. – Są podstępne i wyglądają jak samo zło.

Pat zaparkował pod drzewem tamaryndowym i Gola G. popędził na spotkanie swoich państwa. Zimorodki wzbiły się w powietrze z ostrym, wysokim, alarmującym krzykiem. Jakiś czas unosiły się nad łodzią czekając, aż minie zamieszanie i będą znów mogły usadowić się na łańcuchu kotwicznym, ale Pat postanowił przesunąć łódź do przeciwległej zatoczki, gdzie wpływał prąd z jednej z rzek mających ujście w Kariba. Dzięki temu woda była tam cały czas w ruchu i pozostawała wolna od wodorostów, których się obawiał, mimo że w tej chwili pokrywały zaledwie dwa procent powierzchni jeziora. Stanowiły doskonałą kryjówkę dla hipopotamów i krokodyli, więc nie czułby się bezpiecznie nurkując głęboko w ich pobliżu.

Brzydził się krokodylami, podobnie jak Briar. Były bardzo silne i w wodzie poruszały się błyskawicznie. Czasami zaś kładły się nieruchomo w błocie na brzegu i ich obecność zdradzał tylko jakby brylantowy wzór na tarczach rogowych tworzących charakterystyczny grzebień.

– Jest! – zawołała triumfalnie Briar. Gdy tylko znaleźli się na łodzi, natychmiast wdrapała się na pokład obserwacyjny.

– Idź i obejrzyj jej krokodyla – powiedział Pat.

Tatton z radością oddalił się od Pata, bo nadal wstydził się swojego zachowania podczas incydentu ze słoniem. Od tamtej chwili trzymał się boku Pata i pomagał jak mógł, próbując zmyć swoją winę. Wiedział, że popełnił niewybaczalny błąd, gdy wbrew rozkazowi starego Gifforda zaczął biec.

Gdy Tatton zniknął mu z oczu, Pat westchnął z ulgą. Gola G. obserwował go z miejsca, gdzie mocował łańcuchy kotwiczne. Pat podszedł, aby je sprawdzić, a wtedy Gola G. spuścił oczy. Z jego twarzy nic nie można było wyczytać.

Między tymi mężczyznami istnieje wrogość, pomyślał. Chcieliby się nawzajem pozabijać przez tę kobietę, zupełnie jak dwa samce hipopotama.

– Popatrz – powiedziała Briar. – Twój krokodyl nie mógł być aż taki gruby.

Tatton przyglądał się gadowi. Był to wspaniały okaz Archosauria, naczelných gadów, które przetrwały od okresu triasu, czyli epoki odległej od naszych czasów o jakieś dwieście milionów lat. Teraz krokodyl wylegiwał się na słońcu. Jego ciężkie, cylindryczne ciało spoczywało na piachu jakby gotowe do obdarcia ze skóry. Szeroka, trójkątna głowa celowała prosto w „Golę”. Zęby tworzyły pojedynczy, równy rząd, oprócz czterech w dolnej szczęce, które zakrzywiały się do góry jak haki, i zacisnąwszy się na górnej szczęce, mogły przygwoździć ofiarę. Ale w tej chwili tę przerażającą paszczę miał zamkniętą.

– Rzeczywiście jest wielki – przyznał Tatton i mimowolnie zadrzał. – Powiedziałbym, że mierzy około czterech metrów. Nie chciałbym się z nim spotkać podczas kąpieli.

– Uff– westchnęła Briar. Usłyszała, jak Pat bosy wchodzi po schodach.

– Tatton przyznaje, że nasz krokodyl jest wielki – poinformowała go.

– Czy widzieliście kiedyś, jak ściąga jakieś zwierzę z tej łachy? – spytał Tatton.

– Tylko raz – odrzekł Pat. – I nawet nie jestem pewny, czy był to ten sam krokodyl, chociaż też był ogromny. Siedzieliśmy sobie tutaj, patrząc na zachodzące słońce, gdy nagle moja żona zauważyła stadko impali schodzących do wody. – Pat mówił miękko, a po jego twarzy widać było, że wspomina czas, gdy żona i starsi synowie jeszcze żyli. – W promieniach zachodzącego słońca sierść impali nabrała czerwonej barwy, a pył, który wzbijały nogami, był różowy. Samiec zanurzył pysk w wodzie, ale zaraz uniósł głowę i rozejrzał się wkoło, by się upewnić, że samice i młode znajdują się w pobliżu. A potem wydało nam się, że

usiłuje przebić wzrokiem wodę i zobaczyć żwir na dnie. W końcu pochylił głowę, by się napić. Ale gdy dotknął pyskiem wody, zobaczyliśmy tylko ogromny wir i samiec zniknął. W mgnieniu oka było po wszystkim! Tylko coraz większe kręgi na wodzie świadczyły o jego śmierci.

– Nie widziałeś krokodyla? – spytał Tatton.

– Zobaczyliśmy tylko, jak stadko ucieka, wznosząc tumany kurzu, a także ciemny kształt rysujący się w wodzie. Najprawdopodobniej krokodyl wciągnął kozła na głębszą wodę, tam go utopił i zaczął wyrywać kęsy z jego ciała, gdy zdobycz przestała już walczyć.

– Trudno o gorszą śmierć – zdrygnęła się Briar – niż umieranie ze świadomością, że dopadł cię krokodyl. Dopóki nie umrzesz, widzisz to obrzydliwe stworzenie patrzące na ciebie oczami sterczącymi na czubku głowy.

– Ale przynajmniej jest to szybka śmierć – zaproponował Tatton.

– Ofiara przytrzymywana pod wodą na pewno tak nie sądzi.

Gola G. pojawił się balansując tacą, na której stał półmisek z wędzonym leszczem i salaterka sałatki kartoflanej. Starannie ułożył na stole talerze i sztućce.

– Łódka jest przygotowana – poinformował Briar. Pat nie ukrywał zdziwienia.

– Pomyślałam, że gdy zjemy lunch, popłyniemy z Tattonem wzdłuż brzegu i sprawdzimy, czy nie przyszły tam pić jakieś zwierzęta – wyjaśniła Briar.

Tatton popatrzył w kierunku łachy piachu. Krokodyl właśnie otworzył paszczę i jego spiczaste zęby zalśniły w słońcu. Uwijał się wśród nich ptak-czyściciel, wygrzebując zalegające między nimi kawałki zgniłego mięsa.

– Czy to duża łódka? – spytał.

– Wystarczająco duża i jest z aluminium – powiedziała Briar. – Poprzednią, drewnianą, hipopotam rozbił na drzazgi.

Widząc minę Tattona, Pat roześmiał się.

– Tatton, ona tylko się z tobą drażni – oznajmił. – To cudowne przeżycie tak sobie płynąć wzdłuż brzegu i obserwować zwierzęta. Często myślę, że właśnie w Zimbabwe musiał znajdować się rajski ogród. Nie ma drugiego kraju, gdzie można doświadczyć takich przeżyć.

Briar jeszcze raz zdziwiła się, że mogła planować wyjazd z Afryki. Zachowała się jak ostatnia idiotka! A poza tym, co powiedzieliby na to rodzice? Poczula się samotna i schwyтана w pułapkę.

Zdecydowanie wyrzuciła z umysłu rozważania o wyjeździe i skoncentrowała się na wyjmowaniu ości z leszcza.

Czas na łodzi upływał niepostrzeżenie, tak samo jak niedostrzegalny jest trzepot skrzydełek ważki. Bez trudu ustalili rozkład zajęć. Rano Pat szedł na tylny pokład, rozbierał się do naga, namydlał i wskakiwał do wody. Prąd unosił go równolegle do łodzi, a zanim skręcił tak, że zniósłby go na jezioro, Pat chwycił słupek przymocowany na zewnątrz frontowej kabiny i wdrapywał się na górę, gdzie Gola

G. zostawiał mu szorty. Pat je wkładał i pozwalał wczesnemu, porannemu słońcu, aby wysuszyło mu tors. Nazywał to prysznicem a la „Gola”.

Tatton wołał korzystać z prysznica na pokładzie. Twierdził, że nie ufa głębokiej wodzie. Briar pływała tylko wtedy, gdy była pewna, że w pobliżu nie ma żadnego hipopotama ani krokodyla.

Nadszedł ostatni wieczór wakacji. Siedzieli w milczeniu na pokładzie, każde zaabsorbowane własnymi myślami. Afrykańskie niebo przedstawiało niezwykle widok: jakby ktoś rozbił gigantyczną, kryształową kulę i rozsypał na nią jej okruchy. Drgające światełka łódek używanych do połowu ryb kapenta odbijały się w spokojnej toni. Niebo i jezioro stały się jednością.

– Wydaje się, że gwiazdy świecą i w górze, i na dole – szepnęła Briar. – Nieprawdopodobny widok!

Po policzkach popłynęły jej łzy. Była zadowolona, że jest ciemno i mężczyźni tego nie widzą.

Zimorodki odnalazły nowe miejsce cumowania „Goli” i znów radośnie huśtały się na łańcuchach kotwicznych.

O świcie Pat wdrapał się na pokład i zastał tam Briar, owiniętą w niebieską kurtkę i grzejącą sobie ręce o kubek gorącej kawy. Wpatrywała się w pustą łacę piasku. Pat w milczeniu patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Jeszcze nie zaplotła włosów i teraz w łagodnym powiewie falowały wokół jej głowy jak puszek dmuchawca.

Chciał ją objąć i błagać, by jeszcze raz przemyślała swoją decyzję dotyczącą wyjazdu z Tattonem, ale to by jej sprawiło ból. Widział, jak cierpiała po stracie Scotta i nie będzie jej teraz przekonywał, by zrezygnowała z mężczyzny, którego sobie wybrała.

Jednak nie wierzył, by Tatton potrafił dać jej szczęście. Była Afrykanką i zawsze będzie tęsknić do zapachów i dźwięków Afryki. Mógł tylko żywić nadzieję, że gdy już objedzie świat dookoła, wróci do Zimbabwe.

Jego największą zgrzyotą było to, że mogła wyjść za Tattona. Wtedy dla niego samego byłaby stracona na zawsze. Podczas długich, bezsennych nocy na „Goli” wmawiał sobie, że jego pragnienie przebywania z nią wynika wyłącznie ze zwykłej dla mężczyzny w średnim wieku chęci przywrócenia młodości. Ale wiedział, że nie w tym rzecz. Briar stała się dla niego bardzo ważna. Jakby wyczuwając jego obecność, dziewczyna odwróciła się.

– Pat – powitała go radośnie. – Chodź i wypij ze mną kawę. Ogrzeje cię. – W zimnym powietrzu jej oddech skropił się w parę, nos miała zaczerwieniony.

Nalała kawę z dzbanka do kubka, wsypała dwie łyżeczki brązowego cukru, zamieszała i podała kubek Patowi. Gdy go brał, jego palce musnęły jej zimną dłoń.

– Dziękuję. – Odsunął rękę tak gwałtownie, jakby poczuł oparzenie. – Wiesz, Briar, będę za tobą tęsknił.

– Proszę cię, nie rozmawiajmy o tym – powiedziała załamującym się głosem.

Oczy paliły ją od łez. Przełknęła ślinę. – Popatrz, krokodyl odszedł. Musi wiedzieć, że dziś wyjeżdżamy. Przestaliśmy go interesować.

– Najprawdopodobniej jest głodny i przeniósł się w bardziej obiecujące miejsce. Ostatnio na brzeg przychodziło sporo zwierząt, by się napić.

Rozsiedli się wygodnie na leżakach i w przyjaznym milczeniu obserwowali wschód słońca nad jeziorem.

W końcu Pat wstał i przeciągnął się.

– Czas na mój prysznic a la „Gola” – oznajmił.

– Zejdę z tobą – powiedziała Briar, zbierając puste kubki. – Obiecałam pokazać Goli G., jak robi się francuskie grzanki.

Poszła na przód łodzi, by Pat mógł dokonać w spokoju ablucji. Podniósł się wiaterek i drobne fale zaczęły uderzać w rufę „Goli”, gdy łódź szukała sobie odpowiedniej pozycji w zmienionych warunkach.

Ustawiła kubki na szerokim relingu i pochyliła się, by podnieść szorty Pata, które Gola G. dla niego zostawił. Zwilgotniały od wody przelewającej się na pokład, obecnie unoszący się zaledwie kilka cali nad poziomem jeziora.

Powiesiła szorty na poręczy, w pobliżu słupka, którego przytrzymał się Pat wchodząc na łódź. Usłyszała głośny łoskot. Kubki zderzyły się i wpadły do wody.

Briar jęknęła. To były ulubione kubki Pata. Uklękła i popatrzyła w wodę. Wydawało jej się, że biała porcelana, pomalowana w ogniste lilie, a teraz obsuwająca się w przezroczystą toń, wołają. Wyciągnęła rękę i jej palce musnęły uszko jednego z kubków. Nic nie osiągnęła, a jedynie zmoczyła rękaw.

– Niech to szlag! – mruknęła.

Jednak nie dała za wygraną. Musiała odzyskać kubki zanim znikną na dnie. Przewiesiła się przez krawędź pokładu, wzięła głęboki oddech i zanurzyła głowę i ramiona pod wodę. Rozpaczliwie wyciągając palce zdołała złapać jeden kubek. Wiedziała, że teraz musi podnieść głowę i wciągnąć powietrze, ale drugi kubek był tuż–tuż.

Nagle poczuła na sobie czyjś wzrok. Zastygła. Płuca już ją paliły i zaczynała cierpieć na niedotlenienie, więc sądziła, że to może być tylko omam. Jednak nie. Głęboko w cieniu, z tyłu łodzi, leżał jakiś ciemny kształt.

Jak w sennym koszmarze rozpoznała dwa guzy na głowie i pysk wyłaniający się na powierzchnię. Otworzyła usta. Chciała krzyknąć do Pata, żeby nie skakał z łodzi, ale do gardła dostała jej się zimna woda, a nogi spoczęły bezwładnie na pokładzie.

Gola G. cierpliwie czekał w kuchni na Briar. Przecież miała przyjść i nauczyć go nowego sposobu robienia grzanek. Spojrzał na zegar. Niedługo Pat zawoła o śniadanie. Już chyba skończył pływać.

Gola G. nie potrafił zrozumieć, dlaczego Pat tak lubi pluskać się w nurcie, a potem wdrapywać na pokład. Żył w nieustannym lęku, że któregoś dnia Pat nie złapie

słupka i opadnie na dno jeziora. Zabełtał jajka widelcem, policzył kromki chleba, potem jeszcze raz rzucił okiem na zegar i poszedł poszukać Briar. Śniadanie musi być podane na czas.

– Panno Briar! – zawołał widząc, że leży na pokładzie, a jej głowa przewieszona jest na zewnątrz. – Panno Briar. – Silnymi rękami pochwycił ją w pasie i podniósł. Zwiśla mu w ramionach jak ryba złowiona w sieć. Gola G. przerażony popatrzył na nią. Jej oczy wywróciły się ukazując same białka, a twarz była blada jak filety z leszcza.

Pat usłyszał rozpaczliwe krzyki Goli G. Usiłował wdrapać się na pokład, ale namydlone ręce ześlizgiwały mu się ze słupka. Ale musiał dostać się do Briar.

– Panie Pat! – pisał Gola G. i rzucił Briar na pokład. – Panie Pat, proszę szybko przyjść!

Podbiegł bliżej i zobaczył ręce Pata ześlizgujące się po słupku. Chwycił go za nadgarstki i zaparł się o drzwi kabiny. Pat był ciężki i Gola G. poczuł, jak mu się wyślizguje.

– Musi pan przyjść. Dziś nie może pan pływać, panie Pat – stękał. – Myślę, że panna Briar nie żyje.

Na dźwięk tych słów w Pata wstąpiły nadludzkie siły. Z mocą zrodzoną z rozpaczyny poderwał nogę i udało mu się ustawić stopę na pokładzie. Wtedy Gola G. wciągnął go na górę. Pat popędził na dziób. Za nim gnał Gola G., wymachując rękami.

W tej właśnie chwili Tatton wyszedł spod prysznicy. Zobaczył biegnącego nagiego Pata, a za nim Golę G., który w locie pochwycił parę szortów.

Briar nadal leżała na drewnianym pokładzie, ale jej oczy patrzyły przytomnie, a głowa spoczywała w kałuży wody i wymiocin. Gola G. skoczył po wiadro wody i szybko wyczyścił pokład. Tatton i Pat uklękli obok Briar.

Nie zwróciła najmniejszej uwagi na Tattona. Wyciągnęła rękę do Pata, a on uniósł ją i przytulił. Ukryła twarz w mydlinach na jego piersi.

– Och, Pat, niemal cię straciłam – zaszlochała.

Pat spojrział na Tattona, który odwrócił wzrok. Jego twarz pozbawiona była wszelkiego wyrazu.

– Już dobrze – szeptał Pat głaszcząc ją po mokrych włosach. Najwyraźniej miała atak hysterii. Może wypadła z łodzi i ogarnęła ją panika. Pat wiedział, jak bardzo Briar boi się głębokiej wody, a tu prąd był silny.

Ale gdy ją tulił, zdał sobie sprawę, że jej szorty i nogi są suche. Nie mogła wpaść do jeziora.

Coś zimnego i twardego uciskało mu plecy. Próbował uwolnić się z rąk Briar, splecionych na jego szyi, ale trzymała go tak mocno, jakby miała siłę szczęk krokodyla.

Tatton wyjął kubek z palców Briar i podał go Patowi, podczas gdy ona położyła głowę na jego ramieniu.

Promień słońca zamigotał na złoto–czerwonych ognistych liliach. Jeszcze raz ujrzała, jak opadają w wodę, a za nimi zobaczyła wielkiego gada zaczajonego w cichej, ciemnej wodzie pod „Gola”.

Krzyknęła i wbiła palce w ramię Pata.

– Pat, nie opuszczaj mnie! – załkała. – Przysięgnij, że nigdy mnie nie opuścisz!

Pat popatrzył poważnie na Tattona.

– Briar, przysięgam, że nigdy cię nie opuszczę – powiedział.

Te słowa chyba ją uspokoiły, bo jej łkania zaczęły powoli cichnąć, choć nadal wczepiała się w Pata.

Gola G. nie rozumiał, co się dzieje, ale udało mu się owinać biodra Pata rękami.

– Czekał na ciebie – szepnęła Briar.

– Kto?

– Krokodyl. Dlatego nie zobaczyliśmy go rano na piachu. Jest pod łodzią.

– Fiuu! – gwizdnął cicho Tatton. – Czekał, aż popłyniesz w prąd. Sprytna bestia!

Pat zdrzął na myśl o niebezpieczeństwie, jakiego uniknął.

– Mogłam cię już nigdy więcej nie zobaczyć – jęknęła Briar i po policzkach znów popłynęły jej łzy.

– Płacz, kochanie! – szeptał Pat kołysząc ją w ramionach. – Gdy się wypłaczesz, poczujesz się lepiej.

– Pat, te oczy, takie zimne i obojętne... Pod łodzią było ciemno. Gdyby się zanurzył, nawet bym go nie spostrzegła.

– Ale zasadził się na mnie – stwierdził Pat nadal łagodnie kołysząc Briar – więc musiał czekać pod samą taflą wody, żeby dopaść mnie od góry w chwili, gdy ja zanurkowałbym w prąd.

– Przestań! – błagała Briar.

Tatton przez moment przyglądał się Patowi i Briar, a potem wstał. Nagła nienawiść, jaką poczuł wobec Pata, zadziwiła nawet jego samego. Dopóki nie zobaczył Briar w jego ramionach, nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jej pragnie.

– Idę do kuchni. Kawa i śniadanie dobrze nam wszystkim zrobią – powiedział. Jego myśli goniły jak szalone, gdy wchodził po schodach na wyższy pokład.

Przecież było już zdecydowane, że Briar wyjedzie z Karne razem z nim. Pat jest dla niej za stary.

Nagle z jakiejś czarnej czeluści jego umysłu wyśliznęła się niepokojąca myśl. Starał się ją odepchnąć, ale nadal tkwiła w podświadomości, nieruchoma i ohydna jak krokodyl. Mimo oporu, jaki stawiała lepsza część jego istoty, zaczął ją jednak badać. Tak, postanowił. To może zadziałać. Ale najpierw musi udać, że przyjmuje do wiadomości miłość między Briar i Patem. Briar nie da się łatwo oszukać.

– No, dobrze – szepnął do siebie. – Na wojnie i w miłości wszystko jest dozwolone. Jeżeli nie mogę dostać jej w uczciwy sposób, muszę tego dokonać podstępem.

– Briar, czy to prawda? – spytał Pat. – Może po prostu byłaś tak przerażona, że nie wiedziałas, co mówisz?

Briar w zawstydzeniu patrzyła pod nogi, a jej głos był zduszony.

– Tak – szepnęła. – Pat, mówiłam poważnie.

Pat w duchu podziękował krokodylowi. Podniósł Briar na nogi i delikatnie ją pocałował.

Gdy przyszli na śniadanie, Tatton bacznie ich obserwował. Oboje wzięli prysznic i przebrali się. Briar promieniała szczęściem i urodą panny młodej, a Pat poruszał się z dumą pana młodego.

Na chwilę Tattona ogarnęły wyrzuty sumienia na myśl, co zamierza zrobić. Ale widząc radosną Briar odepchnął je od siebie. Pragnął tej kobiety.

– W środę muszę być w Londynie – oznajmił krojąc grzanekę uprzednio panierowaną w jajku i mleku. – Chciałbym wyjechać natychmiast po naszym powrocie do Karne Dwa.

Briar zeszytywniała i opuściła wzrok na swój talerz.

– Pat, życzę ci tego wszystkiego, czego sam się spodziewałem po związku z Briar – kontynuował Tatton.

Briar popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Ty i Pat macie ze sobą wiele wspólnego – mówił dalej – ale wierzę, że gdybym miał na to czas, mógłbym zdobyć twoją miłość. Briar, jesteś jedyną kobietą, która sprawiła, że pomyślałem o małżeństwie. Stałaś się dla mnie kimś wyjątkowym i zawsze będę serdecznie wspominał chwile, jakie z tobą spędziłem. – Posmarował grzanekę dżemem z owoców manila i z satysfakcją przyglądał się, jak skapuje z brzegów. – Po śniadaniu chciałbym z tobą porozmawiać w cztery oczy. Oczywiście, jeżeli ty, Pat, nie masz nic przeciwko temu.

Pat roześmiał się.

– Oczywiście, że nie. Co najmniej godzinę będę sprawdzał łódź i dawał instrukcje Goli G.

Tatton już się zdecydował, jak postąpi i czuł się spokojniejszy. Do końca śniadania zabawiał Pata i Briar mocno podkoloryzowanymi opowiastkami o ludziach, których spotkał podczas swoich podróży, więc wszyscy byli rozweseleni.

Słyszając śmiechy, Gola G. wystawił głowę z kambuza. Potem wrócił do swoich zajęć. Nigdy nie zrozumie tych białych Afrykanów. Ich nastrój zmienia się tak szybko, jak pogoda nad jeziorem Kariba.

Briar zrećnie zbiegała po schodach na niższy pokład. Włosy, odgarnięte z wysokiego czoła, przewiązała niebieską wstążką. Szczęście opromieniało ją tęczą aurą. Tatton patrzył na to zasepiony.

– Wyglądasz jak uczennica, która właśnie po raz pierwszy pocałowała się z chłopcem – powiedział, gdy do niego podeszła.

Briar zawstydziała się i już chciała zdjąć wstążkę.

– Nie, zostaw ją! Pasuje do twoich oczu.

Lekko dotknęła jego ramienia. Musiała z nim porozmawiać. Gorzko żałowała teraz nocy, którą spędzili razem w obozie Figowego Drzewa.

On nie zasłużył sobie na to, bym go raniła, myślała, patrząc na zdecydowaną linię jego podbródka i czarne włosy przeczesywane przez wiatr. Jest wspaniałym mężczyzną, ale muszę mu uświadomić, że resztę życia zamierzam spędzić z Patem. Popatrzyła na brzeg, gdzie Pat ładował bagaż do starego dżipa. Nie widziała mężczyzny z łysym czubkiem głowy otoczonym wianuszkiem siwych włosów. Widziała mężczyznę, którego zawsze szanowała i w którego towarzystwie czuła się dobrze. Widziała mężczyznę, którego kocha, kogoś, kto dawał jej poczucie bezpieczeństwa. Stanowił nieodłączny składnik jej kraju i chciała dzielić z nim życie.

Tatton spostrzegł, jak na widok Pata w jej spojrzeniu pojawia się czułość i utwierdził się swoim postanowieniem. Miłość, którą odczuwał, obróciła się w pragnienie zranienia Briar i zniszczenia jej szczęścia.

– Tattonie – zaczęła Briar niepewnie – propozycja wyjazdu do Nepalu i Arktyki brzmi pięknie. To cudowne, egzotyczne miejsca, ale są stworzone dla ludzi takich jak ty. Ja jestem najzwyczajniejszą domatorką. Kocham Zimbabwe i chcę tu zostać.

Tatton nie odpowiedział, ale Briar widziała, jak drga mu nerw w policzku.

– Przepraszam cię za to, co się stało przy Figowym Drzewie. – Z trudem wydobywała z siebie głos. – Ale... – zamilkła. Jak mu wytłumaczyć, że jego czułość była jak balsam po brutalnym gwałcie dokonanym przez Kirka Maddena.

– No, tak. Obóz Figowego Drzewa – powtórzył Tatton. Opierał się o reling, stojąc tyłem do Pata i Goli G. trudzących się na brzegu.

Baczenie obserwował twarz Briar. Przez chwilę jego postanowienie osłabło, ale zaraz znów nawiedził go obraz Briar leżącej na pokładzie i wtulonej w objęcia Pata. Nie pozwoli, by ten staruch odniósł zwycięstwo.

– Rzeczywiście, powinniśmy porozmawiać o tamtej nocy – powiedział twardo.

Od chłodu w jego głosie po plecach Briar przebiegł dreszcz. Wyczuła, że zaraz stanie się coś złego. Oczami duszy ujrzała krokodyla unoszącego się na taili wody jak bezwładna kłoda.

– Briar, to nie powinno było się stać. Zawiniłem.

Zaczęła się uspokajać. Tatton po prostu ją przeproszał. Ogarnęła ją ulga tak wielka, że ledwo słyszała jego słowa.

– ...pamiętasz, mówiłem, że nie mogę obiecać ci małżeństwa, lecz tylko

podróże, radość i miłość.

Briar skinęła głową. Nagle poczuła, jak strach zimnymi pętami ciasno wiąże jej ciało.

– Nie mogę się ożenić. Jestem zarażony wirusem HIV.

Z jej twarzy odpłynęła cała krew. Tatton zląkł się, że Briar zemdleje. Nie zdawał sobie sprawy ani z jej prawości, ani z siły miłości, jaką darzyła Pata.

– Jesteś podły, a na dodatek kłamiesz – powiedziała jednak spokojnie. Gdyby zaczęła krzyczeć lub płakać, jej słowa nie wywarłyby na nim aż takiego wrażenia.

– Zapewniałeś mnie, że jestem bezpieczna, bo używasz prezerwatywy.

– Bo na ogół używam, ale tym razem zostawiłem je w Karne Dwa – odparł. – Nie spodziewałem się, że wpuścisz mnie do swojego łóżka, a skoro już to zrobiłaś, nie mogłem się powstrzymać. Po raz pierwszy w życiu nie byłem przygotowany. Uwierz mi, Briar. Czy naprawdę sądzisz, że należę do tego rodzaju mężczyzn, którzy beztrudno narażają kobiety na ryzyko wiedząc, że mogą je zarazić?

– Jesteś potworem!

– Briar, rozumiem, co o mnie myślisz, naprawdę to rozumiem. Ale... – zawahał się. – Pragnąłem dzielić z tobą życie. Chciałem się z tobą ożenić. Zanim poznałem ciebie, nigdy nawet nie pomyślałem o małżeństwie.

Briar ruszyła na niego. Miała jedno jedyne pragnienie: uwolnić się od tego mężczyzny i od jego słów, które odbierały jej przyszłość.

– Nienawidzę cię!

Chyba nie była świadoma tego, co robi, a Tatton nie spodziewał się po niej gwałtownych czynów. Jego stopy pośliznęły się na wilgotnych deskach pokładu. Kurczowo przytrzymał się krawędzi, ale jego palce straciły oparcie, bo Briar kopnięciem posłała go w dół.

Wściekłość w jej spojrzeniu była jedynym wrażeniem, jakie pozostało w jego umyśle, zanim zamknęła się nad nim ciemna tafla wody.

Wpadł w prąd i ogarnęła go panika. Krokodyl! Wiedział, że gdzieś tu jest, chociaż go nie widział. Przypomniawszy sobie, jak Pat opowiadał o sposobie, w jaki krokodyle polują. Na ogół chwytają swoją ofiarę od dołu.

Pat z brzegu usłyszał chlupnięcie wody i spojrzał na łódź.

– Co tam się dzieje? – krzyknął.

– Pokłóciłam się z Tattonem i popchnęłam go. Wpadł do wody – odkrzyknęła Briar.

– Krokodyl! – ryknął Pat i obaj z Golą G. pobiegli do łódki.

Tatton akurat zdołał wystawić głowę nad wodę. Przed oczami miał zęby krokodyla, tak wyraźne, jakby je widział w obiektywie aparatu. Czuł nawet smród resztek zgniłego mięsa. Jęknął i ten obraz znikł. Coś twardego i zimnego musnęło mu nogę. Tatton zdrętwiał. Jeszcze moment, a ogromne szczęki zacisną się na jego

udzie i krokodyl wciągnie go w głębinę.

– Łańcuch kotwiczny – krzyknął Pat, gdy razem z Golą G. dostali się na łódź.

– Prąd zniósł go do łańcucha.

Przechylił się i wyciągnęli Tattona na pokład.

– Wracajmy do samochodu! – jęknął Tatton. – Chcę być na suchym lądzie. Pat natychmiast skierował łódź do brzegu. Razem z Golą pomogli Tattonowi zejść, oparli go o samochód i pozostawili, by wysuszył się na słońcu, po czym Pat wrócił na łódź.

– Briar, chodź do łódki! – zawołał, wchodząc na pokład, ale gdy spojrzał w jej oczy, zimne i bez wyrazu jak oczy krokodyla, wszystkie pytania zamarły mu na ustach. Później będzie czas na wyjaśnienia, postanowił. – Płyniemy na brzeg – powiedział tylko.

Po wyjściu na ląd Briar szła obok Pata jak nieprzytomna. Tatton odwrócił się do nich plecami i sprawdzał aparaty. Briar zignorowała go. Zajęła miejsce na przednim siedzeniu w samochodzie i cierpliwie czekała, aż Pat skończy wydawać Goli G. polecenia. W końcu chłopak skinął głową, odwiązał łódkę i popłynął na łódź mieszkalną.

– Gdy tu przyjechali, widziałem wrogość między starym i młodym bykiem – mruknął. – Teraz, gdy odjeżdżają, wrogość istnieje między młodym bykiem i panną Briar.

Pat postanowił uszanować milczenie Briar i Tattona. Odezwał się dopiero w samolocie.

– Krokodyl musiał się przestraszyć, gdy Briar rano spiorunowała go spojrzeniem – zażartował. Tatton nadal był jego klientem, więc zasługiwał na uprzejmość.

Tę próbę nawiązania rozmowy powitała lodowata cisza. Pat wzruszył ramionami i zaczął obserwować ziemię. Przygotowywał się już do wylądowania w Karne Dwa, gdy Tatton wreszcie przerwał milczenie.

– Gdyby to było możliwe, chciałbym jeszcze dziś, przed nocą, znaleźć się w Harare – oznajmił.

– Oczywiście – przytaknął Pat, zadowolony, że nie będzie musiał jeść kolacji w towarzystwie milczących Briar i Tattona. – Daj mi godzinę na zatankowanie, zarezerwowanie ci hotelu i sprawdzenie wiadomości w biurze. – Po chwili namysłu dodał: – Przepraszam cię za tak niefortunne zakończenie wycieczki na „Golę”. Miałem nadzieję, że pobyt tam będzie ukoronowaniem twojej wyprawy do Afryki.

Och, i był, pomyślał Tatton. Skoro ja nie mogę mieć Briar, ty też jej nie będziesz miał. Wpadła w taką wściekłość, bo mi uwierzyła. Zdała sobie sprawę, że nie może za ciebie wyjść. To było warte tej całej kąpieli.

– Jestem zachwycony pobytym u was – powiedział na głos. – A w obozie

Figowego Drzewa przeżyłem wyjątkowo radosne chwile.

Pat poczuł, jak Briar sztywnieje. Obóz Figowego Drzewa. A więc o to chodzi. Byli tacy szczęśliwi, gdy stamtąd wrócili. Pamiętał, jak ręka Tattona spoczywała na nodze Briar. Odepchnął niepokojące myśli i skoncentrował się na lądowaniu. Porozmawia z Briar później.

Sheeba, widząc samolot, aż zaskomlała ze szczęścia. Liznęła błagalnie rękę Rudo, która trzymała ją za obrożę, ale Rudo tylko wzmocniła chwyt. Obowiązywała zasada, że Sheebę puszczało się dopiero wtedy, gdy Pat znalazł się już na werandzie.

Radość Sheeby na widok Pata emanowała na wszystkich klientów, których przywoził. Musieli pogodzić się z oślinionymi całusami i zadrapaniami, gdy skakała, by ich polizać po twarzy i przywitać.

Gdy Pat szedł do domu, Sheeba dumnie maszerowała pierwsza. Otworzył drzwi swojego gabinetu, a ona skorzystała z okazji, by polizać mu rękę. Pat nie zwrócił na to uwagi. Ciągle próbował zrozumieć przyczyny nagłej wrogości Briar wobec Tattona.

– Rudo! – zawołał. Pojawiła się w drzwiach i bacznie mu się przyjrzała. Najwyraźniej coś musiało go zdenerwować. – Pan Boyce i ja lecimy po południu do Harare. Dopilnuj, proszę, żeby jego bagaż został spakowany i zanesiony do samolotu.

Rudo czekała na jakieś wyjaśnienia, ale Pat już się zajmował stosem listów, czekających na biurku. Szybko je posortował, wrzucając do drucianego koszyka te, które nie wydawały mu się w tej chwili ważne. Jeden zwrócił jego szczególną uwagę.

– Niech to szlag! – mruknął, czytając oficjalny dokument z Wydziału Imigracji. Złożył papier na pół i rzucił na biurko, ale zaraz znów go wziął i przeczytał jeszcze raz.

Rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi.

– Proszę! – krzyknął. Do gabinetu weszła Briar.

– Pat, muszę z tobą porozmawiać – powiedziała nerwowo. Drżącymi palcami szarpała koniec warkocza.

– Tak. Mamy mnóstwo spraw do omówienia – przyznał. – Ale teraz spójrz na to. – Podał jej list. Briar powoli go przeczytała.

– Wiedzieliśmy, że tak się musi stać. A teraz trzeba znaleźć wyjście z tej sytuacji. Musimy jechać do Erina i Tary.

– Najpierw odwiozę Tattona do Harare. Do Nowego Ganyani polecimy jutro o brzasku. Powiedz Rudo, że może zabrać Bunę i lecieć z nami. Jacob i Shoko będą zachwyceni ich wizytą.

– Poprzednim razem Shoko wrzucił Bunę do strumyka, bo chciał sprawdzić, czy popłynie. – Briar nie była pewna braterskich uczuć Shoko. – Uważa Jacoba za

swoją własność.

– O tak, choć niewielki, jest bardziej psotny niż całe stado małp – roześmiał się Pat. – Briar – zatrzymał ją, gdy już szła do drzwi. – Proszę, przyjdź na pas pożegnać Tattona.

– Nie mamy sobie nic do powiedzenia – odparła Briar zimno.

– Jak chcesz, ale to nie jest odpowiednie zachowanie dla osoby prowadzącej obóz.

Briar przełknęła ślinę i udało jej się przywołać na usta drżący uśmiech.

– Masz rację! Pożegnaj go, a potem pomodlę się, żebym go już nigdy więcej nie zobaczyła.

– Znakomicie!

Sheeba siedziała obok Briar w samochodzie. Leciutko jęczała, gdy samolot krążył nad nimi, a potem skierował się do Harare.

Briar potarła jej uszy i pogłaskała po grzbiecie.

– On wróci, Sheeba. Masz szczęście, bo cię kocha. Nie musisz mu nic wyjaśniać. A jak ja mam mu wytłumaczyć, że go kocham, ale nie mogę z nim żyć? Nawet gdyby teraz badanie na AIDS wypadło negatywnie, mogę być zarażona, a za pięć lat mogłabym się okazać seropozytywna. Och, Sheeba...

Łzy popłynęły strumieniami po jej policzkach i Sheeba zaczęła się wdrapywać na kolana, by ją pocieszyć.

– Kochana, głupia staruszko – wymamrotała Briar między dwoma szlochami.

– Wracaj na swoje miejsce.

Sheeba nie poruszyła się. Usiłowała polizać słone policzki kobiety.

– Och, Sheeba, tak go kocham – łkała Briar. Objęła sukę za szyję i ruda sierść ściemniała od jej łez.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Tara odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się. Splątane loki zatańczyły jej po twarzy. Wydawało się, że nie czuje chłodnego powiewu omiatającego skórę i wysuszającego usta.

– Ganyani nie mogło być tak cudowne jak Nowe Ganyani – powiedziała do Erina, który siedział obok niej w toyocie.

– Było inne – przyznał. – Tu jesteśmy blisko terenów safari Chete. Tam był Wodospad Wiktorii. Każda z tych krain jest piękna na swój sposób.

– Ale ciągle tęsknisz za Ganyani i Karne.

– Tak. Tam spędziłem dzieciństwo i wspomnienia związane z tamtymi domami zawsze będą mi bardzo drogie.

Tara najchętniej by się uszczypnęła za to, że zburzyła radosny nastrój poranka. Na moment zapomniała, że w Karne i Ganyani Erin wiódł radosne życie z braćmi i matką.

– Erin, i tutaj z czasem powstaną nowe wspomnienia. Skinął głową i objechał sadzawkę przegradzającą trakt.

– Dziś przekonamy się, jak ci się podoba tropienie bawołu – powiedział. – Jeśli będziemy mieli szczęście, zdobędziesz kilka wspomnień, które będziesz mogła zabrać ze sobą do Włoch.

Jeżeli tam wrócę, pomyślała Tara.

Wrosła już w życie Nowego Ganyani. Każdego ranka przed jej kliniką czekał ogonek pacjentów. Wiadomość o „doktorce” rozeszła się po okolicy z szybkością, z jaką rozprzestrzenia się pożar w buszu. Tara nie potrafiłaby zdobyć się na odsyłanie kobiet, które wędrowały po jej poradę całymi dniami.

Erin ostrzegł ją, że władze dowiedzą się o klinice i zażądają okazania pozwolenia na pracę. Odparła, że nie pobiera opłat, więc trudno to nazwać pracą.

Erin tylko wzruszył ramionami. Znał afrykańskie zwyczaje. Codziennie spodziewał się listu albo telefonu z Wydziału Imigracji z pytaniem, dlaczego jego gość pracuje i oznajmieniem, że wiza straciła ważność.

Rozległ się cichy gwizd i Erin zahamował. Jonas zeskoczył z siedzenia tropicieli, Erin też wysiadł z samochodu i przykucnęli przy czymś, co wyglądało na odchody i ślady racic domowego bydła.

Erin wyprostował się i uśmiechnął do Tary.

– Twój bawół! – powiedział. – Ślad jest świeży. Chyba idą do strumienia. Tara zarzuciła pasek aparatu fotograficznego na ramię.

– Zrób zdjęcie – poprosił Erin. Popatrzyła wokół, na trawę i pustą drogę.

– Co mam fotografować?

– Cokolwiek. Chcę wiedzieć, jak głośno chodzi spust.

Skierowała nikoną na Jonasa i nacisnęła spust migawki. W panującej dookoła ciszy rozległ się głośny trzask.

– Zostaw aparat w samochodzie – zaproponował Erin. – I tak po kilku godzinach marszu będzie ci się wydawało, że waży całe tony. A poza tym nie będziesz go mogła użyć, bo ostrzeżesz bawołu o naszej obecności.

Tara posłuchała go. Włożyła aparat do skrzynki pod siedzeniem tropicieli, natomiast wyjęła kamerę.

– Nie zajmuje dużo miejsca – zaśmiała się, wkładając ją pod kamizelkę. By to zrobić, musiała odpiąć górne guziki.

Erin zaczerwienił się. Zdawał sobie doskonale sprawę z jej urody. Nauczył się też szanować doświadczenie, jakie wykazywała pracując w klinice, i serdeczność, z jaką odnosiła się do pacjentów.

– Jest prawdziwym dzieckiem buszu, tyle, że urodziła się w Mediolanie – powiedział Erin, gdy jego ojciec zadzwonił spytać, jak się miewa Tara. – Wprost trudno uwierzyć, że to jej pierwszy pobyt w Afryce. Już bez trudu porozumiewa się w sindebele z kobietami i dziećmi, które leczy w klinice.

– Mówisz tak, jakby ci się podobała – dokuczał mu Pat.

– Och, tak, jest zabawna. Lubię z nią być – odparł Erin udając, że nie zrozumiał, co ojciec ma na myśli. »

Jonas stał bez ruchu, cierpliwie czekając na Tarę. Tak jak wszyscy w Nowym Ganyani, on też ją lubił.

– Ty pójdziesz za Jonasem, a ja ostatni – pouczył ją Erin. – Nie krzycz ani nie biegnij. Rób, co ci się powie. Pamiętaj, że bawół wygląda jak bydło domowe i ma taki sam zapach, ale wszyscy myśliwi odnoszą się do niego z respektem i lękają się go.

Tara skinęła głową.

– Nie obawiaj się! Ślady Jonasa nie zdążą jeszcze wystygnąć, gdy ja już w nie włożę stopy.

Erin spojrział na nią badawczo. Tara miała trochę złośliwe poczucie humoru. Teraz na jej twarzy malowała się powaga, ale kącik ust był leciutko uniesiony.

Nagle pożałował, że nie poczekał z tą wyprawą na powrót Jacoba. Tropiciel został w Karne Dwa dłużej niż Erin się spodziewał. Najwyraźniej Pat zabrał Briar i klienta na łódź, pozostawiając dom pod opieką Rudo i Jacoba. Trudno przewidzieć, jak Tara się zachowa stając na wprost swojego pierwszego bawołu. A były

to zwierzęta nieprzewidywalne. Pozostawione w spokoju, na ogół pasły się spokojnie, jak bydło. Ale ranne lub podrażnione stawały się szatańsko chytre i niebezpieczne.

Erin uważał, że Tara jest tak samo nieprzewidywalna. Nigdy nie było wiadomo, czy mówi poważnie, czy żartuje. Jednak podziwiał entuzjazm, z jakim wszystko

przyjmowała. Od przyjazdu do Nowego Ganyani czekała na dzisiejszy dzień i nie chciał jej rozczarowywać.

Westchnął i dał znak Jonasowi, by podjął ślad. Podniósł się lekki wiaterek. Suche liście drzew mopane zaczęły się poruszać jak skrzydła wielkich, złotych motyli. Erin parsknął niezadowolony. Najprawdopodobniej po południu się ochłodzi.

Jonas poczuł wiatr w tej samej chwili. Spojrzał w górę, na pierzaste chmury stojące wysoko na niebieskim, jasnym niebie, a potem znów wbił wzrok w ziemię.

– Niedobry czas na bawoły – powiedział w sindebele. Zanim Erin zdążył odpowiedzieć, Tara spytała:

– Dlaczego? Bawoły nie lubią wiatru?

Jonas czasami słyszał, jak Tara mówi słówko czy dwa w jego języku, ale nie zdawał sobie sprawy, że potrafi już tak wiele. Nie mógł się doczekać, kiedy powie o tym Jacobowi. To Jacob, spotkawszy Tarę w Bulawayo, oznajmił po powrocie do domu, że gdyby znała miejscowy język, byłaby doskonałą żoną dla Erina. Potem oni obaj mogliby uczyć synów Erina polować, tak jak dawniej uczyli jego samego.

– Nie o to chodzi – wyjaśnił jej Erin. – To my nie lubimy wiatru, bo bawół może nas wyczuć. Gdy wiatr wieje we wszystkie strony, tropienie staje się trudniejsze.

Tara skinęła głową. Dołączyła tę informację do coraz większego zasobu wiadomości o Zimbabwe, jakie starannie zbierała.

Jonas zwolnił. Tara bezwiednie wstrzymała oddech, bo nie rozumiała, skąd ta ostrożność. Znajdowali się w zagajniku młodych drzewek mopane. Najprawdopodobniej w czasie wojny zrzucono tu Agent Orange, pomyślała, patrząc na zahamowane we wzroście rośliny. Odwróciła się do Erina.

– Czy to tu w czasie wojny rozpylano defolianty? – szepnęła.

– Wojny? Tato za Byronem nazywają „świętem sępów i marnowaniem życia”. Ja wolę opinię Napoleona, który uznawał wojnę za barbarzyństwo. – Położył palec na wargach, dając znak, że nie można teraz rozmawiać, ale jeszcze dodał: – Dziś nie będziemy mówić o wojnie, lecz o bawołach.

Tara jak w transie przyglądała się Jonasowi, który z małej torebki wysypywał popiół. Wiatr porwał szary proszek i bawił się nim, wprawiając w wirowy ruch między drzewami. Jonas stał nieruchomo, obserwując pył tańczący na wietrze walca. Potem wskazał na prawo.

Erin skinął głową. Szli powoli, aż dotarli do polanki. Zatrzymali się i Jonas jeszcze raz zbadał opadanie popiołu. Nagle zaszeleściły liście i z krzaków wypadła krowa bawołu. Oczy miała rozszerzone ze strachu wywołanego zapachem człowieka. Ten zapach przywarł do niej jak ptak wydziobujący pasożyty ze skóry.

Zobaczyła ich na polance i na chwilę zamarła. Potem parsknęła i zawróciła.

Unosząc wysoko nogi, popędziła z powrotem w zarośla, rycząc na alarm. Stado odpoczywające pośród drzew natychmiast wpadło w panikę. Wirujący wiatr, przynosząc zapach ludzi do ich szerokich nosów, jeszcze bardziej podsycił ten strach. Kręciły się w kółko, niezdolne do wykrycia kierunku, z jakiego dochodziła zmienawidzona woń.

– Chodźmy stąd zanim któryś nas rozdepcze – ponaglił Erin.

Wkrótce pozostawili za sobą parskanie i porykiwanie przerażonego stada i Jonas zwolnił.

Erin wskazał termitierę ulepioną z czerwonej gliny i ocienioną przez drzewo akacji.

– Tu odpoczniemy – powiedział. Trochę obawiał się reakcji Tary na zachowanie podrażnionego stada.

– To było nadzwyczajne – usłyszał jej słowa. Ułożyła się w plamie cienia. – Do końca życia nie zapomnę strachu w oczach tego bawołu, gdy nas zobaczył.

– Będzie jeszcze bardziej nadzwyczajnie – oznajmił Erin, patrząc na chmurę kurzu. – Jesteśmy pod wiatr od nich. Uciekają od naszego zapachu, który wyczuły w zagajniku. Ale musimy wdrapać się na termitierę i siedzieć nieruchomo. Rozdziela się, by ominąć termitierę. Nic nam nie grozi.

Już słyszeli ryki i parsknięcia.

– Przyjrzyj im się, gdy będą przebiegały koło nas – polecił jeszcze Jonasowi. – Może wypatrzysz jakieś rogi nadające się na trofeum. Dobrze byłoby wiedzieć, na co możemy liczyć na naszym terenie.

Jonas skinął głową. Oczy utkwiał w wielkich ciemnych kształtach wyłaniających się z chmury kurzu. Racice tłukły ziemię z siłą grzmotu zapowiadającego burzę.

Pierwsze bawoły minęły już termitierę i wiatr przyniósł im zapach ludzi. Próbowaly zawrócić, ale reszta stada pognęła je do przodu. Oszałałe, zwierzęta wyglądały jak ciężka, burzowa chmura pędząca po niebie. Hałas był ogłuszający. Erin, Tara i Jonas poczuli zawroty głowy.

– Trzeba je rozproszyć – odezwał się w pewnej chwili Jonas. – Inaczej nie wypatrzymy wielkich rogów.

Erin przez moment milczał. Patrzył na ryczące morze czerni falującej poniżej. Zachowanie Tary uspokoiło go, ale gdyby on i Jonas pobiegli rozdzielać stado na mniejsze grupki, musieliby zostawić ją samą, a tego nie chciał.

Bawoły będą od nich uciekać szybciej, niż kleszcze uciekają ze skóry martwego zwierzęcia. Było to niebezpieczne, lecz podniecające. Erin jeszcze nigdy nie rozpraszał stada bawołów bez Jacoba. Zdrowy rozsądek doradzał, by pozwolić bawołom przebiec, ale jakaś perwersyjna, męska próżność zmuszała go do wykazania się przed Tarą.

– Taro, zostaniesz tutaj. Cokolwiek by się stało, nie ruszaj się – polecił.

Bez słowa skinęła głową. Nie uznawała obietnic, póki nie zostały głośno wypowiedziane. Erin wziął głęboki oddech, a potem razem z Jonaszem ześliznęli się z termitiery. Machając rękami i krzycząc jak wariaci zniknęli w czarnym morzu.

Tara wrzasnęła i zacisnęła powieki, pewna, że walące racice rozetrą ich na miazgę. Gdy znów otworzyła oczy, aż sapnęła. Wydawało się, że zwierzęta pochłonęły obu mężczyzn. Nie widziała już jasnych włosów Erina.

Nie namyślając się ani przez chwilę, zsunęła się z termitiery i na oślep pobiegła w kierunku skłębionego stada. Odór gnoju, pyłu i zwierzęcego potu był wszechogarniający. Gdziekolwiek spojrzała, widziała mijające ją w pędzie wielkie garby i rogi. Nagle któryś bawół skierował się prosto na nią. Była pewna, że zaraz ją zdepta, ale nic takiego się nie stało. Na jej widok stado rozstępowało się jak wysoka trawa odgarniana na boki przez lwa. Zwierzęta mijały ją i pędziły dalej.

W końcu ryki, parsknięcia i uderzenia racic o ziemię ścichły do ledwo słyszalnego dźwięku. Przyływ adrenaliny, który kazał jej się rzucić w środek stada, ustąpił. Poczła mdłości.

– Tara! – Erin był wściekły. – Mówiłem ci, żebyś została na szczycie termitiery. Wydaje ci się, że kim jesteś? Superkobietą?

Złość w jego głosie i oczach spowodowały, że Tara opadła na ziemię i ukryła twarz w dłoniach.

– Bałam się! – załkała. – Nie widziałam cię. Myślałam, że już nie żyjesz. Było tyle hałasu i kurzu. Byłam pewna, że już cię nigdy nie zobaczę.

Erin spojrzał na skuloną u jego stóp, szlochającą dziewczynę i jego wściekłość odeszła tak samo, jak odeszły bawoły. Uklęknął koło niej.

– I było to dla ciebie na tyle ważne, że wbiegłaś w środek stada?

– Tak – szepnęła.

Nie zwracając uwagi na to, że Jonas ich obserwuje, Erin objął Tarę i pocałował łączy jej policzków. Potem jego wargi osunęły się niżej i dotknęły jej ust.

W pyle i smrodzie pozostawionym przez bawoły dwoje młodych ludzi w milczeniu podjęło decyzję o swojej przyszłości. Jonas uśmiechał się pod nosem, prowadząc ich do toyoty. Ma mnóstwo do opowiadania Jacobowi. Teraz już był pewien, że kiedyś obaj będą uczyli synów Erina polować.

A Erin szedł za Tarą, niebotycznie zdziwiony swoim postępkami. Przecież nie miał najmniejszego zamiaru jej całować. Nagłe zrozumienie głębi uczucia, jakim darzył tę kobietę, jednocześnie go zdziwiło i trochę przestraszyło. Odkrył, że znów chce poczuć smak tych miękkich ust i przytulać tę głowę o ciemnych, kręconych włosach. Zaczął cicho gwizdać.

Gdy dotarli do toyoty, czekali tam na nich dwaj starzy mężczyźni. Przykucnęli za samochodem i wyglądali jak dwie cienkie, brązowe, pokręcone gałęzie. Jonas wyrzucił z siebie potok słów w sindebele, a oni opuścili głowy.

– Pozwól im mówić – polecił Erin. – Nie sędzę, by przyszli tu kraść. Słuchał w milczeniu. Mężczyźni gwałtownie gestykulowali opowiadając swoją historię.

– To mi wygląda na opowiadanie wędkarza o złowionej rybie – zauważyła Tara patrząc, jak jeden z nich rozpościera szeroko ramiona.

– Prawie – przyznał Erin. – Opisuje rogi bawołu, który włóczy się przy źródle i terroryzuje kobiety przychodzące po wodę.

– Rzeczywiście bawoły tak postępują?

– Zdarza się. Czasami wyjątkowo złośliwy stary byk uznaje jakieś terytorium za swoje i przepędza każdego, kto się zanadto zbliży. Ci ludzie chcą, żebyśmy go zabili. Mamy prawo zastrzelić takie niebezpieczne zwierzę. Dziwne tylko, że bawoły stają się złośliwe właśnie wtedy, gdy mieszkańcy wioski potrzebują mięsa. Jonas szepnął coś do Erina.

– Dobrze – zgodził się Erin. – Powiedz im, że przyjdziemy jutro.

– A nie możemy zrobić tego od razu? – błagała Tara. – Ci biedni ludzie nie będą mieli wody. Poza tym zobacz, jacy są chudzi.

Erin potrząsnął przecząco głową. Wioska znajdowała się o godzinę jazdy. Wytropienie bawołu i zastrzelenie go potrwałoby co najmniej do zmierzchu.

– Och, Erin, proszę! Jeszcze nigdy nie polowałam na bawoły.

– Patrzenie na to, jak się go zabija, nie spodoba ci się.

– Obiecuję, że tym razem nie zrobię nic głupiego.

Czując, że kobieta jest po ich stronie, obaj starcy wyciągnęli do niej ręce i zaczęli szybko mówić w sindebele. Oczy Tary zaszyły łzami. Popatrzyła na Erina i jeszcze raz go poprosiła, by zaraz poszli do wioski. Erin ustąpił.

– Powiedz im, żeby wsiedli do samochodu – polecił Jonasowi.

Jonas wyszczerzył zęby. Zabierze wątrobę bawołu do Nowego Gayani. Jego rodzina będzie dziś miała wyśmienitą kolację.

Tara uśmiechnęła się i lekko dotknęła ramienia Erina.

– Dziękuję – szepnęła.

– Jeżeli tylko go zranimy, będziesz robiła dokładnie to, co ci każę – powiedział. – Koniec z głupimi popisami. Nie biegnij do rannego bawołu, bo wystawisz na niebezpieczeństwo życie nas wszystkich. – Popatrzył na nią w zamyśleniu. – Chcę usłyszeć głośno wypowiedzianą obietnicę, że zastosujesz się do moich poleceń.

Tara poczuła, jak wzrasta jej szacunek dla Erina.

– Obiecuję – powiedziała.

Erin skinął głową i zawrócił toyotę na wyboisty trakt, który wkrótce zmienił się w wąską dróżkę. Jonas zeskoczył na ziemię i szedł obok samochodu, wypatrując nor mrówkojadów. Mimo że to groteskowe, grube stworzenie jest zwierzęciem nocnym, miał nadzieję wypatrzeć chociaż jedną sztukę, bo uwielbiał jego mięso. Jednak upolowanie mrówkojada zdarzało się rzadko.

Nagle obaj Murzyni siedzący z tyłu zaczęli szybko mówić i wskazywać coś po prawej stronie. Jonas oznajmił, że jeżeli nadal mają się posuwać z prędkością piechura, lepiej od razu pojechać do źródła i poszukać śladów. Jeden ze starców wysliznął się z samochodu i pobiegł uprzedzić ludzi w wiosce, że w pobliżu znajdują się myśliwi. Kobiety i dzieci będą walić we wszystkie emaliowane i plastikowe naczynia, jakie mają pod ręką, by hałasem odstraszać bawołu od wioski.

Drugi starzec dołączył do Jonasa. Bez trudu dotrzymywał mu kroku. W końcu Erin zahamował. Tara z trudem rozprostowała palce i puściła uchwyt przy desce rozdzielczej. Pomasowała zdrętwiałe ręce, które zaczęły boleć, gdy krew do nich wracała. Cieszyła się, że na razie jazda po wybojach dobiegła końca.

– Przepraszam na chwilę – rzuciła i pobiegła za termitierę.

Szybko przykucnęła w trawie i pisnęła ze strachu, gdy kępa roślin uderzyła ją w plecy.

– Ach, tam jesteś – zawołał Erin. – Już mieliśmy cię szukać.

On i Jonas byli gotowi do drogi. Tara zajęła swoje miejsce w środku szyku i ruszyli do źródła. Nagle usłyszeli niesamowity harmider, walenie w naczynia i radosną paplaninę.

– Niech to szlag! – zaklął Erin. – Ten drugi starzec mógłby brać udział w olimpiadzie. Musiał biec całą drogę.

– Nadzieja na mięso przywróciła mu wytrzymałość młodego mężczyzny – odparł Jonas.

– Jeżeli bawół ma choć trochę rozumu, to już odszedł całe mile stąd. Jest tu tak głośno, że nie podejmiemy go niepostrzeżenie.

– Moi ludzie boją się nyati, więc hałasują, by wiedział, że nadchodzimy.

– Cudownie! – parsknął Erin.

Drzewa mopane przerzedziły się. Na błotnistym brzegu niezliczone ślady stóp wskazywały, w którym miejscu mieszkańcy wioski czerpią wodę.

– Mogę zrozumieć, dlaczego ten stary byk ich przepędza – mruknął cierpko Erin. – Wyobraźcie sobie, jak musi się czuć, gdy co dzień, rano i wieczorem, przybiegają tu kobiety gadatliwe jak sroki. – Spojrzał ze złością na grupkę ludzi, paplających w podnieceniu, którzy zbliżali się ścieżką. – Powiedz im, żeby odeszli tak daleko, aż stracą strumień z oczu – polecił Jonasowi. – Powiedz im też, że jeżeli usłyszę z ich kierunku nawet najcichszy dźwięk, natychmiast wracam do Nowego Ganyani i niech sobie szukają kogo innego do zastrzelenia tego bawołu.

Nastała cisza tak nagła i ciężka, jak po strzale z wielkokalibrowej broni. Czekaając, aż Jonas podejmie trop, Erin oparł koniec lufy o but. Jonas popatrzył na niebo, a potem na równinę.

– Dlaczego tak się zachowuje? – spytała szeptem Tara.

– Zastanawia się, co by robił o tej porze dnia, gdyby był bawołem – odparł

Erin. – Chodź – dodał, gdy Jonas zagwizdał. – Znalazł trop.

Tara zadrżała. Lękiem przejmowała ją myśl o tym, że jedno z tych ogromnych zwierząt, które kręciły się w kółko w oszalałym stadzie, może się teraz za nimi skradać. Tara Andretti po raz pierwszy w życiu poczuła taki sam dreszcz szacunku i strachu, jaki odczuwali wobec bawołów afrykańscy myśliwi z czasów Selousa. Po latach polowań mieszkańcy tego kraju stali się równie sprytni, jak bawoły. Na ogół pozostawiali stare byki w spokoju, tym razem jednak nie było to możliwe.

A Ślad poprowadził ich z powrotem do drzew mopane. Każdy krok wywoływał szelest liści i mieli wrażenie, że stąpają po wybuchających petardach. Bawół musi nas słyszeć, myślała Tara koncentrując się na stawianiu stóp dokładnie w odciskach pozostawionych przez Jonasa, by robić jak najmniej hałasu. Wzrokiem szukała jakiegoś drzewa, na które w razie potrzeby mogłaby się wdrapać. Gdyby bawół zaszarżował, wołałaby znaleźć się z dala od tych śmiertelnie groźnych, ostrych rogów. Nie mając strzelby, czuła się bezbronna. A stary bawół błotny nie wysiłał się, by zamaskować swoje ślady, które prowadziły od jednego zagajnika mopane do drugiego. Podążał naprzód bez wytchnienia.

– Wie, że idziemy za nim – szepnął Jonas, zatrzymując się na chwilę.

– Skąd może to wiedzieć? Nie widział nas, a idziemy pod wiatr – oponowała Tara, wykazując się świeżo nabytą wiedzą.

– O tej porze dnia bawół chodzi jak stary człowiek i pasie się. Minęliśmy dwa miejsca z dobrą, słodką trawą, ale nie zatrzymał się; minął je szybko.

Tara rozejrzała się wkoło. W każdej chwili spodziewała się, że zza jakiegoś krzaka wypadnie wielki, czarny kształt, ale wszędzie panował spokój, jakby zarośla wstrzymywały oddech w oczekiwaniu na zbliżające się łowy.

Jonas znów ruszył śladem, ale Tara zauważyła, że zamiast wpatrywać się tylko w ziemię, rzuca również spojrzenia na prawo i lewo. Bez żadnych przeszkód dotarli do czerwonej termiery. Tarze podobała się myśl, że te pagórki wyglądają jak wieżyczki zamku. Fascynował ją widok domostw termitów, istniejących w tym samym kształcie od setek milionów lat. Na chwilę zapomniała o byku, którego tropili.

Nagle jęknęła, gwałtownie wyrwana z zamyślenia przez Jonasa. Pchnął ją przed Erina, a sam stanął obok niego. Tara zastygła. Wydawało się, że ziemia drży. Część termiery, którą właśnie minęli, rozsypała się na pył.

To był bawół. Zawrócił, obszedł bokiem swoje ślady i teraz czekał w zasadzce, aż się do niego zbliżą, skoncentrowani na tropach.

Czterystaszesnastka wystrzeliła. Tara miała wrażenie, że pękły jej bębunki w uszach.

– Do diabła! – krzyknął Erin. – Niżej. Jest tam, w trawie.

Tara widziała teraz morderczą wściekłość w oczach zwierzęcia. W jego wzroku malowała się podłość i szaleństwo. Jej samej dzwoniło w uszach; była ogłuszona.

Walenie nóg, parsknięcia i ryk dochodziły do niej jak przez mgłę. Zwierzę pędziło na nich z wysoko uniesionymi zabójczymi, a zarazem wspaniałymi rogami.

Zacisnęła ręce na bluzce. Nie mogła opanować drżenia. Przenajświętsza Panienko, ocal nas, modliła się. Rozległ się drugi strzał. Bawół zachwiał się, ale mimo że kula przeszła brzuch, nie przerwał szarży. Wydawało się, że nawet sama śmierć go nie zatrzyma.

Po trzecim strzale parsknął. Opuścił głowę, jakby nie mógł już poradzić sobie z ciężarem ogromnych rogów. Powoli jego nogi się ugięły i opadł na kolana. Z pochyloną głową, jak w modlitwie, patrzył na ludzi, którzy stali nieporuszeni, choć Erin nadal celował.

Tara poczuła, że ogarniają bezbrzeżny smutek, nieodłączny towarzysz śmierci. Zamrugła, by odgonić łzy i spojrzała w niebo. Za nic nie pozwoliłaby, aby mężczyźni widzieli jej płacz.

W bolesnym wysiłku bawół próbował podnieść głowę. Krew ciekła mu z pyska na masywną pierś, gdy jego śmiertelny ryk uniósł się nad buszem. Przyprawiał o dreszcz, ale zarazem był smutny jak sygnał trąbki na pogrzebie wojskowym.

Tara rzeczywiście zadrżała, ale to nie był koniec. Bawół raz jeszcze obwieścił światu swoją agonię.

Odeszła od Erina i Jonasa, stanęła plecami do nich i wpatrzyła się w niebo. Jej ramiona drżały, a po policzkach popłynęły łzy, gorące i słone jak krew bawołu. Wydawała się taka drobna i delikatna. Erin już chciał do niej podejść. Ale Jonas położył mu rękę na ramieniu.

– Lepiej niech w samotności poradzi sobie z żalem – szepnął.

– Chyba tak – przyznał Erin. – Prześlij wiadomość do wioski. Niech przyjdą po mięso.

– Słyszeli strzały – mruknął Jonas. – Zaraz tu będą.

Zanim Erin zdążył zaproponować, rozległy się radosne śmiechy i paplanina, oznajmiające przybycie ludzi.

Gdy nadeszły kobiety z naczyniami i nożami, Tara wytarła oczy rękawem bluzki. Erin i Jonas udawali, że nie zauważyli, jak przedtem się od nich odsunęła.

Wieśniacy zręcznie otworzyli wielki brzuch bawołu. Tara odsunęła się, bo odór wydobywających się z niego gazów przyprawił ją o mdłości. Mężczyźni wyciągnęli żołądki z na pół strawioną trawą. Był to sygnał dla kobiet, by wbiły noże, panga i toporki w martwego bawołu. Cięły mięso żwawo i radośnie. Wyglądały jak szaleni rzeźnicy.

Jonas podszedł do jednego z mężczyzn i wydał jakieś polecenie. Siedząca obok kobieta pogrzebała w misce z kawałkami mięsa, wyjęła wielką, czerwoną wątrobę, owinęła ją w liście i podała Jonasowi.

– Przed zmierzchem musimy dojść do samochodu – przypomniał Erin. Jonas

skinął głową, uszczęśliwiony z powodu wątroby. Była ciężka i gorąca.

Tara zajęła swoje miejsce w szyku. Nie było czasu na rozmowy. Jonas narzucił męczące tempo, a ona za wszelką cenę chciała udowodnić, że potrafi dotrzymać kroku mężczyznom. Gdy wsiadali do samochodu, gwiazdy stały już wysoko na niebie i świeciły jasno.

– Mieszkańcy wioski mają dużo szczęścia – odezwał się Erin. – Dzisiejszej nocy jest pełnia. Nie zostawią wiele dla sępów i hien.

– Będą potrzebowali czegoś więcej niż pełni, żeby nie porąbać się nawzajem – zauważyła Tara.

Erin z przyjemnością słuchał jej pewnego, spokojnego głosu. Najwyraźniej pogodziła się ze śmiercią tego starego bawołu błotnego. Na pewno pomogła jej w tym szczerą radość ludzi, którzy będą mogli najeść się mięsa do syta.

– Rozpalą ogniska, żeby wyciąć każdy, nawet najmniejszy kawałek i utrzymać z daleka drapieżniki i padlinożerców – wyjaśnił. – Lwy wolą polować w ciemne, deszczowe noce. Pełnia księżycy nie sprzyja zasadzkom, chociaż Jacob często mi przypomina, że „lew jest lwem i jest lwem”. •

Tara roześmiała się i Erin odetchnął z ulgą. Poradziła sobie z pierwszą śmiercią, której była świadkiem. Skoro tak, da sobie radę z życiem w buszu.

Wziął ją za rękę. Jonas uśmiechnął się i poklepał wątrobę, którą położył obok siebie na ławce. Dziś wieczorem jego żona okaże mu wdzięczność za poczęstunek, jaki przywiózł do domu. A był to poczęstunek godny wielkiego myśliwego. Zaczął nucić. Tara przez chwilę słuchała, a potem podjęła rytm. Erin z radością przysłuchiwał się ich zharmonizowanym głosom.

Włosi, podobnie jak Afrykańczycy, mają wrodzony talent do wspólnego śpiewu. Pat powiedział kiedyś, że głos Erina brzmi jak głos ropuchy w porze godów, więc Erin roztropnie pozostawił śpiew Tarze i Jonasowi, zadowolając się wybijaniem rytmu na kierownicy.

Palce Tary zacisnęły się na jego palcach. Czowała się tak, jakby wracała z długiej, niebezpiecznej podróży.

Dom jest tam, gdzie jest Erin, pomyślała. Muszę tylko przekonać o tym jego samego i tatę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Pat przywiózł Jacoba i zaopatrzenie do Karne Dwa, a potem poleciał po Rudo. Shoko natychmiast wczepił się w rękę Jacoba. Ciągnął za nią z całej siły, skacząc i piszcząc z podniecenia. Jacob uśmiechnął się do niego. Chłopczyk nadal był chudziutki jak gałązka drzewa mopane, chociaż ilości sadza i zsiadłego mleka, jakie zjadał, wystarczyłyby do wykarmienia całej czeredki dzieci.

– Nie urósł, bo ani chwili nie usiedzi spokojnie – stwierdził Jonas.

– Na to będzie miał czas, gdy się zestarzeje – odparł Jacob.

– Rozpuszczasz go! Nigdy nie będzie dobrym pracownikiem.

– Tylko mnie może nazywać ojcem – tłumaczył się Jacob – ale wychowam go na dobrego tropiciela. Już są – wskazał jasne, bezchmurne niebo.

Tara mrugnęła do Erina, a on się uśmiechnął.

– Tym razem się mylisz, Jacob – powiedziała. – Spójrz! Tam nic nie ma – i sama też zaczęła się wpatrywać w niebo, aż w końcu zakreśliło jej się w głowie.

– Tam – pokazał.

Tara zobaczyła tylko jakąś plamkę, która zaraz zniknęła jej z oczu.

– Rzeczywiście, to samolot taty – przyznał Erin.

Kilka minut później warkot silników potwierdził, że Jacob miał rację.

Shoko radośnie zapiszczał. Pan Pat zawsze przywoził Rudo, a jego nowa matka nigdy nie przyjeżdżała bez ciasta, lepkich toffi albo różowych lodów kokosowych.

Zanim jeszcze drzwi samolotu otworzyły się do końca, Sheeba już pędziła do pasa startowego. Shoko przywarł do nóg Jacoba. Suka wzbudzała w nim przerażenie. Ona zresztą dobrze o tym wiedziała i za każdym razem, gdy go mijala, stawiała na chwilę i warczała.

– Przestań! – skarcił ją Erin. – Już powinnaś wyrosnąć ze straszenia dzieci. Sheeba zwiesiła głowę i zaczęła przysuwać się do niego bokiem, ale nagle określiła się i pognęła witać Briar, Pata, Rudo i Bunę. Potem, dumnie krocząc, odprowadziła ich do toyoty.

Chociaż Pat śmiał się i wesoło gawędził, Erin wyczuł, że coś się stało. Ale z rozmową musiał poczekać, aż ojciec sam będzie chciał o tym powiedzieć.

– Śniadanie? – zdziwiła się Briar, gdy dojechali do obozu i zobaczyła nakryty stół.

– Znam tatę – wyjaśnił Erin. – Wstaje jeszcze zanim ptaki zdążą wyczyścić piórka i od razu chce jeść.

– Bezczelny smarkacz! – mruknął Pat i żartobliwie szturchnął syna.

Gdy Katoro po raz trzeci napełnił jego kubek parującą kawą, Pat rozparł się wygodnie w fotelu i wyciągnął z kieszeni list.

– Kłopoty? – zmartwił się Erin widząc oficjalny, czarny stempel.

– Mogliśmy się tego spodziewać – potwierdził Pat. – Wydział Imigracji

informuje nas, że panna Tara Andretti musi wyjechać z kraju. Jej wiza wygasła. Wszyscy spojrzeli na Tarę. Zbladła, a jej usta drżały.

– Nie! – szepnęła. – Nie mogę wyjechać!

– Zawsze możesz pojechać do Mediolanu, odwiedzić rodziców, a potem tu wrócić. Dostaniesz następną trzymiesięczną wizę turystyczną.

– Pat, nic nie rozumiesz. Jeżeli już raz znajdę się w domu, cała rodzina zewrze szeregi i nigdy mnie już nie wypuszczą. Tato pozwolił mi zamieszkać w Nowym Ganyani tylko dlatego, że ty z nim rozmawiałeś. – Zwróciła się do Erina, a on ze zdumieniem zobaczył w jej oczach łzy. – Erin, nie mogę zostawić kliniki. Co oni wszyscy poczną beze mnie? Nie mają innej pomocy medycznej.

– Tato, czy możemy coś zrobić? – spytał Erin.

– Oczywiście, nie dopuścimy, by ciągle jeździła między Włochami a Zimbabwe. – Pat podmuchał na kawę, a potem trochę wypił. – Jedynym rozwiązaniem jest, by Tara złożyła podanie o pobyt tymczasowy. A gdy dostanie takie pozwolenie, może również pracować. W końcu dostanie również pozwolenie na pobyt stały.

Tara pociągnęła się za palce.

– Tato nigdy by nie pozwolił, żebym zamieszkała na stałe poza Włochami. Należę do rodziny Andrettich, a to Włosi. – Chwilę się zastanawiała, a potem dodała: – Nawet gdyby tato ustąpił, mama i krewni nie przebaczyliby mu tego. Nie, to niemożliwe!

Pat odstawił kubek.

– Chodź, Taro, pokaż nam swoją klinikę. Może spacerując coś wymyślimy. Jacob, ty też chodź z moją strzelbą. I z Shoko – dodał na widok dwojga wielkich, czarnych oczu spoglądających na niego zza tropiciela.

Pojawił się Jonas z Buną na ręku.

– No dobrze, wy też chodźcie.

Jonas rozpromienił się, ale Shoko zawył widząc, że jego siostra będzie im towarzyszyła. Był pewien, że w Karne Dwa Buna jada wyłącznie ciastka i lody kokosowe.

– Dopilnujcie, żeby Sheeba została przywiązana – polecił Pat – bo inaczej kogoś ugryzie albo spłoszy zwierzęta. Niech to będzie spokojny spacer.

– Wiedząc, że dziś przyjeżdżacie, nie otwierałam kliniki – wyjaśniła Tara, gdy zbliżali się do chaty pod baobabem.

. – Na ogół poczekalnia jest pełna – powiedział Erin, pokazując prowizoryczne ławki pod wiatą.

Pat obszedł całą chatę i dokładnie ją obejrzał.

– Sama to zaplanowałaś i dopilnowałaś budowy? – spytał.

– Tak, zrobiła to, gdy byłem w Harare – roześmiał się Erin.

– Gratuluję, Taro! Chata jest doskonała.

Tara płała się w pochwałach Pata i na chwilę zapomniała o swoich kłopotach.

– Pospacerujmy jeszcze – poprosił Pat, biorąc z jednej strony pod rękę Tarę, a z drugiej Briar. – Lepiej mi się myśli, gdy chodzę, niż gdy siedzę.

Kobiety zaśmiały się.

– Wobec tego będę z tobą chodziła nawet cały dzień – oznajmiła Tara. – Pat – nagle spowaźniała – czy nie ma innego rozwiązania niż to, które zaproponowałeś?

– Tato, przemyśl to dobrze. – Erin był blady. – Nie możemy dopuścić do wyjazdu Tary.

– Może niech Tara pojedzie na kilka tygodni do siostry mojej mamy w południowej Afryce – odezwała się Briar. – Ciocia mieszka na ranczu we Wschodnim Transwalu, blisko słynnego Parku Narodowego Krugera. Taro, ciocia jest uroczą osobą, a twoje towarzystwo sprawi jej prawdziwą przyjemność. Wujek umarł w zeszłym roku, więc czuje się bardzo samotna.

– To może pomóc – Pat skinął głową. – W ten sposób mielibyśmy dodatkowe trzy miesiące na przekonanie pana Andrettiego, że staramy się o tymczasowy pobyt tylko po to, by Tara mogła pracować, co wcale nie oznacza, że chce się wyrzec swojego włoskiego dziedzictwa.

Zeszli z drogi na krętą ścieżkę, którą raz po raz przebiegały zwierzęta zmierzające do strumienia.

W miarę jak zbliżali się do wody, roślinność stawała się coraz gęstsza. Przez gałęzie drzew przedostawało się niewiele światła. Zniżyli głosy do szeptu, jakby znajdowali się w kościele. Buna wtuliła się w Jonasa. Małymi rączkami uczepliła się kołnierza jego koszuli i mocno zacisnęła mu go na szyi.

Nagle krzyknęła. Był to cienki, dziecięcy okrzyk przerażenia. Pat błyskawicznie okręcił się wkoło. Jacob już podawał mu broń. Krzaki zatrzęsły się zrzucając na ziemię suche liście, gdy coś wielkiego wyskoczyło z kryjówki i hałaśliwie się oddaliło. Jacob i Pat ostrożnie weszli w zarośla.

– Shumba – powiedział Jacob. Wskazał ślad łapy lwa i z kolczastego krzaka zdjął pasmo sierści w kolorze piasku.

– Dobrze podjadły i napiły się, a teraz spały – orzekł Jacob, czytając ze zgniecionej trawy.

– Gdyby Buna nie krzyknęła, weszlibyśmy na nie – dodał Pat sucho.

– Ale dlaczego krzyknęła? – dziwiła się Briar. – Nie mogła ich zobaczyć. Były całkowicie ukryte.

Jonas cicho przemawiał do Buni, aż wreszcie przestała płakać.

– To przez Shoko – powiedział. Pochylił się nad chłopczykiem i kontynuował ostro: – Naśladował panią, panno Taro. Znalazł kolec i zrobił Bunie zastrzyk.

– Więc mu powiedz, że jeśli jeszcze raz to zrobi, zabiorę go do kliniki i ukłuję go najdłuższą igłą, jaką mam – zagroziła Tara.

– Tym razem jego psota wyszła nam na korzyść, bo bez tego weszlibyśmy

prosto na stado lwów – roześmiał się Pat.

– Czy one jeszcze tu są? – Briar rozglądała się nerwowo.

– Ponieważ mają pełne brzuchy i dość się napiły, najprawdopodobniej odeszły gdzieś, gdzie nic im nie przeszkodzi w drzemce – uspokajał ją Erin.

– A co by się stało, gdybyśmy na nie weszli? – spytała Tara.

– Pewnie by uciekły, tak jak to właśnie zrobiły – odparł Pat, sprawdzając jednak, czyjego broń jest nabita.

– Albo by nas zaatakowały, zwłaszcza, jeżeli w stadzie są małe – dodał Erin. Tara wzdrygnęła się nerwowo, chociaż dzień był gorący. Całe towarzystwo ostrożnie ruszyło w kierunku brzegu.

– Spójrzcie! – powiedział Erin. – Czy to nie piękne?

Strumień wił się między czystymi, płytkimi sadzawkami. Wzdłuż brzegów rosły niebieskie i brzoskwiniove komeliny. Tara zerwała cytrynową ipomoeę i wpięła ją Bunie we włosy.

– Teraz jesteś śliczną dziewczynką – powiedziała, na co mała uśmiechnęła się łzawo.

Kobiety zdjęły buty i zanurzyły stopy w zimnej wodzie. Shoko usiadł przy brzegu i lepił dziwaczne zwierzęta z wilgotnego błota, a Buna, ssąc kciuk, zasnęła na kolanach Jonasa.

– Jest jeszcze trzecie rozwiązanie – odezwał się w pewnej chwili Erin. Łamał gałązkę na kawałki i wrzucał je do wody. Zamilkł, wpatrując się w szare patyczki wirujące powoli wokół sadzawki, a potem unoszone prądem do innej kałuży, w dole rzeki.

Czekali, ale Erin nie wiedział, jak wyrazić to, co myśli.

– Jakie? – spytał w końcu Pat.

Erin nadal wpatrywał się w płynące patyki.

– Niech Tara za mnie wyjdzie – wyrzucił z siebie. – Jako moja żona mogłaby prowadzić swoją klinikę.

Wszyscy zastygli w oszołomieniu. Patrzyli na Tarę.

Jacob i Jonas uznali za stosowne pomóc Shoko w lepieniu zwierząt.

– Mówiłem ci, że tak będzie – szepnął Jonas. Jacob zmarszczył brwi.

– Erin ma uszy jak impała. Słyszysz wszystko – ostrzegł.

– Małżeństwo? – Spytał Pat, a kark Erina zrobił się czerwony jak ognista lilia.

– To jeszcze jedno rozwiązanie – bronił się.

– Rozwiązanie czy oświadczyzny? – dopytywała się Briar, podczas gdy Tara uważnie obserwowała swoje stopy zanurzone w wodzie.

– Małżeństwo to zobowiązanie na całe życie, synu. Nie można go traktować lekko – powiedział spokojnie Pat, gdy Erin nie odpowiadał. – Mogę zrozumieć twoją chęć pomocy Tarze, ale pomyśl, jaka będzie reakcja jej rodziny, gdy dowiedzą się, że to tylko fikcja?

– Przepraszam, Taro! Nie powinienem był z tym wyskakiwać w ten sposób, ale mówiłem poważnie. Wyjdiesz za mnie? Mężczyźni z rodu Giffordów walczyli i umierali za ten kraj już w dziewiętnastym wieku. A ja będę walczył o ciebie. Czuję to od chwili, gdy spotkaliśmy się w Bulawayo, ale dopiero teraz wiem, że nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

Wszyscy wstrzymali oddech. Nawet Shoko jakby wyczuł, że dzieje się coś ważnego, bo przestał babrać się w błocie i usiadł nieruchomo.

– Och, niech ona się zgodzi! – szepnął Jonas i po raz pierwszy Jacob go nie skarcił.

Tara przez chwilę przenosiła spojrzenie z Pata na Briar, jakby próbowała odczytać ich myśli, a potem zwróciła się do Erina.

– Jeżeli małżeństwo jest trzecim rozwiązaniem, zgadzam się. To najlepszy ze wszystkich pomysłów – zakpiła. Twarz miała obojętną i nieruchomą. Erin był przerażony.

– Rozwiązanie! – wybuchnął. – Och, nie, Taro! Naprawdę chcę, żebyś za mnie wyszła. Mówię serio.

Tara wyciągnęła ręce do Erina.

– A ja chcę wyjść za ciebie i zostać panią Tarą Giffordową. Ale... Czy nie sądzisz, że pragnęłabym trochę bardziej prywatnych oświadczeń?

Erin poderwał Tarę na nogi i objął ją. Wszyscy się roześmiali i otoczyli młodą parę, zasypując ją gratulacjami.

Jacob i Jonas też podeszli i uścisnęli im ręce.

– Wasi synowie będą wielkimi myśliwymi – przepowiadali. – A wasze córki będą piękne i dostaniecie za nie bogate lobola od ich narzeczonych.

– Za pieniądze od ich mężów kupimy więcej ziemi – roześmiał się Erin. Pat przytulił Tarę.

– Nie wyobrażam sobie innej kobiety jako żony Erina. Witaj w rodzinie, córko. Tara stanęła na palcach i z wdzięcznością pocałowała Pata, ale nagle coś ją zaniepokoiło.

– Mój tato! – jęknęła. – Co on na to powie?

– Oczywiście, sporo od niego usłyszymy, ale nie będziemy się tym specjalnie przejmować – uspokoił ją Erin.

Popatrzyła na niego z ulgą. Tak, pomyślała. Znalazłam mężczyznę, który potrafi stawić czoło mojej rodzinie.

Pat pragnął zwrócić na siebie uwagę Briar, ale ona celowo stała koło Erina i rozmawiała z Tarą. Bardzo się obawiała, że w tej radosnej chwili Pat oznajmi wszystkim o ich własnej miłości. Musiała temu zaradzić.

Ramiona Pata opadły. Może źle ją zrozumiałem, myślał widząc miłość na twarzy Erina za każdym razem, gdy syn patrzył na Tarę. To musiała być po prostu reakcja po spotkaniu ze starym krokodylem. Takim samym jak ja, maltretował się w

duchu. Stary jak krokodyl, zwyczajny stary głupiec. Żadna młoda kobieta nie zechciałaby się ze mną wiązać.

– Tato – Erin odsunął się od Briar. – Dlaczego jesteś smutny? Przecież zostaniemy tutaj, w Nowym Ganyani. Nic się nie zmieni.

– Och, wszystko się zmieni – zaoponowała Tara. – Będziesz dziadkiem. Pat. My Włosi, uwielbiamy dzieci. – Chwilę myślała. – Erin – zwróciła się do narzeczonego – czy zdajesz sobie sprawę z tego, że poślubiając mnie, poślubiasz również moją rodzinę? – Mam ze dwustu krewnych albo i więcej – roześmiała się, ale zaraz spoważniała. – Będą oczekiwali, że weźmiemy ślub we Włoszech i zgodnie z wymaganiami Kościoła katolickiego.

Te słowa wprawiły Erina w głębokie zakłopotanie.

– Ślub odbędzie się tam, gdzie zechcesz, Taro. Wprawdzie moja rodzina jest wyznania anglikańskiego, ale ja osobiście sędzę, że Bóg nie zwraca uwagi na różnice w wyznaniach chrześcijańskich. Skoro jest Miłością, a wierzę, że to prawda, jest Bogiem wszystkich ludzi.

Tara odetchnęła z ulgą. Różnica wyznań martwiła ją. Wiedziała, że jeżeli jej małżeństwa nie pobłogosławi rzymskokatolicki ksiądz, nigdy nie będzie mogła wyjść za Erina.

– Dziękuję – powiedziała cicho.

Erin uśmiechnął się i pocałował ją. Nie zauważyli napięcia na twarzy Briar, gdy spoglądała na Pata, ale Jacob i Jonas zwrócili na to uwagę.

– Dziś w nocy bębny będą o tym mówiły. Może ludzie z wioski Goli G. opowiedzą nam, co wydarzyło się między panem Patem i panną Briar – wyraził nadzieję Jonas.

– Tak, posłuchamy bębnów – zgodził się Jacob.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Przy długim stole, ustawionym pod gęstą winoroślą, hałas osiągnął niemożliwe do wytrzymania crescendo. Grona, czarne i lśniące, zwisały jak kandelabry nad ręcznie haftowanymi obrusami. Z całego kraju wezwano wszystkich członków rodziny Andrettich, by pomogli zaradzić katastrofie. Zebrali się w wiejskiej willi Guida, tej samej, z której zarządzał winnicami. Usadowiony u szczytu stołu Guido, po prawej stronie miał żonę Marię, a po lewej córkę Tomasinę.

– Dobrze się spisałaś, Mario – powiedział Guido z ironią. – Nie widziałem takiego zgromadzenia rodziny od czasu pogrzebu mojego ojca.

– Ktoś musi cię przywołać do rozsądku i nałożyć wędzidło Tarze – odparła spokojnie Maria, wkładając do ust tłustą, zieloną oliwkę. – Zawsze pozwalałaś jej na wszystko i zobacz, do czego doprowadziłaś. A teraz wbrew mojej woli zgodziłaś się, by zamieszkała na tym myśliwskim ranczu. Przecież prosiłam cię, byś kazał jej wrócić do domu. Ale ty nie słuchałaś moich rad. Tara może zrobić z tobą, co tylko chce. Ugniata cię, jakbyś był miękki jak ten ser. – Wbiła nóż w ser o kształcie gruszki tak mocno, jakby to był Erin.

– Tato, mama ma rację – wygłosiła swoje zdanie Tomasina. – Co my w ogóle wiemy o rodzinie tego człowieka?

– Tara powinna wyjść za mąż tutaj, za porządnego Włocha, i urodzić porządne, włoskie dzieci – rozległ się damski głos z końca stołu. Powitały go pomruki aprobaty.

– W rodzinie Andrettich zawsze zawierano małżeństwa z Włochami. Zachowaliśmy czystą krew – rozbrzmiał inny głos. – Tu, w Mediolanie, do tej pory wszyscy nas szanowali. A teraz zaczną z nas kpić, bo dziewczyna z naszej rodziny uciekła z Afrykaninem.

– Dość! – ryknął Guido i walnął pięścią w stół. Krople czerwonego wina zaplamiały biały obrus. Nad zgromadzeniem zapanowała cisza, jaka zwykle roztacza się wieczorami nad winnicą. – Pytlujecie jak pijane od winogron sroki. Maria zacisnęła ze złości usta, ale nie zdobyła się na to, by przeciwstawić się mężowi.

Tomasina odgarnęła włosy na plecy. Siostra najwyraźniej znalazła kogoś takiego, jak ten porco Madden, pomyślała. Chociaż nie. Znajac Tarę, należało raczej sądzić, że jest to mężczyzna, który opowiada o zagrożonych gatunkach i chce ratować świat. Ona sama nie zachwyciłaby się kimś takim. Ale, tak samo jak matka, miała obowiązek zachować spokój, gdy ojciec się wściekał.

– Tara ma siłę rodziny Andrettich. To siła, która zbudowała nasze imperium. Pamiętajcie o tym. – Guido spiorunował wzrokiem wszystkich siedzących przy stole, nie przejmując się ich pozycją i znaczeniem. Marco wbił wzrok w talerz.

Gdyby Tara urodziła się jako chłopiec, nazwisko Andrettich zostałoby zapisane w gwiazdach, pomyślał Guido.

– Tara dokonała wyboru. Rozmawiałem z jej narzeczonym, a także z jego ojcem. Obaj są prawdziwymi mężczyznami. Ich rodzina ma środki do życia. Syn zarządza własnym ranczem. Wkrótce ich poznacie.

To oświadczenie zostało powitane radosnymi okrzykami. Guido znów zabębnił w stół. Maria zamknęła oczy widząc, jak na jej cennym obrusie wykwitają czerwone plamy od wina.

– Tara życzy sobie, by ślub odbył się tutaj, w naszym kraju. Erin Gifford zgadza się na małżeństwo w Kościele katolickim. Tak więc moje wnuki będą katolikami. Czy mogę pragnąć czegoś więcej?

Guido nie uznał za stosowne poinformować rodziny o kłótni, jaką miał z Erinem na temat miejsca zamieszkania młodej pary po ślubie. Guido groził, kłął, proponował udziały w przedsiębiorstwie, nawet posunął się do tego, że chciał im dać w prezencie ślubnym winnicę, ale nie zdołał zachwiać jego postanowieniem o zamieszkaniu z żoną w Nowym Ganyani.

Odkładając słuchawkę po tej rozmowie, skonstatował z niechęcią, że jego szacunek do przyszłego zięcia wzrasta. Teraz obrzucał twardym spojrzeniem rodzinę zgromadzoną przy stole. Nie, nie muszą o tym wiedzieć, zdecydował. Ale był szczęśliwy, że Tara wybrała sobie silnego mężczyznę.

– A o tym, że nikt nie śmie kpić z Andrettich, przekonamy się, gdy ludzie zaczną walczyć o zaproszenia na ślub – kontynuował po długiej chwili. – Mario, Tomasino, obstalujcie suknie już teraz i nie oszczędzajcie na niczym. We Włoszech mamy najlepszych krawców świata. Wybierzcie swoich ulubionych. Sprawcie, bym był dumny z kobiet naszej rodziny.

Maria zarzuciła mu ręce na szyję. Nic nie poprawiało jej humoru tak łatwo, jak obietnica nowych ubrań.

– A teraz jedzmy. Nie cierpię zimnych ravioli – zakończył Guido, zadowolony ze sposobu, w jaki poradził sobie z tą niełatwą sytuacją.

Na końcu długiego stołu nie ucichł jeszcze cichy pomruk, ale teraz brzmiał jak usypiające, łagodne bzyczenie pszczoł. Doskonałe potrawy i wino odwróciły uwagę rodziny od przygód najmłodszej dziewczyny Andrettich.

– Jeżeli Guido jest zadowolony, to nie ma o czym mówić – mruknęła jedna ze starszych ciotek, ciamkając bezzębnymi dziąsłami miękkiego makaronu. Popijała go czerwonym Tiganello z winnicy Guida.

– W czasach jego ojca coś takiego nie mogłoby się zdarzyć – warknął jej mąż.

– Dziewczyna zostałaby zmuszona do powrotu i w ciągu kilku miesięcy wydano by ją za włoskiego chłopca z dobrej rodziny.

– Z dobrej rodziny – parsknęła ciotka. – Zapomniałeś, że dziadek Guida zarobił swoje pierwsze pieniądze sprzedając papierosy na ulicy? – Wpakowała

następną łyżkę makaronu do ust. – I nie tylko... – dodała potępiająco.

– Cii – ostrzegł ją krewny siedzący w pobliżu. – Imperium Andrettich jest prawdziwym cudem we współczesnych Włoszech. Guido dobrze sobie zasłużył na swój sukces.

Gdy Guido wstał i zaproponował toast za przyszłe szczęście córki, wszyscy natychmiast poderwali się z krzeseł. Kiedy usiadł z powrotem i popatrzył na widok za oknem, jego oczy zasnuła mgiełka. Jak okiem sięgnąć ciągnęła się bogata, zielona winnica. Odkąd Tara pokazała, że ma charakter i kocha przyrodę, liczył, że osiadzie w tym rozłożystym, krytym czerwoną dachówką domu i zajmie się winnicą. Już od lat w innych krajach nie było niczym dziwnym, że kobiety kierują winnicami i produkcją wina, a on wiedział, że Tara mogłaby być w tym względzie pionierką we Włoszech. Marzył o nowych markach win: Tara Tiganello i Tara Frascati.

Ale tak się nie stanie. Jego najukochańsze dziecko odpowiedziało na zew Afryki. Oczywiście, będzie przyjeżdżała do Mediolanu, ale jej serce na zawsze pozostanie w tym upalnym, pylistym, twardym kraju. Afryka już nigdy jej nie wypuści.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Wokół ogniska w obozie Nowe Ganyani stały fotele obciążone beżowym płótnem, a Katoro ustawił tacę z plastrami biltongu i smażonymi krążkami bananów na rzeźbionym naczelnikowskim stołku, służącym za podręczny kredensik.

Briar, wycierając włosy, podeszła do ognia. Noc była zimna, więc chciała je wysuszyć nad płonącymi polanami mopane, ale zawahała się, zauważywszy Pata siedzącego na jednym z foteli.

Kiedyś muszę mu powiedzieć prawdę, pomyślała, a ta chwila jest równie dobra, jak każda inna.

Sheeba, leżąc u stóp swojego pana, wyskoczyła jej na spotkanie.

– Sheeba! – zawołał Pat, wpatrując się w ciemność poza kręgiem światła rzucanego przez ogień.

– W porządku, Pat. To ja. – Pozwoliła, by róg ręcznika zwisał i trochę osłaniał jej twarz. – Nie będzie ci przeszkadzało, jeżeli tu usiądę i wysuszę włosy? W tych otwartych kabinach prysznicowych panuje lodowate zimno.

Pat wstał i przysunął dla niej fotel bliżej ognia.

– Doskonały pomysł – odparł. – Lepiej, żebyś się nie zaziębiła przed samym wyjazdem do Mediolanu.

– Nie wiem, czy pojedę – powiedziała, wpatrując się w płomienie liżące drewno.

Pat milczał i Briar wyczuwała w tym zarówno rozczarowanie, jak i dezaprobatę.

– Widzisz, mama i tato...

– Bez trudu mogą ci opłacić podróż, a wiadomość ich zachwyci. Muszę ci powiedzieć, że zaprosiłem ich do Karne Dwa na kilka dni. Chciałbym, żeby podczas mojej nieobecności zajęli się domem.

– Och, będą zachwyceni. Wydaje mi się, że czują się bardzo samotni teraz, gdy ja już nie mieszkam w Inyati. Mama z radością będzie dogadzać twoim klientom, a tato odeśle ich do domu z obszerną wiedzą o sytuacji politycznej w Zimbabwe. Dziękują, że o tym pomyślałeś. – Położyła rękę na nodze Pata, ale zaraz ją cofnęła, jakby oparzyła się o gorący piec.

– Od naszego pobytu na „Goli” wiele myślałem o twoich rodzicach – powiedział Pat, bezwiednie głaszcząc Sheebę po łbie. – Nie wiem, jak przyjmą nowinę o tym, że ojciec Scotta będzie twoim mężem.

Polano pękło i iskry rozprysły się jak gorący olej. Sheeba uskoczyła na bok, otrząsnęła futro i warknęła nisko i groźnie. Briar skorzystała z okazji i zaczęła uspokajać sukę, by uniknąć odpowiedzi.

Pat pochylił się, wziął ją za rękę i odwrócił jej twarz ku sobie. Usiłowała się odsunąć, ale był to wysiłek tak samo bezskuteczny, jak próba wyrwania kończyny

ze szczęk krokodyla.

– Briar – powiedział nagłaco Pat. – Musimy porozmawiać. Powiedz, czy wtedy, na łodzi, mówiłaś poważnie?

Potrząsnęła głową i kropelki wody zabłyśły na jej włosach jak rosa.

– Nie możesz tak postępować. Zachowujesz się okrutnie i niesprawiedliwie.

Jej dolna warga zadrżała i Pat natychmiast poczuł wyrzuty sumienia.

– Nie chciałem sprawić ci przykrości – sumitował się – ale, proszę, wyjaśnij mi, o co chodzi. Powiedz, co się stało w obozie Figowego Drzewa. Wszystko zrozumie. Opowiedz mi o tym jak przyjacielowi, jak... – Zamilkł, zanim zdążył powiedzieć Jak ojcu".

Briar przełknęła ślinę.

– Tak bardzo mi wstyd! – szepnęła. Pat przysunął się jeszcze bliżej i zaczął łagodnie głaskać ją po ręce.

– Dlaczego?

A wtedy Briar zaczęła opowiadać i już nie mogła przestać. To było tak, jakby Nyaminyami rozwalił tamę w Kariba i rycząca woda zalała ziemię. Mówiła urywanymi zdaniem, nie trzymając się kolejności wydarzeń.

Najpierw wspominała Scotta, ich niewinną miłość i małżeństwo zaplanowane na „po wojnie”. Potem opowiedziała o grozie, jaką przeżyła, gdy gwałcił ją Kirk Madden. Kiedy mówiła o czułości doznanej podczas nocy spędzonej z Tattonem i swoim postanowieniu, że wyjedzie z nim z Zimbabwe, jej głos był prawie niesłyszalny.

W końcu zaczęła się dławić. Pat cierpliwie czekał. Po chwili podjęła wątek. Opowiedziała o pobycie na „Goli”, kłótni z Tattonem i o tym, co jej oznajmił.

– Tak więc sam widzisz, Pat, że nie mogę za ciebie wyjść. – Czekala na jego odpowiedź, ale potem sama przerwała milczenie. – Teraz i tak nie zechcesz się ze mną ożenić. Nie możesz, a ja to rozumiem.

Katoro wszedł do bomy z nowymi polanami. Pat machnął ręką, żeby nie podchodził. Katoro uciekł do kuchni i powiedział Jonasowi, by posłuchał przy ogrodzeniu, jak Briar płacze, a pan Pat jest niezwykle poważny.

– Coś się dzieje – stwierdził mieszając gulasz z impali. – Idź i posłuchaj!

– Nie – odrzekł Jonas. – Straciłbym pracę, gdyby pan Pat mnie przyłapał. Ty masz powody, żeby tam być, aleja nie.

Katoro pokiwał głową nad tchórzostwem Jonasa, wziął tacę z biltongiem i wrócił do bomy. Tym razem pozostał w cieniu i słuchał.

Sheeba wyczuła jego obecność, uniosła głowę i zawarczała.

– Spokój! – mruknął Pat. – To pewnie jakiś szakal węszący wokół obozu. Katoro przycisnął plecy do ogrodzenia z trawy i pomodlił się, żeby Sheeba nie przyszła sprawdzić, kto tu przebywa, ale głos Pata uspokoił ją. Zamknęła oczy i zdrzemnęła się przy ciepłym ognisku.

W końcu Briar umilkła i słycać było tylko trzask polan pękających w ogniu. Zwiesiła głowę, a ciągle jeszcze wilgotne włosy opadły jej na twarz. Nie mogła się zdobyć na to, by spojrzeć na Pata. Nie chciała widzieć odrazy w jego oczach.

Nagle poczuła, że Pat rękami mocnymi jak stal unosi ją z fotela. W jego ramionach była bezsilna. Gdy już stała, odsunął jej włosy z twarzy i założył je za uszy.

- Briar, popatrz na mnie – powiedział cicho. Powoli podniosła głowę.
- Czy nie przyszło ci do głowy, że Tatton mógł cię okłamać?
- Nie okłamał. Jestem całkowicie pewna, że nie miał żadnego zabezpieczenia.
- Ty niemądra kobieto! – szepnął Pat odgarniając pasmo włosów z jej czoła. – Mógł cię okłamać w sprawie swojej choroby.

Otworzyła szeroko oczy.

- Ale po co?
- Doprawdy nic rozumiesz? A przecież niemal osiągnął swój cel. Chodziło mu o to, by mieć pewność, że jeżeli nawet nie zwiążesz się z nim, nie wyjdiesz również za mnie – wyjaśnił Pat.
- Och, nie! To niemożliwe. Nikt nie mógłby być aż tak okrutny.
- Briar, w miłości i pożądaniu niektórzy ludzie nie znają granic. Odrzucony mężczyzna potrafi być podły.

Przytulił ją, a ona westchnęła tak, jakby właśnie wróciła do domu po długiej, samotnej podróży.

- Jeżeli to cię uspokoi, będziesz regularnie poddawała się badaniom – powiedział. – Ale niezależnie od ich wyników chcę, żebyś została moją żoną, dzieliła ze mną łóżko i zaznała mojej miłości.

Nagle Briar odsunęła się.

- A jeżeli to prawda i zarażę cię?
- Sam fakt zarażenia się wirusem nie oznacza jeszcze, że koniecznie trzeba zachorować na AIDS z wszelkimi jego objawami – odparł. – U tysięcy seropozytywnych ludzi kończy się na nosicielstwie.

W duchu Pat przysiągł sobie, że odszuka Tattona Boyce'a i wydusi z niego prawdę, nawet gdyby miał go zabić. Uśmiechnął się, bo poczuł, jak Briar odpreża się w jego ramionach.

Katoro radośnie wyszczerzył zęby i na palcach wyszedł z bomy. Oznajmił Jonasowi, że jednak w Karne Dwa odbędzie się wesele. Jonas popędził do wioski przekazać nowiny Jacobowi i Rudo.

Słyszac śmiech Tary i Erina, Briar i Pat odsunęli się od siebie jak dzieci przyłapano na psocie. Siedzieli spokojnie i rozmawiali, gdy dołączyła do nich Tara.

Erin poszedł do kuchni sprawdzić, czy Katoro dodał chili do porcji gulaszu przeznaczonej dla ojca.

- Dlaczego jesteś taki zadowolony? – spytał kucharza.
- Cieszę się z powodu ślubów, panie Erin – odparł Katoro.

– Ślubu, Katoro – poprawił go Erin, biorąc tacę z biltongiem, którą Katoro postawił na stole spiesząc do Jonasa z nowinami. – Będzie jeden ślub.

Erin przyłączył się do ojca i kobiet przy ognisku.

– Słuchajcie – powiedział Pat.

Rozległ się łomot bębnow, z początku cichy, a potem coraz głośniejszy i bardziej natarczywy. Dzika, drżąca fanfara na rogu kudu dołączyła do bębnow i podjęła ten sam rytm.

– Róg kudu obwieszcza zaręczyny – wyjaśnił Pat.

– To piękne. Och, kocham ten kraj – entuzjasmowała się Tara. Zjadła plasterk smażonego banana, oblizała palce i zwróciła się do Erina: – Czy moglibyśmy wziąć drugi ślub tutaj, w Nowym Ganyani? Proszę cię, Erin, tak bym chciała...

– W tradycyjnym stroju – zaśmiał się Erin i z zachwytem zobaczył, jak się rumieni.

– Prawie, chociaż w bluzce.

– Dlaczego? – Briar też się roześmiała. – W Afryce taki rozmiar jak twój uważany jest za piękny. Chude jak gałązki Europejki nasuwają tutejszym ludziom myśl o „chorobie wychudzenia”, więc lubią kobiety dobrze zaokrąglone.

– Czyli spełniam ich wymagania – ucieszyła się Tara.

Pat odsunął fotel i Sheeba podskoczyła, jakby zawstydzona, że jej pan przyłapał ją na drzemce.

– Erin, czy mógłbym cię poprosić na słówko? – spytał. Erin skinął głową, odstawił szklaneczkę z whisky i razem z ojcem wyszedł z bomy.

– Pat! – zawołała za nim Briar. – Proszę, nie teraz – ale Pat nie posłuchał jej. Gdy odeszli już wystarczająco daleko, Pat objął Erina za ramiona.

– Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy, gdy pierwszy raz przyjechałem do Nowego Ganyani?

Erin popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Nie, tato.

– O zatrudnieniu Briar Hanley jako gospodyni w Karne Dwa.

– Ach, tak. I wszyscy są zadowoleni, prawda? Czasami nawet ja miewam dobre pomysły.

– Doskonale – przyznał Pat i ruszył ciemną dróżką. Erin podążył za nim zdając sobie sprawę, że ojciec chce mu oznajmić coś ważnego.

– Rozmawialiśmy również o moim ewentualnym powtórny małżeństwie. Erin sapnął i stanął jak wryty. Pat odwrócił się twarzą do niego.

– Wtedy naprawdę sądziłem, że nie chcę dzielić życia z żadną inną kobietą.

– A teraz? – spytał ochryple Erin. Chciał krzyknąć: Nie! Nie możesz tego zrobić. Czy zapomniałeś już o mamie? Ale ugryzł się w język i cierpliwie czekał na wyjaśnienia.

– Wiem, i ty chyba też wiesz, że nigdy żadna kobieta nie zajmie miejsca twojej matki. Zawsze ją będę kochał, a wspomnienie o niej będzie mi bardzo drogie.

Pat odwrócił się i ruszył z powrotem w kierunku obozu. Erin zdziwił się widząc, jak daleko odeszli od bomby.

Wydawało się, że ojciec nie jest w stanie kontynuować rozmowy. Gdy zobaczyli blask ogniska przeświecający przez ogrodzenie, Erin przerwał milczenie.

– Tato, jeżeli chodzi ci o Briar, to ona nie jest nowa. Zawsze była częścią naszej rodziny. Mama ją kochała. – Na myśl o matce Erin przez chwilę nie był zdolny do mówienia, ale szybko się opanował. – To ja zaproponowałem, byś zatrudnił Briar w Karne Dwa. Jeżeli się z nią ożenisz, moje uczucia do niej nie zmieniają się. Będę ją kochał tak samo, jak do tej pory.

Erin objął Pata w ciemnościach. Tym razem to syn go uspokajał.

Gdy obaj mężczyźni weszli w krąg blasku ogniska, jasnoniebieskie oczy Briar poszukały na twarzy Erina oznak odrzucenia. Nie widząc nic takiego, uśmiechnęła się do niego drżącymi ustami.

– Witaj w naszej rodzinie, Briar – powiedział i pochylił się, by ją pocałować. W oczach Briar ukazały się łzy ulgi.

– No, daj spokój. Być jedną z Giffordów to jeszcze nie tragedia – zażartował. – Mówią o nas, że bijemy nasze kobiety, ale to nieprawda. Robimy to tylko w niedziele.

– Pat, Briar! – pisnęła Tara zdając sobie wreszcie sprawę, co się dzieje.

– Kobiety! – mruknał Erin kręcąc głową na widok Tary i Briar obejmujących się i płaczących. – Jeżeli tak się zachowują, gdy są szczęśliwe, co robią, gdy są smutne? Katoro! – zawołał – Przynieś szampana.

– Szampan w obozie w buszu? – zdziwił się Pat.

– Trzymam tu parę butelek na wypadek, gdyby klient zdobył rekordowe rogi. Tak się zdarzyło już dwa razy. Czują się wyróżnieni, gdy w zapyłonym obozie wznosi się na ich cześć toast szampanem.

Briar i Tara przyjęły kieliszki od rozpromienionego Katoro.

– Za nasze kobiety! – powiedział Pat i wypili.

– Za Afrykę i ludzi, którzy uczynili ją tak wyjątkowym miejscem – dodała Briar.

– Za szczęście i spokój na naszych ranczach – Erin wznosił następny toast.

– Za podwójne wesele w Nowym Ganyani – uzupełniła Tara. Pat, Erin i Briar popatrzyli na nią ze zdumieniem.

– Czyż to nie doskonały pomysł? – spytała.

– Nadzwyczajny – przyznał Pat. – Urządzimy najwspanialsze wesele w buszu w tym stuleciu.

Jakby w odpowiedzi na słowa Pata rogi kudu zagrały głośno i rozdzierająco,

przynaglając bębny do przyspieszenia rytmu. Wiatr przyniósł z wioski strzępy pieśni i jej słowa zawirowały wokół bomby.

Pat wzniósł oczy w zimowe niebo. Wydawało mu się, że gwiazdy poszturchują się, by zdobyć dla siebie trochę miejsca.

Dziękuję, szepnął w duchu. Dziękuję ci!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Tsvakai Tigera wyrwał z rąk sekretarki śliski papier faksowy. Zanim mu go podała, zdążyła rzucić okiem na treść. Było to surowo zabronione, ale Matamba płacił naprawdę dobrze.

– Faksy! – warknął Tigera. – Przekleństwo współczesnego świata! Człowiek nigdy nie może zaznać spokoju. Zawsze czekają na niego jakieś wiadomości.

Spojrzał na podpis pod informacją i wyprostował się w fotelu. Faks pochodził od amerykańskiego miliardera.

– Myślałem, że uwolniłem się od niego przynajmniej na parę lat – mruknął. Zdjął okulary, wyczyścił je i włożył z powrotem. Powoli przeczytał faks jeszcze raz i jego palce zacisnęły siana papierze. Sekretarka już myślała, że go podrze, ale Tigera się opanował.

– Przyjazd. Polowanie. Inspekcja – powiedział spokojnie. – Bardzo dobrze, Amerykaninie, wszystko się załatwi. Połącz mnie z panem Kumirai Matamba – rozkazał, a sekretarka pobiegła spełnić polecenie.

– Czego on znów chce? – spytał Matamba, rozpoznając głos sekretarki.

– Przykro mi, że pan się źle czuje, panie Matamba – powiedziała głośno – ale wydaje mi się, że powinien pan przyjąć ten telefon. To od pana Tsvakai Tigery.

– Kłopoty? – spytał.

– Tak, panie Matamba. Łączę.

Matamba usłyszał kliknięcie, a potem nastąpiła cisza. Tigera uwielbiał zmuszać ludzi do czekania.

– Przyjacielu!

Ach, pomyślał Matamba. On potrzebuje przysługi. Wtedy zawsze jestem jego przyjacielem.

– Miło cię znów usłyszeć – powitał go jednak spokojnie. Od jakiegoś czasu unikał wyjazdów do Harare. Pragnął trzymać się jak najdalej od Tigery.

– Przykro mi słyszeć, że jesteś chory.

– Chory? – zdziwił się Matamba, ale zaraz przypomniał sobie słowa sekretarki. – To nic poważnego. Po prostu zbyt wiele pożywnego jedzenia.

Tigera uśmiechnął się. Doskonale. Apetyt w końcu doprowadzi Matambę prosto

do trumny, pomyślał z radością.

– Czy możesz się skontaktować ze swoim przyjacielem Fredem Hanleyem?
– spytał akcentując słowo „przyjaciół”.

– Tak – odparł Matamba ostrożnie. – A o co chodzi?

– Potrzebujemy go. Musi przekonać tego młodego aroganta Gifforda, by zorganizował polowanie dla naszego Amerykanina.

– Myślałem, że wrócił do Stanów – zdziwił się Matamba.

– Tak, wrócił, ale jak większość zbyt bogatych ludzi, nie potrafi usiedzieć spokojnie. Ciągłe szuka nowych sposobów na wydawanie pieniędzy.

Matamba pokiwał głową. Amerykanin nie jest głupi i przyjeżdża sprawdzić, czyjego pieniądze ciągle jeszcze tutaj są.

– Jest sprytny. Podaje nam jakiś termin przyjazdu, a przyjeżdża w innym.

– Ale nie przyłapie nas. – Szukając w szkatułce cygara, Tigera napawał się swoją mądrością. – Nasz plan przydzielenia ziemi Giffordom okazał się bardzo dobry. Dzięki temu jesteśmy bezpieczni.

Matamba przytaknął niechętnie. A więc teraz to jest „nasz” plan. A przecież gdyby nie ja, już wyjeżdżałbyś z kraju pod pozorem pilnych spraw, byle tylko uniknąć spotkania z Amerykaninem.

– Daj Gifforowi do zrozumienia, że to ma być darmowe polowanie. Przysługa dla rządu – kontynuował Tigera. – Ja będę towarzyszył Amerykaninowi.

– Ty? – zdumiał się Matamba. – Przecież nienawidzisz buszu.

– To prawda, przyjacielu, ale jeden z nas musi być cały czas z Amerykaninem. Nie możemy pozwolić, by pozostał sam na sam z Giffordami. Sam wiesz, czego mogliby mu naopowiadać.

– I najprawdopodobniej by im uwierzył – powiedział Matamba łagodnie. Tigera mocno zaczerpnął powietrza. Miał nadzieję, że tak się nie stanie. Matamba tym czasem wziął notatnik i pióro. Rozmawiając dalej z Tigera, coś zapisywał.

– Zgadza się, że lepiej, byś to ty pojechał na to polowanie. Ja się do tego nie nadaję.

Tigera zaciągnął się cygarem.

– Zawiadom mnie, gdy skontaktujesz się ze swoim przyjacielem i ustalicie wszystko co do polowania.

Sekretarka Tigery już wyciągała rękę, by wziąć słuchawkę i odłożyć ją na widelki, gdy Tigera jeszcze dodał:

– Ach, zapomniałem. Amerykanin pragnie również pojechać na fotograficzne ranczo Pata Gifforda. Poproś Hanleya, by umówił pobyt na obu ranczach. – Tigera mówił teraz cichym, groźnym tonem. – I daj im jasno do zrozumienia, że spodziewam się najlepszego traktowania. Ma to być pobyt pierwsza klasa. I oczywiście oni ponoszą wszelkie koszty.

– Do widzenia, przyjacielu – powiedział Matamba prawie niedosłyszalnie.

Drażnienie Giffordów i rozkazywanie im jest tak samo niebezpieczne, jak szturchanie żmii kolczastą gałęzią. Żmija skoczy i wstrzyknie swój śmiertelny jad. Obawiam się, że właśnie tak to się skończy, rozmyślał Matamba. Podpisał się pod listem do Freda Hanleya i wsunął papier do faksu. Gotowe. Teraz pozostaje tylko czekać na odpowiedź.

W jego wielkim brzuchu zaburczało. Ze strachu i zmartwienia poczuł w żołądku pieczenie. Przeczuwał niebezpieczeństwo.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Ku zdziwieniu Erina Tara powiedziała mu któregoś dnia, że nie może rozsądzać sporów między myśliwymi, póki sama nie zabije zwierzęcia. Tak więc gdy w obozie potrzebowali mięsa, zgodził się, by pojechała z nim zapolować na impalę. Ciekaw był, jak sobie z tym poradzi, skoro tak bardzo przejęła się zastrzelonym bawołem. Nie wierzył, by była w stanie strzelić do antylopy.

Jadąc samochodem, rozmawiali cicho, ale ich słowa dochodziły wyraźnie do Jacoba i Jonasa siedzących na ławce tropicieli.

– Czy przyjazd tego Amerykanina oznacza, że musimy odłożyć na później ślub w Mediolanie? – spytała Tara.

– Niestety, tak – odparł Erin. – O miesiąc albo nawet dwa. Ale to bardzo ważne, byśmy zorganizowali mu polowanie.

Tara skinęła głową.

– Ja to rozumiem, tylko czy moja rodzina nie pomyśli, że się rozmyśliłeś?

– Może i jestem odważny, ale nie jestem głupi – roześmiał się Erin. – Nawet gdybyś ty nie podała mnie do sądu za złamanie obietnicy małżeństwa, twoja rodzina na pewno by to zrobiła. Tak więc, Taro, obawiam się, że z wyroku złego losu nieuchronnie zostaniesz panią Gifford.

Tara położyła swoją małą dłoń na jego ręce trzymającej kierownicę.

– A dlaczego ten Amerykanin chce nie tylko zapolować w Nowym Ganyani, ale również pobycć jakiś czas w Karne Dwa? – spytała, głaszcząc go lekko po palcach.

– Fred mówi, że ten człowiek dał Departamentowi Parków Narodowych dużą sumę na zakup ziemi. A ponieważ spędził długi czas w Afryce, wie, do jakich malwersacji może tu dojść. Chce się upewnić, że oba tereny są odpowiednio zagospodarowane. – Erin zachichotał. – Chciałbym być przy tym, jak Tigera będzie mu wyjaśniał, dlaczego ja mam tytuł własności Nowego Ganyani.

Nazwisko Tigery zaalarmowało obu tropicieli. Siedzieli wygodnie na tylnej ławce, bo nie musieli wypatrywać śladów aż do chwili, gdy dojadą do sadzawki. Jacob spojrzął na Jonasa i obaj pochyłili się do przodu, by lepiej słyszeć rozmowę.

– Musimy ustalić plan na czas pobytu tego bere, Tigery – szepnął Jonas.

– Tak zrobimy. O tym polowaniu będzie mógł opowiedzieć już tylko swoim przodkom – odparł Jacob – bo nie pozostanie przy życiu, by opowiadać o nim komukolwiek innemu.

– Tigera nie może się spodziewać, że Amerykanin zrozumie albo daruje mu rzeź dokonaną w Ganyani – mówił tymczasem Erin. – Sprawę Karne Dwa będzie łatwiej wyjaśnić. Tato jest tam tylko dzierżawcą.

– Gdy ten miliarder zobaczy, czego Pat dokonał, najprawdopodobniej zażąda, by rozszerzono prawa dzierżawne – głośno rozmyślała Tara.

– Tato i ja zamierzamy nad tym popracować – przyznał Erin. – Jestem jednak pewien, że właśnie dlatego Tigera chce mu towarzyszyć podczas polowania. Przyklei się do Amerykanina jak bawole łajno do butów.

Tara roześmiała się.

– Ale teraz przestańmy już mówić o Amerykaninie i Tigerze – zaproponował Erin. – Przyjechaliśmy tu, żeby zapolować na impalę i sprawdzić, czy trafisz antylopę równie łatwo, jak puszki, na których ćwiczylaś.

Tara zamilkła i złożyła ręce na kolanach. Erin spojrzał na nią pytająco, ale odwróciła głowę i zaczęła wpatrywać się w zarośla. Teraz, gdy nadszedł czas strzelania do impali, nie była już taka pewna, czy rzeczywiście chce zabijać zwierzęta. Westchnęła. Musi to zrobić, bo się do tego zobowiązała. W ten sposób w większym stopniu stanę się częścią życia Erina, pomyślała, ale jej palce drżały nerwowo.

Do sadzawki dojechali aż za szybko. Woda lekko falowała, dając świadectwo, że niedawno były tu zwierzęta. Jacob i Jonas okrążyli sadzawkę, pokazując sobie ślady w błocie i rozmawiając ściszymi głosami. W końcu Jacob cicho zagwizdał.

Tara pochyliła się, by wziąć Rigby, którą dał jej Erin.

– Ja to wezmę – powstrzymał ją. – Dla ciebie będzie za ciężka.

Krążyli wraz z tropicielami, zatrzymując się często, by przyjrzeć się drobnym odciskom ze spiczastymi czubkami.

– Wyglądają jak liście mopane – zauważyła Tara.

– Niezupełnie – zaprzeczył Erin.

– No dobrze, jak wąskie liście mopane. – Tara chciała postawić na swoim. Niedawno musiało przechodzić tam stado bawołów, które zatarły ślady antylop.

– Widzicie, straciliśmy tropy impali – powiedziała Tara, podnosząc z karku wilgotne włosy.

– Jacob i Jonas je odnajdą – pocieszył ją Erin.

Już chciała zaprzeczyć, gdy Jacob wskazał coś swoją laską. On tylko zgaduje, pomyślała Tara. Przecież to niemożliwe, by w błocie poruszonym przez bawoły odróżnić ślady antylopy. Jednak ku swojemu zdumieniu na wąskiej dróżce w pewnej odległości od zdeptanego terenu znów zobaczyła delikatne ślady.

Jacob powoli szedł naprzód i często się zatrzymywał. Erin wytłumaczył Tarze, że inne zwierzęta lubią paść się razem z impalami, bo te płochliwe antylopy mają doskonały wzrok i węch, co im pozwala jako pierwszym zwieryźć niebezpieczeństwo.

W duszy Tara miała nadzieję, że impale wyczują ich i uciekną, zanim zdąży użyć strzelby. Właśnie próbowała znaleźć jakąś wymówkę, by odwołać polowanie, kiedy Jacob padł na ziemię. Natychmiast zrobili to samo, osuwając się po kolei, jak kostki domina.

Jedno za drugim poczołgali się do zagajnika mopane. Nikt się nie odzywał. Jacob wyciągnął rękę i Jonas włożył mu w zapiaszczoną dłoń dwa patyki związane pośrodku mocną gumką. Jacob rozkrzyżował je, potem w miejscu połączenia patyków oparł lufę Rigby, podanej mu przez Erina, a następnie gestem nakazał Tarze, by przyczołgała się do niego. Erin ruszył za nią. Ale Tara nadal nie widziała antylopy. Wtedy Erin lekko uniósł głowę, więc zrobiła to samo i ledwo powstrzymała się od okrzyku. Pięćdziesiąt metrów dalej pasła się grupka impali. To były same kozły, dumnie prezentujące rogi w kształcie liry. Miały rdzawe zady, szczupłe boki w kolorze ochry i kremowe brzuchy. Te barwy przywiodły Tarze na myśl czekoladowe batony w paski, które jadła w dzieciństwie. Nie chciała zabijać tak uroczych stworzeń. Ale ciepły, łagodny głos już jej mówił do ucha:

– Wybierz najbliższego. Pamiętaj, celuj pod łopatkę. Nie odrywaj wzroku od tego miejsca i naciśnij spust. Nie ruszaj się. – Erin pocałował ją w policzek.

Zacisnęła palec na języku spustowym i spojrzała przez lunetę. Wydawało jej się, że antylopa jest tuż obok. Słyszała głos Erina. Przez celownik zobaczyła łopatkę antylopy i wycelowała dokładnie. Pociągnęła za cyngiel, ale zrobiła to zbyt wcześnie i kula trafiła antylopę w nogę, pod łopatkę, roztrzaskując kość. Kozioł zakręcił się i padł na piasek, a potem zaczął się czołgać za uciekającym stadem.

Tara z przerażeniem patrzyła na jego mękę.

– Nie! – krzyknęła. – Zobaczcie, co mu zrobiłam.

Rzuciła strzelbę na ziemię i chciała pobiec za antylopą. Erin skoczył, by ją powstrzymać i uspokoić, podczas gdy Jacob podniósł broń i sprawdził ją. Niemal z czcią wytarł piasek z lufy i przyjrzał się urządzeniom celowniczym. Jonas dołączył do niego, by wyrazić swój żal z powodu takiego potraktowania doskonałej broni.

– Sądzę, że Nsimba będzie raczej rodziła dzieci i leczyła ludzi w swojej klinice – stwierdził Jacob, polerując lufę Rigby.

Jonas ze smutkiem skinął głową.

– Nie będzie polowała z Erinem. Nie lubi zabijać – przyznał.

– Pospieszmy się! Musimy odnaleźć i dobić impala. Dopóki żyje, jej serce będzie płakało i będzie nienawidziła wszystkich – nakazał Jacob. Podeszli do Tary i Erina. – Musimy iść za impalą, zanim zaschną ślady krwi – powiedział.

Jego słowa rozerwały pajęczynę uzalania się nad sobą, którą Tara już zaczęła tkąć wokół siebie. Ręką otarła z twarzy łzy.

– Jestem gotowa.

– Dzielna dziewczyna. Idziemy – polecił Erin. Zarzucił swoją strzelbę na ramię, pozostawiając Rigby w czułych rękach Jacoba.

Tropienie rannego kozła impali było proste. Cierpiące zwierzę, posuwając się za stadem, zostawiało krople krwi na liściach i gałązkach.

– Kula musiała go trafić w arterię – powiedział Erin do Jacoba.

– Rzeczywiście, nie powinno być aż tyle krwi, ale to dobrze. Wkrótce osłabnie

i położy się.

Ale Jacob się mylił. Kozioł niestrudzenie podążał naprzód, popędzany szokiem i przyływem adrenaliny. Po wielu godzinach mężczyźni zaproponowali Tarze odpoczynek, ale ona odmówiła. Wypiła tylko trochę wody i nadal rozglądała się za plamami krwi. Każda taka plama pogłębiała w niej poczucie winy.

Nigdy już nie wezmę strzelby do rąk, przysięgła sobie deptając twardą ziemię. Erin nawet nie próbował przemawiać jej do rozsądku. Musiała sama pogodzić się z sytuacją.

Jacob zatrzymał się dopiero późnym popołudniem. Znajdowali się na niewielkiej polanie. Stał przed Tarą, próbując zasłonić sobą widok, ale odsunęła go.

– Tak mi przykro! Tak bardzo przykro! – szepnęła. Kozioł leżał na boku, jego śliczne rogi w kształcie liry pokryte były pyłem, a boki poruszały się w wysiłonym oddechu.

Podniósł głowę, zupełnie jakby wyczuł ich obecność. Ale wysiłek okazał się zbyt wielki. Głowa opadła mu na ziemię boleśnie bezwładna. Oczy miał zamglone od bólu. Śmierć była już blisko.

Ramiona Tary zadrżały jak w ataku febry.

– Erin, proszę, zastrzel go! Niech już więcej nie cierpi!

Wystrzał rozległ się, zanim skończyła mówić. Zwierzę drgnęło i legło nieruchomo. Tara uknęła obok i pogłaskała zwierzę po karku.

– Proszę, wybac mi! – szepnęła. – Nie chciałam ci sprawić takiego bólu. Erin podszedł do niej.

– Chodź, Taro. Niedługo się ściemni. Mamy długą drogę do samochodu.

– Musimy go pochować – odparła, pozostając na klęczkach.

– Taro – przekonywał ją – to mięso. Potrzebujemy go do nakarmienia ludzi w Karne Dwa.

– Proszę, Erin – błagała. – Nie dawaj ludziom do jedzenia tej właśnie antylopy. Proszę, pochowajmy ją.

Znow się rozpląkała. W ciszy, która zapadła nad buszem po strzale, jej szloch wydawał się nieprzyzwoicie głośny. Tropiciele wzruszyli ramionami i odwiązali szpadle o składanych trzonkach z pakunku, który Jonas nosił na plecach.

Erin ze zdziwieniem odwrócił się słysząc stukanie łopat o twardą glinę.

– Kozioł należy do myśliwego – wyjaśnił mu łagodnie Jacob. Erin skinął głową. Zerwał garść trawy i włożył ją impali do pyska.

– Na drogę – powiedział.

Tara spojrzała na niego z wdzięcznością i podziękowała.

Jacob i Jonas uklepalili łopatami nagrobek i odstąpili do tyłu. – Dziś wieczorem hieny wykopią go i będą miały ucztę z dobrego mięsa – uzalił się Jonas.

Jacob skinął głową i podszedł pomóc Tarze ułożyć bukiet z ognistych lilii na grobie antylopy.

Gdy odchodzili z polany, Tara jeszcze się rozejrzała. Miękkie promienie słońca odnalazły pofalowane, czerwono-żółte płatki, które zapłonęły ogniem na rym prostym grobie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Fred Hanley przebiegł palcami po swojej srebrnej czuprynie. Blanche sięgnęła ręką i odgarnęła mu pasmo włosów z oczu.

– Powinieneś strzyc się krócej – powiedziała.

– Wolę mieć długie włosy zamiast nosić kapelusz. W takie zimowe poranki dobrze ogrzeją mi głowę – odparł, uśmiechając się serdecznie do żony.

– Kiedy przyjadą Briar i Pat? – spytała już po raz trzeci w ciągu półgodziny. – Tak się za nią stęskniłam. I cieszę się, że znów zobaczymy Pata. Wiesz, że nie rozmawialiśmy z nimi od czasu, kiedy zadzwonili, by powiadomić nas o zaręczynach Tary i Erina? – Blanche dotknęła ręki Freda. – Mam nadzieję, że czują się dobrze i że w Karne Dwa nie stało się nic złego.

– Przestań się tak zamartwiać. Gdyby pojawiły się jakieś kłopoty, Pat od razu by się odezwał. Z nikim innym Briar nie mogłaby być tak bezpieczna, jak z nim. Blanche uśmiechnęła się.

– Pewnie masz rację. O której spotykasz się z Matambą?

Gdy Fred otrzymał list od Matamby, postanowił zastosować trochę silniejszą presję. Nalegał, by Matamba zobaczył się z Patem Giffordem w jego obecności i osobiście przedstawił mu swoją prośbę.

– Nie mogę prosić kogoś, komu zabrano wszystko, co kochał, by zmusił syna do zorganizowania darmowego polowania dla człowieka, który spowodował odebranie mu jego własnej ziemi – tłumaczył Matambie.

– Ale przecież dostał w zamian Karne Dwa – usprawiedliwiał się Matamba. Nie miał ochoty spotkać się twarzą w twarz z Patem Giffordem.

– To nie tak, przyjacielu. Karne stanowiło jego własność, natomiast Karne Dwa to tylko dzierżawa – odparł chłodno Fred. – A obaj dobrze wiemy, że taka dzierżawa może zostać w każdej chwili odebrana.

Matamba zgodził się z tym i zaplanowano spotkanie na następny tydzień.

Teraz Hanleyowie czekali w swoim domu w Bulawayo na Pata i Briar. Wreszcie usłyszeli warkot silnika samochodowego i Blanche wybiegła na zwirowany podjazd.

– Tam stoi mama – szepnęła Briar, ściskając nerwowo rękę Pata.

– Zamierzasz się rozmyślić? – spytał łagodnie Pat. – Jeżeli tak, to powiedz mi o tym teraz i nie będziemy o niczym zawiadamiać twoich rodziców.

– Och, nie, Pat. To nie to. Po prostu...

– Rozumiem cię doskonale. Nie martw się! Ja im to powiem.

Fred poszedł za żoną, ale znacznie wolniej. Stojąc wyżej, mógł widzieć wnętrze samochodu. Zobaczył, że Briar puszcza rękę Pata i zmarszczył brwi. Może Blanche miała rację i rzeczywiście w Karne Dwa stało się coś złego, pomyślał. Pat najwyraźniej pocieszał Briar. Wzruszył ramionami i dołączył do żony. No cóż,

zaraz się dowiemy. Przywołał na usta powitalny uśmiech.

Briar wpadła w ramiona matki.

– Och, kochanie, tak za tobą tęskniłam! Niech na ciebie spojrzę. – W milczeniu przez chwilę przyglądała się Briar. – Troszkę schudłaś, ale wydajesz się szczęśliwa i zadowolona. Najwyraźniej Karne Dwa ci służy. – Jeszcze raz ucałowała Briar i obejmując ją w pasie, zwróciła się do Pata. – Pat, jak to miło znów cię widzieć. Odkąd mieszkasz koło Chizarira, rzadko mamy okazję się spotykać.

Pat ucałował ją, a z Fredem uścisnęli sobie ręce.

– Na szczęście w najbliższej przyszłości to się zmieni – powiedział. Blanche poczuła, jak córka sztywnieje. Popatrzyła na nią. Briar zbladła, a w jej oczach odmalował się strach i niepewność. Blanche wyciągnęła rękę do Freda, który chwycił ją w swoje dłonie.

– Co się stało? Mów! – poprosiła jednak spokojnie.

– Chodźmy do środka – zaproponował Fred, widząc dwóch ogrodników, którzy z ciekawością się im przypatrywali. – Przed spotkaniem z Matambą mamy jeszcze czas na herbatę.

Blanche zadzwoniła na służbę. Gdy podawano im podwieczorek, rozmawiali o obojętnych sprawach. Ale kiedy zostali sami, Pat odezwał się uroczyście:

– Fred, Blanche, jesteśmy przyjaciółmi od tak dawna, że już nawet nie potrafie zliczyć tych lat. Szanuję i kocham was oboje, a także bardzo sobie cenię waszą przyjaźń.

Blanche mocniej chwyciła rękę Freda. Pat spojrział na Briar, która uśmiechnęła się do niego drżącymi ustami, ale skinęła głową.

– Proszę was o rękę Briar.

Zapadła pełna osłupienia cisza. Fred opadł na kwieciste poduszki, którymi wyłożony był jego fotel, a Blanche z otwartymi ustami wpatrywała się w Pata.

– Chcecie się pobrać? – wyjąkała w końcu.

– Tak, mam. Kocham Pata i obiecałam mu, że za niego wyjdę – potwierdziła Briar. – Wzięła matkę za rękę. – Wiem, że dzieli nas spora różnica wieku, ale oboje jesteśmy dorośli i wiemy, czego chcemy.

Widząc na twarzy matki sprzeciw, szybko mówiła dalej.

– Ty miałaś zaledwie siedemnaście lat, gdy wyszłaś za tatę. Byłaś po prostu dzieckiem, a zobacz, jaka teraz jesteś z nim szczęśliwa. Ja jestem prawie dwa razy starsza. Daj mi szansę, bym mogła skosztować choć trochę takiego szczęścia, jakiego ty zaznałaś z tatą.

Potem zwróciła się do ojca. Wyciągnął do niej ramiona, a ona, niczym dziecko szukające ukojenia w ramionach rodziców, skuliła się przy nim jak w gniazdku.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że każesz mi przyjąć mojego najlepszego przyjaciela jako zięcia? – szepnął jej do ucha.

Briar roześmiała się.

– O tym rzeczywiście nie pomyślałam, tato.

– Blanche? – spytał Pat. – Czy to znaczy, że się zgadzacie? Dla nas obojga jest bardzo ważne, byśmy otrzymali wasze błogosławieństwo.

– Jasne, że się zgadzam – powiedział Fred.

Blanche rozplakała się i Briar spojrzała na nią z lękiem.

– Mamo –prosiła. – Wyjdę za Pata. Ale mimo że nie jestem już młodą dziewczyną, w dniu ślubu chciałabym mieć przy sobie moją matkę.

– To taki szok. – Blanche wytarła oczy. – Po tym jak Scott, ja...

– Mamo, Scott zmarł. A ja nie mogę spędzić reszty życia wyłącznie na wspomnianiu.

– Kochanie, wypij herbatę – wtrącił się Fred. – My zaraz musimy wyjść na spotkanie.

Blanche, jak posłuszne dziecko, wypila słodką, gorącą herbatę.

– Kiedy ślub? – spytała odstawiając pustą filiżankę na tacę.

Jak zwykle herbata pomogła, pomyślała Briar. Mama już czuje się dobrze.

– Erin i Tara po powrocie z Mediolanu zamierzają urządzić jeszcze jedno wesele w Nowym Ganyani – wyjaśnił Pat. – Chcę, żebyśmy się pobrali właśnie wtedy.

– Cudowny pomysł! To będzie wydarzenie jak za dawnych czasów. Blanche, zacznij już wysyłać zaproszenia – ucieszył się Fred.

– Zaproś absolutnie wszystkich znajomych – roześmiała się Briar.

– A nawet kilku nieznajomych – dodał Pat.

– Erin będzie musiał upolować dość zwierzyny, by wykarmić całą armię. Czy zdajecie sobie sprawę, ilu ludzi z wiosek przyjdzie? – zmartwił się Fred. – Bębny roześlą zaproszenie na cały kraj. Ludzie będą przychodzić jeszcze wiele miesięcy po ślubie.

– Dopilnujemy, żeby bębny podały dokładną datę – pocieszył go Pat. Już teraz wyobrażał sobie kłopoty, jakie miałby Erin, gdyby musiał wykarmić niekończący się strumień wieśniaków, którzy całymi tygodniami szli ze swoich wiosek, by wziąć udział w uroczystości.

– Tym razem bębny będą głosiły nasze szczęście i będę ich słuchać – powiedziała Briar.

Fred wstał i pomógł żonie się podnieść.

– Pogratulujmy młodej parze, a potem musimy już jechać do Matamby. Blanche uśmiechała się, gdy Pat pochylił się i pocałował ją.

– Przepraszam, że płakałam – szepnęła. – Po prostu...

– Rozumiem, Blanche. – Pat zamknął ją w niedźwiedzim uścisku.

Kilka minut później samochód Freda odjeżdżał z podjazdu, rozpryskując na boki świeżo zagrabiony żwir.

Ogrodnicy patrzyli za nim i potrząsali głowami.

Matamba był w ogrodzie i grzał się na zimowym słońcu. Stał tyłem do podjazdu i nisko pochylał się nad świeżo przyciętym krzakiem róży. Wydawało się, że jego ciemnoszare spodnie zaraz pękną na szwach.

– Od tyłu wygląda jak stary samiec słonia – szepnęła Briar.

– Jest chyba jeszcze grubszy, niż kiedy go ostatnio widziałem w Harare – przyznał Fred. We wstecznym lusterku zobaczył minę Pata i zrobiło mu się przykro, że przypomniał o tamtej rozmowie.

Matamba podszedł do nich powoli. Podał wszystkim po kolei rękę i zaprosił gości do domu, na podwieczorek.

– Właśnie... – zaczęła Blanche.

– Z przyjemnością napijemy się herbaty, Kumgirai – przerwał jej Fred. Zwracał się do Matamby po imieniu tylko przy prywatnych spotkaniach.

Matamba wprowadził ich do gabinetu i zadzwonił małym, miedzianym dzwonkiem.

– Niech podadzą herbatę – polecił kobiecie, która weszła do pokoju. –1 ciasto – dodał, gdy już wychodziła.

– Przecież lekarz zabronił.

– To głupiec – powiedział Matamba. – Żołądek, taki jak mój, musi być dobrze karmiony. Od diety się skurczy i umrę. Potrzebuję pokarmu. Przynies ciasto. I kapenta – dorzucił wyzywająco.

Fred i Pat wstali, gdy żona Matamby wychodziła. Briar i Blanche wymieniły spojrzenia, ale zachowały milczenie.

– Fred – powiedział Matamba. – Rozumiesz chyba moją sytuację.

– Rozumiem sytuację pana Tigery – odparł Fred. – Musi ułagodzić bogatego, amerykańskiego dobroczyńcę i przekonać go, że pieniądze, które dał na ochronę przyrody, zostały właściwie zużyte. – Przerwał dla zaczerpnięcia oddechu. Obserwował zlaną potem twarz Matamby, jakby to był robak oglądany przez szkło powiększające. – Chcesz, żebym przekonał mojego przyjaciela Pata Gifforda i jego syna Erina, aby uśmierzyli obawy Amerykanina. Ty, albo raczej Tsvakai Tigera, żądacie dla niego darmowego safari, prawda?

Fred przerwał i pozwolił ciszy narastać. Rzeźbiony zegar z kukułką, wiszący na ścianie, tykał monotonnie.

– Czasy są ciężkie, Kumgirai – kontynuował po chwili. – Takie safari fotograficzne, jakie on zamówił, jest bardzo kosztowne, a ponadto w tym czasie nie będzie można przyjąć żadnych innych klientów. To oznacza sporą stratę.

– Ale... – wybuchnął Matamba.

– Będę potrzebował czegoś w zamian – dokończył spokojnie Fred. Przysłuchując się tym słowom, Pat zrozumiał, czemu jego przyjaciela tak poważano w senacie. Fred Hanley był człowiekiem zarówno twardym, jak i

mądrym.

– A co by to miało być? – spytał Matamba, z trudem poruszając ustami.
– Chyba zdajesz sobie sprawę – dodał szybko – że Tigera będzie musiał to zaakceptować.

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę – przyznał Fred. – Wiem również, że posiadasz informacje, które mogłyby mu pomóc podjąć korzystną dla nas decyzję. Matamba bezwiednie parsknął i herbata prysnęła mu na koszulę. W jaki sposób Hanley mógł się dowiedzieć o planach dotyczących zagospodarowania chronionych terenów wokół Wodospadu? To niemożliwe, pocieszał się. Na pewno ma na myśli coś innego.

– Zapewniam cię... – zaczął.

– Kungirai, obaj doskonale wiemy, o co chodzi – przerwał mu Fred. – Obaj mamy swoje źródła informacji. Pozwól, że ci powiem, na co Tigera się zgodzi. Utkwił nieruchome spojrzenie w Matambie, który nerwowo kruszył smażone rybki kapenta.

– Pieniądze, które mają być przekazane Patowi Giffordowi za wykup – za przymusowy wykup – Karne, zostaną użyte na kupno Karne Dwa.

Matamba zakrztusił się rybką. Fred cierpliwie czekał, aż odzyska oddech. Odwrócił się do Pata, który próbował ukryć osłupienie.

– Pat, przypuszczam, że raczej wolałbyś mieć na własność Karne Dwa i wykuć tam sobie nowe wspomnienia? Przesiedliłeś tam również całą wioskę.

– Tak – szepnęła Briar. – Pat, proszę. Pat skinął głową i Fred kontynuował.

– Mimo że pan Gifford stracił dom i wszystko, co kochał w Karne i Ganyani, jest zdecydowany postępować rozsądnie i przyjąć w zamian dziewiczy teren. Jednak wszyscy wiemy, że potrzeba wielu lat, zanim posiadłość zacznie przynosić przyzwoite zyski z fotograficznych safari.

– Tigera nigdy się na to nie zgodzi – huknął Matamba, pochylając się nad biurkiem. – Nigdy!

– Kungirai, w moim słowniku nie istnieje słowo „nigdy”. Pan Gifford został potraktowany bardzo nieuczciwie. Chyba nie muszę ci tłumaczyć, jak zareaguje Amerykanin, gdy dowie się o tym, co się wydarzyło w Ganyani i o eksmisji rodziny, która mieszkała tam od pokoleń i dobrze się zasłużyła sprawie ochrony przyrody w tym kraju. Amerykanie wierzą w wolność i prawa człowieka.

Matamba odchylił się z powrotem na oparcie fotela. Otwartymi ustami łąpał powietrze jak kapenta unoszona w sieci ponad wodę.

– Przyjacielu, pamiętaj, że bogacze potrafią kupować ludzi u władzy. Chyba ty i Tigera nie chcielibyście być wmieszani w międzynarodowy skandal.

Fred uśmiechnął się do Matamby szerokim, nieruchomym uśmiechem rekina z Zambezi.

– Karne Dwa mogłoby być prezentem ślubnym dla Pata i Briar. Bogaty

Amerikanin na pewno okaże zadowolenie, widząc dowód na to, jak korzystnie inwestujecie pieniądze i jak mądrze wybieracie ludzi do prowadzenia rancz. Może nawet da więcej pieniędzy waszemu departamentowi...

W tej chwili Pat po raz pierwszy zabrał głos:

– Teren nadal mógłby się nazywać rezerwatem. Bardzo niewielu ludzi wiedziałoby, że jego właścicielem jestem ja, a nie rząd.

Matamba pokiwał głową i jego policzki zatrzęsły się jak u ogara.

– Twardo się targujesz, Fred – stwierdził. – To nie jest dobra chwila na przekonywanie Tigery. Słyszałeś o atakach kłusowników w pobliżu Chizariry? – Kontynuował, zanim Fred zdążył odpowiedzieć. – Nasz prezydent chce, by położono temu kres, bo kłusownicy zagrażają rozwojowi turystyki.

– Rozumiem jego troskę – powiedział uprzejmie Fred. – Turyści nie lubią, gdy się do nich strzela.

Matamba spojrział na Blanche, Pata i Briar.

– Fred, czy moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy?

Fred skinął głową. Matamba zadzwonił i jego żona przyszła zabrać Pata i kobiety do innego pokoju.

– Wydaje się, że ci kłusownicy są trenowani i posyłani przez białego, który zna tutejsze warunki. Mówi się, że zebrał małą armię. Nasi strażnicy nie są w stanie ich powstrzymać. Kłusownicy są doskonale uzbrojeni i strzelanie do strażników chyba sprawia im taką samą przyjemność, jak polowanie na nosorożce i słonie.

– To jeszcze jeden powód, by Pat Gifford był właścicielem Karne Dwa – stwierdził Fred. – Będzie patrolował teren i trzymał kłusowników z daleka, tak samo jak to robi jego syn w Nowym Ganyani. Kumgirai, czy ty tego nie rozumiesz? Giffordowie są tutaj potrzebni. Każdy sąsiedni kraj z radością przyjmie ludzi z ich doświadczeniem. Ale trzeba ich zatrzymać u nas. Daj Patowi Karne Dwa na własność. Niech ma coś, o co warto walczyć. W jego posiadłości na pewno żaden kłusownik nie będzie miał szans.

Matamba wziął kolejną rybkę kapenta za ogon i wrzucił ją do ust. W miarę, jak słuchał Freda, żołądek mu się uspokajał. Fred jest mądry; byłby dobrym induna, pomyślał. Dał mi włócznie, którą przygwoździł Tigere.

– Mówiłeś, że dowódca kłusowników to biały? – spytał Fred.

– Tak – przyznał Matamba niechętnie. Zawsze się obawiał, że zostanie posądzony o rasizm.

– Może ty i Tigera przejrzelibyście listę myśliwych, strażników, wywłaszczonych właścicieli ziemskich i dzierżawców pozbawionych prawa do dzierżawy, którym kazano opuścić kraj w ciągu ostatniego roku? – zaproponował Fred. – To najprawdopodobniej ktoś, kto żywi pretensje. Skoro zna kraj, a kłusownicy odnoszą sukcesy, warto, żebyście zainteresowali się myśliwymi i

strażnikami.

– Dziękuję, Fred. – Matamba był prawdziwie wdzięczny za tę sugestię. Już przy drzwiach Fredowi coś przyszło do głowy.

– Co się stało z tym Maddenem, który miał koncesję w pobliżu Nowego Ganyani? Słyszałem, że teraz ludzie o nią walczą.

– Madden? – powtórzył Matamba udając, że nie wie, o kogo chodzi.

– Tak. Kirk Madden. Ten, który pomagał wam podczas wojny – warknął Fred, zmęczony już dyplomacją.

– Ach, tak. – Matamba przestał udawać, bo rozpoznał u Freda oznaki gniewu.

– Chyba dostał jakąś pracę w Kenii. To na pewno nie on.

Kilka miesięcy wcześniej Tigera skontaktował się z Matambą i powiedział mu, że Madden zniknął ze swojego samotnego posterunku na granicy somalijsko–kenijskiej. W budynku zauważono ślady walki. Wyglądało na to, że Maddena zaskoczyli w nocy i zabrali shufta. Tigera był pewny, że Madden już nie żyje, bo partyzanci somalijscy byli znani z nienawiści do kenijskich strażników.

Fred zastanawiał się przez chwilę, czemu Matamba zlekceważył Maddena, ale zaraz wzruszył ramionami. W końcu to nieważne, a poza tym nie przyszedł tu po to, by rozmawiać właśnie o nim.

Weszli do pokoju, w którym żona Matamby chwaliła się Briar i Blanche najnowszym dzieckiem. Gdy Matamba wyciągał ramiona po syna, Fred mrugnął do Pata.

– Dziękujemy państwu za przyjęcie nas. – Pat zaczął się żegnać. – Proszę, niech pan powie panu Tigerze, że z przyjemnością powitam go u siebie za dwa tygodnie, a mój syn zorganizuje dla niego trzytygodniowe safari w Nowym Ganyani.

– Dwa tygodnie? Za krótki termin – przeraził się Matamba. Oddał dziecko żonie.

Wiedział, że Tigera chce, by wyłapano kłusowników, zanim on sam pójdzie w busz. Ten człowiek nienawidził dzikich zwierząt. Wołał polować w mieście.

– Mimo że bardzo pragnę przysłużyć się panu Tigerze i jego gościowi, nie mogę przesunąć ich pobytu na później – wyjaśnił mu Pat. – Pod koniec miesiąca wyjeżdżamy do Włoch, na ślub mojego syna. Wszystko już zostało ustalone. Będzie to wielkie wydarzenie towarzyskie w Mediolanie i nie możemy zmieniać terminu.

– To również najlepszy czas na polowanie – wtrącił Fred. – Zarośla i drzewa prawie nie mają liści. Jest za zimno dla moskitów, a deszcze jeszcze nie utworzyły dziesiątków nowych sadzawek, które powodują rozproszenie stad. Teraz ciągle jeszcze muszą pić w większych stawach.

– Fred ma rację – potwierdził Pat. – Tylko teraz możemy zapewnić panu Tigerze i jego przyjacielowi doskonałe polowanie. A w Karne Dwa nie muszą się

obawiać spotkania z kłusownikami, gdyż teren jest zbyt trudny, by tylko tam wpaść i uciec. Pośród wzgórz i wąwozów nikt nie może poruszać się szybko, zwłaszcza jeżeli niesie słoniowe kły.

– Nowe Ganyani, gdzie Amerykanin będzie polował, znajduje się blisko Chete, ale Erin Gifford i jego tropiciele zaopiekują się nim i panem Tigera – dodał Fred. – Większe niebezpieczeństwo będzie im groziło ze strony starego, rozzłoszczonego bawołu niż ze strony kłusowników. – Kumgirai, będę w Bulawayo do końca tygodnia. Odezwij się do mnie w piątek.

Policzki Matamby opadły jeszcze niżej, gdy bez radości machał Fredowi na pożegnanie.

– Tigera jest tchórzem, a poczynania tchórzy są nieprzewidywalne – mruknął wracając do gabinetu, by umówić się z nim na spotkanie. W holu żona podała mu faks. Matamba przeczytał go i poszedł do gabinetu. Żona widziała, jak zgniata papier w kulkę i rzucają przez pokój.

– Ostrzegałem go – mruknął do siebie. – Mówiłem Tigerze, by nie zwalniał białych urzędników. Ale czy on mnie kiedy słuchał? A teraz mamy na głowie śledztwo w sprawie nadzwyczajnej liczby dymisji, które zdarzyły się ostatnio. Trzeba będzie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tylu dobrych pracowników zostało zwolnionych i dlaczego rujnujemy im reputację.

Matamba przeszedł przez pokój i jęknął, schylając się po zgnieciony faks. Wygładził go i raz jeszcze przeczytał wiadomość. Tigera jest głupcem, pomyślał. Ostrzegałem go. Inspektorzy są jak robactwo. A gdy robactwo dostanie się do wnętrza, pożera wszystko. Stajesz się coraz słabszy i chudszy, a ono się mnoży.

Opadł na fotel, który zatrzeszczał pod jego ciężarem. W duchu wyliczał wszystkie nieprawidłowości, jakie odkryje komisja śledcza. Głowa opadła mu na biurko i leżał tak, jakby czekał na topór kata.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Kirk Madden przycupnął przy malutkim ognisku. W Chizarira było zimno, zwłaszcza pod wieczór, gdy zrywał się silniejszy wiatr. Drżał, ale nie mógł sobie pozwolić na rozpalenie porządnego ognia. Wprawdzie wejście do jaskini, sięgającej głęboko w zbocze, osłaniały skały, ale i tak jakiś przechodzący tędy strażnik mógł spostrzec blask. Kirk wolał zachować ostrożność, chociaż wiedział, że władze nie mają dość funduszy, by opłacać ludzi, którzy patrolowaliby ten dziki, nieprzyjazny region i chronili go przed kłusownikami.

Kłusownicy na ogół wybierali na swoje akcje miejsca łatwo dostępne. To była jedna z przyczyn, dla których urządził sobie bazę operacyjną na północ od Chizariry, gdzie góra Tundazi wznosiła się na prawie półtora tysiąca metrów. Kamieniste doliny i głębokie wąwozy z nadrzeczną roślinnością doskonale odpowiadały jego celom. W tym dobrze nawodnionym terenie było również dość antylop do wyżywienia ludzi, a także słoni i czarnych nosorożców czekających tylko na to, by ktoś je upolował.

Kość słoniowa i rogi nosorożców zostaną zabrane z kryjówek, gdy przeniesie swój oddział w inny rejon i odwróci uwagę władz od Chizariry. Będą nieśli zdobyczą nocą, posuwając się krótkimi etapami.

Partner Maddena, Tip, dopilnuje tej części operacji. Teraz Tip kulił się naprzeciwko Kirka i grzał sobie ręce nad ogniem. Zakaszłał. Był to donośny, rozdzierający dźwięk, który zirytował Kirka.

– To twoje trąbienie sprowadzi prosto na nas strażnika – powiedział ze złością.

– Wybrałeś okropne miejsce – burknął Tip. Był niski i muskularny, a wystające przednie zęby nadawały mu wygląd łasicy. Spod przeredzonych, siwych włosów wyzierała mu różowa czaszka. – W tym przeklętym rejonie nie ma żadnych strażników. Musieliby być idiotami, by tu przychodzić. – Takimi samymi idiotami jak ty, pomyślał, patrząc nienawistnie na Kirka.

Poznali się na granicy z Somalią. Tip urodził się w tym kraju. Kiedy dorósł, uciekł z bandą By zrabować broń i amunicję, napadli na posterunek, na którym pracował Kirk. Uratował go wtedy od śmierci, bo spodobała mu się złość, jaką zobaczył w oczach Kirka, gdy shufta go otoczyli i dźgali włóczniami.

Poczuł wtedy jakieś drgnienie w sercu na myśl, że znów miałby z kim rozmawiać po angielsku. Rozkazał swoim ludziom oszczędzić Kirka. Przez jakiś czas Kirk pędził niebezpieczne życie z partyzantami, ale nie czuł się z nimi dobrze, a poza tym nie cierpiał przyjmować rozkazów.

Zaczął pracować nad Tipem. Opowiadał mu historie o kości słoniowej czekającej na nich w Zimbabwie i podsycił jego strach, że rząd kenijski zacznie prowadzić wojnę wzdłuż granicy Somalii. O Zimbabwie mówił jak o Ziemi Obiecanej dla kłusowników.

Z charakteru byli jak bliźniacy, spłodzeni przez chciwość i amoralność. Tip uznał, że Kirk ma rację i opuścił swoich przyjaciół shufta. Zrobił to tym chętniej, że władze zwalczały ich coraz zacieklej. Dołączył do Kirka i zaczęli rozkręcać w Zimbabwie kłusownictwo na wielką skalę. Zarobki okazały się całkiem niezłe, ale Tipowi przestały się podobać zmiany nastroju Kirka, który w swoim kraju stał się prawdziwym despotą.

Postanowił więc, że gdy już bezpiecznie wyniosą z Zimbabwe kość słoniową i rogi nosorożców, przechowywane na razie w kryjówkach, wróci jednak do Kenii. Potarł ręce. Kostki palców miał czerwone i popękane, a skórę ostrą jak papier ścierny.

– Za kilka dni ruszamy do Chete – odezwał się nagle Kirk.

– Ale jeszcze tu nie skończyliśmy – zaproponował Tip.

– Gdy ja mówię, że skończyliśmy, to znaczy, że skończyliśmy – warknął Kirk.

– Poza tym nie będę was potrzebował w Chete. Znam dobrze tamten teren. – Ogarnęły go posępne wspomnienia. – Kiedyś miałem tam koncesję.

Tip spojrział na niego ze zdziwieniem, ale widząc bezlitosne spojrzenie żółtych oczu Kirka, nie odważył się o nic pytać. – Pamiętaj, Tip – kontynuował Kirk. – Zabierasz kość słoniową, ale nie próbuj zniknąć z moją częścią. Świat jest za mały, byś zdołał się ukryć.

Tip zadrżał i skinął głową.

– Czy pobyt na terenie myśliwskim nie będzie zbyt niebezpieczny? – spytał, żeby zmienić temat.

– Tak, trochę bardziej ryzykowny. Słyszałem też, że jakaś ważna rządowa figura wybiera się tam na polowanie z bogatym Jankesem.

– Po co narażać się na spotkanie z facetami z rządu i Jankesem, który jest przesiąknięty wzniosłymi ideami? – nalegał Tip.

Kirk przez chwilę patrzył w płomienie, a gdy odpowiedział, jego głos był ostry i twardy, jak stal hartowana w ogniu.

– Bo właśnie ten urzędnik odebrał mi licencję i zniszczył dobre życie, którym się cieszyłem. I teraz stanie się ofiarą. Moją ofiarą. A myśliwy jest bratem kogoś, kogo nienawidziłem.

– Zrzuńujesz naszą operację – protestował Tip kaszłąc. – Czy to jest tego warte?

– Sam decyduję, co ma wartość, a co nie – warknął Kirk. Powinienem być pozwolić moim shufta, by cię wtedy zabili, pomyślał ponuro Tip.

– Jeżeli narazisz się ludziom z rządu, będziesz miał przeciw sobie całą armię – ostrzegł Kirk. Znów zakaszłał i splunął w ogień. – Będę potrzebował większości naszych ludzi do niesienia kłów. Jeżeli mamy iść nocą i zakopywać kły na dzień, potrzebuję najlepszych.

– Najlepsi zostaną ze mną. Ty potrzebujesz tylko siłaczy. Do noszenia

ładunków i wykopywania dziur w ziemi nie potrzeba rozumu – sprzeciwił się Kirk, podnosząc kołnierz kurtki.

Tip nie odpowiedział. Postanowił jednak, że wyjedzie z Zimbabwe, gdy tylko będzie to możliwe.

Wreszcie obaj mężczyźni wsunęli się w zniszczone śpiwory i ułożyli do snu przy ognisku. Tragarze już spali w jaskini.

Ogień trzeszczał. Tip zakaszłał i jęknął w niespokojnym śnie.

W

W Nowym Ganyani Jacob i Jonas siedzieli przy o wiele większym ogniu. Grube peleryny chroniły ich przed zimnem. Byli najedzeni. Rozmawiali cicho, rozglądając się od czasu do czasu, bo nie chcieli, by ktoś ich usłyszał.

– To już pewne – rzekł Jacob. – Słyszałem jak Erin rozmawiał przez radio z panem Patem. Najpierw jadą do Karne Dwa, a potem przyjeżdżają tutaj na polowanie.

Jonas włożył ręce głęboko w kieszenie peleryny.

– Tigera – powiedział. – To Tigera.

– Tak.

Przez długą chwilę siedzieli w milczeniu, każdy pogrążony we własnych myślach.

– Zrobimy to. Potem już nigdy nie nadarzy się taka okazja – odezwał się wreszcie Jacob.

Jonas skinął głową.

– Nasi przodkowie przysyłają go do nas, ale trzeba, byśmy zachowali ostrożność. To musi wyglądać na wypadek.

– Nikt nie zdoła nic udowodnić – odparł spokojnie Jacob. – Ani Erin, ani pan Pat. Będą mogli uczestniczyć w pogrzebie z całą niewinnością.

– Ale wiedzą o Rudo – szepnął Jonas.

– To prawda – stwierdził władczo Jacob. – Jednak pamiętaj, że tylko ty i ja słyszeliśmy nazwisko tego, kto nasłał tych bere na moją żonę. Tylko my wiemy, że opłacił ich Tsvakai Tigera. I tylko my będziemy wiedzieć, dlaczego Tigera umarł. My... – Jacob przerwał, gdy chudziutki chłopczyk przybiegł do ogniska i skoczył mu na kolana.

– Shoko – zawołała żona Jonasa.

– Jest z nami – odkrzyknął Jacob. – Przyniosę go do chaty. Ty idź spać. Nie martw się o Shoko. – I odwracając się do Jonasa dokończył: – Jutro jeszcze porozmawiamy.

Nie chcieli, by dziecko słyszało, jak planują morderstwo. Siedzieli do późna w nocy, rozmawiając o polowaniu. Shoko cicho pomrukiwał przez sen. W końcu Jacob wstał i przeciągnął się.

– Czas pozwolić, by przodkowie do nas przemówili – oznajmił Jonasowi. – Gdy będziemy spali, objawią nam swój plan.

Jonas skinął głową, owijając się ciaśniej peleryną. Jacob podniósł Shoko i zaniósł go do chaty, w której spali jego synowie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Tigera od chwili przyjazdu do Karne Dwa skarżył się i narzekał na wszystko, chociaż gdy Amerykanin był w pobliżu, zachowywał się uprzejmie.

Briar szybko straciła do niego cierpliwość i z maskowaną radością przyglądała się wielkiemu pęcherzowi na jego pięcie. Przez kilka dni ten niemiły klient nie będzie mógł chodzić.

Tsvakai Tigera jęknął, zanurzając stopę w misce z gorącą, słoną wodą, którą Rudo postawiła przed nim na podłodze. Zaciśnął ręce na poręczach fotela.

– Proszę trzymać nogę w gorącej wodzie tak długo, jak tylko pan wytrzyma – zaleciła Briar. – Sól to doskonały środek dezynfekcyjny. Oczyszczy pęcherz. – Odwróciła się do Rudo, która czekała w drzwiach. – Przynieś mi denaturat i watę – poprosiła, puszczając oczko.

Rudo uśmiechnęła się i wyszła.

– Teraz może będzie trochę bolało, ale jeżeli zamierza pan polować z Erinem, musimy wyleczyć pańską stopę.

Wzięła butelkę od Rudo i hojnie chlapnęła płynu na watę. Rudo przytrzymała stopę Tigery tak, by Briar mogła oczyścić ranę. Tigera z trudem powstrzymał krzyk. Jego twarz wykrzywiła się w grymasie bólu. Briar połała jeszcze więcej spirytusu i przyłożyła do pęcherza.

– To działa osuszająco – uspokajała Tigere, gdy ten się wił. – Przez co najmniej dwa dni nie powinien pan wkładać buta. To paskudny pęcherz.

Rysy twarzy Tigery stwardniały, gdy zdał sobie sprawę, że wobec tego Pat i Briar będą przebywać sam na sam z Amerykaninem.

– Mogę chodzić – warknął.

– Jeżeli teraz się pan nie wyleczy, nie będzie pan mógł wziąć udziału w polowaniu w Nowym Ganyani – ostrzegła go. – A pana przyjaciel nie może się już doczekać. Jest bardzo podniecony na myśl o zastrzeleniu afrykańskiego bawołu.

Groźba zadziałała.

– Jutro zostanę w domu, ale tylko przez jeden dzień – zgodził się Tigera niechętnie.

– Rudo i służba dobrze się panem zajmą – obiecała Briar. – Teraz muszę iść podać podwieczorek. Niech pan się położy i prześpi godzinę.

Gdy razem z Briar wyszły z pokoju, Rudo się zachmurzyła.

– Nie lubię tego człowieka ani mu nie ufam – szepnęła. Briar uściśnęła jej rękę.

– Ja też nie, Rudo, ale musimy być miłe dla niego. To on wydaje koncesje. Jeżeli chcemy zatrzymać Karne Dwa, trzeba udawać, że go lubimy.

Briar przyłączyła się do Pata i Amerykanina, którzy oczekiwali podwieczorku na werandzie.

– Pan Tigera nie pójdzie jutro z nami – oznajmiła. – Ma paskudny pęcherz na pięcie i nie może chodzić.

– Doskonale – odparł beztrąsko Pat. – Wobec tego spróbujemy wspinaczki w wąwozie, w którym znaleźliśmy sokoła Taitę dla Tattona.

Zobaczył, jak zmienia się wyraz twarzy Briar i ugryzł się w język.

– Jeszcze tam nie byłem – zauważył Amerykanin – a bardzo lubię trudną wspinaczkę. Zbyt wiele czasu spędzam w samolotach i salach konferencyjnych.

Briar rzuciła mu ostrożne spojrzenie. Był potężnym mężczyzną. Gdy przechodził przez drzwi, musiał pochylać głowę, a ramionami niemal dotykał futryn. Mimo mocnej budowy i pierwszego zarysu brzucha, w buszu poruszał się bez trudu. Skierowała rozmowę na Zimbabwe i jego dziką faunę świadoma, że Tigera może podsłuchiwać ze swojego pokoju.

Gdy słońce przestało prażyć i zapadło pod horyzont, błysnąwszy na pożegnanie pełnią swojej urody, Pat przyniósł butelkę słodowej whisky i nalał Amerykaninowi szczodłą porcję. Po kolacji Briar zaproponowała, by wcześniej iść spać, gdyż nazajutrz czekał ich długi, męczący dzień.

Tigera spędził bezsenną noc, klnąc swój pęcherz na pięcie i próbując nie myśleć o sugestii Matamby dotyczącej sprzedaży Karne Dwa Patowi Giffordowi. Nie czuł się dobrze w obecności Pata. Wydawało mu się, że te lodowato niebieskie oczy przenikają do tajemnic pogrzebanych głęboko w jego duszy. Ponadto Pat zdołał zdobyć sobie podziw Amerykanina. Obaj mężczyźni poczuli do siebie sympatię i polubili swoje towarzystwo.

Muszę być ostrożny, pomyślał Tigera, zanim wreszcie sen uciszył jego niespokojny umysł.

Następnego ranka ze złością obserwował, jak dżip, podskakując na wyboistej drodze, odjeżdża bez niego. Dziś nie będzie mógł kierować rozmową, a jego obecność nie zwiąże języka Patowi.

Tylko spróbuj opowiedzieć Amerykaninowi o Ganyani, zagroził w duchu, a nawet się nie obejrzysz, jak odbiorę ci koncesję na Karne Dwa.

Odwrócił się tyłem do drogi i zawołał o telefon. Rudo przybiegła odwijając za sobą długi kabel. Chwycił aparat i machnięciem ręki dał jej znać, by odeszła. Rudo przystanąła za drzwiami, usłyszała, jak Tigera wita się z jakimś Matamba i wróciła do kuchni. Nie chciała, by ktoś przyłapał ją na podsłuchiwaniu. Gdy przyniosła mu tacę z herbatą, ciągle jeszcze rozmawiał.

– Nie podoba mi się to, ale pomyślę o twojej propozycji – usłyszała. Spiorunował ją wzrokiem, więc szybko odeszła.

– Sam sobie nalewaj herbatę – syknęła zamykając głośno drzwi. – Nie potrzebuję słuchać twoich rozmów. Są tak samo podłe, jak to zło, które kryje się za twoimi grubymi szklami.

Pat i Briar zachowywali się jak dzieci wypuszczone wcześniej ze szkoły. Wioząc

Amerykanina do wąwozu Taity, śmiali się i żartowali. Prosił, by mówić do niego Mel, ale między sobą nadal określali go mianem „Amerykanina”.

W wąwozie Pat stanął na czele, a Briar zamykała pochód. Gdy doszli na górę, wszystkim trojgu brakowało tchu, bo Pat narzucił mordercze tempo.

– To było coś – wysapał Mel i osunął się na ziemię, opierając plecy o skałę. Pat podał mu manierkę z wodą. Wypił sporo. Briar postanowiła napić się dopiero, gdy znów znajdą się na dole.

– Człowieku, co za widok! – entuzjasmował się Mel, wycierając usta grzbietem dłoni.

– Tam! – krzyknęła Briar. – Jest tam! Och, mamy szczęście! Chociaż te Taita mają tu gniazda, nie widzimy ich zbyt często.

Mel próbował zogniskować szkła lornetki na szybko lecącym ptaku.

– Jest niewielki, ale ma bystre oczy. Wygląda tak, jakby ktoś był mu dłużny pieniądze.

Pat i Briar roześmiali się.

– A teraz powiedz mi – kontynuował Mel już poważnie – dlaczego, skoro pochodzisz z rodziny pionierów, nie masz żadnej posiadłości? Wyglądasz mi na człowieka, który chciałby mieć własne ranczo. Nie widzę ciebie jako jedynie zarządcy.

Briar spojrzała na Pata, a potem wpatrzyła się w wąwóz.

– Okoliczności – wyjaśnił zwięźle Pat.

Czując, że za tym jednym słowem kryje się dużo więcej, Mel pytał dalej. Pat zdał sobie sprawę, że Amerykanin nie zadowolony się byle czym i krótko opowiedział o wszystkim.

Twarz Mela stała się twarda jak skała, na której siedział.

– Więc na Karne Dwa masz tylko koncesję – podsumował.

– Ale dobrze mi tu – odparł Pat – a Erin posiada Nowe Ganyani na własność. Jest młody i zdolny, więc będzie tam miał doskonałe ranczo myśliwskie.

– Rudo, twoja gosposia, mówiła mi, że niedługo się żenisz – powiedział Mel. Briar zaczerwieniła się jak piwonia.

– W Afryce nic się nie ukryje – roześmiał się Pat. – Bębny grają już od wielu dni, mówiąc o ślubie, polowaniu i o twojej i Tigery wizycie.

– Tak, Tigera – mruknął Mel.

Te dwa słowa wywarły na Briar takie wrażenie, jakby w pobliżu zasyczała kobra. Wesołość Mela rozplynęła się. Tak najpewniej wygląda podczas zebrania nadzorczych, pomyślała. Nie chciałabym mieć go za przeciwnika w interesach. Spojrzała na Pata, a on się uśmiechnął.

– O czym myślisz?

– O tym, że o wiele przyjemniej jest tutaj, w wąwozie Taity, niż na sali konferencyjnej – odparła szybko.

' – Kilku moich dyrektorów powinno tu przyjechać. To by całkowicie zmieniło ich sposób rozumowania – mruknął Mel, ciągle jeszcze rozmyślając nad tym, co Pat mu powiedział.

Briar nagle zaniepokoiła się, co Amerykanin powie Tigerze. Wolałaby, żeby nic nie mówił. Ale Amerykanin był dobrym słuchaczem i wzbudzał zaufanie.

– Mel? – odezwała się z wahaniem. – Proszę, nie powtarzaj nikomu naszej rozmowy.

– Nasze rozmowy nie powinny obchodzić ani pana Tigery, ani żadnego z członków rady zajmującej się koncesjami i prawami łowczymi – uspokoił ją Mel. – Przerwał i zlustrował wzrokiem wąwóz, starając się odszukać sokoła. – Jestem umówiony na spotkanie z panem Tigera. Pat, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym jutro skorzystać z twojego gabinetu. Ze względu na niecierpiące zwłoki sprawy, które wymagają, bym wyjechał zaraz po polowaniu, przyspieszę to spotkanie. Masz faks, prawda? – Gdy Pat skinął głową, Mel uśmiechnął się. Było to triumfujące, lekkie uniesienie kącików ust. – Doskonale! – W ten sposób uzyskam podpisy. – Ścisnął ramię Briar. – Nie martw się, moja droga. To zadziwiające, jak pieniądze pomagają piórom sunąć po papierze.

– Tak się boję, że stracimy koncesję na Karne Dwa – powiedziała. – A mamy cudowne plany na przyszłość.

– Macie przed sobą trudne zadanie. Już nie mogę się doczekać następnego pobytu u was. Wtedy mi pokażecie nowe obozy i wszystko, co tu urządziliście. Nie jest łatwo zaimponować mi, ale gdyby było tu więcej ludzi waszego formatu, ten kraj zajmowałby pierwsze miejsce na liście turystycznych atrakcji.

– Dziękuję, Mel, to miło, że tak mówisz – powiedział Pat. – A teraz zacznijmy już schodzić. Schodzenie zawsze zajmuje więcej czasu niż wspinaczka.

– Bo wszystkim drżą kolana – roześmiała się Briar.

Tigera usłyszał ich na długo, zanim dżip wjechał na podjazd. Śpiewali głośno i fałszywie, a Pat wygrywał rytm klaksonem.

Zaniepokojona służba wybiegła przed dom. Pat naciskał na klakson tylko wtedy, gdy pilnie ich potrzebował. Ustawili się na podejździe i ze zdumieniem zobaczyli Pata i Amerykanina, którzy śmiali się i śpiewali.

– Przestańcie! – powiedziała Briar. – Służba pomyśli, że zwariowaliśmy.

Tigera zaklął. Coś musiało się wydarzyć! Po raz pierwszy Amerykanin wrócił z wycieczki w tak dobrym humorze. Schowany za gęstymi bugenwillami przyglądał się, jak Amerykanin obejmuje Pata za ramiona i całuje Briar w policzek.

Śmiejąc się wszyscy troje ruszyli na werandę. Tigera uciekł do swojego pokoju i usiadł na fotelu, kładąc nogę na poduszce. Gdy weszli do niego, sprawiał wrażenie, że przesiedział tak cały dzień.

– Panie Tigera – powiedziała Briar. – Mam nadzieję, że służba dobrze się panem opiekowała.

Tigera tylko skinał głową. Obserwował Amerykanina, który stanął nad nim jak rozdrażniony byk bawołu. W jego postawie była ukryta groźba. Tigera wspomniał rozmowę, jaką przeprowadził rano z Matamba może warto wziąć pod uwagę jego słowa, pomyślał. Powitalne słowa Amerykanina potwierdziły słuszność tego pomysłu.

– Spotkanie, które miało się odbyć po polowaniu, odbędzie się jutro – powiedział.

– Ale... – Wybuchnął Tigera – A moje sekretarki i pan Matamba?

– Mamy telefon, faks i, w razie potrzeby, samolot – odparł zwięźle Mel. – Chcę zakończyć interesy już jutro.

– Oczywiście – zgodził się niechętnie Tigera. – Chciałem tylko ułatwić sprawy.

– Dziękuję! – powiedział Mel. – To, czego chcę, jest proste i bez trudu zawrzemy umowę.

Tigera wymówił się bólem głowy spowodowanym gorączką od urazu stopy i pozostał w swoim pokoju podczas kolacji. Rudo obsłużyła go w lodowatym milczeniu, chociaż była zadowolona, widząc go chorym i zdenerwowanym.

Po kolacji jeszcze raz poprosił o przyniesienie telefonu. Usłyszawszy nazwisko Matamby, Rudo wyszła z pokoju.

Odłożywszy słuchawkę Tigera usiadł i wpatrzył się w przedstawiający Wodospad Wiktorii sztych Bainesa, który wisiał nad łóżkiem. Wreszcie westchnął i pokuśtykał do łazienki. Szorował zęby w rytm zapamiętanych słów Matamby.

– Jeżeli chcesz więcej pieniędzy od Amerykanina, musisz sprzedać Karne Dwa Giffordowi. Nikt nie zakwestionuje tej sprzedaży, zwłaszcza gdy powiesz o nowych funduszach. A skoro on polubił Pata Gifforda, na pewno da jeszcze większe sumy na ochronę przyrody.

Tigera był teraz pewien, że Pat i Amerykanin rozmawiali o przymusowym wykupie Ganyani i Karne i obawiał się jutrzejszego dnia. Gdy już zamykał <j>czy, podjął decyzję. Powie Amerykaninowi, iż sposób, w jaki Pat Gifford zarządza Karne Dwa, wywarł na nim takie wrażenie, że rozmyśla, czy nie pozwolić my na kupno posiadłości. A gdy Giffordowie wyniosą się z kraju, ranczo wróci do [Departamentu Parków Narodowych, pocieszył się. Są przecież sposoby na to, by ich zmusić do wyjazdu z Zimbabwe. \

Głowa opadła mu na miękką poduszkę. W świetle księżyca, padającym na nocną szafkę, jego okulary zaślśniły jak oczy drapieznika.

\

Wchodząc rano do gabinetu Pata, Tigera zastał już tam Amerykanina. Siedział za masywnym biurkiem z drzewa mukwa. Tigera zacisnął cienkie wargi. Ten człowiek zepchnął go na pośledniejszą pozycję, jeszcze zanim zaczęła się rozmowa. Ukrył jednak niezadowolenie i usiadł na niewygodnym krześle

naprzeciwko Mela.

– Przeprowadziłem małe śledztwo – oznajmił Mel, wskazując na telefon, z którego jednak dziś nie korzystał – i dowiedziałem się, że Pat Gifford otrzymał jedynie koncesję na Karne Dwa.

– Jednak potraktowaliśmy go naprawdę wspaniałomyślnie – wpadł mu w słowo Tigera. – Na ogół nie przyznajemy odnawialnych koncesji, lecz po upływie terminu otrzymuje ją ten, kto oferuje najwięcej. To po prostu kwestia pieniędzy. – Tigera wzruszył ramionami i uśmiechnął się do Mela tak, jakby razem spiskowali. Mel zdusił w sobie chęć potrząśnięcia Tigera tak mocno, by ten kłamliwy osobnik aż wołał o litość, i odwzajemnił uśmiech. Wielu ludzi zdradza ich własny język, pomyślał. Posłuchajmy, co ten szczur ma do powiedzenia.

– No więc dlaczego pan i pana doradcy uczyniliście wyjątek w przypadku Pata Gifforda? – spytał z niewinną miną. – Czy to nie wzbudziło zazdrości innych kandydatów?

– Nikt nie stawia nam pytań – pochwalił się Tigera, jednak, zauważywszy nieprzyjemny wyraz oczu Amerykanina, dodał pospiesznie: – Przecież wszyscy wiedzą, że jesteśmy poza wszelkimi podejrzeniami.

Mel powoli skinął głową, a potem uderzył dłonią w biurko.

– Poza wszelkimi podejrzeniami? – powtórzył sarkastycznie. – Czy chce mi pan powiedzieć, że w tym małym, afrykańskim kraju członkowie rządu są poza wszelkimi podejrzeniami? Bo tam, skąd przybywam, nawet postępowanie prezydenta jest bacznie obserwowane! Zaczynam żałować, że zainwestowałem tu swoje pieniądze.

Tigera zadrżał. Oczami duszy zobaczył, jak wali się jego bezpieczne do tej pory imperium.

– Och, nie! Nie to miałem na myśli! – wyrzucił z siebie gwałtownie. – Chciałem powiedzieć, że za nic na świecie nie zrobilibyśmy nic nielegalnego. Ludzie o tym wiedzą i ufają nam. Proszę, niech pan to zrozumie.

– Dobrze – powiedział Mel, wkładając do ust gumę do żucia. – Widocznie mam niewłaściwy obraz sytuacji i być może warto zainwestować jeszcze trochę w ochronę przyrody. Gdy współpracuję z ludźmi tak uczciwymi jak pan, mogę mieć pewność, że te pieniądze zostaną użyte w dobrym celu.

Tigera odczuł taką ulgę, że aż zrobiło mu się niedobrze.

– Przysięgam, że na całym świecie nie ma bezpieczniejszego miejsca dla pańskich pieniędzy. Dla człowieka takiego jak pan, inwestującego w przyszłość świata, zwierząt i ich środowiska, Zimbabwe jest najlepszym miejscem!

Mel pogratulował sobie. Było to łatwiejsze niż się spodziewał. Uderz teraz, gdy przeciwnik się boi, nakazał sobie.

– Panie Tigera, naprawdę cieszy mnie to, co usłyszałem od pana. Ale zanim podpiszę następny czek, chciałbym przedstawić panu pewną propozycję, a może

raczej warunek.

– Cokolwiek pan sobie życzy.

– Chcę, żeby wydano Patowi Giffordowi zezwolenie na kupno Karne Dwa. Żądam, by miał tytuł własności.

Świnia, pomyślał Tigera. Wczoraj go przekabacił. Ale kiedyś za to zapłaci! Ku zdumieniu Amerykanina Tigera uśmiechnął się.

– Nasze serca są jak bracia – powiedział.

Niech cię diabli, pomyślał Mel. Wolałbym mieć za brata samego szatana.

– To, czego Pat Gifford zdążył już tu dokonać, wywarło na mnie takie wrażenie, że większość wczorajszego dnia spędziłem telefonując do członków rady. I teraz z radością mogę pana powiadomić, że pan Matamba uważa, iż możemy sprzedać Karne Dwa panu Giffordowi. Miałem to panu dziś powiedzieć, ponieważ to pan daje pieniądze na zakup tego terenu.

– Doskonale! – stwierdził Mel. – Jestem pewien, że pan Matamba zgodzi się, by pan Gifford kupił Karne Dwa za taką samą sumę, jaką rząd zaofiarował mu za przymusowy wykup jego dawnego rancza, czyli Karne.

– Ten teren jest o wiele większy. Ewentualny dochód z niego będzie... – Tigera zamilkł widząc, że Mel wstaje.

– Wobec tego mam pilne spotkanie w Natalu. Potrzebują tam korytarza na migracje słoni...

Tigera z trudem przełknął ślinę.

– Przedstawię tę sprawę panu Matambie – powiedział. Gdy tylko Amerykanin wróci do siebie, będą mogli wycofać się z wszystkich obietnic.

– Nie – sprzeciwił się Mel. Usiadł z powrotem, skrzyżował nogi na biurku i założył ręce za głowę. – Niech pan powie Matambie, by przekazał faksem dokumenty. Podpiszemy je tutaj. – Popatrzył na Tigera. Tigera nigdy lnie widział na żywo góry lodowej, oglądał tylko fotografie, ale oczy Amerykanina wydały mu się tak samo zimne, jak te lodowe wyspy. \

– Mam nadzieję, że faksymile podpisów są prawomocne – kontynuował Mel.

– Ale jeżeli tak nie jest, natychmiast polecimy do Harare albo do Bulawayo. Chcę, żeby ta sprawa została załatwiona, zanim wyjadę na polowanie. – Uśmiechnął się do Tigery. Idealne koronki na jego zębach błysnęły jak zęby krokodyla. – Nie cierpię łączyć interesów z rozrywką. A skoro polowanie zaczyna się jutro, musimy załatwić tę sprawę jeszcze dziś.

– Faksymile podpisów będą uznane za prawnie ważne – powiedział Tigera.

Briar pakowała się w swojej sypialni na polowanie w Nowym Gahyani, gdy wpadł do niej Pat wymachując plikiem papierów.

– Dokonał tego! – krzyknął. – Zobacz, to dokumenty podpisane zarówno przez Tigera, jak i Matambę!

Chwytał Briar w objęcia i zatańczył z nią walca po pokoju.

- Co takiego podpisali? – spytała, niemal pozbawiona tchu.
 - Tytuł własności na Karne Dwa. Teraz jesteśmy właścicielami, a ja ci daję tę posiadłość w prezencie ślubnym.
 - Pat, nie możesz!
 - Och, mogę i zrobię to! Pomijając fakt, że cię kocham i chcę, żebyś miała Karne Dwa, na dodatek będzie to mądre posunięcie. – Usiadł na krawędzi łóżka i posadził sobie Briar na kolanach. – Jestem o tyle starszy od ciebie, że na pewno umrę wcześniej.
 - Nie mów tak – poprosiła Briar i położyła palec na jego ustach. Poczł jak jej ręce drżą, ale kontynuował. – Będę szczęśliwy wiedząc, że cokolwiek się stanie, jesteś zabezpieczona. Briar, pozwól, proszę, bym cieszył się swoim szczęściem. Mel, przechodząc obok pokoju Briar, rzucił spojrzenie do wnętrza, bo chciał wiedzieć, jak oni na to zareagowali. Potem, jakby nigdy nic, ruszył dalej zwawym krokiem, podśpiewując sobie melodyjnie.
- Tigera ciągle jeszcze siedział na niewygodnym krześle w gabinecie Pata. Nie cierpiał sytuacji, w których nie był górą.
- To tylko wąż, a ja spowoduję, by jego zęby straciły jad – szepnął do siebie. – Jeśli ktoś jest aż tak bogaty, musi mieć jakieś mroczne tajemnice. Ale ja je odkopię, panie Amerykaninie, i wtedy będziesz się uśmiechał podpisując czek dla mnie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Tara, z rękami wspartymi na biodrach, stała pośrodku bomy. Na świeżo zamiecionej ziemi nie dostrzegła ani jednego źdźbła trawy. Wymagała od służby wiele, ale i ludzie spisali się dobrze. Gdy usłyszeli, że przyjeżdża tu Tsvakai Tigera z bogatym Amerykaninem, który kupił ziemię przeznaczoną na safari, z radością pracowali długie godziny, by doprowadzić obóz do idealnego stanu. Tara była zadowolona.

Katoro pocił się przy swoim cennym piecu Dover. Zapach świeżo upieczonego chleba mieszał się z aromatem popcornu. Tara zdecydowała, że skoro jej wersja prażonej kukurydzy smakowała Teksasńczykom, najprawdopodobniej spotka się również z uznaniem amerykańskiego miliardera.

Erin, Jacob i Jonas poszli szukać tropów. Erin miał nadzieję, że znajdzie ślady antylopy, z której chciał zrobić biltong.

– Wszyscy Amerykanie lubią konserwy – powiedział Tarze – więc ususzymy mu trochę dziczyzny, zanim wyjedzie. Jest tak chłodno, że wyschnie szybko. Będzie to też dobra okazja, by przekonać się, jak on strzela, zanim wyruszymy na bawoły.

Erin i tropiciele, bardzo eleganccy w nowych mundurach khaki i beżowych veldskoenach, wyjechali na pas startowy, powitać Tigera i Amerykanina.

Na czas pobytu Amerykanina odesłano Shoko do wioski, ale Tara wątpiła, czy mieszkańcy zdołają zatrzymać tam chłopczyka.

W drodze Jacob był niezwykle milczący.

– Czy coś się stało? – zaniepokoił się Erin. – Tylko mi nie mów, że denerwujesz się spotkaniem z wielkim Tigera i jego amerykańskim dobroczyńcą.

– Tigera to tylko Szona przy władzy – odparł beznamiętnie Jacob. – A uczucie, jakie do niego żywię, to nie strach.

Erin usłyszał groźbę w głosie Jacoba, ale postanowił to zignorować. Samolot już kołował w ich kierunku i musieli odwrócić głowy od kurzu.

– Czy to były ślady stóp? – spytał szeptem Jonas.

Jacob skinął głową. Gdy w pobliżu obozu szukali tropów zwierząt, Jacob zauważył coś, co przypominało odcisk buta starty gałęzią dla zamaskowania. Razem z Jonaszem postanowili nie niepokoić tym Erina. Najpierw chcieli się upewnić, że nie był to ślad pozostawiony przez któregoś z mieszkańców wioski. Wiedzieli, jaką wagę Erin przykłada do tego polowania. Sprawdzili buty wszystkich ludzi w wiosce, ale żaden nie miał podeszwy z tak głębokimi, falistymi rowkami przy palcach.

Teraz już było za późno na pójście śladem. Polowanie zacznie się o świcie. Jacob niepokoił się. Bębny obwieściły wszystkim o przyjeździe ważnego Amerykanina i Tigery. Ostrzegały także, że w rejonie Chizarira znajdują się kłusownicy, których broń przemawia, zanim jeszcze odezwą się oni sami. Ale ostatniej nocy bębny

mówiły o tym, że w górach Chizarira zapanował spokój, i że, być może, kłusownicy przenieśli się gdzie indziej. Wieści przyniesione przez nocny wiatr opowiadały o strachu i niebezpieczeństwie grożącym mieszkańcom wiosek. Mówiły też o dwóch mężczyznach o wiele gorszych niż ci, których ze sobą prowadzili.

Jacob wiedział, że powinien ostrzec Erina. Ale chciał sam dopaść Tigery. Nie dopuści, by jakiś kłusownik sprawił, że umrze łatwo i lekko.

Tara zdjęła nieistniejący pyłek z jednego z płóciennych foteli ustawionych wokół rozpalonego przed chatą ogniska.

– Przenajświętsza Panienko, spraw, by polowanie się udało – szepnęła. – Ten Amerykanin może nam przysłać wielu bogatych klientów. Wiem, że Erin nienawidzi Tigery, aleja go zmuszę, by nas polubił.

Popatrzyła w niebo, ale nie dostrzegła żółtej cęsnicy. Widocznie już wylądowała. Pobiegnęła do lustra wiszącego na ścianie z trawy osłaniającej prowizoryczną łazienkę za jej chatą. Poprawiła włosy i wsunęła porządnie bluzkę w szorty khaki.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Kirk Madden ustawił ostrość w lornetce i szkła wypełniły się obrazem Tary, obciągającej bluzkę na swoich dużych piersiach.

– Tak więc młody Gifford znalazł sobie całkiem ładny kawałek włoskiego ciasta – powiedział przyglądając się niewielkiej figurce. – Sam chętnie bym go skosztował.

Kirk i jego ludzie siedzieli ukryci na skalistym wzgórzu w odległości, która pozwalała widzieć obóz przez lornetkę. Kirk bacznie obserwował położenie obozu i poczynania personelu. Teraz czekał na przyjazd Tigery i Erina. Tego ranka, leżąc na brzuchu i wodząc lufą za Giffordem, mógłby go zabić już z dziesięć razy, ale chciał, by Erin wiedział, kto go zabija. Chciał zobaczyć strach zarówno w jego oczach, jak i w oczach Tigery, gdy będą patrzeć na swojego kata. Czuł ten sam dreszcz podniecenia, który burzył mu krew i wstrząsał nerwami podczas wojny.

Niski warkot ostrzegł go o zbliżaniu się samolotu. Wcisnął się jeszcze mocniej w krzak, pod którym się krył.

– Niech nie leci nad obozem – mruknął.

Samolot zaledwie raz okrążył pas i zniknął z widoku zupełnie jakby sam diabeł wysłuchał życzenia Kirka.

Pat wylądował tylko na chwilę, zostawił Mela i Tigere, a potem wrócił do Karne Dwa po Briar, Rudo i Bunę. Początkowo nie zamierzał ich wszystkich tam odwozić, ale Briar go przekonała.

– To ma być polowanie, a nie zjazd rodzinny – upierał się.

– Wiem, Pat – odparła – ale Tara i ja mamy tyle do omówienia w związku ze ślubami, a Rudo tęskni już do Jacoba; nie sądzę tylko, by Shoko był zadowolony z odwiedzin siostry.

Pat roześmiał się.

– Całe szczęście, że Mel cię lubi, bo inaczej zaprotestowałby przeciw takim rodzinnym spotkaniom w czasie polowania.

– Och, nie będziemy mu wchodzić w drogę. Gdy wy, mężczyźni, pójdziecie polować, my zostaniemy w obozie – obiecała Briar.

Erin i Tara spokojnie czekali aż Mel, z Tigera depczącym mu po piętach, przeprowadzi inspekcję obozu.

– To właśnie nazwałbym afrykańskim obozem myśliwych – powiedział Mel chwilę później, opadając na fotel przy ogniu i wyciągając przed siebie długie nogi. Tara odetchnęła z ulgą i dała znak Katoro, żeby przyniósł napoje.

– Coka, piwo, czy herbata? – zaproponował dumnie Katoro.

– Coka będzie najlepsza – odparł Mel. – W puszcze! – zawołał jeszcze, gdy Katoro pędził do kuchni. – Podczas polowań nigdy nie piję alkoholu. Widziałem zbyt wielu idiotów na kacu, a jestem zbyt stary, by cieszyć się przypadkowymi

strzałami zza krzaka, zwłaszcza gdy pochodzą z Wetherbys.416.

Erin roześmiał się.

– Wiem, o co panu chodzi. Dopóki nie pociągną za spust, czują się tym bezpieczniej, im więcej broni mają na sobie. Ale gdy już usłyszą wystrzał i poczują odrzut, są zbyt przerażeni, by strzelić jeszcze raz.

Obaj mężczyźni roześmieli się, czując, jak zadzierzga się między nimi więź porozumienia i koleżeństwa. Tigera przysiadł na fotelu. Nie był zadowolony, że Amerykanin od razu zaaprobował Erina i obóz.

Jacob i Jonas stali na baczność przy toyocie. Erin zauważył ich i zawołał:

– Będę was potrzebował dopiero po lunchu. Sprawdźcie, proszę, czy samochód jest gotowy. Po południu poszukamy dobrych tropów, a jutro idziemy na bawołu.

Skinęli głowami i ruszyli do wyjścia z bomy. Tigera spojrział na nich, ale z ich oczu nie można było nic wyczytać.

– Skończą lunch dopiero koło trzeciej – zauważył Jacob. – Sprawdźmy te ślady, które znalazłem.

– Nasze sadza już czeka na ogniu... – Jonas marzył tylko o tym, by zdrzemnąć się w słońcu z pełnym brzuchem.

– Idź do wioski i siedź z kobietami i dziećmi – zakpił Jacob. – A ja pójdę poszukać człowieka, który zacierał swoje ślady.

Jonas skapitulował, zresztą Jacob nie spodziewał się niczego innego.

Kirk Madden był niespokojny. Napięcie nie opuszczało go, odkąd jego ludzie złapali chudego chłopczyka pędzącego w dół zbocza z czekoladowym batonikiem skradzionym z jego osobistego bagażu. Chociaż bił dziecko tak gwałtownie, że jego głowa odskakiwała na boki z regularnością metronomu, chłopczyk, pytany, skąd przyszedł, tylko wskazywał palcem jakieś odległe miejsce. W końcu Kirk pomyślał, że dzieciak jest niedorozwiniętym niemową, i kazał puścić go wolno. Chłopiec pobiegł w kierunku przeciwnym do obozu i zniknął w zaroślach. Kłusownicy szybko przestali o nim myśleć i znów zaczęli obserwować obóz.

Kirk zastygł widząc, że dwaj tropiciele wychodzą z bomy. Zaczęli obchodzić obóz w sposób, który przypominał kręgi, rozchodzące się po spokojnej wodzie, gdy wrzuci się do niej kamyk.

– Cholera! – Zaklął, gdy Jacob nagle przyklęknął na jednym kolanie, by zbadać grunt. – Coś znaleźli – powiedział do jednego ze swoich ludzi, leżącego obok niego. – Mówiłem wam, żebyście zacierali ślady butów gałęziami.

– Tak zrobiliśmy.

– Widocznie nie dość starannie – warknął Kirk widząc, jak Jacob przywołuje Jonasa. – Cofnijcie się – rozkazał. – Nie możemy tu zostać. Ci dwaj są jak bere. Gdy raz podejmą ślad, nic ich nie zmusi, by go porzucili.

W milczeniu przeklinał swoją bandę kłusowników. Przecież wybrał najlepszych. Jednak sam powinien był sprawdzić, czy dobrze zatarli ślady. Teraz musi zrezygnować z obserwacji obozu i zdać się na plotki kobiet w wiosce oraz... na szczęście.

Jonas popatrzył na niewyraźny ślad i przyznał rację Jacobowi.

– Próbowali to zamaskować. – Milczał chwilę. – Bębny mówiły o kłusownikach.

– Kłusownicy nie podchodzą tak blisko do obozów myśliwskich. Są sprytni i znają drogi w buszu – odpowiedział Jacob, podnosząc się. – Nie. Sądzę, że ci przyszli tu z innego powodu. Nie szukają zwierzyny. Jonas zadrżał. Jacob prawie nigdy się nie mylił.

– Po Tigere? – szepnął – Tsvakai Tigera jest mój – odparł twardo Jacob. – Zabiję każdego, kto będzie chciał mi go odebrać. — Chcę zobaczyć, jak jego oczy wywracają się ze strachu. A on przed śmiercią dowie się, że Rudo jest moją żoną.

Jonas w duchu poprosił przodków o ochronę na wypadek, gdyby był z Jacobem, gdy ten dopadnie Tigere. Spojrzenie jego przyjaciela było równie twarde, jak głos. Przypomniawszy sobie noc, kiedy on i Jacob biegli śladem ludzi, którzy torturowali Rudo. Na nich łatwo było się zemścić. Ale Tigera to co innego. Wszyscy o nim słyszeli, bo miał wielką władzę. Jego śmierć nie przejdzie niedostrzeżona.

– Jest twój – przyznał, starając się nie okazywać swojego lęku.

– Dobrze. Sprawdźmy teraz, kim są ci ludzie i dlaczego przebywają tak blisko obozu – polecił Jacob.

Szukali innych śladów do chwili, gdy usłyszeli klakson toyoty. Wtedy ruszyli biegiem do obozu i wpadli tam w chwili, gdy Tigera i Amerykanin wychodzili ze swoich chat, gotowi do zapolowania na antylope.

Katoro zagwizdał i machnął ręką do Jacoba. Jacob, rzucając Erinowi przepraszające spojrzenie, pobiegł do kuchni.

– Shoko! – sapnął.

Chłopczyk miał opuchniętą twarz, a jedno oko było całkowicie zamknięte. Siedział na stołku, obok niego stała miska z zakrwawioną wodą.

– Zawołaj pannę Tarę – rozkazał Jacob. – Powiedz, że to pilne. Wziął dziecko na ręce.

– Kto ci to zrobił? – spytał szeptem.

– Biały człowiek o rudyh włosach – wyseplenił chłopczyk. Gdy mówił, z jego przeciętej wargi zaczęła kapać krew.

Jacob czuł, jak zalewa go lodowata wściekłość, ale łagodnie kołysał Shoko.

– Możesz mi pokazać, gdzie widziałeś tego człowieka? Shoko skinął głową.

– Zaprowadzisz mnie tam teraz, czy też za bardzo cię boli, byś mógł iść?

– Teraz – szepnął Shoko, przytulając się mocniej.

– Jesteś dzielny i jesteś moim synem – oznajmił Jacob.

Tara wpadła do kuchni. Po doskonałym lunchu wszyscy byli w wyśmienitych humorach. Nawet Tigera zachował się miło. Rokowało to pomyślnie zaczynającemu się safari.

– Jacob – powiedziała. – Erin czeka na ciebie. Wszyscy są gotowi do wyjazdu. Dlaczego mnie tu zawołałeś?

Gdy Jacob obrócił się i zobaczyła plamy krwi na jego mundurze khaki i Shoko w jego ramionach, aż wstrzymała oddech.

– Co się stało?

– Proszę, zawołaj Erina. To bardzo ważne. – Postanowił powiedzieć jednak Erinowi o śladach butów.

– Ale muszę zabrać Shoko do kliniki – oponowała Tara.

– Potem. Najpierw porozmawiam z Erinem. W cztery oczy.

Tara przez chwilę przesuwała spojrzenie od Shoko do Jacoba, a potem wybiegła z kuchni.

– Niech nikt nie zauważy, że jesteś zdenerwowana – zawołał za nią Jacob. Tara zwolniła kroku.

– Erin – powiedziała spokojnie, podchodząc do mężczyzn. – Idź, proszę, do kuchni.

– Taro, już wyjeżdżamy. Jeżeli pójde wysłuchać, co Katoro ma do powiedzenia, będzie za późno na upolowanie antylopy.

– Proszę mi wybaczyć – Tara uśmiechnęła się miło do Mela i Tigery i podeszła do Erina udając, że chce go objąć. Ale zamiast tego wcisnęła mu palce w ciało koło łokcia tak mocno, że aż zamrugął.

– Idź! – szepnęła.

– Przepraszam panów na chwilę – powiedział Erin. – Jonas, sprawdź, czy zapakowaliście wszystko do samochodu. Zobaczę, co tam się dzieje i zaraz wracam. W takich obozach w buszu służba ciągle ma jakieś kłopoty.

Amerikanin uśmiechnął się i wsiadł do samochodu, zajmując fotel pasażera. Tigera stwierdził, że dla niego została tylko ławka tropicieli. Jonas sprawdzał apteczkę, która, jak wiedział, była w idealnym porządku. Nie zamierzał pomagać Tigerze wdrapać się na ławkę. Zauważył, że ten oszczędza chorą nogę.

Może uda nam się wykorzystać ten pęcherz, pomyślał. Tigera nie będzie w stanie dotrzymać kroku Erinowi i Amerikaninowi. Jeden z nas będzie musiał zostawać z nim w tyle i pomagać mu.

Jonas uśmiechnął się. Jacobowi spodoba się ten pomysł. Obejrzał się przez ramię. Gdzie jest Jacob? – zastanawiał się. Nigdy nie dopuszczał, by klienci na niego czekali. Pragnął wyskoczyć z samochodu i pobiec zobaczyć, co się stało, ale wtedy naraziłby się na gniew Erina.

Briar podeszła do samochodu i zaczęła pogawędkę z Melem i Tigera. To niepodobne do Erina, by się spóźniać. Skrzyżowała palce w intencji, by nic nie

zepsuło tego tak starannie zaplanowanego safari.

– Taro, o co chodzi? – spytał ostro Erin, gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem słuchu Mela i Tigery.

– Kłopoty! – odparła. Była bardzo blada.

Erin wpadł do kuchni. Myślał, że będzie musiał rozsądzić jakąś kłótnię między służbą.

– Cholera! – zaklął na widok Shoko. Dziecko usiłowało schować twarz na piersi Jacoba, którego koszulę znów splamiła świeża krew.

– Z kim on znowu walczył? – spytał Erin. Był zły.

– Pobito go – wyjaśnił Jacob. Erin słuchał uważnie.

– Dziecko cierpi i wymaga opieki – wtrąciła się Tara.

– Nie – zaprotestował Erin. – Jacob ma rację. Musimy dowiedzieć się, kim są ci ludzie i dlaczego obserwują obóz. Potrzebujemy również wymówki dla odwołania dzisiejszego polowania.

– Nic prostszego. Powiedźcie, że Shoko upadł i złamał sobie kość policzkową – zaproponowała Tara. – Trzeba go opatrzyć, a Jacob i Jonas muszą mi pomóc, bo Shoko nikomu obcemu nie pozwala się dotknąć. Wszyscy Amerykanie są wrażliwi na potrzeby dzieci, a dla Tigery, który jest Afrykaninem, dzieci i bydło mają największą wartość. – Przerwała, by zaczerpnąć powietrza. – Niech Jacob, niosąc Shoko, przejdzie koło samochodu. Nie wydaje mi się, by tamci chcieli jechać na polowanie, zostawiając chłopca w takim stanie.

– To dobry plan – przyznał Jacob. – Możemy zanieść Shoko tam, gdzie widział obcych, a potem panna Tara opatrzy go w klinice.

– Niech Briar zabierze Amerykanina i Tigera na spacer. Ona ma wytrzymałość mężczyzny, więc będzie ich tak długo prowadziła, aż się zmęczą. Usłyszą również mnóstwo ptaków, a Briar wie, jak każdy z nich się nazywa.

– Co ja bym bez ciebie zrobił? – westchnął Erin z ulgą.

Wyszli z kuchni. Gdy zgromadzeni przy samochodzie zobaczyli Jacoba ze Shoko w ramionach, śmiech umilkł w jednej chwili.

Tigera i Mel bez zastrzeżeń uwierzyli w historyjkę opowiedzianą przez Erina.

– Polećmy z nim do Harare – zaproponował natychmiast Mel.

Erin i Jacob zamarli; nie przewidzieli takiej możliwości. Tara jednak rezolutnie wystąpiła naprzód.

– To dziecko musi najpierw wyjść z szoku. Lepiej nie zabierać go teraz do samolotu. Chciałabym je zbadać w klinice. Jeżeli okaże się, że wymaga hospitalizacji, wtedy oczywiście polecimy.

Erin i Jacob odetchnęli z ulgą.

– Chciałabym, żeby Jacob i Jonas mi pomogli – kontynuowała Tara. – Dziecko im ufa i zachowa się spokojnie, jeżeli z nim zostaną.

Jonas był zdumiony. Co się stało Shoko? Tara wie przecież, że jedyną osobą, z

którą chłopczyk się liczy, jest Jacob. On sam nie miał posłuchu u tego małego koczkodana, ale natychmiast wysiadł z samochodu.

Gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem słuchu Briar, Mela i Tigery, obaj tropiciele i Erin spytali Shoko, gdzie go pobito. Chłopczyk wskazał dość odległe skaliste wzgórze. Przez jego małe ciało przebiegały dreszcze. Jacob tulił go mocno i mówił, jak mądrze i odważnie się zachował udając, że nie potrafi mówić. Obiecał też, że on sam, Jonas i Erin ukarzą tych złych ludzi, którzy go pobili.

– Wziąłem czekoladę z ich torby – wyznał Shoko cichutko.

– To bardzo brzydko kraść – odparł Jacob – ale dobrze się stało, że natknąłeś się na tych ludzi i jestem z ciebie dumny.

Shoko usiłował się uśmiechnąć, ale tylko jęknął, gdy uraził sobie pękniętą wargę.

– Chodź, malutki. Postaram się, żeby zaraz przestało cię boleć – powiedziała Tara. – Byłeś bardzo dzielny, a teraz pokaż mi, że potrafisz być silny.

Ku zdziwieniu wszystkich Shoko rozluźnił chwyt wokół szyi Jacoba. Mocno wzięł Tarę za rękę i spokojnie z nią odszedł.

– Boi się, że ci ludzie nadal przebywają na wzgórzu – zauważył Erin.

– Mam nadzieję, że tam jeszcze są – odparł Jacob, a Jonas skinął głową. Przebiegając od drzewa do drzewa, ostrożnie zbliżyli się do wzgórza, ale nie spostrzegli żadnego ruchu. Nikogo już tam nie było.

– Shoko nic nie powiedział, ale i tak odeszli stąd w pośpiechu – stwierdził Jacob. Stali teraz na szczycie i mieli doskonały widok na obóz.

– Ale nie spieszyli się aż tak bardzo, by pozostawić ślady – powiedział Jonas.

Oczy Jacoba zwięzły się.

– Widzieli nas, gdy znaleźliśmy ślad. > Jonas cicho zagwizdał.

– Stąd bez trudu mogli nas wszystkich powystrzelać.

– Czego tu chcieli? – spytał Erin żując źdźbło trawy. – Po co obserwowali nasz obóz i dlaczego odeszli?

– Ich dowódca jest sprytny – wyjaśnił Jacob. – Obawiał się, że gdy Shoko wróci do domu, przyprowadzi tu kogoś. Teraz już na pewno są daleko od Nowego Ganyani.

Erin wyjął trawkę z ust i odrzucił ją. Patrzył, jak opada. Nagle podskoczył, jakby go użądliła pszczoła, podbiegł do tamtego miejsca i opadł na czworaki.

– Tutaj! – zawołał. – Tu leżał dowódca! Spójrzcie na wgłębienie, jakie wykopał sobie dla bioder. Stąd miał doskonały widok na obóz. – Podniósł strzelbę i spojrzał przez celownik. – Ciekawe, kogo szukał? – Odwrócił się do tropicieli. – Znajdźcie resztę kryjówek – poleciał – i sprawdźcie, ilu ludzi miał ze sobą.

– Niepokoi się – szepnął Jonas, gdy schodzili ze wzgórza.

– Ani słowa o Tigerze – ostrzegł Jonas.

– Będę milczał, jak żadasz – obiecał Jonas. Obaj tropiciele podeszli do Erina.

– Czterech oznajmili. – Miał ze sobą czterech ludzi.

– Nic więcej nie znaleźliście?

– Nie – odparł Jacob. – Tym razem byli ostrożni, ale na pewno jutro rano trafilibyśmy na ich ślad.

Zapadła długa cisza. Mężczyźni wpatrywali się w obóz.

– Jutro polujemy – obwieścił wreszcie Erin. – Nie możemy sobie pozwolić na denerwowanie Amerykanina i Tigery. Tigera! – powtórzył. – Zastanawiam się, czy to przypadkiem nie jego szukają. Ta świnia musi mieć setki wrogów. Podczas tego polowania muszę odnosić się do niego uprzejmie, ale przecież wiem, że to on nakazał rzeź w Ganyani. – Nagle uśmiechnął się. – Ale jeżeli to właśnie jego szukają, ja go nie będę chronił.

Tropiciele milczeli.

Do obozu wrócili w porze kolacji.

Rudo nabierała łyżeczką małe porcje lodów kokosowych i ostrożnie karmiła nimi Shoko, głaszcząc go od czasu do czasu po głowie. Jednocześnie słuchała opowiadania męża o ludziach, którzy obserwowali obóz. Gdy Jacob skończył, zaciśnęła usta.

– Jacob, nie podoba mi się to. Będą kłopoty. Jutro podczas polowania zachowaj ostrożność.

– Tak zrobię.

– Nie poświęcaj całej uwagi śladom na ziemi, lecz rozglądaj się wokół siebie. Będziesz potrzebował oczu orła.

Jacob nie powiedział żonie, że to właśnie Tigera zapłacił za atak na nią. Teraz, wyczuwając jej lęk przed ludźmi, którzy kryli się na wzgórzu, był zadowolony, że nie podzielił się z nią tą wiadomością. Najprawdopodobniej powiedziałaaby o tym Staremu Człowiekowi i Pat nie pozwoliliby mu uczestniczyć w polowaniu ani zbliżać się do Tigery. A Jacob wiedział, że już nigdy więcej nie trafi mu się tak wspaniała okazja do pomszczenia żony, jak to polowanie. W mieście Tigera był zawsze starannie strzeżony, ale ponieważ nie chciał, by Amerykanin zauważył, że ma wrogów i naprawdę potrzebuje ochrony, niechętnie rozkazał swoim goryłom pozostać w Harare.

Podczas kolacji Erin i Tara zmuszali się do śmiechu i opowiadania zabawnych historyjek, ale przez cały czas denerwowali się.

Tara nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Erin nie powiedział jej, co się przydarzyło Shoko, a Shoko milczał. Widziała, jak Erin i tropiciele wbiegają do obozu na chwilę przed powrotem Briar i gości ze spaceru. Czuła, że Erin ukrywa przed nią coś bardzo ważnego. Lata spędzone przy ojcu nauczyły ją, że gdy kobiety pytają mężczyzn wprost, ci na ogół zbywają je byle czym albo kłamią. Aby więc uzyskać informacje, trzeba wykazać się wielką cierpliwością.

Po kolacji Pat i Erin odprowadzili Mela i Tigere do ich chat.

– Wyśpijcie się dobrze, bo rano wstajemy bardzo wcześnie – poradził im Erin. Potem Erin wyprowadził ojca poza bome. Gdy już byli na zewnątrz, Pat przerwał milczenie.

– Synu, co się tu dzieje? Czyżbyś rozmyślił się co do małżeństwa?

– Och, nie, tato. Tara jest cudowną kobietą i naprawdę nic się nie zmieniło. Ale... – zamilkł i kopnął kamień. Nie chciał denerwować ojca, a poza tym tak bardzo pragnął udowodnić, że potrafi samodzielnie zarządzać Nowym Ganyani.

– Powiedz mi, o co chodzi – poprosił Pat.

Gdy Erin skończył mówić, Pat ruszył przed siebie, głaszcząc łysy czubek głowy.

– Słyszałem o czymś, o czym ci nie mówiłem – oznajmił po dłuższej chwili milczenia. – Wtedy nie wydawało mi się to specjalnie ważne, ale... Tigera miał informacje o bandzie kłusowników dowodzonej przez białego, która spowodowała poruszenie w Departamencie Dzikiej Zwierzyny. Chciał nawet przełożyć safari i poczekać, aż złapią tych kłusowników – Pat wsadził ręce głęboko w kieszenie kamizelki.

– Może to jakiś zorganizowany gang – rozmyślał Erin na głos. – Ale przecież nie możemy odwołać polowania! Tato, gdybyśmy to zrobili, oznaczałoby to, że nie nadajemy się do tej pracy.

– Zresztą Tigera i tak nie pozwoliłby nam wszystkiego anulować, bo straciłby twarz wobec swojego amerykańskiego miliardera. A niewątpliwie jest zdania, że na mleku tej dojrzałej krowy zostało jeszcze bardzo dużo śmietany – dodał Pat. – Dopilnuj jutro, żeby obaj tropiciele mieli ze sobą strzelby i powiedz im, że mogą zastrzelić każdego kłusownika, na jakiego się natkniemy.

Erin skinął głową.

– Na szczęście dzięki temu koczkodanowi Shoko, obcy odeszli. Przynajmniej raz jego psota na coś nam się przydała. – Pat roześmiał się niezbyt wesoło.

– Opuścili wzgórze w pośpiechu. Biedne dziecko, mocno go zbili, ale on jest sprytny i twardy – powiedział Erin.

Ojciec i syn powoli wracali do obozu; zatrzymując się od czasu do czasu, by posłuchać odgłosów nocy.

– To, dokąd poszli, zależy od tego, co chcą uzyskać albo kogo dopaść – odezwał się w pewnej chwili Pat. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym wziąć udział w jutrzejszym polowaniu.

– Tato, cudownie! – wykrzyknął Erin. – Ale, proszę cię, nie mów Briar o kłusownikach, bo ona zaraz to powtórzy Tarze, a wtedy Tara będzie chciała nam towarzyszyć i chronić mnie przed niebezpieczeństwem.

– Już słyszałem, że wbiegła w stado bawołów, żeby cię uratować – roześmiał się Pat.

– To prawda. Ale nie mów nic kobietom ani klientom. Poproś jednak Jacoba, żeby ostrzegł ludzi z wioski i Katoro. Niech nie kręcą się po buszu, dopóki nie

upewnimy się, że ta banda naprawdę stąd odeszła.

Pat i Erin nie położyli się tej nocy spać. Siedzieli przy ognisku, popijając kawę i czekali, aż wszyscy pozostali mieszkańcy się obudzą.

W którejś chwili dołączyła do nich Sheeba, zawstydzona, że zasnęła przy łóżku pana i nie zauważyła, że go tam nie ma.

– I ty uważasz siebie za psa obronnego? – spytał Pat, widząc ją czołgającą się do ogniska. Uszy jej opadły, wciśnięty pod brzuch ogon świadczył, jak bardzo czuje się winna. – Lew mógłby mnie porwać, a ty byś to przespała. Starzejesz się, Sheeba!

Suka jęknęła.

– Tato, wybacz jej! – wtrącił się Erin. – Nie mogę znieść tego jej pokornego spojrzenia. Udaje, aż miło. Co za aktorka!

Obaj mężczyźni roześmiali się, a ogon Sheeby natychmiast wysunął się spod brzucha i zaczął radośnie, z całej siły tłuc z boku na bok.

– Dobrze, że ten dzień zaczyna się od śmiechu – usłyszeli niski głos. Mel wyszedł ze swojej chaty, wyrzucił ręce w górę, a potem podrapał się po piersi. – Erin, dlaczego nie jesteś w łóżku? Zmoczyłeś prześcieradło?

Erin uśmiechnął się. Bardzo polubił potężnego Amerykanina.

– To przez tatę. Czy to w lecie, czy w zimie, lubi wstawać zanim nastanie świt.

– Chwile przed wschodem słońca to mój czas na rozmyślenia – powiedział Pat. – Każdy potrzebuje czasu na posłuchanie tego, co mu mówi jego dusza.

– Chyba masz rację – przyznał Mel, wykonując serię przysiadów. – Muszę tego kiedyś spróbować.

– Doskonale – ucieszył się Pat, wrzucając świeże polano do ognia. – Ty wstaniesz przez świtem, by posiedzieć sobie spokojnie, a ja zobaczę, co mi da twoja gimnastyka. Mój brzuch na pewno na tym skorzysta.

Przysłuchując się tym żartom, Tigera podciągnął koc pod brodę. Tak bardzo chciałby być z powrotem w Harare, w swoim wygodnym domu. Niestety, musiał drzeć z zimna w tej chacie z trawy. Przewrócił się na bok i ułożył w pozycji płodowej. Wzdrygnął się, bo prześcieradło otarło się o chorą piętę. Dzięki staraniom Briar pęcherz do wczoraj nie sprawiał mu już kłopotów, ale po spacerze wszystko się odnowiło. Zastanawiał się, dlaczego odwołano polowanie na antylopy. Przecież nie zrobili tego tylko dlatego, że jakieś dziecko upadło i skaleczyło się. Dzieci mają to do siebie, że ciągle się kaleczą, bo biegają w kółko jak pociski pozbawione naprowadzania.

Wczorajszy wypadek nie został odwołany po to, by leczyć chłopczyka, który zachorował. Tego Tigera był pewny. Wciąż przypominał sobie obraz kłusowników, postanowił więc, że będzie trzymał się blisko Erina, ubezpieczony przez jego strzelbę. Zaczął znów zapadać w sen, gdy rozległ się głos Briar. Aż

podskoczył na posłaniu.

– Panie Tigera, gdy pan już wstanie, chciałabym jeszcze raz spojrzeć na ten pana pęcherz. Czeką nas cały dzień wędrowania, więc muszę się upewnić, że noga nie będzie panu dokuczać.

– Oczywiście, jeżeli pan jest chory, z prawdziwą przyjemnością zajmiemy się panem tu, w obozie – dodała Tara. – Byłoby doprawdy miło, gdyby dotrzymał nam pan towarzystwa.

Briar wykrzywiła twarz tak, jakby napiła się soku z cytryny. Ale Tara tylko uśmiechnęła się i puściła do niej oko.

Tigera rozzłościł się. Zdecydowanie musi uczestniczyć w polowaniu! Gdy ostatnio pozwolił, by Amerykanin został sam na sam z Briar i Patem, stracił władzę nad Karne Dwa. Nie zamierzał tracić więcej ziemi ani pozwalać, by podważono jego władzę. Nie! Dziś pójdzie z nimi!

– Noga jest już w porządku. Dziękuję – odkrzyknął. Tara szturchnęła Briar w żebra.

– Takie pęcherze nie goją się łatwo, a nawet jeżeli są zagojone, mogą się odnowić – nalegała Briar. – Wydaje się, że są już suche, ale po paru godzinach chodzenia skóra mięknie. Naprawdę wolałabym zrobić panu opatrunek. Po prostu dla wygody.

Czy ta kobieta nigdy nie przestanie nudzić? – złościł się Tigera, wstając niespiesznie z łóżka.

– Briar ma rację – zawołał Erin od ogniska. – Jeżeli rana się otworzy, będziemy musieli zostawić pana w buszu i zabrać dopiero w drodze powrotnej do obozu.

Myśl o samotnym spędzeniu wielu godzin pod jakimś drzewem, z kręcącymi się obok dzikimi zwierzętami i kłusownikami, pomogła Tigerze podjąć decyzję.

– Zawołam, gdy się umyję i ubiorę – powiedział.

– Dobrze, panie Tigera – odparła Briar. – Śniadanie będzie na stole za pół godziny.

Tigera mruknął coś pod nosem. Nigdy więcej nie weźmie udziału w polowaniu, nawet po to, by towarzyszyć Amerykaninowi. I3mył się, ubrał i spojrzął na zegarek.

– Panno Hanley! – zawołał.

Briar i Tara pospieszyły do jego chaty – Och – sapnęła Briar, oglądając pęcherz, który już pękł. – Najlepiej będzie, jeżeli znów to przemyję spirytusem, żeby go wysuszyć.

– Nie – sprzeciwił się stanowczo Tigera. – Niech pani tylko zaklei plastrem. Tara wzruszyła ramionami.

– Panie Tigera, Briar ma rację, ale postąpimy zgodnie z pana życzeniem. Najpierw trochę maści bakteriobójczej, potem opatrunek z gazy, a wreszcie plaster

dla przytrzymania. No, gotowe. Teraz pomożemy panu włożyć skarpetkę i but. Tigera cofnął nogę. Czuł, że pod ich udawaną troską kryje się kpina.

– Dam sobie radę – stwierdził krótko.

– Jeżeli nie zrobi pan tego właściwie, plaster się skręci na bokach i będzie ocierał ranę – ostrzegła Tara.

Gdy Tigera nie raczył odpowiedzieć, lecz sam zajął się swoją skarpetką i butem, kobiety wzięły miskę z wodą, plaster i bandaże, i zostawiły go samego.

Jacob przyglądał się, jak Tigera idzie ze swojej chaty do stołu. Jego bystre oczy zarejestrowały, że oszczędza lewą nogę, chociaż gdy spostrzegł, że jest obserwowany, wyprostował się i zaczął iść normalnie.

– Dzień dobry! Mam nadzieję, że dobrze pan spał – powitał go Erin, podczas gdy Katoro odsuwał dla niego krzesło.

– Tak, jak można się było spodziewać w tych okolicznościach – odpowiedział nieuprzejmie Tigera.

– Ja od dawna nie spałem tak dobrze – wtrącił się wesoło Mel.

Obie kobiety uwijały się wokół Tigery twierdząc, że ze względu na swoją ranę wymaga specjalnego traktowania. Dzięki temu poczuł się ważny i pod koniec posiłku udało mu się nawet przywołać na usta wymuszony uśmiech.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Kirkowi Maddenowi burczało w brzuchu. Od poprzedniego popołudnia, kiedy to uciekł ze wzgórza, z którego obserwował obóz Nowe Ganyani, jadł tylko suszone mięso i pił wodę ze strumienia.

Jego kwaśny nastrój odpowiadał kwasowi, jaki czuł w żołądku. Noc była zimna, a nie mógł pozwolić sobie na rozpalenie ogniska, bo bał się, że ktoś mógłby je zauważyć. Jego ludzie skulili się na suchym brzegu rzeki, a on siedział i liczył godziny do świtu.

Jeden z mężczyzn posłanych na zwiady wrócił tuż przed wschodem słońca.

– Idą polować na bawołu – powiedział, kucając przy Kirku. – Najpierw pojedą poszukać śladów do Źródła Tenga.

– Jesteś tego pewny? – spytał ostro Kirk.

– Tak. Stara kobieta nie kłamała przed śmiercią. Natknąłem się na nią przy strumieniu. Prała ubrania. Powiedziała mi też, że ostrzeżono wszystkich, by nie wychodzili z wioski, bo w pobliżu są kłusownicy.

Kirk uderzył zaciśniętą pięścią w drugą dłoń.

– Więc już wiedzą, że byliśmy na wzgórzu. To przez tego dzieciaka! Powiniennem był go zabić.

Kłusownik spojrział na niego w zamyśleniu. To dobry dowódca. Nieustraszony i bezlitosny.

– Nadal możesz to zrobić – powiedział. – Dzieciak jest w wiosce i zostanie tam przez cały dzień.

Oczy Kirka zabłyśły, a potem znów patrzyły zimnym, żółtym spojrzeniem.

– Nie – zdecydował. – Musimy być w Tenga, zanim oni tam nadejdą. Tym razem upewnię się, że nie zostawiamy za sobą żadnego śladu. Obudź pozostałych! Nagle okręcił się i chwycił podwładnego za kołnierz kurtki, podrywając go na nogi.

– Kobieta? – warknął. – Gdzie jest kobieta?

– Ukryłem jej ciało w norze dikita – wyjaśnił tamten. – Była drobna i łatwo się zmieściła.

– Dobrze. – Kirk puścił mężczyznę. Mrówkojady potrafią wykopywać nory o głębokości dwunastu stóp. Na pewno nikt nie znajdzie zwłok. A jeżeli hiena poczuje zapach i wykopie je, będzie to wyglądało tak, jakby to ona zabiła kobietę. Wkrótce banda truchtała gęsiego za swoim dowódcą. Kirk wiedział, że myśliwi często zaczynali polowanie na bawołu właśnie przy Źródle Tenga. Gdy zbliżyli się do niego, Kirk zatoczył szerokie koło. Zależało mu, by tropiciele Erina nie spostrzegli nic podejrzanego.

Ustawił swoich ludzi na termitierze, która wznosiła się na jakieś trzydzieści stóp pod ogromnym mahoniowcem. Gęste gałęzie osłaniały termitierę od strony źródła.

Ludzie wsunęli się pod gałęzie i leżeli cicho i cierpliwie, jak głodne drapieżne koty. Kirk sprawdził jeszcze, czy są niewidoczni, a potem wdrapał się na drzewo. Ciemnozielone liście natychmiast zamknęły się nad nim i zniknęły.

Zanim dojechali do Źródła Tenga, humor Tigery wyraźnie się poprawił. Przez wzgląd na chorą nogę wyznaczono mu miejsce obok Erina, a Mel usiadł na ławce tropicieli. To małe zwycięstwo, uzyskane w jego jednostronnej rywalizacji z Amerykaninem, skłoniło go do uśmiechu.

Może jeszcze nie wszystko jest stracone, rozważał. Gdy Amerykanin wyjedzie, mogą bardzo utrudniać Giffordowi życie w Karne Dwa. Wkrótce zacznę mnie błagać, bym odkupił od niego posiadłość. Bawił się tą myślą do chwili, gdy toyota podskoczyła na wyboju i zatrzymała się. Erin zjechał z traktu i zaparkował samochód w cieniu kilku akacji.

– Podczas marszu będzie nam gorąco, więc radzę zostawić tu niepotrzebne ubranie – powiedział.

Tigera spojrział na niebo. Przeświecało przez gałęzie akacji czystym, jasnym lazurem. Zdjął kamizelkę, zwinął ją w mały pakunek, otworzył schowek pod deską rozdzielczą i zajrzał do środka. Nie było tam nic, prócz jakiegoś niezbyt czystego bandaża. Włożył więc do schowka kamizelkę, odsuwając do tyłu opaskę uciskową. Podczas gdy reszta uwijała się przy samochodzie jak mrówki atakujące gniazdo termitów, siedział spokojnie w swoim fotelu. Chora noga była usprawiedliwieniem na to, że tylko się przyglądał, jak inni pracują.

– Jesteśmy gotowi – stwierdził Erin, podchodząc do drzwi od strony Tigery. Podał mu rękę, a Tigera zrobił małe przedstawienie, opierając się na nim przy wysiadaniu.

– Jest pan pewny, że nie chce tu zostać? – spytał Mel, prawie nie tłumiąc sarkazmu w głosie. – Wydaje mi się, że ta noga naprawdę pana bardzo boli.

– Nie. Gdy się rozruszam, wszystko będzie dobrze – odparł Tigera szybko. Zganił się za to, że udawał bardziej chorego, niż był w rzeczywistości.

Erin zostawił go pod opieką Jacoba i Jonasa, szybko sprawdził w pamięci listę rzeczy do zabrania, a potem rzucił jeszcze okiem do wnętrza samochodu.

Coś mu się przypomniało, więc zajrzał do schowka i zobaczył tam kamizelkę Tigery. Nie chciał, by Tigera sądził, że grzebie w jego rzeczach. Nigdy nie potrzebowaliśmy opaski, pomyślał, zamknął schowek, zarzucił strzelbę na ramię i powiedział tropicielom, by szukali śladów. Gdy Jonas i Jacob poszli rozejrzeć się w błocie nad wodą, reszta czekała przy źródle.

W pewnej chwili Jonas cicho zagwizdał i wskazał coś laską. Jacob podszedł do niego. Wymienili parę słów, Jacob wzruszył ramionami, a potem skinął głową.

– Mamy trop – oznajmił Erinowi.

– Proszę, tato – powiedział do Pata i usunął się w bok, by ojciec ruszył pierwszy.

– Nie, synu, to twoje polowanie. Ja pójdę z tyłu.
Gdy wchodzili w zarośla mopane, było jeszcze chłodno, ale już wkrótce spływali potem, a wokół nich zaczęły krążyć pierwsze muszki.
Erin zauważył, że Jacob i Jonas bacznie rozglądają się na boki. To dobrze, pomyślał, pamiętają o kłusownikach.
Tigera dotrzymywał im kroku. Opatrunek na pięcie pomagał mu iść. Czuł się bezpiecznie z Melem na przodzie i Patem za sobą.

– Nyati idzie do wody zarośniętej szuwarami – odezwał się Jacob do Erina przez ramię.

– Niech go szlag! – zaklął Erin. – Nie mógłby ułatwić nam polowania idąc na trawiastą równinę?

– Lew...

– Tak, wiem – roześmiał się Erin. – Lew jest lwem i jest lwem.

– Nie możemy iść w sześciu w szuvary. Najprawdopodobniej wpadlibyśmy na innego bawołu przeżuwającego pokarm.
Tropiciele i Erin przykucnęli w kręgu.

– Tigera nie poluje. Poza tym jest tak niski, że w szuwarach stracimy go z oczu – stwierdził Erin. – Niech zostanie na brzegu.
Jacob spochmurniał. Dziś chciał być blisko pana Tigery.

– Więc może my trzej pójdźmy w dół i przepędźmy bawołu – zaproponował. – Niech Amerykanin i pan Pat zostaną tutaj z panem Tigera. Gdy wypędzimy nyati z szuwarów, będą mogli do nas dołączyć.

– To dobry pomysł. Dziękuję, Jacob.

Pat zgodził się zostać i patrzył, jak tropiciele z Erinem schodzą na brzeg i brodzą wśród szuwarów, trzymając strzelby wysoko nad głowami. Grube trzciny tłukły ich po twarzach jak fale niespokojnego morza, gdy oni przedzierali się przez ocean zieleni.

Jacob i Jonas nie mieli czasu, by wypatrywać kłusowników. Całą uwagę musieli skupić na szuwarach, by nie przeoczyć bawołu. To było ryzykowne posunięcie, bo gdyby bawół ich usłyszał albo wywęszył, w panice mógł popędzić prosto na nich.
Pat obserwował szuvary przez lornetkę. Widział zgniecione miejsca tam, gdzie bawoły kładły się, by przeżuwać, ale nie zauważył zwierzęcia, którego ślady Jacob wykrył na brzegu rzeki.

Tigera usiadł i przerzucił nogę przez krawędź wysokiego brzegu. Nie interesowało go, czy wypatrzą bawołu. Chciał, by ten dzień się już skończył i by znów znaleźli się w obozie.

– Tam! – krzyknął Mel podnosząc broń. Tigera skoczył na równe nogi i obtarł chorą piętę o twardą glinę.

– Proszę spojrzeć. Idą prosto na bawołu. Leży niżej, naprzeciwko nich i nie mogą go dostrzec. Szuvary są zbyt wysokie.

– Nie strzelać! – krzyknął Pat, ale już było za późno. Wystrzał ogłuszył Tigere. Od wysokich brzegów rzeki echo odbijało się jak piłka.

Tropiciele i Erin spojrzeli w stronę mężczyzn na brzegu. Stali jak wryci, ze strzelbami gotowymi do strzału. Mieli wrażenie, że otworzyła się przed nimi ziemia.

Nie jeden lecz trzy bawoły wybiegły z kryjówki i popędziły przez szuwary. Zwierzęta uciekały od ludzi w dół rzeki.

Pat spojrzął na Mela i powstrzymał się od wyrażenia złości. Amerykanin był biały na twarzy. Wydawało się, że zaraz zemdleje.

– Niech pan usiądzie – powiedział, biorąc od niego broń. Mel opadł na kolana.

– Do diabła, przepraszam! – wykrztusił. – Postąpiłem jak ostatni idiota. Mogłem ich pozabijać!

– Tak – przyznał Pat. – Mają szczęście, że zwierzęta pobiegły w drugą stronę, a nie na nich. Ale mógł pan zranić jedno z nich. Pod tak ostrym kątem nie jest łatwo trafić. I teraz mielibyśmy do czynienia z rannym bawołem.

Tigera uśmiechnął się złośliwie. Amerykanin był upokorzony, a na dodatek chyba odwoła ją teraz polowanie i będzie mógł wrócić do obozu. W miejscu, gdzie otarł piętę o glinę, pęcherz mu pulsował. Wcale nie miał ochoty chodzić dalej po kamieniach i zaroślach.

Nagle Pat wstał i zagwizdał. Gdy Erin i tropiciele podnieśli ku niemu głowy, wskazał przeciwległy brzeg. Stał prosto i wyciągnął ramię, jakby to był drogowskaz.

– To nasz nyati – szepnął Jacob. – Pan Pat zobaczył, jak wybiega z kryjówki. Pewnie czekał, aż ucichnie hałas, a teraz wyszedł z szuwarów.

– Będzie szedł szybko, aż się upewni, że nikt za nim nie podąża – dodał Jonas.

– Więc idźmy za nim tak, jak wskazał tato – zdecydował Erin. – Możecie podjąć trop na drugim brzegu.

– A pozostali? – spytał Jacob.

– Tato może ich przyprowadzić naokoło – odrzekł Erin. – Nie muszą tu schodzić. Spotkamy się po drugiej stronie.

Jacob odrzucił głowę do tyłu i wydał okrzyk rybołowa. Pat skierował na nich lornetkę, a oni wyjaśnili mu swój plan językiem migowym. Pat wyrzucił zaciśniętą pięść nad głowę i zagwizdał.

– Chodźmy! – polecił Melowi i Tigerze. – Spotkamy się z nimi na drugim brzegu.

– Ale przecież bawoły uciekły – zaprotestował Tigera.

– Nie o te nam chodziło. To było inne stadko, śpiące w szuwarach. Nasz jest bardziej podstępny. Spokojnie wyszedł z szuwarów i ucieka po drugiej stronie wody.

– Więc jak mamy go dopaść? Musimy pozwolić mu odejść – argumentował

Tigera.

– Nie. Gdy się uspokoi i nie będzie już słyszał pogoni, zwolni kroku. Jacob i Jonas znajdą jego trop. Niech się pan nie przejmuj.

Przejmuję się tylko tym, że oni jednak znajdą tę bestię, pomyślał Tigera.

Gdy podniósł się na nogi, zdał sobie sprawę, że jego pięta nie jest już starannie opatrzona. Przy każdym kroku odczuwał teraz pieczenie.

Zacisnął zęby, bo nie chciał się oddalać od Amerykanina. Zanim doszli do końca doliny i ruszyli w kierunku czekających na nich Erina i tropicieli, mocno już kulał.

Jacob i Jonas obserwowali Tigera jak lwy wybierające najsłabsze zwierzę ze stada antylop.

– Kuleje – szepnął Jonas.

– A będzie jeszcze gorzej – ucieszył się Jacob i zwrócił się do Erina: – Pan Tigera nie może chodzić. Jeżeli twój Amerykanin ma ustrzelić bawołu, ty i pan Pat powinniście iść przodem, a Jonas i ja zajmiemy się panem Tigera.

Erin zawahał się.

– Przy tempie, w jakim idzie pan Tigera, nigdy nie dogonicie bawołu. Spójrz na niego!

– A gdy skarpetka podrażni mu pęcherz na pięcie, będzie szedł jeszcze wolniej – przekonywał Jonas.

Erin przyjrzał się Tigerze. Mają rację, pomyślał. A doprawdy ważne jest, by Mel był zadowolony. Wtedy ta mała świnka Tigera również będzie zadowolony, bo otrzyma od Mela więcej pieniędzy.

Za każdym razem, gdy Erin widział Tigera, przed oczami stawały mu ciała jego szablrogich antylop rozrzucone na wzgórzach Gayani i wściekłość mąciła mu wzrok. Ale Tigera, jako jego gość, był nietykalny. Nadarzy się jeszcze jakaś okazja, przyrzekł sobie. A teraz ten podły tchórz będzie bezpieczny z Jacobem i Jonaszem. Obaj są uzbrojeni i potrafią go obronić. Odciągnął Pata na bok i wyjaśnił mu nowy plan.

– Dobrze – zgodził się Pat. – Powiadom ich.

– Panie Tigera! – zwrócił się Erin do swojego gościa. – Jacob i Jonas zostaną tu z panem. W ten sposób będzie pan mógł iść wolniej i nie urażać nogi.

Tigera zachmurzył się.

– Jacob i Jonas to najlepsi tropiciele i myśliwi, jakich kiedykolwiek spotkałem – wtrącił Pat. – Będzie dla pana bezpieczniej trzymać się z dala. A w końcu – uśmiechnął się – to Melowi, a nie panu, zależy na tym, by stanąć na wprost afrykańskiego bawołu.

To wreszcie poskutkowało. Tigera wcale nie miał ochoty zbliżyć się do żadnej z tych wielkich bestii. Jeden ze strażników Parków nadział się na róg bawołu. Tigera widział wielką dziurę tam, gdzie przedtem ten człowiek miał odbytnicę. Bawół kręcił strażnikiem na wszystkie strony, chcąc się go pozbyć. Tigera przełknął ślinę

i popatrzył na Jacoba i Jonasa, ale obaj tropicie wpatrywali się w ziemię.

– Jacob, wszystko w porządku? – spytał Erin. Coś mu się nie podobało. Jacob od rana był niezwykle cichy.

– Nie zostaniemy daleko w tyle – obiecał Jacob. – Pan Tigera będzie miał okazję zobaczyć śmierć.

– Czyżbyś się przechwalał swoimi umiejętnościami tropiciela? – zakpił Pat. – Pamiętaj, że będziesz musiał się pospieszyć, by nas dogonić.

– Usłyszymy was i dojdziemy na skróty. Przecież nie musimy iść dokładnie po śladach nyati, tak jak wy – odparł Jacob z uśmiechem.

– Skoro będziecie iść powoli, rozglądajcie się za sidłami i pułapkami – polecił Erin.

Tropiciele skinęli głowami. Rozumieli, przed czym ich ostrzega.

Tigera patrzył, jak Mel, Erin i Pat odchodzą. Będą zbyt zajęci tropieniem bawołu, by rozmawiać o koncesjach, pocieszał się. Dopilnuję, żebyśmy szli niedaleko za nimi. Rozkazująco machnął ręką. Twarze Jacoba i Jonasa były bez wyrazu, a ich bystre oczy spuszczone. Ustawili się gęsiego, z Tigera pośrodku, i ruszyli.

Powoli wdrapali się na pagórek. Czerwone kamyki umykały im spod nóg. Jacob wyciągnął laszkę do Tigery, by ułatwić mu wspinaczkę.

– Nie potrzebuję pomocy od żadnego N'debele – warknął Tigera.

Jacob z powrotem włożył laszkę za pasek i przestał zwracać uwagę na sapanie za sobą. Nie ułożył żadnego planu. Wiedział, że Tigera musi umrzeć, ale po prostu czekał. Miał cierpliwość ludzi urodzonych w Afryce. Coś się wydarzy.

Jonas cicho zagwizdał i Jacob się zatrzymał.

– Co się stało? – spytał Tigera z lękiem.

Jacob i Jonas patrzyli na pętle drutu rozłożone w poprzek zwierzęcej ścieżki.

– Sidła kłusowników – wyjaśnił Jacob i zaczął je zbierać.

– Musimy iść za resztą – ponaglił go Tigera.

– Chyba pan słyszał, jak pan Erin kazał nam rozglądać się za sidłami i pułapkami? – powiedział Jonas.

Tropiciele poszli wzdłuż linii sideł, która prowadziła do płytkiej, suchej kotlinki. W porze deszczowej napełniała się ona wodą, która spływała do wąwozu, ale teraz były tam tylko hałdy brązowych, złotych i czarnych, zeschniętych liści.

Linia sideł wiodła do wąwozu. Zwierzęta wchodziły tym wygodnym szlakiem na wzgórze i kłusownicy uznali to za doskonałe miejsce dla swoich celów.

Jacob zwinął druty w małe pętle i powiesił sobie na pasku. Czekając na niego, Tigera siedział. Korzystał z okazji, by dać odpocząć nodze, która teraz bolała go przy każdym kroku. Jonas poszedł do wąwozu, który wyglądał jak rzeka liści.

Nagle Jacob zobaczył, że Jonas podskakuje do góry jak marionetka na sznurku. Oddychając głośno, wyskoczył na brzeg, a potem powoli wrócił do Jacoba i Tigery.

– Tam jest więcej sideł. Prawie wpadłem w jedno – powiedział spokojnie.
– Chodź i zobacz, zanim je zdejmę.

Tigera oparł się ręką o ziemię, by wstać.

– Niech pan zostanie – poprosił Jacob. W oczach Jonasa wyczytał coś, co go zaniepokoiło. – Lepiej niech pan odpoczywa. Nie warto wysilać nogi tylko po to, by obejrzeć sidła. Zaraz wrócę.

Tigera został.

– Zobacz – powiedział Jonas triumfalnie i wskazał laską liście. Gdy laska niemal wypadła mu z ręki, wzmocnił chwyt. Jad koloru słomy spłynął po kiju jak śluz.

Żmija cofnęła szeroki, trójkątny łeb i uderzyła jeszcze raz.

– Jest wielka – powiedział Jacob.

– I zła – dodał Jonas, gdy żmija nadeła się i ostrzegawczo syknęła.

Obaj mężczyźni odwrócili się, by spojrzeć na Tigera, który czyścił okulary i nie zwracał uwagi na to, co w jego mniemaniu było zwykłym marnowaniem czasu.

– Nasi przodkowie przysłali nam ibululu – stwierdził Jonas.

– To będzie bolesna śmierć. Bardzo dobrze! – ucieszył się Jacob. Odeszli od podrażnionej, rozzłoszczonej żmii. Była w stanie zimowego półuspienia i wygrzewała się na słońcu, gdy Jonas zaszeleścił nad nią suchymi liśćmi.

Jej ostrzegawczy syk ocalił Jonasa. Mimo ogólnej opinii, że żmije są leniwe i atakują tylko wtedy, gdy się na nie nastąpi, potrafią skoczyć w mgnieniu oka i uderzyć ofiarę pięć razy z rzędu.

Żmija trzymała płaski łeb odchylony do tyłu, gotowa w razie potrzeby natychmiast atakować. Zamknęła pysk, a zakrzywione zęby jadowe skryły się w skórnych pochewkach. Jej srebrnoszare oczy patrzyły na Jacoba i Jonasa, którzy wycofywali się na brzeg wąwozu.

– Co znaleźliście? – spytał Tigera, chociaż niezbyt go to interesowało.

– Wydaje się, że ustawili linię sideł w dół suchego strumienia – odparł Jacob.

– Łatwiej będzie panu iść po tych miękkich liściach. Na nadbrzeżnych kamyczkach może pan wykręcić kostkę i urazić sobie piętę.

Tigera skinął głową.

– Ja poprowadzę – oznajmił Jacob. – Jeśli pan zobaczy, że podchodzę do brzegu, proszę za mną nie iść. Chcę tylko sprawdzić, czy nie ma tu przypadkiem podwójnej linii sideł.

– Niech pan idzie po liściach – uzupełnił Jonas. – To najlepszy skrót do miejsca, gdzie jest Amerykanin.

Lekki wietrzyk uniósł garść liści i rzucił je łagodnie na żmiję, której ciało miało bladożółty i brązowy wzór, z ciemnobrązowymi szewronami na bokach i ogonie. Był to idealny kamuflaż.

Jacob oceniał, że ten samiec żmii ma co najmniej trzy stopy długości. Wiedział, że może skoczyć w górę na taką samą wysokość, więc trzymając się w odległości jakichś pięciu stóp, gestami zachęcił Tigere, by ruszył naprzód.

Żmija usłyszała szelest liści. Gdy hałas zaczął się zbliżać, otworzyła pysk i przekreśliła ostre jak igły zęby o dziewięćdziesiąt stopni, wystawiając je na zewnątrz. Była gotowa do uderzenia.

Tigera nie znał się na dźwiękach buszu, a poza tym trzeszczenie grubej warstwy zeschniętych liści pod jego stopami stłumiło ostrzegawczy syk. Z radością szedł po miękkich liściach jak po grubym dywanie, gdy żmija go ukąsiła. Ruch był tak szybki, że nawet tropiciele nie byli pewni, czy atak już nastąpił. Wydawało się, że tylko odrzuciła do tyłu łeb z wystającymi zębami.

Tigera w pierwszej chwili nie doznał bólu. Przy następnym kroku postawił nogę na rozszoszczonej żmii. Gdy wyczuł pod stopą delikatny ruch, popatrzył w dół.

W niewyobrażalnym strachu wydał z siebie piskliwy krzyk. Jak wielu Afrykanów, nieprzytomnie bał się węży. Widział długie zęby jadowe wystające z górnej części pyska. W bladym, słonecznym świetle wyglądały tak, jakby żmija unurzała je w żółtku jajka.

Zgniatą żmiję swoim ciężarem. Ale ona uderzała i uderzała. Jej zęby przebiły żyłę podkolanową, wstrzykując jad głęboko do środka.

Jad żmii jest równie toksyczny, jak jad mamby czy kobry, ale na ogół rozprzestrzenia się po organizmie wolniej. Tigera opadł na kolana. Jacob i Jonas natychmiast zaczęli zbierać kamienie i rzucać je na ibululu. Żmija skręcała się i kulila, podczas gdy kamienie miażdżyły jej ciało, aż wreszcie na wzorzystej skórze pojawiła się krew. Mocne, pokryte łuskami sploty w agonii ocierały się o Tigere, on jednak był tak przerażony, że nic nie widział ani nie słyszał.

Jacob patrzył na to jakby z pewnego oddalenia. Rozwiązanie, które wydawało się takie doskonałe, nie zadziałało! Nie mógł pomścić cierpień Rudo ani straty Ganyani i Karne przez Giffordów. Żmija nie ukąsiła!

Już miał podejść do Tigery i pomóc mu wstać, gdy ten wrzasnął. Jad zaczął działać. Zabijał komórki ciała, powodując nieprawdopodobny ból. Jacob przypomniał sobie, jak Erin kiedyś mówił, że tylko morfina może przynieść ulgę w bólu wywołanym przez ukąszenie rozszoszczonej żmii, która wstrzyknęła cały swój jad. Mieli morfinę w samochodzie, ale dzieliły ich od tamtego miejsca co najmniej dwie godziny drogi. Tigera będzie miał dość czasu na rozmyślanie o mękach tych, których posłał na śmierć, pomyślał, patrząc, jak młóci rękami liście i kurczy nogi w bólu.

Jednego tylko Jacob nie mógł przewidzieć. Zamiast przenikać powoli do organizmu, jad już dochodził do serca.

– Musimy pójść po Erina i pana Pata – powiedział Jonas odwracając wzrok od martwej żmii i Tigery.

- Nie – sprzeciwił się Jacob. – Niech tak zostanie.
 - Mają ze sobą Amerykanina. Wyda mu się dziwne, że nie próbowaliśmy ratować Tigery – przekonywał go Jonas.
- Jacob słuchał wrzasków Tigery.
- Wystrzel dwa razy – polecił. – Odwołają polowanie i przyjdą tu.
- Jacob nie skończył jeszcze mówić, gdy Jonas podniósł swojego Springiielda i strzelał w powietrze.
- Pat, Erin i Mel byli bliżej, niż się tropicielom wydawało. Bawół prowadził ich po okręgu i chyba zamierzał wrócić w szuwary.
- Kłopoty – powiedział Erin słysząc dwa strzały.
- Puścili się truchtem w kierunku, z którego dobiegł ich ten odgłos.
- Jak ich znajdziemy? – wysapał Mel.
 - Będą oddawać po dwa wystrzały co pięć minut, aż się spotkamy – wyjaśnił Erin.
 - Minęło pięć minut – stwierdził Pat. – Zatrzymajmy się i posłuchajmy.
 - Tam – wskazał Erin, gdy na wprost nich rozległy się dwie eksplozje.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

- Kirk Madden uważnie obserwował szuwary.
- Tu ich nie ma – powiedział.
- Ale ten pojedynczy wystrzał dochodził właśnie stąd – oponował jeden z kłusowników. Kirk i jego ludzie usłyszeli odgłos strzału z Wetherby Mela, gdy byli jeszcze oddaleni o kilka mil. Wzgórza pochwytyły i przerzuciły echo przez zarośla i drzewa mopane do miejsca, gdzie właśnie tropili myśliwych.
- Spójrz! – powiedział inny kłusownik. Pochylił się i poszperał w kępie niskiej trawy, a gdy otworzył dłoń, słońce zaśniło na łusce jakby to była sztabka złota. Kirk wziął łuskę i przeczytał wybity na niej napis.
- Wetherby – stwierdził. – Strzelał Amerykanin.
- I chybił – dodał kłusownik, dumny ze swojego znaleziska. – Nadal idą tym tropem.
- To znaczy, że my możemy przyspieszyć kroku – uznał Kirk. – Będą musieli podbiec, by dogonić bawołu, a ich uwaga będzie skierowana na trop. Możemy zmniejszyć dystans. – Wskazał miejsce, gdzie zaczynały się szuwary. – Okrążymy ich tamtędy. Gdybyśmy poszli na skróty, mielibyśmy krótszą drogę, ale tam łatwiej się poruszać, niż w tym morzu szuwarów.
- Kirk jeszcze mówił, gdy usłyszeli dwa szybko następujące po sobie wystrzały.
- Idziemy! – rozkazał Kirk. – Chyba mają kłopoty. – Uśmiechnął się. Kłusownicy ruszyli biegiem.
- Jonas wystrzelił serię po raz drugi. Kirk Madden i jego ludzie przypadli do ziemi. Gdyby Jonas nie strzelał, weszliby wprost na niego. Tropiciele stali w suchym parowie, pochyleni nad czymś plecami do Maddena.
- Kirk gestem nakazał ludziom zatrzymać się w miejscu, a sam poczołgał się do przodu. Musiał zobaczyć, na co patrzą tropiciele. Niech to diabli! Zaklął, rozpoznając wijące się na ziemi ciało. Ci cholerni idioci zastrzelili Tigere. Przepęłniła go wściekłość, pozbawiając zdrowego rozsądku.
- Idioci! Tigera był mój. Ja miałem go zabić! Podniósł się na kolana. Tropiciele nadal stali tyłem do niego. Starali się przytrzymać Tigere i nie zwracali uwagi na nic innego.
- Palec Kirka zacisnął siana spuście. Magazynek wcisnął mu się w policzek. Wiedział, że już pierwsza kula musi trafić w cel. Powinien zabić drugiego tropiciela, zanim ten otrząśnie się z szoku i sam wystrzeli.
- Madden! – Głos Pata sprawił, że Kirk zastygł z palcem na spuście. – Rzuć broń!
- Pat, Erin i Mel podeszli bardzo ostrożnie. Strzały Jonasa ostrzegły ich o kłopotach i byli przygotowani na wszystko. Przyczołgali się do miejsca, gdzie stał Kirk, w chwili, gdy już miał strzelić do Jacoba. Pomyśleli też, że zdążył zabić Tigere.

Pat słyszał głos Briar mówiącej: „Tak mi wstyd!”. Jego ręka zadrżała na strzelbie.

– Wstań! – rozkazał Erin.

Dźwięk głosu Erina wprowadził Kirka w amok. Chciał zabijać. Tropiciele młodego Gifforda zabrali mu jego własność, Tigere, więc teraz on zabije ostatniego syna Pata.

Jacob i Jonas odwrócili się i stali ze strzelbami wycelowanymi w Kirka. Kirk powoli się wyprostował, a potem jak bąk obrócił się i w tej samej chwili strzelił.

Pat usłyszał, jak Erin jęczy. Bez chwili namysłu pociągnął za spust. Kirk stał i patrzył na nich.

– Giffordowie, niech was piekło pochłonie! – szepnął. – Słowa wyszły mu z ust razem z bąbelkami krwi. Po chwili załamały się pod nim kolana.

Jacob i Jonas podbiegli, by uniemożliwić mu jakikolwiek ruch, ale Pat dobrze wycelował. Kirk Madden patrzył w słońce martwymi, żółtymi oczami.

Jego ludzie widzieli, jak pada. Zaczęli wycofywać się z kryjówek, pełzając przy ziemi jak węże. Gruchając monotonnie, na podobieństwo leśnych gołębi, starających się nie stracić kontaktu, oddalali się od miejsca śmierci Kirka/Gdy zapadnie noc, rozproszą się i nikt się nie dowie, że kiedykolwiek byli z nim związani.

Głosy gołębi umilkły w oddali. Okropną ciszę przerywały tylko jęki Tigery. Pat nie zwrócił na nie najmniejszej uwagi i podszedł do syna. Na jego koszuli rozlewała się czerwona plama, a twarz miał niemal białą.

– Boże, nie odbieraj mi syna! – szepnął Pat, gestem przywołując tropicieli. Jacob nożem myśliwskim rozciął koszulę Erina i wytarł nią krew. Potem Pat zwinął ją w kulkę i paskiem umocował na zranionym ramieniu.

– To nie wygląda na ciężką ranę, synu. Kula przeszła przez ramię na wylot. Madden nie zdążył dobrze wycelować. Kość jest chyba nienaruszona. Wyczyścimy ranę w samochodzie, a potem oddamy cię pod opiekę Tary.

Erin zdobył się na lekki uśmiech.

– To będzie prawdziwa przyjemność, tato. Tigera znów jęknął. Pat i Mel podbiegli do niego.

. – Gdzie Madden go postrzelił? – spytał Pat i wtedy zobaczył grube, zakrwawione ciało żmii, leżące przy ramieniu Tigery.

Przenieśli go na brzeg. Pat nie musiał pytać, w które miejsce żmija go ukąsiła. Noga Tigery spuchła jak bania.

Pat przewrócił go na brzuch. Razem z Jacobem zobaczyli trzy podwójne ślady. Z dwóch wyciekała krew, ale gdy zobaczyli głębokie rany pod kolanem, tylko potrząsnęli głowami.

– Niedługo umrze – powiedział Jacob, a Jonas skinął głową.

– Nie możemy nic dla niego zrobić? – martwił się Mel. Nie lubił Tigery, ale współczuł cierpiącemu człowiekowi.

– Moglibyśmy spróbować założyć opaskę uciskową Erina – zaproponował Pat. Erin potrząsnął głową.

– Jest w samochodzie, za kamizelką Tigery.

Jonas uśmiechnął się. Erin zapomniał zabrać bandaż, który leczy ukąszenia węży. Przodkowie im dziś sprzyjali.

– Zresztą i tak, gdy jad dostanie się do krwi, nic nie może pomóc, a już z pewnością nie opaska. Ona może tylko spowolnić rozprzestrzenianie się jadu i czasami jest jeszcze czas, by zastosować surowicę.

Tigera nadal był przytomny, ale jego jęki ścichły. Toksyna atakowała komórki mózgu.

Jacob pochylił się, jakby chciał go pocieszyć.

– Pamiętasz rzeź, jaką zarządziłeś w Ganyani? Pamiętasz, ty bere, jak posłałeś ludzi, by torturowali moją żonę Rudo? Ja, Jacob, zemściłem się. Umieraj powoli!

Tigera spojrział w czarne oczy Jacoba, niemal dotykające jego twarzy. Próbował coś powiedzieć, ale opadł z powrotem, mocno uderzając głową o kamienie.

– Nie żyje – powiedział Jacob, wstając. Pat popatrzył w milczeniu na Jacoba, a potem posadził Erina w cieniu drzewa.

– Jacob i Jonas przyprowadzą samochód najbliżej jak się da – oznajmił.

– Ale, tato, ja mogę chodzić. Sam mówiłeś, że to nie jest ciężka rana.

– Może nawet doszedłbyś do samochodu, ale musimy również zabrać ze sobą ciała – odparł Pat wskazując Tigere i Maddena.

Jacob i Jonas popatrzyli na siebie. W ich oczach krył się uśmiech, chociaż twarze pozostały poważne. Mel podszedł bliżej i zamknął powieki nad żółtymi oczami Kirka.

– Tak jest lepiej – powiedział. Jednak grymas wściekłości i nienawiści nie zniknął z twarzy zmarłego.

Mel poczekał chwilę, a gdy nikt nie kwapił się zrobić tego samego dla Tigery, pochylił się i jemu również zamknął oczy. Jakiś błysk zwrócił jego uwagę. Zmija. Czyżby się poruszyła? Ostrożnie zbliżył się do liści. Głęboko w splotach ciała zmii zobaczył okulary Tigery. Słońce odbijało się od soczewek wysyłających drżące, złote i srebrne iskierki. Mel poczuł mdłości. Stał mu przed oczami ten niski mężczyzna czyszczący starannie okulary, a potem wkładający je na nos. Nagle wydało mu się, że zmarły ożył. Podniósł okulary i wzdrygnął się, gdy jego palce dotknęły gorącego ciała zmii.

– Lepiej nie ruszać węża – ostrzegł go Pat patrząc, jak Mel układa porządnie ciało. Mogą na nim być resztki jadu. Jeżeli choć trochę dostanie ci się na rękę, zachorujesz.

Mel skinął głową, bezwiednie wycierając ręce o spodnie. Potem złożył okulary i wepchnął je głęboko do kieszeni koszuli Tigery. Gdy zapinał klapkę, czuł, że wszyscy mu się przyglądają. Ale kiedy podniósł wzrok, Jonas i Jacob cicho

rozmawiali z głowami odwróconymi w inną stronę, a Pat sprawdzał prowizoryczny opatrunek Erina.

Mel jeszcze raz wytarł ręce i zwrócił się do Pata:

– Ten jad zatrzuwa krew, prawda?

– Tak kiedyś ludzie myśleli – odparł Pat. – Wierzyli, że przyczyną śmierci są krwotoki i krwawienie wewnętrzne. Ale ostatnio stwierdzono, że jad zabija komórki. To ten sam rodzaj trucizny, jaką stosuje się przy białaczce i innych rodzajach nowotworów.

Mel znów się wzdrygnął. Odszedł od ciała i opadł na ziemię obok Erina.

Tropiciele już ruszali po samochód, gdy Pat jeszcze ich upomniął, by uważali i nie wjechali w norę mrówkojada. Skinęli głowami i odeszli nie oglądając się. W biegu zaczęli śpiewać. Brzmiało to jak brzęczenie rozdrażnionych pszczoł. Jacob prowadził, jego głos był czysty i donośny. Jonas dołączył przy refrenie.

Pat zamknął oczy. Myślał o impi unoszących wysoko nogi, a potem deptających ziemię, z wysoko podniesionymi tarczami ze skóry wołów. Gdy impi śpiewał, cała przyroda zamierała i słuchała.

– Czy to pieśń żałobna na śmierć Tigery i tego drugiego mężczyzny? – spytał Mel, gdy Jonas i Jacob zniknęli się w buszu.

– To pieśń o śmierci – odpowiedział dyplomatycznie Pat.

– Kto to jest? – Mel wskazał Kirka. – Powiniennem chyba raczej spytać: kto to był?

– Jeden ze sługusów Tigery – odparł Erin.

– Były myśliwy, który stracił licencję i został wydalony z kraju – dodał Pat.

– Wygląda rzeczywiście na twardego człowieka – mruknął Mel, zrzucając z ręki mrówkę. Wszyscy trzej siedzieli leniwie w cieniu, czekając na znajomy warkot toyoty.

– Tato, co teraz zrobimy? – spytał Erin, przyciskając mocniej zakrwawioną koszulę do rany. Zaczynał odczuwać ból i mdłości.

– Polecę z ciałami do Harare i opowiem, co się stało – odpowiedział ponuro Pat. Na jego czole zarysowały się głębokie bruzdy.

– Pojadę z tobą – oświadczył Mel.

Pat chciał zaprotestować, ale Amerykanin nie dał mu dojść do słowa.

– Byłem świadkiem wydarzeń i przypuszczam, że moje zeznanie będzie miało swoją wagę dla urzędników w stolicy.

– A polowanie?

Mel uśmiechnął się do Erina.

– Za żadne skarby świata nie zrezygnuję z tego. Wrócę tu i będę polował z żonatym mężczyzną. Nie – poprawił się, patrząc na Pata. – Z dwoma żonatymi mężczyznami.

Pojawiły się tłuste muchy plujki i bzycząc zaczęły krążyć nad ciałem żmii.

Wkrótce wyczują krew i obsiada zwłoki Kirka.

Mel i Pat wstali, nałamali gałązek z krzaka mopane i pokryli nimi ciało Kirka.

Żałobne wołanie szmaragdowo cętkowanych gołębi leśnych rozległo się jeszcze raz. Ostatni członek bandy Kirka opuścił okolicę, pogwizdując do swoich kompanów.

– Piękny dźwięk – zauważył Pat. – Zawiera całą twardość i urodę Zimbabwe.

Przez chwilę cicho naśladował śpiew ptaków, a potem zanucił:

Mama nie żyje, Tata nie żyje, Cała rodzina wymarła.

A moje serce bije bum, bum, bum.